

W
O
D
O
S
P
A
D
Y

zbiór
nowel

C
I
E
N
I
A

Prawie o północy

AUTORKA BESTSELLERÓW NEW YORK TIMESA

C. C. HUNTER

Feeria
young

Prawie o północy

C. C. HUNTER

PRZEKŁAD: JOANNA LIPIŃSKA

Feeria
young

Spis treści

Przemieniona w ciemnościach

Przemieniona w ciemnościach

Szesnastoletnia Della Tsang nigdy nie widziała ducha, dopóki nie zobaczyła, jak jej zmarły brat cioteczny przebiega przez ulicę i znika w zaułku. Gdyby nie latarnia, która świeciła tuż nad jej głową, mogłaby go nie zauważyć.

A gdyby nie blizna, którą miał na podbródku, Della pomyślałaby, że to tylko ktoś podobny do Chana. Z drugiej strony było ciemno, już po północy. Ale ona i tak zauważyła tę bliznę. Bliznę, której była niejako sprawczynią. Gdy mieli po sześć lat, skakali na trampolinie i Chan zderzył się z nią głową.

Od tej pory w rodzinie wszyscy przezywali ją Twardogłową Dellą. Czasami zastanawiała się, czy rzeczywiście była wtedy taka uparta, czy też to przezwisko było tylko kolejnym określeniem, któremu starała się sprostać. Azjatyckie pochodzenie Delli wiązało się z wysokimi oczekiwaniami wobec niej, czasem zbyt wysokimi. A że wraz z siostrą były w połowie białe, ich ojciec nalegał, by pracowały dwa razy pilniej, aby dowieść, że miłość ich rodziców nie skałała drzewa genealogicznego jego rodziny.

Zbliżające się światła samochodu sprawiły, że Della odwróciła się od alejki, w której zniknął Chan. Poza tym nie do końca wierzyła, że to on. Chyba.

Samochód podjechał bliżej. Della myślała, że to Lee przyjechał ją zabrać, zeszła więc z ganku swojej przyjaciółki Lisy, pozostawiając za sobą gwar imprezy.

Przynajmniej dwa razy w miesiącu Della i Lee starali się wymykać z domu, by spędzić ze sobą całą noc. Wiedziała, że jej rodzice dostaliby szału, gdyby się dowiedzieli, że sypia z Lee. Nie miało znaczenia, że byli prawie zaręczeni. Ale przynajmniej ojciec zaakceptował Lee. Dobre i to. W tej kwestii się z nim zgadzała, chociaż nie zawsze tak było. Lee uosabiał wszystko, o czym tylko Della mogła zamarzyć – był przystojny, popularny, mądry i na szczęście – ze względu na jej ojca – miał azjatyckie pochodzenie. Nie przeszkadzało jej nawet, że nie przepadał za imprezami.

Spojrzała jeszcze raz w zaułek. To nie mógł być Chan. Niecały rok temu była na jego pogrzebie. Widziała, jak opuszczają do grobu jego trumnę. Pamiętała, że nie płakała. Ojciec nalegał, by tego nie robiła. Zastanawiała się, czy jej ojciec byłby zawiedziony, gdyby wiedział, że każdej nocy, kiedy już leżała w łóżku, wypłakiwała sobie oczy.

Kiedy samochód podjechał bliżej, zrozumiała swoją pomyłkę. To nie był Lee. Patrzyła, jak auto znika za zakrętem. Stała tak w ciemnościach, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo jest samotna, i w tym momencie przyszedł do niej esemes.

Wyciągnęła telefon i przeczytała wiadomość.

Rodzice wciąż na nogach. Spóźnię się.

Skrzywiła się, schowała komórkę i spojrzała znów w stronę zaułka. Chyba nie zaszkodzi... sprawdzić. Żeby potwierdzić, że duchy nie istnieją.

Powoli ruszyła w stronę alejki. Styczniowy chłód sączył się przez jej skórzaną kurtkę. Jej kroki zdawały się głośnie, może zbyt głośnie. Ledwie minęła róg, usłyszała krzyki. Zamarła. Zaparło jej dech na

widok bijatyki, a może raczej bitwy, która rozgrywała się dosłownie na jej oczach. Odgłos uderzającej kogoś pięści poniósł się echem w ciemnościach, a Della ujrzała ludzkie ciała, podrzucane w powietrzu niczym szmaciane lalki.

Della może i nie znała ciemnej strony życia, ale od razu zrozumiała, czego właśnie jest świadkiem. Walka gangów. Serce podskoczyło jej do gardła. Musiała się stąd wynosić, i to szybko.

Cofnęła się o krok, ale podwinął jej się obcas i straciła równowagę. Jedna noga poleciała do góry, a ona upadła ciężko na pupę, wyciągając do tyłu ręce, by złagodzić uderzenie. Poczowała ostry ból w dłoni – najprawdopodobniej od kawałka szkła ze stłuczonej butelki po piwie, która leżała obok.

Skrzywiła się i zakłęła pod nosem.

– Kur... – Nie zdążyła dokończyć, gdy uświadomiła sobie, że wokół niej zapadła kompletna cisza. Bijatyka ustała, a w jej stronę ruszyło co najmniej sześciu chłopaków, mniej więcej w jej wieku. Szli dziwnie, zupełnie jakby... Ich postawa przypominała jej stado drapieżców, które podchodzi do ofiary.

Della przestała zwracać uwagę na dziwne ruchy chłopaków i skupiła się na ich oczach. Serce jej zamarło, gdy ujrzała, że lśnią pomarańczowo. W ciemnościach rozległ się cichy warkot.

– Co do... – Dopadli ją, nim dokończyła zdanie.

– Człowiek, mniem – odezwał się jeden.

Cała się spięła.

– Znikam. – Poderwała się na równe nogi.

Nagle usłyszała za sobą kroki i zrozumiała, że jest otoczona. Warkot stał się głośniejszy i przez moment mogłaby przysiąc, że te odgłosy nie mogły być ludzkiego pochodzenia. Odwróciła się z nadzieją, że jakoś uda jej się uciec, ale coś złapało ją wpół, a jej twarz owiał zimny wiatr. Zakręciło jej się w głowie. Była kompletnie zdezorientowana, zupełnie jakby nagle zaczęła pędzić z olbrzymią prędkością, jak na kolejce górskiej. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć głosu. Otaczała ją ciemność i dopiero po chwili zrozumiała, że ma zamknięte oczy. Próbowwała je otworzyć, ale pęd powietrza był tak silny, że nie dała rady. Co się działo? Teraz miała wrażenie, że... że leci.

Albo spada. Nie, nie spadała, ktoś lub coś ją trzymało. Brakowało jej powietrza, ale coś – jak sądziła – ramię, zaciskało się na jej brzuchu i uniemożliwiała wzięcie tchu. Próbowwała się wyrwać, ale bezskutecznie. Ten, który ją trzymał, był jak ze stali, a jego ciało było zimne i twarde. Coś mokrego spływało jej po rękę i uświadomiła sobie, że to krew z rozciętej dłoni.

W tym momencie rana zaczęła ją piec. I to mocno, jakby ktoś polał rozcięcie spirytusem salicylowym. Przeszywający ból wędrował wzdłuż ręki, do klatki piersiowej, i na chwilę jej serce przestało bić. Jęknęła, próbując złapać powietrze, ale do jej płuc nic nie mogło się dostać. Nie dając się pokonać lękowi, wydusiła z siebie:

– Puszczaj mnie, dupku!

Przeszył ją dreszcz, gdy jej stopy dotknęły ziemi. Porywacz wypuścił ją. Pod Dellą ugięły się kolana, ale w ostatniej chwili złapała równowagę i otworzyła oczy. Wszystko wydawało się zamazane, więc

zamrugąła, ale to niewiele pomogło.

– Oddychaj – usłyszała znajomy, niski, męski głos. Głos Chana.

Czyżby duchy istniały?

Nie, to niemożliwe.

Kilka sekund później jej wzrok wreszcie powrócił do normy i, na Boga, miała rację. Przed nią stał Chan. Zrobiło jej się niedobrze. Ręka wciąż ją piekła. Złapała się za brzuch, zgięła w pół i zwymiotowała na swojego zmarłego kuzyna.

– O kurde! – Odskoczył do tyłu.

Della wyprostowała się i spojrzała na kuzyna, myśląc, że za moment się obudzi. A może to nie był sen? Może ktoś na imprezie wrzucił jej coś do napoju? Przycisnęła dłonie do oczu, nie przejmując się tym, że pewnie rozsmarowuje sobie krew z rany po całej twarzy.

Kiedy opuściła ręce, Chan wpatrywał się w nią, a jego czarne oczy lśniły zielono.

Odskoczył od niej.

– Krwawisz!

– A ty umarłeś! – Przycisnęła zakrwawioną dłoń do brzucha z nadzieją, że zdusi mdłości i pieczenie ręki.

Zmarszczył brwi i przyjrzał jej się uważnie.

– Cholera! To przemiana!

– Nieprawda! Wyglądam tak jak wcześniej – warknęła. – Z drugiej strony, kręci mi się w głowie.

Zamknęła oczy, a po chwili znów je otworzyła.

– Potrzebowałam pomocy, więc... Nie wiedziałem, że się skaleczyłaś, bo...

– Nie potrzebowałam twojej pomocy, dałabym... dałabym sobie jakoś radę.

Potrząsnął głową.

– Nadal twardogłowa, co?

Oplotła się ramionami.

– Co się przed chwilą stało? Nie: co się dzieje?

Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że nie są już w pobliżu domu Lisy ani ciemnej alejki, w którą weszła, szukając...

– Ty nie żyjesz, Chan. Jak to możliwe, że tu jesteś?

Potrząsnął głową i popatrzył na jej czoło.

– Gdybym wiedział, że krwawisz, to... Powinienem być się domyślić, że jesteś nosicielem. Ale gdybym cię stamtąd nie zabrał, te psy zeżarłyby cię żywcem.

Przestała słuchać, próbując zrozumieć, co się przed chwilą wydarzyło. Pamiętała walkę gangów, a potem upadła, była otoczona i...

– O kurde, czy ja nie żyję?

– Nie, ale niedługo poczujesz się tak, jakbyś umierała. Dotknęłaś mnie otwartą raną. Twój wirus się

uaktywnił. Dlatego tak się teraz czujesz. – Zamilkł i pociągnął nosem. – Cholera, wilki dalej nas szukają. Muszę cię stąd zabrać.

Wyciągnął do niej rękę, a ona odskoczyła.

– Nie dotykaj mnie. Jesteś cały w wymiocinach.

– To ty mnie obrzygałaś!

– I co z tego. Nie chcę tego na sobie. Myślę... – Cokolwiek myślała, nie miało to już znaczenia. Wiatr znów rozwał jej włosy, ich długie pasma łopotały tak silnie, że aż bolało, gdy uderzały ją w twarz.

Delli pękała głowa. Czyżby to był pierwszy w jej życiu kac? Ile wypila piw? Tylko jedno, prawda? Nigdy nie piła więcej niż... Otworzyła oczy i stwierdziła, że patrzy w sufit swojej sypialni. Wiedziała, że to jej pokój, bo czuła waniliowe świece i cytrynowy środek do konserwacji, którym co piątek czyściła meble. A jej poduszka wciąż pachniała jak Lee, od kiedy w poniedziałek odwiózł ją po szkole i okazało się, że nikogo nie ma w domu. Uwielbiała jego zapach.

Ale jak się dostała do domu z...

Zaczęła sobie przypominać urywki wieczoru: Chan, walka gangu, lot.

„Lot?” – przemknęło jej przez myśl.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Głowa jej dosłownie pękała.

– Cholera – jęknęła, myśląc, że to wszystko było snem.

– Cześć, siostrzyczko.

Jego głos usłyszała w chwili, gdy znów zaatakowały ją mdłości. Odwróciła się i po raz drugi wymiotowała na swojego zmarłego ciotecznego brata.

– O fu! – zawołał Chan, ale po chwili się roześmiał. – Pewnie na to zasłużyłem. Co prawda nie chciałem tego spowodować. Naprawdę. – A potem znów się roześmiał.

Delli nie było do śmiechu.

– Co się dzieje? – Poczła, jak napływają jej do oczu łzy frustracji i bólu. Pohamowała je. Otarła usta rękawem bluzki i zauważyła, że jej skórzana kurtka leży w nogach łóżka.

Chan położył jej dłoń na ramieniu i pchnął ją lekko.

– Połóż się z powrotem, a wszystko ci wytłumaczę.

– To była wojna gangów – jęknęła, próbując sobie przypomnieć.

– Tak. Wampirów i wilkołaków. Poszedłem popatrzeć. Fajnie jest obserwować, jak nasi skopują tyłki kundlom.

Leżąca na stoliku komórka Delli zapiszczała, informując o esemesie. Dziewczyna próbowała po nią sięgnąć, ale poruszanie się bolało. Znów poczuła, jak napływają jej do oczu łzy.

– To twój kochaś – powiedział Chan. – To chyba już dziesiąta wiadomość. Zdaje się, że przegapiłaś

randkę.

Chan potrząsnął głową.

– A więc moja kuzyneczka bzyka się z jakimś facetem, tak? Mam wrażenie, że powinienem go stłuc albo coś.

Usiadł na łóżku.

– Chcesz, żebym do niego napisał, że nic ci nie jest?

– Właśnie że jest! – Mówienie tylko potęgowało ból głowy. Świadomość, że rozmawia z duchem, jedynie pogarszała sprawę. Ból wybuchł jej za oczami. Zamknęła je, pragnąc ulgi.

– Co się ze mną dzieje? – jęknęła do siebie, a nie do Chana, bo logika podpowiadała jej, że Chana wcale tam nie było.

Ktoś musiał jej na imprezie dosypać czegoś do picia. Tak, to musiało być to. Usłyszała, jak ktoś podsuwa krzesło do jej łóżka.

– Nie uwierzysz, ale trudno się temu dziwić. Trochę potrwa, zanim to do ciebie dotrze. Widzisz... Ja nie umarłem. Ja... no cóż, nasza rodzina jest nosicielem wirusa. Jest uśpiony i możemy przeżyć całe życie, nie wiedząc o nim, ale jeśli zetkniemy się z nosicielem aktywnego wirusa, a już zwłaszcza jeśli to zetknięcie będzie przez krew, to wirus może się uaktywnić.

– Mam wirusa? – Przełknęła kolejną falę mdłości.

– Tak.

– Ptasią grypę? – zapytała.

– Niezupełnie.

– Wirusa Zachodniego Nilu?

– Nie. Wampiryzmu.

Otworzyła jedno oko – tylko tyle była w stanie – i łypnęła na niego. Roześmiałaby się, gdyby nie czuła się tak, jakby umierała.

– Jestem wampirem?

– Jeszcze nie. Potrzeba czterech dni. I nie będzie łatwo. Ale pomogę ci przez to przejść.

– Nie potrzebuję twojej pomocy. – Była nieodrodną córką swojego ojca. Zawsze sama znajdowała sposób na to, jak sobie poradzić w każdej sytuacji. Zamknęła oko. Z tyłu głowy poczuła znów przeszywający ból i jednocześnie stało się dla niej jasne, że aby sobie pomóc, potrzebuje pomocy. Ale nie od ducha. Korzystając z całej swojej energii, zdołała stanąć na nogi. Świat zaczął jej wirować przed oczami.

– Gdzie się wybierasz? – Chan złapał ją na moment przed tym, jak upadła na twarz.

Chciała go zignorować, bo przecież nie był prawdziwy, ale co tam.

– Muszę zawołać mamę. – To, co wrzucili jej do picia, musiało być naprawdę mocne, bo siedziała na podłodze i gadała z duchem o wampirach.

– Na to ci nie pozwolę. – Chan pchnął ją z powrotem na łóżko. Zresztą nie wymagało to wiele trudu.

Była jak ślimak na środkach uspokajających unoszący się w herbatce rumiankowej.

– Mamo! – krzyknęła.

Della nie była pewna, czy spędziła w szpitalu trzy godziny, czy dziesięć. Nie czuła się lepiej, ale przynajmniej przestała mieć halucynacje. Chan zniknął. Nie pojawił się, od kiedy mama znalazła ją skurczoną na podłodze i wymiotującą.

Pielęgniarki ciągle wpadały do jej pokoju, próbując zmusić ją do wypicia czegoś. Nie chciała nic pić.

– Do cholery, co ona takiego wzięła? – usłyszała głos swojego ojca.

– Nie wiemy, czy wzięła cokolwiek – odpowiedziała mama.

– Czemu nam to robi? Nie wie, jak to będzie wyglądało? – zapytał ojciec.

Della zaczęła się zastanawiać, czy powiedzieć im znowu, że wypila tylko jedno piwo. Wcześniej mało brakowało, a podzieliłaby się z nimi swoją teorią na temat tego, że ktoś dorzucił jej coś do napoju, ale pohamowała się z obawy, że wpakuje Lisę w kłopoty. Lepiej trzymać gębę na kłódkę i pogodzić się z karą, która ją czekała.

– Nie obchodzi mnie, jak to wygląda! Chcę tylko, żeby wyzdrowiała – odparła matka.

To była ta sama kłótnia, co zawsze, tylko w innej wersji. Jej mama nienawidziła dumy ojca. Delli też się ona nie podobała, ale ją rozumiała. Też nie znosiła robić błędów. A do tego widziała jednopokojowe mieszkanie nad chińską restauracją, w którym wychowywali się ojciec i jego siostra. Ojciec i jego rodzina mieli prawo być dumni z tego, co osiągnęli. A to nie przyszło dzięki popełnianiu błędów.

Della znów usłyszała otwierające się drzwi.

– Proszę iść się czegoś napić, to chwilę potrwa – rozległ się damski głos.

Delli wydawało się, że już wcześniej go słyszała. Należał chyba do pielęgniarki. Usłyszała, jak rodzice wychodzą z pokoju. Ogarnęła ją przemożna wdzięczność wobec pielęgniarki, która wybawiła ją od słuchania kolejnej kłótni, ale nie mogła zebrać się w sobie, by jej podziękować.

– Nie ma za co – odezwała się pielęgniarka, zupełnie jakby czytała Delli w myślach.

Della otworzyła oczy. Rzeczywiście, stała nad nią pielęgniarka.

Dziewczyna zamrugła, próbując skupić wzrok, i wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Dostrzegła... coś na czole kobiety. Coś dziwnego. Jakby jakieś linie i coś, co przypominało wymieszany komputerowo wzór. Zamrugła i znów powoli otworzyła oczy. Pomogło. Dziwny wzór zniknął.

Della spróbowała się podnieść i uświadomiła sobie, że zniknęło coś jeszcze.

Rozcięcie na jej dłoni. Jak mogło się tak szybko zagoić?

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

– Czy ktoś już z tobą rozmawiał?

Della zmusiła się, by sięgnąć po dużą szklankę ze stolika przy łóżku.

– O picie wody. Tak.

– Nie. O tym, co się z tobą dzieje. – Pielęgniarka wzięła od Delli szklanę. – Nic nie pij. Poczujesz się tylko gorzej.

– Gorzej? Czy ustalili już, co się dzieje?

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł lekarz. Stał obok łóżka i spojrzał na Dellę.

– Czy ona już wie? – zapytał pielęgniarkę.

– Co takiego? – jęknęła Della.

– Nie sędzę. – Pielęgniarka zignorowała pytanie Delli.

– To znaczy? – zapytała Della.

– Jej rodzice nie są nosicielami aktywnego wirusa? – zapytał lekarz.

– Nie – odpowiedziała pielęgniarka.

– Mogliby państwo przestać rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było?

Lekarz popatrzył jej w oczy.

– Przepraszam. Wiem, że to trudne. – Intensywność jego spojrzenia ją zaniepokoiła.

Z jakiegoś dziwnego powodu wszystko w tym człowieku ją niepokoiło. To było dziwne. Normalnie nie zdarzało jej się kogoś nie lubić ot tak. Zwykle potrzebowała do tego przynajmniej kwadransa i dobrego powodu. Zaczęła przymykać oczy i buch, na czole lekarza pojawił się dziwny wzór.

Lekarz warknął, zupełnie jak pies. Della przypomniała sobie, że członkowie gangu też...

– Ktoś wie. – Lekarz skinął w stronę drzwi.

Drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i uderzyły o ścianę, a sądząc z odgłosu, odłupały kawałek tynku. Della uniosła wzrok, ale lekarz zasłaniał jej widok.

– Do cholery, co wy jej robicie? – Chan stanął po drugiej stronie łóżka.

– Cholera – jęknęła Della. – Znów się zaczyna.

A kiedy spojrzała na pielęgniarkę, na jej czole znów było to przedziwne coś. Zupełnie jakby Della mogła zajrzeć do jej głowy niczym w jakimś marnym filmie klasy B.

Widziała przód jej... mózgu. Tak, to wyglądało jak mózg, ale nie dość, że było poskręcane, to miało jeszcze dziwne zygzakowate linie, jakby mieszankę marnej sztuki współczesnej i starożytnych hieroglifów.

– Co się dzieje? – zapytała pielęgniarka.

– Ja... widzę duchy. – Della zmusiła się, by przestać wpatrywać się w czoło kobiety.

Spojrzała na Chana. On też miał coś na czole, tylko że jego mózg wyglądał inaczej.

– Próbuje jej pomóc. – Lekarz zwrócił się do Chana.

Delli zaparło dech.

– Pan też go widzi?

Chan prychnął na lekarza, odsłaniając kły, a Della przypomniała się ich szalona rozmowa o wampirach.

– Ona nie potrzebuje twojej pomocy, wilkołaku!

– To twoja sprawa? – zapytał lekarz. – To ty ją zaraziłeś?

– Tak – syknął Chan. – Ale nie wiedziałem, że krwawiła, a poza tym nie miałem wyboru. Mogłem ją porwać z uliczki albo pozwolić, żeby twoje psy ją zabiły.

Lekarz się skrzywił.

– A przynajmniej jej to wyjaśniłeś?

– Próbowałem – powiedział Chan. – Ale ona tego nie kupuje.

– Czego nie kupuję? – zapytała Della, mrugając energicznie, by się pozbyć tego świństwa na czołach wszystkich. – On nie żyje – warknęła.

– Musimy ją zabrać ze szpitala, nim rozpocznie się druga faza – odezwała się pielęgniarka.

„Jaka faza?” – pomyślała Della. To wszystko nie miało sensu.

Lekarz spojrzał na nią.

– Posłuchaj, ten młody człowiek nie jest martwy. On... jest wampirem, a przez jego nieostrożność ty też staniesz się jednym z nich, czy ci się to podoba, czy nie.

Dellę znów zaczęła boleć głowa.

– Muszę iść – powiedział Chan. – Jej rodzice jadą windą na górę.

– Poczekaj – zwrócił się do niego lekarz. – Jeśli ją wypiszę, to zaopiekujesz się nią na czas przemiany?

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy! – odparła Della.

– Oczywiście, że tak – stwierdził Chan. – To moja kuzynka.

Pielęgniarka spojrzała znów na Dellę.

– Kiedy przemiana się skończy, chciałabym, żebyś zadzwoniła do tej kobiety. – Podała Delli wizytówkę. A gdy ta jej nie wzięła, wsunęła jej kartonik w dłoń.

– Do kogo ma zadzwonić? – zapytał Chan, kierując się w stronę drzwi.

– Do Holiday Brandon. To dyrektor obozu w Wodospadach Cienia. Ona może pomóc.

– Kurde, nie! Della nie pojedzie na ten głupi obóz, żeby jej zrobili rządowe pranie mózgu.

Pielęgniarka spochmurniała.

– Oni nikomu nie robią prania mózgu. Pomogą jej zdecydować, co jest dla niej najlepsze.

– Wiem, co jest dla niej najlepsze. Zamieszka ze mną.

„Zamieszkać z Chanem?” Della z trudem nadążała za tą szaloną rozmową. A potem usłyszała dźwięk zatrzymującej się windy, zupełnie jakby znajdowała się tuż obok niej.

– I ma sfingować swoją śmierć, tak jak ty? To dlatego myślisz, że jesteś duchem, prawda? – Pielęgniarka potrząsnęła głową. – Naprawdę tego dla niej pragniesz? Żeby zostawiła całe swoje życie i rodzinę?

Chan nie odpowiedział. Della zobaczyła tylko smugę w miejscu, gdzie wcześniej stał. Drzwi znów się otworzyły i na podłogę spadł kolejny kawałek tynku. Lekarz i pielęgniarka spojrzeli na Dellę współczująco. Skrzywiła się w odpowiedzi.

– Pielęgniarka ma rację – stwierdził lekarz. – Zadzwoń do Wodospadów Cienia. Niech twój kuzyn

pomoże ci przetrwać najbliższych kilka dni, ale potem nie wierz we wszystko, co ci powie. Wyglądasz na mądrą dziewczynę. Sama zdecyduj. Przy odpowiednim planowaniu możemy prowadzić normalne życie.

– My? – zapytała Della.

– Istoty nadnaturalne – odparł i wskazał na siebie. – Wilkołak. – Następnie na pielęgniarkę. – Elfka. Ty jesteś wampirem. Są też inni, ale o nich dowiesz się we właściwym czasie.

Della opadła na poduszkę.

– A więc to prawda? – jęknęła.

– Co takiego? – zapytała pielęgniarka.

– Postradałam zmysły.

– Musisz się napić i coś zjeść – odezwała się matka Delli i podała jej parujący kubek.

Della została wypisana ze szpitala poprzedniego dnia. Głowa łupała ją jak cholera, ciało bolało gorzej niż kiedykolwiek podczas grypy. I zaczynała tracić rozum. Jej umysł nie przejmował się już tym, że widzi Chana. Na razie jeszcze jego problemem było to, że prawie mu wierzyła. Zamieniała się w wampira. I, zdaniem Chana, pierwsze dwa dni były jak bułka z masłem w porównaniu z kolejnymi dwoma, które miały nadejść.

Przyłożyła do ust kubek z gorącą herbatą i udała, że pije, z nadzieją, że to zadowoli jej mamę. Pielęgniarka, a potem również Chan, powiedzieli, że jedzenie i picie tylko pogorszy sprawę. Oczywiście Della nie uwierzyła im na słowo. Co to to nie, musiała sama sprawdzić.

Nie słyszała jeszcze, żeby ktoś zwymiotował swoje narządy wewnętrzne, ale było całkiem prawdopodobne, że teraz brakowało jej płuca. Dobrze, że miała dwa.

– Znów dzwonił Lee – powiedziała mama Delli, poprawiając jej kołdrę.

– Przyjdzie? – wykrztusiła Della, która co prawda chciała go zobaczyć, ale nie chciała, by widział ją w takim stanie. Wyrzyganie płuca nie poprawiało wyglądu.

– Powiedziałam, że może przyjść, ale odparł, że jego mama się boi, że to może być coś zaraźliwego.

– Nigdy mnie nie lubił. – Della zamknęła oczy.

– Czemu tak mówisz? – Mama wstała.

„Bo jestem w połowie biała”.

– Nie wiem – skłamała Della i otworzyła oczy. – Bo mam za dużo ikry.

Mama ścisnęła ją za rękę.

– Masz za dużo ikry. I jesteś zbyt niezależna. I uparta. Zupełnie jak twój tata. Ale jego też kocham. – Odgarnęła Delli włosy z czoła.

Kiedy mama wyszła, Chan wysunął się z szafy. Podszedł do łóżka.

– Zaraz zacznie się faza trzecia.

– Skąd wiesz? – zapytała i nagle, kurde, wszystkie zakończenia jej nerwów zdawały się krzyczeć. Jeśli tak wyglądała faza trzecia, to ona nie chciała mieć z nią nic wspólnego!

– Serce zaczęło ci szybciej bić – powiedział.

Della opadła na poduszkę i rzuciła kilka brzydkich słów.

– Posłuchaj mnie, Dello. To bardzo ważne. Kiedy wejdą tu twoi rodzice, musisz się zachowywać normalnie. Bez względu na to, co się stanie, nie możesz wrócić do szpitala.

– Czemu? – zapytała i jęknęła.

– Tam jest za dużo krwi. Stracisz panowanie. Może to sprawić nawet sam zapach krwi. Pierwsze karmienia muszą być pod kontrolą.

Przez jej ciało przeszła kolejna fala bólu, aż przygryzła wargę, by nie krzyknąć.

– Czy mogę od tego umrzeć? – Zacisnęła palce na kołdrze.

Nie cierpiała się bać. Nie cierpiała tego, bo to oznaka słabości.

Skierował na nią swoje czarne oczy.

– Tak.

Jej głowę rozdarł ostry ból.

– Umrę?

Pomyślała o Lee. Chciała, by był przy niej i ją utulił. Jeśli miała umrzeć, to chciała go jeszcze raz zobaczyć. A potem pomyślała o swojej młodszej siostrze, Marli. Della obiecała sobie, że będzie się Marlą opiekować, dopilnuje, żeby nikt się nad nią nie znęcał, jak to robili z nią samą. Z jakichś dziwnych przyczyn wiedziała, że jej siostra nie jest tak silna jak ona.

– Nie, nie umrzesz – odparł Chan, ale Della widziała w jego oczach niepewność. – Jesteś zbyt uparta.

Twardogłowa Della nie może umrzeć. Słyszysz mnie? Nie możesz umrzeć, Dello. Bądź silna.

Dwa dni później Della powoli wracała do przytomności. Przez większość ostatnich czterdziestu ośmiu godzin była pogrążona w głębokim śnie. Pamiętała, jak siadała i udawała, że je, kiedy przychodzili jej rodzice, by nie zabrali jej znów do szpitala. I pamiętała, że kilka razy rozmawiała z Chanem. Ale miała taką gorączkę i była tak mało przytomna, że niewiele mogła sobie z tych rozmów przypomnieć. Otworzyła oczy i szybko zasłoniła je ręką.

– Przestań – syknęła.

– Do kogo mówisz? – zapytał Chan.

– Do słońca! – warknęła i prawie rozcięła sobie język o zęby.

– Mnie też wkurza. Teraz jesteśmy istotami nocy. Ale zaraz zajdzie. – Chan musiał opuścić zasłony, bo upiorna jasność zniknęła.

– Wychodzimy, jak tylko twoi rodzice położą się spać – dodał. – Muszę zacząć cię uczyć.

– Czego?

– Twojego nowego życia.

Odsłoniła oczy i rozejrzała się wokół. Pierwsze, co zobaczyła, to kwiaty. Czerwone róże. Lee? Tak, pamiętała, jak mama przyniosła je i przeczytała jej liścik. Lee pisał, że ją kocha.

Uśmiechnęła się i stwierdziła, że nic jej nie boli. Ani głowa, ani brzuch. Właściwie czuła się... dobrze. Czuła się silna. Żywsza niż kiedykolwiek.

– Jestem zdrowa! – Rozprostowała ramiona i zatańczyła na łóżku.

– Tak, udało ci się. Przez moment się martwiłem, ale...

– Gdzie mój telefon? – Chciała zadzwonić do Lee.

– W szufladzie, żebyś nie musiał słuchać tego ciągłego piszczenia. Twój kochaś się o ciebie martwi.

W tym momencie przypomniawszy sobie wszystkie ich rozmowy o wampiryzmie. Czy naprawdę w to wierzyła? A jeśli nie, to jak miała wyjaśnić obecność Chana?

Postanowiła na razie o tym nie myśleć i cieszyć się tym, że nie czuje się już jak stara psia kupa, nim znów pójdzie tamtą drogą. A w jakiś sposób czuła, że ta droga sprawi jej sporo bólu. Usiadła na brzegu łóżka i przypomniawszy sobie, że za każdym razem, gdy było słyhać, jak jej rodzice wchodzili po schodach, Chan podnosił ją na poduszkach i mówił, żeby wyglądała, jakby wszystko było w porządku. Nie pamiętała, jak jej szło, ale chyba nie najgorzej, skoro nie zabrali jej z powrotem do szpitala.

Wstała, przeciągnęła się i spojrzała na krzesło przy łóżku. I bum! Uderzyło ją wspomnienie Marli, jej młodszej siostry, która przysłała do niej do pokoju. Trzymała Dellę za rękę i płakała. Płakała po cichutku, bo nawet ona wiedziała, że ich ojciec nienawidzi słabości. Della wciąż słyszała słowa Marli.

– Dello, proszę, nie umieraj. Masz mi pomóc, pomóc nauczyć się być tak silną jak ty.

Coś ścisnęło Dellę w piersi. Tak bardzo się cieszyła, że nie umarła i nie zawiódła siostry.

Wyrzała przez okno. Pamiętała jak przez mgłę, że... stała na dachu.

– Poszliśmy gdzieś?

– Tak, dopadła cię klaustrofobia, musiałaś... rozprostować skrzydła. I całkiem nieźle ci poszło.

Nagle przypomniawszy sobie poruszanie się z niesamowitą prędkością i wiatr na twarzy. Czy to była prawda?

Zaburczało jej w żołądku.

– Umieram z głodu – mruknęła.

Chan wskazał na duży plastikowy kubek ze słomką.

– Nie dokończyłaś śniadania.

Sięgnęła po kubek i pociągnęła łyk. W ustach poczuła tysiące różnych smaków. Jagody, ciemną czekoladę, cierpkiego melona. Smaki, których nawet nie rozpoznawała, ale wiedziała, że od tej chwili nie będzie się już mogła bez nich obejść.

– Co to jest? – Oblizwała wargi i znów zaczęła pić.

Chan uniósł brew.

– Od teraz to twój nowy pokarm. Krew.

Prawie zwymiotowała, ale pohamowała się. Przypomniła sobie, jak kiedyś ugryzła się w język.

– Krew tak nie smakuje. – Otworzyła wieczko i spojrzała na... na coś, co wyglądało jak krew. – Jak to...

– Teraz już nic nie będzie smakowało tak jak kiedyś. Nie pamiętasz, jak zemdlił cię rosół, który przyniosła twoja mama?

Spojrzała na swojego ciotecznego brata i coś zaczęło jej się przypominać.

– Powiedz, że kłamiesz.

– Przykro mi. Teraz wszystko się zmieni. Nie ma co się oszukiwać. Po prostu się z tym pogódź.

Spojrzała znów na gęsty czerwony płyn w kubku.

– To nie może działać się naprawdę.

– To szczerą prawdą.

– O Boże! – Odstawiła kubek na stolik nocny i zagapiła się na niego.

– Co to za rodzaj krwi?

– AB minus. Zero jest lepsza, ale nigdzie nie mogłem dostać.

– To... to ludzka krew? – Żołądek jej się skręcił.

Chan skinął głową.

– Zwierzęca nie jest taka dobra. Ale z czasem się tego nauczysz. Muszę cię wiele nauczyć.

Zasłoniła dłonią usta i znów spojrzała na kubek. I chociaż świeże wspomnienie smaku krwi przyprawiało ją o mdłości, a ona poprzysięgła sobie, że nie zostanie potworem, na myśl o kolejnym łyku ciekła jej ślinka.

Nie знаła prawdziwego głodu ani pragnienia, ale to... to uczucie, że jeśli natychmiast nie wysączy kubka do czysta, to umrze, było chyba najbliższe temu stanowi.

Chan sięgnął po kubek. Zanim się zorientowała, co robi, poderwała się, walnęła chłopaka tak, że aż przeleciał przez pokój, i złapała kubek.

Roześmiał się.

– Tak sądziłem.

Dopiła krew i spojrzała na niego.

– Potrzebuję więcej.

– Wiem. Zaraz po przemianie jest się strasznie głodnym. W ciągu pierwszych kilku dni wypilem chyba z osiem litrów. Ale musisz poczekać, aż twoi rodzice pójdą spać.

– Chcę teraz – syknęła, nie poznając własnego głosu.

– Nie sprawdzili, czy jestem pełnoletnia? – zapytała kilka godzin później Della, wchodząc z Chanem do

klubu.

W pomieszczeniu było ciemno, paliło się tylko kilka świeczek, ale o dziwo Della wszystko doskonale widziała. I słyszała. Ze wszystkich stron docierał do niej hałas, szum tłumu, różne rozmowy, ludzie poprawiający się na krzesłach, ale w jakiś dziwny sposób była w stanie odciąć się od tego, czego nie chciała słyszeć. Natomiast atmosfera tego miejsca nie wynikała z hałasu czy oświetlenia. W klubie aż buzowała energia. Della czuła ją i karmiła się nią niczym jakimś zakazanym narkotykiem.

– Wystarczyło, że spojrzeli tutaj – dotknął jej czoła.

Della natychmiast przypomniała sobie te dziwne rzeczy, które widziała na czołach innych. Złapała Chana za ramię.

– Co to jest? To coś na czole?

Uśmiechnął się szeroko.

– To twój dowód osobisty. Wszystkie istoty nadnaturalne potrafią czytać wzory mózgu i z czasem nauczysz się rozpoznawać, kto jest kim. A jeśli się trochę skoncentrujesz, to możesz też przebić się przez ich osłony i odkryć, czy są przyjaciółmi, czy wrogami.

Wskazał na drugą stronę sali.

– Spójrz na faceta w zielonej koszuli. Zmruż oczy, wpatrz się w jego czoło i powiedz, co widzisz.

Na początku Della widziała tylko jego czoło, gdy nagle...

– Widzę... poskręcane linie.

– A teraz spójrz na mój wzór. Dostrzegasz podobieństwa? – zapytał Chan.

– Tak, ale nie są identyczne – odparła.

– Nie są identyczne, ale to wampir. Wzory mózgu są jak ślady na śniegu, prędzej czy później będziesz w stanie ustalić, jakie zwierzę je zrobiło.

Skinęła głową i rozejrzała się po sali.

– Spójrz na wzór tego wysokiego faceta w czarnym płaszczu – powiedział.

Posłusznie wykonała polecenie.

Wzór był zupełnie inny. Poziome linie i...

– A teraz spójrz głębiej. Patrz dalej. Otwórz swój umysł.

Skupiła się, a to, co zobaczyła, było ciemne i ponure i sprawiało wrażenie niebezpiecznego. Cofnęła się o krok.

Chan się roześmiał.

– Spokojnie. Nie skrzywdzi cię. A przynajmniej nie tutaj. Bo jakbyś go spotkała w ciemnym zaułku, to nie wiadomo.

– Nie bałam się – odparła, ale wiedziała, że kłamie, i usłyszała, jak jej serce przyspiesza, jakby podkreślając to, że minęła się z prawdą.

– A powinnaś. To wilkołak i nie należy się z nim zadawać.

Della coś sobie przypomniała.

– Ten lekarz. On był wilkołakiem, a nie wydawał się... zły.

– One wszystkie są złe. – Chan rozejrzał się wokół. – Tam jest elfka, ta ładna brunetka w różowej sukience. No, pół elfka, pół człowiek.

Della zmarszczyła brwi i przypomniała sobie wzór pielęgniarki ze szpitala.

– Chyba zaczynam rozumieć. Ale skoro ci ludzie się ze sobą nie dogadują, to czemu przychodzą do tego samego baru? I czemu razem pracują?

– Bo niektórzy nadprzyrodzeni uważają, że powinniśmy żyć jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Jak ludzie, którzy chcą żyć z lwami. I przyznaję, że miałem niezłą rozrywkę, bawiąc się z niektórymi gatunkami. – Poruszył energicznie brwiami. – Zwłaszcza z ludźmi. Fajnie jest bawić się jedzeniem.

Della cofnęła się o krok.

– Jesteś człowiekiem, jak możesz...

– Już ci mówiłem, że nie będę owijał w bawełnę. Nie jestem już człowiekiem. I ty też. Musisz zacząć traktować ludzi jak ofiary, bo tym dla nas są.

Della zakryła usta dłonią.

– Ta krew, którą wcześniej przyniosłeś... Chyba nie skrzywdziłeś nikogo?

– Wziąłem ją z banku krwi. – Odwrócił wzrok tak szybko, jakby chciał ukryć kłamstwo. – Och, widzisz tego małego facecika w czarnej koszuli? Sprawdź jego wzór, ale jeśli spojrzy w twoją stronę, to natychmiast się odwróć.

Dellą szarpały sprzeczne emocje. Spojrzała na Chana.

– Dello, popatrz na niego. To ważne. Musisz się na tym cholerstwie znać.

– Czemu?

– Bo to zmiennokształtny. Musisz umieć ich rozpoznawać, by trzymać się od nich z daleka. To strasznie wkurzony gatunek. Całe to zmienianie postaci miesza im w głowach. Mijając cię na ulicy, równie dobrze mógłby cię taki zabić, co zapytać o drogę.

W Delli znów się zakotłowało.

– Nie bój się – powiedział Chan. – Tam, gdzie będziesz mieszkać, nie będzie...

Della przypomniała sobie jakieś urywki rozmowy o opuszczeniu rodziny. Nie mogła tego zrobić.

– Chan, ja...

– Zabieram cię ze sobą do Utah. Tam jest społeczność wampirów. Zastanawiam się, czy nie przystąpić do gangu, i jeśli chcesz, to oboje moglibyśmy...

Potrząsnęła głową.

– Nawet gdybym chciała z tobą jechać, to rodzice nigdy mi na to nie pozwolą.

– To kolejny powód, dla którego tu przyszliśmy. Jest tu pewien facet, prowadzi zakład pogrzebowy, pomoże nam sfingować twoją śmierć. Jak chcesz zginąć? W wypadku samochodowym? A może wysiadając z metra, upadniesz i uderzysz się w głowę? Jest naprawdę dobry.

Della stała i gapiła się na Chana, a mroczna atmosfera wnętrza sprawiała, że wszystko to wydawało

jej się surrealistyczne. Przypomniała sobie od razu, jak bardzo zrozpaczeni byli rodzice Chana na jego pogrzebie, jak płakała jego młodsza siostra, i jej młodsza siostra także. Jak sama chciała płakać, ale jej tata co chwila na nią spoglądał, przypominając, by była silna.

– Nie – zwróciła się do Chana. – Nie zrobię tego.

– Nie masz wyboru.

– Nie!

I nagle poczuła, że brzydzi się Chanem. Musiała od niego uciec. Od wszystkiego, co jej mówił. Pchnęła go mocno. Mocniej, niż zamierzała. Zobaczyła, jak przeleciał przez salę. Nie czekała, aż upadnie, ani nie sprawdziła, czy nic mu nie jest. Biegła zygzakiem pomiędzy stolikami, aż ujrzała drzwi. Wybiegła przez nie. Następna sala była jeszcze mroczniejsza, rozświetlały ją ledwie dwie czy trzy świece na barze. Umknęła przed światłem z nadzieją, że zdoła się ukryć i zniknąć w tłumie.

Nagle ktoś złapał ją za ramiona.

– Zwolnij, słodziutka. Wszystko w porządku?

„Słodziutka?” Popatrzyła na mężczyznę, ale łzy w oczach sprawiły, że nie mogła skupić wzroku. Nagle jego czoło otworzyło się i zobaczyła jego wzór. Nie wiedziała, czym był, ale kiedy spojrzała głębiej, zrobiło jej się niedobrze.

Nachylił się bliżej. Jego oddech cuchnął cebulą.

– Zamówiłem to dla siebie, ale myślę, że bardziej potrzebne jest tobie. – Wsunął jej w dłoń ciepły kieliszek od wódki.

Już miała go wypuścić, gdy poczuła ten zapach. Egzotyczne aromaty. Przysunęła kieliszek do ust i jednym haustem połknęła zawartość. To było lepsze niż jakikolwiek alkohol, którego kiedykolwiek próbowała. Nawet lepsze od krwi, którą piła wcześniej.

– Co to? – Oblizwała usta.

– Zero minus. Świeżo pobrana. – Facet się uśmiechnął. – Mam na imię Marshall. Może pójdziemy do mnie? Mam też trochę tego w domu.

Nagle Della poczuła do niego obrzydzenie.

– Słyszałeś kiedyś o nagabywaniu nieletnich, zboczeńcu? – syknęła, uświadomiwszy sobie, że ten facet jest starszy od jej ojca.

– Potrzebujesz pomocy? – obok Delli pojawiła się nagle jakaś dziewczyna.

Była ubrana jak gotka, a oczy lśniły jej złością. Della zmarszczyła brwi, odczytała wzór mózgu dziewczyny i stwierdziła, że to pewnie wilkołaczka. Gotka złapała nagabywacza.

Mężczyzna odepchnął dziewczynę i chwycił Dellę. Della straciła panowanie nad sobą i pchnęła go przez salę, tak jak wcześniej Chana, a potem pognęła do kolejnych drzwi, ale najpierw się odwróciła i ujrzała, jak wilkołaczka unosi w górę kciuki, życząc jej szczęścia. Della zaczęła się zastanawiać, czy Chan nie mylił się co do wilkołaków.

Nie wierz we wszystko, co ci powie. Wyglądasz na mądrą dziewczynę. Sama zadecyduj.

Przypomniała sobie słowa lekarza, ale nie miała czasu się nad nimi zastanawiać. Usłyszała, jak stary zboczeniec wydaje komuś rozkazy, by ją odnaleziono i przyprowadzono do niego, aby mógł dać jej nauczkę. Uznała, że dość już się nauczyła jak na jeden dzień. Przyspieszyła kroku, przewracając stoły i krzesła. Czasami na tych krzesłach jeszcze ktoś siedział.

– Przepraszam, przepraszam – mówiła, pędząc przez ciemne, zatłoczone sale. Czuła piwo i słyszała stukanie lodu o ścianki szklanek. Ten klub był niczym stary dom, z mnóstwem schowków i malutkich pokoików zastawionych stolikami, przy których mogło usiąść kilka osób. Wnętrze wyglądało tak, jakby ktoś wciąż je rozbudowywał, nadając mu wrażenie labiryntu. Della przemierzała je bez celu, od drzwi do drzwi. A może jednak jej bieg nie był tak bezcelowy.

Szła za czymś. Nie wiedziała za czym, aż... dotarło do niej. Ten zapach.

Krew.

Weszła do kolejnego pokoju. Na łóżkach leżało trzech mężczyzn, w zgięciach łokci mieli wbite igły. Pobierano im krew. Pierwszą myślą Delli było, że zostali zmuszeni do oddania życiodajnej substancji, drugą – mniem. Zaburczało jej w żołądku i oblizwała wargi. Ta ostatnia myśl przyprawiła ją o mdłości. Cofnęła się o krok, bojąc się instynktów, które nią powodowały, ale kiedy znów poczuła ten zapach, do ust napłynęła jej ślinka.

– Jeśli chcesz kupić, to musisz iść do baru – powiedział jeden z mężczyzn. – Pracujemy dla Tony’ego i jeśli zaczniemy tu sprzedawać na litry, to Tony nam dupy pourywa. Ale jeśli weźmiesz jedną z naszych wizytówek, to możemy pogadać później.

Della patrzyła, jak jeden z mężczyzn wstaje. Wyciągnął z ręki igłę i zamknął torbę jakimś plastikowym zaciskiem. Mimo to pokój wypełnił upajający zapach egzotycznych smaków. Dziewczyna obserwowała, jak mężczyzna odkłada torbę na metalową tacę.

– Głodna, co? – zapytał i uśmiechnął się do niej.

Zmrużyła oczy i zobaczyła, że ma wzór podobny do tego pielęgniarki. Czy to znaczyło, że był elfem? Pociągnęła nosem i znów poczuła ten zapach. Skoro ci mężczyźni proponowali, że później sprzedadzą jej krew, to najwyraźniej nie mogli być zmuszani do jej oddawania. Ta myśl sprawiła, że jej pragnienie nie wydawało jej się już aż tak obrzydliwe.

Serce waliło jej jak oszalałe, a w żołądku burczało. Rzuciła się ponad mężczyzną, pragnąc tylko dopaść torbę z krwią. Złapała ją. Pozostali mężczyźni poderwali się z łóżek. Igły wysunęły im się z żył, krew polalała się po podłodze. Della syknęła na nich, sądząc, że ją zaatakują, ale oni się tylko cofali, jakby się jej bali. Wiedziała, że przeraziła nawet siebie samą. Głębokie, złowieszcze odgłosy wydobywające się z jej ust nie przypominały żadnego dźwięku, jaki kiedykolwiek dotąd zdarzało jej się wydać.

Cofając się, dotarła do klamki i wyszła za drzwi. W tym momencie jej głowę przeszył upiorny hałas. Alarm! Przytuliła do piersi torbę z krwią i pognęła pomiędzy stolikami. Oglądano się za nią. Uświadomiła sobie, że pewnie inni też mogli wyczuć krew. Ale nic ją to nie obchodziło. Potrzebowała tego. Musiała to mieć.

Nagle ktoś złapał ją za ramię i pociągnął przez salę. Próbowwała walczyć, ale atakujący był równie silny jak ona. Alarm wciąż wył. Słyszała, jak ludzie od niej odbiegają, a inni zbliżają się. Ten, kto ją trzymał, dalej ciągnął ją przez salę. Uniosła głowę i stwierdziła, że nie widzi drzwi, żadnej drogi ucieczki. Czy zginie tu, bo ukradła krew? Starła się wyrwać, ale nie mogła. A potem wpadli na okno. Wokół posypały się kawałki szkła i moment później już lecieli.

– To było strasznie głupie – powiedział Chan. – Przez ciebie mogliśmy zginąć.

Della zacisnęła mocno powieki, nie chcąc okazywać słabości, ale w głębi duszy, gdzie liczyło się to najbardziej, z oczu pociekły jej łzy. Co się z nią działo? Czy naprawdę stała się potworem?

Kilka minut później stanęli z Chanem przed jej domem. Zwykle lądował na dachu i wchodził do jej pokoju przez okno. Nie tym razem. Della przyciskała torbę z krwią do piersi, jakby to był skarb.

– Jeśli tego chcesz, to lepiej wypij od razu – powiedział, a z jego postawy i tonu widać było, że jest sfrustrowany. – Twój rodzice są na nogach i są wkurzeni.

Plastikowa torba z krwią była jeszcze ciepła. Jej zapach wydostał się jakoś mimo zamknięcia i Della poczuła jej aromat. Spojrzała na dom.

– Skąd wiesz, że nie śpią?

– Skup się. Twój wyczulony słuch powinien już działać.

Popatrzyła na okno swojej sypialni.

– Nie słyszę... – I nagle usłyszała.

Jej mama płakała, a tata mówił coś o tym, że musi znaleźć jakiś dobry ośrodek leczenia uzależnień. Della spojrzała na Chana.

– Nie jestem na prochach?

– Nie, ale robisz rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiłaś, więc uznali, że ćpasz. Moi rodzice postąpili tak samo – westchnął. – Ale nieważne, co sobie myślą.

– Dla mnie ważne – warknęła Della.

Potrząsnął głową.

– Nie widzisz, że życie tutaj będzie niewykonalne? Nie możesz przecież trzymać zapasu krwi w lodówce. Teraz nie będziesz już pasować do ich stylu życia.

Della potrząsnęła głową.

– Nie mogę... Nie mogę odejść od... Lee. Nie mogę zostawić siostry. Ona mnie potrzebuje. – I bez względu na to, czy chciała się do tego przyznać, czy nie, kochała też swoich rodziców.

– Twardogłowa Della – mruknął Chan. – Powiniennem się domyślić, że sama będziesz musiała do tego dojść. Więc idź... Wejdz tam ze swoją torbą krwi i zobacz, czy zdołasz to wytłumaczyć. – Zirytowany uniół ręce. – Odchodzę. Wracam do Utah. W jaki sposób jutro albo pojutrze zdobędziesz krew? Nie możesz już żyć z ludźmi. Po prostu nie możesz.

– To moja rodzina – odparła.

– Już nie. Ja jestem twoją rodziną. Inne wampiry są twoją rodziną. Zobaczysz. Nie pasujesz tutaj.

Spojrzała na torbę z krwią. Ręce jej się zatrzęsły. W piersi ją ścisnęło.

– A niech to – powiedział Chan, a w jego oczach nie było już złości. – Daj mi tę krew. Potem ci ją przyniosę. Idź i pogadaj z rodzicami. Ale pamiętaj, nie mogę tu siedzieć do końca świata i dostarczać ci krew. Prędzej czy później będziesz musiała od nich odejść. Zobaczysz. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś uparta. Prędzej czy później będziesz musiała przyjąć moją pomoc.

Della nie płakała, chociaż słowa jej ojca były bolesne i gorzkie. Siedziała na kanapie z wysoko uniesioną głową i przyjmowała oskarżenia. Każde kolejne bolało trochę bardziej niż poprzednie. Ale co tam, nie zamierzała płakać. Jej ojciec mówił, jaki sprawiła zawód jemu i swoim przodkom, jaki wstyd przyniosła swojemu nazwisku. Jak to jej ojciec już nigdy nie będzie mógł z dumą pokazać się publicznie.

– Idź do swojego pokoju i zastanów się nad tym, co zrobiłaś! – zażądał w końcu.

Poszła. Chciała jak najszybciej zniknąć ojcu i matce z oczu. Jej mama stała z kamienną twarzą i pozwalała ojcu mówić te wszystkie straszne rzeczy. Same kłamstwa. Della nie brała narkotyków ani nie sprzedawała swojego ciała różnym mężczyznom, by zaspokoić swoją obsesję. Oddała swoje ciało jednemu, Lee, którego kochała i który kochał ją. Weszła do pokoju, zatrzęsła za sobą drzwi i próbowała przełknąć cały ten wstyd, złość i wściekłość, które ją dusiły.

Poczuła słodki zapach róż. Spojrzała na bukiet. Nagle przed oczami stanął jej Lee. Pragnęła, by ją przytulił, by powiedział, że wszystko będzie dobrze. Podbiegła do okna, otworzyła je i spojrzała na trawnik dwa piętra niżej. Przez kilka sekund stała na parapecie, niepewna, jak to zrobić, ale w końcu skoczyła, zdesperowana.

Lekko wylądowała na ugiętych nogach, wzięła głęboki oddech i zaczęła biec. Na początku wolno, a potem coraz szybciej. Po chwili nie była nawet pewna, czy jej stopy dotykają jeszcze ziemi. Gdy wiatr rozwiewał jej włosy, Della tworzyła nowy plan.

Nie musiała jechać z Chanem do Utah. Mogła zamieszkać z Lee w ich własnym domu. Już o tym rozmawiali. Pracowaliby na pół etatu i chodzili do szkoły. Daliby radę.

Niecałe pięć minut później stała przed domem Lee. Widziała jego okno, ale światło było zgaszone. No jasne, była druga w nocy, ale Della nic to nie obchodziło. Podskoczyła, złapała się parapetu i spróbowała odsunąć okno. Na szczęście nie było zamknięte. Kiedy weszła do środka, Lee usiadł. Zamrugął, zwrócił na nią swoje ciemnobrązowe oczy i przeczesał ręką włosy.

– Della?

Podeszła bliżej.

– Ja... musiałam cię zobaczyć. Tęskniłam.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Twoja mama mówiła, że lekarze nie wiedzą, co ci było.

– Owszem, ale teraz jest już dobrze i pomyślałam... Chcę być z tobą. Chcę, żebyśmy wynajęli własne mieszkanie, tak jak o tym rozmawialiśmy.

Popatrzył na nią. Miał zmierzwione włosy. Nie miał na sobie koszuli i wyglądał dobrze. Seksownie. Podeszła do brzegu łóżka.

– Jak się... dostałaś do środka? – Spojrzał na okno.

– Było otwarte.

– Ale to drugie piętro. – Podrapał się w głowę.

Usiadła obok niego.

– Kocham cię, Lee. Chcę z tobą być, już na zawsze. – Wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

Miał taką gorącą skórę, taką przyjemną. Chciała się położyć obok niego i pozwolić, by ją przytulił, ale on wzdrygnął się i odsunął.

– Jesteś zimna. Bardzo zimna.

Jego słowa przypomniały jej coś, co mówił Chan, gdy była półprzytomna. Coś o zmianie temperatury ciała i o tym, że nie może pozwolić, by rodzice mierzyli jej temperaturę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał, odsuwając się. – Na pewno jesteś jeszcze chora.

– Nie – odparła Della. – Nic mi nie jest, po prostu... to znaczy... – Co chciała powiedzieć? Prawdę?

– Nie zarazam – dokończyła.

– Co to było? – odsunął się, podczas gdy ona chciała być jak najbliżej niego.

Pragnęła, żeby ją przytulił, pocałował, sprawił, by zapomniała o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni. Znów przeczesał palcami włosy.

– Powinnaś już iść. Wiesz, jak to będzie wyglądało, jeśli cię tu złapią.

– Będzie wyglądało, że śpimy ze sobą. Co jest prawdą. I nie obchodzi mnie już, czy ktoś się o tym dowie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Ale mnie obchodzi – odparł. – Nie dotykaj mnie.

Odsunął jej rękę.

– Prze... przepraszam, ale nie podoba mi się to, jaka teraz jesteś. Jest z tobą... coś nie tak. Trudno mi to wytłumaczyć, ale wydajesz się bardzo dziwna. Myślę, że powinnaś iść do domu i porozmawiać z rodzicami, otrzymać pomoc.

I wtedy to do niej dotarło. Uderzyło ją niczym rozpędzona ciężarówka. Lee nigdy się nie spodoba to, jaka ona jest. Jeśli bał się zwykłej grypy, to co dopiero przemiany Delli w wampira. I tego, że pija teraz krew...

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, ale jako nieodrodna córka swojego ojca nie dała nic po sobie poznać.

– Rozumiem. – Wstała.

– Co takiego? – zapytał.

Podeszła do okna przysięgając sobie, że się nie obejrzy, ale nie mogła się oprzeć. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. I nagle zobaczyła w Lee coś, czego nie widziała nigdy wcześniej. Swojego ojca. A jednak...

– Kocham cię. Zawsze będę cię kochać. – I z tymi słowami wyskoczyła z okna.

Słyszała, jak Lee za nią woła i odrzuca kołdrę, ale zanim jego stopy dotknęły podłogi, jej już nie było.

Wróciła do swojego pokoju i usiadła na brzegu łóżka. W brzuchu jej burczało, z ust ciekła ślinka i wiedziała, że potrzebuje... krwi. Gdzie jest Chan? Czy zabrał jej torbę z zero minus dla siebie? Czy ją zostawił? Poderwała się na równe nogi, podeszła do lustra i przyjrzała się sobie uważnie. Jej oczy nie były już ciemnobrązowe, lecz złote. Lśniły żółto, jakby coś w ich wnętrzu płonęło. A mimo to była zimna. Zbyt zimna dla Lee? Zauważyła, że jej kły są... ostre. Serce waliło jej jak oszalałe i przypominała sobie słowa Chana.

Nie możesz już żyć z ludźmi. Nie pasujesz tu.

Ścisnęło ją w piersi i tym razem się rozplakała. Łzy płynęły jej po policzkach. Pogodziwszy się z tym, co musiała zrobić, wyciągnęła walizkę i wrzuciła do niej kilka rzeczy. Zamierzała być gotowa, gdy pojawi się Chan. A potem, uświadomiwszy sobie, że nie może odejść bez... bez choćby ostatniego spojrzenia na swoją rodzinę, wyszła na palcach z pokoju i zeszła po schodach.

Drzwi do sypialni rodziców były zamknięte, ale uchyliła je odrobinę. Na tyle, by po raz ostatni na nich popatrzeć. Mama spała z głową opartą na piersi ojca. Może i jej mama nie lubiła dumy ojca, ale jego samego kochała. Kochała go, bo w głębi duszy wiedziała, że poświęcił swoją dumę, by ożenić się z białą kobietą. W rzeczywistości kochał mamę bardziej niż swoją dumę.

Gardło jej się ścisnęło, gdy zamykała cicho drzwi. A potem weszła z powrotem na górę, ale zamiast do siebie poszła do pokoju Marli. Drzwi były otwarte. Weszła i zbliżyła się do łóżka. Jej siostra przewróciła się na bok i otworzyła oczy.

– Czujesz się lepiej? – zapytała.

– Tak. – Della próbowała opanować drżenie głosu.

Marla uśmiechnęła się sennie, przez co wyglądała na mniej niż swoje czternaście lat.

– Powiedziałam mamie, że nie umrzesz, bo mnie nie zostawisz. Nigdy byś mnie nie zostawiła. – Opadła na poduszkę i zasnęła.

Delli napłynęły łzy do oczu, a świadomość, że nigdy już nie zobaczy siostry, łamała jej serce. Wstała i wyszła z pokoju. Zamknęła drzwi i spojrzała na swoją spakowaną walizkę. Zostawiła otwarte okno z nadzieją, że Chan zobaczy je i wróci. Powiał wiatr. Ochłodziło się. Zrobiło się wręcz nienaturalnie zimno. Dellę przeszedł dreszcz.

Zobaczyła, że coś przesuwa się po drewnianej podłodze. Popatrzyła na wizytówkę. Sięgnęła po nią i spojrzała na nazwisko *Holiday Brandon*. Poniżej był numer telefonu i napis: *Obóz w Wodospadach Cienia*.

Przypomniała sobie jak przez mgłę, że lekarz i pielęgniarka mówili jej, że może do kogoś zadzwonić. Kogoś, kto pomoże jej podjąć właściwą decyzję. Ale przecież nie mogła zadzwonić do obcej osoby i poprosić o pomoc. A może?

Pomyślała o swojej siostrze i sięgnęła po komórkę. Wybrała numer.

– Obóz w Wodospadach Cienia – odezwał się damski głos.

Della nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Jest tam kto? – padło senne pytanie. – Kto tam?

Po policzkach Delli znów popłynęły łzy.

– Nazywam się Della Tsang i potrzebuję pomocy.

Uratowana o Świcie



Rozdział 1

Nie ryzykujcie. Macie za zadanie przeniknąć do gangu, okazać chęć wstąpienia do niego, ustalić, czy do obrzędu inicjacyjnego należy morderstwo i wynieść się stamtąd. Żywi!

– Mój plan brzmi tak samo – prychnęła Della Tsang, spoglądając na Burnetta Jamesa, jednego z właścicieli szkoły i obozu Wodospady Cienia, który ponadto pracował w JBF – Jednostce Badawczej Fallen – czyli niejako FBI świata nadnaturalnego.

– Nie chcemy, byście kogokolwiek aresztowali. Nie macie się zajmować żadnymi draniami. – Burnett wciąż wpatrywał się w Dellę.

Przez okno znajdujące się za plecami Burnetta do biura Wodospadów Cienia sączyło się popołudniowe słońce. Światło padało na stojące na półkach kryształy, a powstałe w wyniku tego tęczowe refleksy lśniły na ścianach. Przesuwały się i tańczyły, jakby były magiczne. Zresztą kto wie? Takie rzeczy były tu na porządku dziennym.

– Prawdę mówiąc – odezwał się Burnett, znów skupiając na sobie uwagę Delli – sądzimy, że to inna grupa. Ale jeśli nawet to jednak ta sama, to dzięki waszym informacjom będziemy mieli dość danych, by zdobyć nakaz. Jestem także przekonany, że znajdziemy niezbędne dowody, by aresztować winnych.

Burnett, dwumetrowy brunet o ciemnych oczach, był twardzielem, który zdecydowanie za bardzo się przejmował, ale ponieważ podobnie jak Della był wampirem, dziewczyna szanowała go i respektowała jego podejście.

Chciałaby tylko, żeby ten szacunek był obustronny. No bo czy on jej, kurczę, nie ufał? Czy nie wiedział, że ona jest w stanie doskonale o siebie zadbać? Naprawdę musiał to wszystko mówić po raz kolejny?

– Tak jest. – Ponieważ Della milczała, odezwał się siedzący obok niej Steve, brązowowłosy i brązowooki chłopak o wspaniałym ciele.

Della po raz pierwszy zauważyła, że akcent Steve'a nie jest teksański, lecz ma delikatne południowe naleciałości.

Popatrzyła na niego. Był całkowicie skupiony na Burnecie. Co za lizus.

Steve był dowodem na to, że Burnett jej nie ufał. Bo po co by się upierał, żeby Steve z nią poszedł? Nie potrzebowała zmiennokształtnego. Będzie ją tylko spowalniał.

– Chwila. – Burnett znów zaczął krążyć po biurze. – Źle się wyraziłem. Wyjść stamtąd żywi to za mało. Chcę, żebyście wyszli w takim samym stanie, jak weszliście. Bez ran czy sińców. I, na Boga, nie zostawiajcie za sobą żadnych trupów. Jasne?

– Teraz to już kompletnie popsujesz zabawę – stwierdziła butnie Della.

Burnett warknął.

– Nie żartuję. A jeśli nie potrafisz podejść do tego poważnie, to zabieraj stąd swój wampirzy tyłek, bo to nie jest zabawa.

Della opadła z powrotem na krzesło. Wiedziała, kiedy należy się zamknąć. Naprawdę chciała dostać to zadanie od JBF. Zasłużyć na szacunek Burnetta. Każdy potrzebuje kogoś, na kim mógłby zrobić wrażenie. A skoro już nie mogła go robić na rodzicach, to postanowiła na Burnecie. Nie chodziło jej jednak tylko o robienie wrażenia. Zanim jeszcze przemieniła się w wampira, rozważała pracę w policji, dzięki której mogłaby skopać draniom tyłki. Oczywiście jej rodzicom ten pomysł nie odpowiadał. Zaplanowali, że zostanie lekarzem. Zaplanowali dla niej wiele rzeczy. Tylko nie to, że stanie się wampirem.

Co prawda nie wiedzieli, że nim jest. Della uznała, że skoro dostali szału, gdy przestała jeść ryż – który po przemianie zaczął jej smakować jak zgniły dżem z wyłoków – to jak mieli pogodzić się z tym, że była wampirem, który pije krew? Odpowiedź była oczywista. Na pewno by tego nie zrobili.

Na szczęście została przyjęta do Wodospadów Cienia – szkoły z internatem dla istot nadnaturalnych – i nie musiała się martwić, co rodzice sądzą o jej wyborze drogi życiowej ani tym, czy jada ryż, czy nie.

A jednak... Della zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle się o nią martwią. Czy siadając do obiadu, zauważają, że jej miejsce jest puste? Czy mama zapomina się czasem i stawia na stole dodatkowe nakrycie?

Wątpiła w to.

Owszem, zawsze przyjeżdżali w dniu odwiedzin, ale wychodzili jako pierwsi, i to szybko. Zwłaszcza ojciec, mężczyzna, na którym Della przez całe życie starała się zrobić wrażenie.

Mama mówiła jej, że jest córeczką tatusia.

„Już nie”.

Na pewno to miejsce zajęła jej siostra. Przemiana w wampira nie była decyzją Delli. To była po prostu jedna z tych rzeczy, które dają ci obuchem w głowę i musisz się z nimi pogodzić. A to znaczyło, że Della musiała się pogodzić z tym, że rodzina nigdy jej nie zaakceptuje. Chociaż niespecjalnie ją to ruszało. Już nie.

Już dawno się z tym pogodziła.

– Czy to jasne? – zapytał Burnett, sprowadzając Dellę na ziemię.

– W stu procentach – odparła, starając się zapanować nad swoim charakterkiem.

– Tak jest. – Skinął głową Steve.

„Jasne, lizusie”.

– Dobrze. Macie swoje rozkazy? – odezwał się Burnett. – Wiecie, gdzie iść i jaką macie przykrywkę? Spodziewają się was o czwartej nad ranem. Nie spóźnijcie się, ale nie bądźcie za wcześnie. Nie dajcie się zwabić do ich bazy. Według ich zasad, o ile w ogóle ich przestrzegają, powinni się z wami spotkać na rozmowie trzech członkowie gangu. Macie zdobyć informacje i wynosić się stamtąd.

– Rozumiemy. – Della uniosła brązową kopertę. „I mówiłeś to już z dziesięć razy”, dodała w myślach.

– No to idźcie po swoje rzeczy. – Burnett spojrział srogo na Dellę. – I proszę, postaraj się, żebym nie żałował, że cię tam wysłałem.

– Nie będziesz żałował – odparła.

Della i Steve wstali.

– Steve – odezwał się Burnett. – Zostań jeszcze na chwilę.

Della spojrzała na Steve'a, a potem na Burnetta. Co, do cholery, miał mu do powiedzenia, czego nie mógł powiedzieć przy niej?

Burnett spojrział na Dellę, a potem na drzwi.

Skrzywiła się, poderwała się z krzesła i wyszła. Zatrzymała się jakieś piętnaście metrów od ganku. Wstrzymała oddech i zamarła w bezruchu. Z nadzieją, że Burnett już nie nasłuchuje, nastawiła uszu i czekała, by odkryć, o co do cholery chodzi. Popołudniowe słońce przeświecało przez drzewa, rzucając na ziemię cienie, a ona stała nieruchomo.

– *Mam nadzieję, że dopilnujesz, by Delli nic się nie stało* – powiedział Burnett.

Na tę szowinistyczną postawę Burnetta Della warknęła w myślach, ale pohamowała chęć, by tam wrócić i powiedzieć, co o tym myśli.

„To ja będę musiała pilnować jego!”

– *Nie sądzę, aby to był gang, którego szukamy.* – Głos Burnetta niósł się doskonale. – *Bo inaczej bym was nie wysłał. To tylko kontrola dla pewności. Ale to nie znaczy, że ta grupa nie jest niebezpieczna.*

– *Bez obaw* – rozległ się głęboki głos Steve'a. – *Cały czas będę miał ją na oku.*

„Chciałbyś”. Zaplanowała już dodatkową wycieczkę i nie zamierzała zabierać na nią Steve'a.

O szóstej wieczorem dotarli do wynajętego przez JBF domku, znajdującego się tuż obok bazy gangu. Della nie nazwałaby tego miejsca nawet dziurą, bo to tak, jakby vana z hot dogami nazwać wytworną restauracją. Oczywiście, mieli ze Steve'em wyglądać na parę nastoletnich uciekinierów. Pewnie gdyby wynajęli coś o choćby minimalnym standardzie, wyglądałoby to podejrzanie, ale bez przesady. Mieli się też dobrze bawić. Della nie była primadonną, ale spanie na materacu, w którym było więcej roztoczy niż gąbki, a pościel wyglądała tak, jakby od roku nikt jej nie zmieniał, jakoś nie mieściła się w jej definicji dobrej zabawy. Połowa pościeli leżała na podłodze, a na poduszce było tłuste wgłębienie, jakby spał tam ktoś z brudnymi włosami.

Albo jakby tam umarł.

I chociaż ta myśl była obrzydliwa, to przyszła jej do głowy jeszcze gorsza. Pewnie na tym łóżku odchodziło niejedno bzykanie. I śpiąc na nim, mogłaby złapać jakąś chorobę.

Della weszła do małego saloniku i zastała Steve'a wpatrującego się w kanapę z równym niesmakiem, co ona w łóżko.

– Doszłam do wniosku, że jednak biorę kanapę – powiedziała. – I nie chcę słyszeć żadnych protestów.

Nikt się nie prześlizgnie pod moim nosem.

Przylecieli tu. Nie samolotem. On leciał jako sokół, co oznaczało, że był szybki, a ona, cóż, jak to wampir, czyli była jeszcze szybsza. Wampiry i zmiennokształtni to jedyne gatunki, które mogą latać. No cóż, zdarza się to również niektórym czarownicom, ale Miranda, jej przyjaciółka czarownica, przysięgała, że nie latają na miotłach.

W każdym razie metoda podróży Steve'a i Delli sprawiła, że od kiedy opuścili Wodospady Cienia, nie rozmawiali ze sobą, jeśli nie liczyć momentu, kiedy weszli do tego domku i Steve się uparł, że będzie spał na kanapie. A czemu? Bo gdyby ktoś wszedł przez drzwi, to on by go zatrzymał.

To strasznie Dellę wkurzyło. Już miała ochotę wyzwać go od szowinistycznych świń, ale uświadomiła sobie, że jeśli chce się później wymknąć, to nie jest w jej interesie, aby Steve wszedł w nocy do saloniku i stwierdził, że jej nie ma.

A ponieważ wyglądał na chłopaka dobrze wychowanego, z zasadami i tak dalej, który na pewno nie wszedłby do sypialni dziewczyny, a przynajmniej nie bez zaproszenia, to przemilczała sprawę.

Stwierdziła jednak, że woli, aby Steve odkrył, że zniknęła, niż żeby złapała jakieś zarazki z tego materaca.

Steve spojrzał na nią ciepło i uśmiechnął się znacząco. Przeczesał palcami włosy, odrobinę dłuższe niż u większości chłopaków. Kosmyki natychmiast wylądowały na swoim miejscu, tworząc idealną fryzurę. Della wątpiła, by chodził do jakiegoś salonu piękności, aby osiągnąć ten efekt, ale tak to wyglądało.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wsunął rękę do kieszeni spodni.

Ta poza podkreśliła mięśnie jego ramienia.

– Więc twierdzisz, że łóżko jest gorsze niż kanapa?

– Tego nie powiedziałam. – Próbowала się nie rozeźmiać, ale jednak nie do końca jej się to udało.

Starala się nie patrzeć na jego krzywy uśmiech ani na to, co ten uśmiech robi z ustami i oczami Steve'a. Ani na jego umięśnione ręce, które wydawały się takim bezpiecznym schronieniem. Oddałaby wszystko, nawet pół rozmiaru biustu, by Steve był... brzydki. A w przeciwieństwie do swoich współlokatorek z Wodospadów Cienia, nie miała tego biustu za wiele do oddania.

Wciąż się na niego gapiła. Dużo łatwiej byłoby poradzić sobie z brzydkim facetem niż z takim, który wygląda tak, jakby właśnie wyszedł z jakiejś reklamy mydła dla mężczyzn. „Kurde”, pomyślała, pociągając nosem, „można podejrzewać, że po dwóch godzinach spędzonych pod postacią sokoła nikt by nie pachniał jakimś męskim mydłem, a jednak...”

Pachniał... cudownie, i to też ją wkurzało.

Gdyby była czarownicą, jak Miranda, jej współlokatorka o dużym biuście, zamieniłaby Steve'a w jakiegoś obrzydliwego faceta śmierdzącego ptaszorami. A także sprawiłaby, że byłby mniej... miły. Nie lubiła miłych.

Jedyną miłą osobą, którą Della polubiła, była Kylie, dziewczyna miła tak bardzo, że nawet Della nie

mogła jej zniechęcić. To znaczy, w tym momencie jej nienawidziła. Nienawidziła jej za to, że odeszła. I jeśli Kylie nie zamierzała szybko wracać do Wodospadów Cienia, to groziło jej, że Della sama ją ściągnie z powrotem, nawet wbrew jej woli. No owszem, Kylie wyjechała, by spotkać się ze swoim nowo poznanym dziadkiem i dowiedzieć się więcej o swoim gatunku, ale przecież jej miejsce było w Wodospadach Cienia. Ktoś musiał pilnować, by Della i Miranda się nie pozabijały. A nikt nie robił tego lepiej od Kylie.

– Moglibyśmy oboje spać na kanapie – powiedział Steve. I mówił to serio!

– Chciałbyś, ptaszku! – warknęła.

– Oj – roześmiał się. – Myślałem o spaniu na waleta. W ten sposób dotykilibyśmy się tylko stopami.

– A więc jesteś fetyszystą stóp, co? – zapytała, zanim zdołała się powstrzymać.

Spojrzał na nią wesoło. Ponieważ stał naprzeciwko okna, przez które wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, doskonale widziała jego oczy. Czyżby w tych brązowych głębinach lśniły bursztynowe i zielone plamki?

Spojrzał na jej stopy w niki'ach rozmiaru trzydzieści siedem.

– No nie wiem, nie widziałem twoich nagich stóp.

Słowo „nagie”, wypowiedziane z tym głębokim południowym akcentem, silniejszym niż teksański, sprawiło, że żołądek jej podskoczył, zupełnie jakby miała znów dwanaście lat i nigdy się nie całowała. Dobry Boże, co się z nią działo? Od kiedy to południowy akcent jest tak uwodzicielski? Schowała jedną stopę za drugą.

– I nie zobaczysz ich nagich – warknęła. Nie podobało jej się, że byli tu ledwie kilka minut i już zaczęli... flirtować. A przynajmniej takie miała wrażenie. A Della Tsang nie flirtowała. Już nie.

Steve podniósł na nią wzrok.

– To się jeszcze okaże – stwierdził.

Stali tak, wpatrując się w siebie, a po chwili Steve zaproponował:

– Masz ochotę wyskoczyć coś zjeść?

Skrzywiła się.

– Wzięłam ze sobą litr AB plus. – I musiała go schować do lodówki.

Większość wampirów wolała krew na ciepło, ale Della lubiła zimną. Jeśli temperatura twojego ciała wynosi trzydzieści trzy stopnie, to doceniasz rzeczy, które są od niego chłodniejsze.

– Jasne, ale ja potrzebuję jedzenia. Czegóż gorącego i tłustego. Substancji odżywczych, niezbędnych, by sprostać temu, co nas jutro czeka.

Steve miał udawać jej chłopaka, zmiennokształtnego, którego spotkała po ucieczce z domu. Do gangu nie przyjmowano nikogo poza wampirami, ale jeśli zdecydowaliby się ją przyjąć, a on dowiódłby im swojej wartości, zostałby przyjęty jako „pomocnik”. Czyli ktoś, kogo wysyłaliby do brudnej roboty. I to był jeden z powodów, dla których Dellę wkurzało, że Burnett wysłał z nią Steve'a. Uważano, że „pomocników” łatwo zastąpić.

– Nie bój się, będę cię chronić – powiedziała.

– Od razu mi lżej na sercu. – Położył dłoń na szerokiej piersi. – Chodź ze mną na burgera.

Zabrzmiało to tak, jakby się umawiali na randkę albo co. Della skrzywiła się i już miała zaprotestować, gdy przypomniała sobie, że nieopodal był supermarket, a obok niego kilka barów szybkiej obsługi. Mogłaby kupić komplet pościeli, koc i jakiś mocny środek odkażający w sprayu, dzięki czemu może położyłaby się jednak w łóżku. Tym sposobem udałoby się jej wymknąć kochającemu stopy Steve'owi o południowym akcencie. Nie zamierzała zniknąć na długo. Potrzebowała tylko kilku chwil, by zajrzeć w życie, z którego została wyslizgana.

– Dobra. – Wyfrunęła z pokoju.

Pognał za nią i w ciągu kilku sekund przemienił się we wspianiałego sokoła. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że gdzieś słyszała, że są to jedne z najszybszych ptaków na świecie. A do tego całkiem niebrzydkie. Sokół miał ciemnobrązowe i jasnobrązowe pióra z odrobiną czerni. Oczy miał przeszywające, okrągłe, o dużych czarnych źrenicach, które zdawały się wszystko zauważać. A kiedy rozpostarł skrzydła, wyglądało to tak, jakby miał cętki niczym lampart.

Della nie wiedziała wiele na temat zmiennokształtnych, ale słyszała kiedyś, że ich moc można poznać po tym, jak szybko się przemieniają. A Steve przemienił się w sokoła cholernie szybko. Nie żeby to zrobiło na niej jakieś szczególne wrażenie.

Podobnie jak z flirtowaniem, nie zamierzała pozwolić, aby robiono na niej wrażenie. Szczególnie jeśli to był chłopak.

Już nie.

Od kiedy została przemieniona w wampira, zrobiła się zimna, a jej serce rozpadło się na tysiąc kawałeczków przez chłopaka, który miał ją zawsze kochać.

Della wylądowała ciężko na chodniku na tyłach supermarketu. Steve, wciąż pod postacią sokoła, usiadł zgrabnie obok niej. Miał szeroko rozłożone skrzydła. Natychmiast zaczął przybierać ludzką postać i, jak zawsze podczas przemiany, wokół niego pojawiły się lśniące bąbelki.

Jeden z nich pękł na rękę Delli i posłał delikatny impuls elektryczny do jej łokcia, kopiąc ją w taki sposób, jakby się przesłała po wykładzinie, a potem dotknęła czegoś metalowego.

– Co my tu robimy? – zapytał zaskoczony Steve.

– Pościel i środek dezynfekujący. – Della potarła łokieć, a potem uniosła głowę.

Niebo ciemniało, ale nie było jeszcze widać gwiazd. Uniosła nos, a jej wampirze powonienie, mimo wyraźnego zapachu oleju silnikowego, wyczuło woń wilkołaka.

– Coś nie tak? – zapytał Steve.

– Kilka wilkołaków, ale niezbyt blisko.

Steve się skrzywił.

– Cholera, kupmy szybko to, czego potrzebujesz, ja złapię hamburgera i wynośmy się stąd.

Della uśmiechnęła się złośliwie.

– Boisz się kilku wilkołaków?

– Nie boję się, ale to nie pora, by pakować się w kłopoty. – Ruszył przed siebie.

Poszła za nim.

– Czasami kłopoty mogą być zabawne.

– Owszem, ale zachowajmy energię na te, które czekają nas jutro.

– Nikt ci nigdy nie mówił, że jesteś nudny? – warknęła.

– Nie, ale przyznaję, że wolę miłość niż walkę.

Della rozglądała się po cieniach, aby się upewnić, że nikt się w nich nie czaił.

– Daruj sobie. To żalosne.

– Żalosne, ale prawdziwe – odezwał się wesoło.

– Podtrzymuję, że żalosne – mruknęła.

Znów sobie wyobraziła, jak Steve się uśmiecha, ale bojąc się, że to ją do niego przyciągnie, nie odważyła się na niego spojrzeć. Śmiech w jego głosie sprawił, że żołądek jej się zwinął. A może po prostu była głodna i potrzebowała trochę krwi?

Weszli do sklepu i szybko kupili dwa prześcieradła, parę poszewek na poduszki, dwa koce i środek dezynfekujący. A Steve dorzucił paczkę chipsów. W znajdującym się obok barze szybkiej obsługi zamówił hamburgera na wynos; dobrał się do niego, ledwie wyszli z knajpy i zaczęli szukać ustronnego miejsca, w którym mógłby przemienić się w sokoła.

Dokończył go, kiedy ruszyli ciemną uliczką na tyłach sklepu. Zauważyła, że papier po kanapce schował do kieszeni. Ten facet nie śmiecił nawet tu, gdzie alejka była wprost zasypana różnego rodzaju odpadami. Przeszli ledwie kilka metrów, gdy usłyszeli krzyk.

Przeszywający na wskroś.

Rozdział 2

Della przystanęła i zaczęła się rozglądać za krzyczącym. Steve wciągnął ją w cień. Po drugiej stronie uliczki pojawiła się kobieta. Uciekała tak, jakby gonił ją sam diabeł. Niewykluczone, że tak było, bo ktoś biegł tuż za nią. Męski ktoś.

– Czym oni są? – wyszeptał Steve, stojąc tak blisko Delli, że czuła na policzku jego oddech.

Byli za daleko, żeby dostrzec wzory na czołach biegnących, pozwalające rozróżnić gatunek – tę umiejętność posiadały wszystkie istoty nadnaturalne – ale Steve najwyraźniej ufał jej zmysłowi węchu. Pociągnęła nosem, próbując wyczuć coś poza męskim mydłem, którego woń unosiła się wokół.

– Ludzie.

– Dobrze. – Pognał uliczką.

Dziewczyna krzyknęła, gdy dopadł ją napastnik. Della, z plastikową torebką w ręku, wyprzedziła Steve'a. Facet górował nad kobietą i bił ją, jakby była workiem treningowym. Della ściągnęła bydlaka z ofiary i podrzuciła go na dobre półtora metra w górę. Nie dość, by go zabić, ale miała nadzieję, że na tyle wysoko, żeby zrobił sobie krzywdę, upadając.

Z nosa i ust kobiety płynęła krew.

– Nic ci nie jest? – zapytała Della, kucając przy ofierze.

Kiedy poczuła krew, musiała się opanować, by jej oczy nie zalśniły z głodu.

– Nie – wydusiła kobieta przez łyzy. – To mój mąż, ale się upił. – Otarła krew z wargi. – Kiedy pije, robi się niebezpieczny.

Nie tylko on pił. Od kobiety też czuć było alkohol.

– To nie była twoja sprawa. – Zza pleców Delli dobiegł ponury głos.

Gdyby wampirzyca nie skupiała się tak na kobiecie, usłyszałaby go wcześniej. Uniosła głowę. Nad nią stał pijany mąż, który najwyraźniej nie został rzucony wystarczająco mocno. Oczywiście można było to zmienić.

Facet wyciągnął rękę do Delli. W jego oczach widać było wściekłość. Jego oddech śmierdział alkoholem.

– Ale teraz już jest, suko!

Zanim Della zdążyła się poderwać z kucek, Steve złapał faceta za ramię i szarpnął mocno.

Rozpoczęła się bijatyka. Della usłyszała, jak kilka ciosów trafiło w cel. Przysięgłaby, że pijany facet dosięgnął Steve'a. Poderwała się na równe nogi, chcąc zakończyć tę walkę, ale Steve zrobił to pierwszy. Uderzył prawym sierpowym. Mąż kobiety dostał prosto w twarz i padł jak długi.

Miło byłoby ponapawać się chwilę zwycięstwem, ale na końcu uliczki pojawiły się błyskające niebieskie światła policyjne. Steve odwrócił się do Delli.

– Musimy się stąd zmywać.

Della złapała torbę i ruszyli biegiem. Policjanci krzyczeli za nimi, by się zatrzymali. Nie zrobili tego. Nie mogli.

Burnett nie mówił co prawda, że nie mogą dać się aresztować, ale Della podejrzewała, że nie byłby zachwycony.

– Policja! Mówiłem stop! – krzyknął znów policjant.

Usłyszeli, że ktoś za nimi biegnie.

Skręcili w boczną uliczkę. Della nie była pewna, czy mają dość czasu, by wydostać się z niej tak, żeby nie zobaczyła ich policja.

Lodówka w ich domku nie miała kostkarki. Della uznała, że pewnie powinna się cieszyć, że znalazła chociaż pojemnik z pięcioma kostkami lodu w zamrażalniku. Wysypała małe kostki do nowej poszewki na poduszkę i podała Steve'owi. Oko zapuchło mu tak, że ledwo mógł je otworzyć.

– Przyłóż do oka – powiedziała.

Udało im się uciec przed policją, ale z trudem. Della popatrzyła na opuchniętego chłopaka.

– Czemu nie zamieniłeś się w coś, żeby skopać mu tyłek? – warknęła.

– Nie przemieniamy się przy ludziach – odparł Steve. – To pierwsza zasada zmiennokształtnych.

– Sądziłam, że po pierwsze powinno się chronić siebie.

– Mylisz się – powiedział Steve.

Della potrząsnęła głową.

– Oboje byli pijani. Kto by im uwierzył?

Popatrzył na nią.

– A co z policją?

Skrzywiła się. Rozumiała, co Steve miał na myśli, ale nadal nie była tym zachwycona.

– Przyłóż lód do oka – powiedziała. – Więc masz pozwolić, żeby cię stłukli na kwaśne jabłko? – dodała po chwili.

Steve odsunął opatrunek od oka.

– Ten facet trafił mnie tylko raz. A poza tym kto na koniec leżał na ziemi?

Della jęknęła.

– Trzeba było pozwolić mi działać.

Steve zignorował ją i ostrożnie dotknął oka.

– Hej, to może się przydać na jutro. Jestem groźnym zmiennokształtnym, który nie boi się bitki.

Della przewróciła oczami tak, jak zwykle robiła to Miranda.

– Ale złamałeś jedną z zasad Burnetta. Wrócisz z siniakami.

Steve uśmiechnął się szeroko.

– Powiem mu, że to twoje dzieło.

Della usiadła na starej drewnianej skrzyni, która robiła za stół do kawy.

– Domyśli się, że to nieprawda, nawet gdyby nie usłyszał, że twoje serce kłamie. Gdybyś mnie wkurzył, nie skończyłoby się na podbitym oku. Cały byłbyś siny.

– To zwykłe kłamstwo. Nie wierzę, że byś mnie skrzywdziła. – Znow usłyszała jego południowy akcent.

– I tu się mylisz. – Zamilkła na chwilę. – Skąd jesteś?

– A jak myślisz? – Uśmiechnął się, jakby to pytanie go ucieszyło.

A ona wiedziała czemu. Okazała mu zainteresowanie. Nie powinna była tego robić, bo teraz mógł pomyśleć, że go lubi albo co.

– Przypuszczam, że jesteś skądś, gdzie śmiesznie mówią – prychnęła i pobiegła do lodówki po swoją krew. Znalazła kubek, umyła go – dwa razy! – i nałała do niego obiad, a potem usiadła przy kuchennym stole.

Steve zajął drugie krzesło.

– Jestem z Alabamy. Moi rodzice ściągnęli mnie do Dallas dwa lata temu.

– Nie lubisz Teksasu? – zapytała i skrzywiła się, uświadomiwszy sobie, że znow to zrobiła. Okazała mu zainteresowanie. Z drugiej strony może powinna trochę wyluzować – byli razem na misji, a ona udawała, że jest jego dziewczyną. Jeśli ktoś ją o coś zapyta, to powinna umieć odpowiedzieć.

– Od kiedy przyjechałem w tym roku na obóz, to lubię. Ale przedtem... niespecjalnie. Szkoła w Dallas była jakimś eleganckim liceum, nawet nie przeznaczonym dla istot nadnaturalnych. Pasowała do sposobu myślenia i stylu życia moich rodziców, ale mnie nie odpowiadają specjalnie eleganckie szkoły.

Ona też go w takiej nie widziała. Owszem, wydawał się inteligentny, ale też bardziej na luzie niż ktoś, kto chodziłby do takiej szkoły.

Przyszło jej do głowy jeszcze kilka pytań, ale wahała się, czy je zadać. Zaczęła obracać kubek w rękach.

Najwyraźniej on też źle znosił ciszę, bo znow zaczął opowiadać

– Mój tata jest prawnikiem i dyrektorem firmy wydobywającej ropę naftową, a mama lekarzem. Jestem jedynakiem, który nie powinien się zastanawiać, czego chce od życia, tylko spełnić oczekiwania rodziców, żeby dobrze wyglądali w ludzkim świecie.

– Oni też są zmiennokształtni? – zapytała.

– Tak, ale nigdy byś nie powiedziała. Mama nie przemieniała się chyba od kilku lat. Tata robi to tylko po to, by odreagować stres, ale lubią żyć w ludzkim świecie.

– A ty nie? – zapytała Della, myśląc o tym, jak często żałowała, że nie może wrócić do ludzkiego

świata i być jedną z nich. Owszem, doceniała swoje moce i uwielbiała fakt, że czasem mogła skopać komuś tyłek. Ale wolałaby, żeby uzyskanie tych mocy nie wiązało się z utratą tak wielkiej części dotychczasowego życia. A raczej ludzi, którzy do niego należeli.

– Nie chcę uciekać i przyłączać się do jakiegoś gangu czy coś, ale jestem dumny z tego, czym jestem. Mogę przestrzegać zasad, nie przemieniać się przy ludziach. Nie mam problemu z zasadami, ale nie chcę odcinać się od tej części mojej osoby.

– Nie dziwię ci się. – Ona też by chyba nie mogła. Nie teraz.

– Tak naprawdę na nich nie narzekam – dodał. – No wiesz, dopóki nie musimy się za często widywać, to w zasadzie nie pamiętamy, jak się wzajemnie na sobie zawiedliśmy.

Doskonale wiedziała, jakie to uczucie zawieść rodziców. Westchnęła i spojrzała na poszewkę, w której znajdował się lód. Steve przyniósł ją do stołu, ale jej nie używał.

– Powinieneś to przyłożyć. Nie mamy więcej lodu.

Steve uniósł lód do oka i skierował na nią drugie.

– A jak brzmi twoja historia?

– Nie ma żadnej – skłamała.

Odchylił się na tylnych nogach krzesła. Z połową twarzy zasłoniętą poszewką spojrzał na nią oskarżycielsko.

– Kłamiesz.

Przełknęła i wstała, zabierając kubek.

Mimo to Steve mówił dalej:

– Myślisz, że nie widzę, co się dzieje w dniu odwiedzin? Jesteś strasznie nieszczęśliwa, gdy przychodzą twoi rodzice. – Opuścił rękę z lodem. – Smutniej wyglądasz tylko wtedy, gdy wychodzą.

Skrzywiła się, niezadowolona, że jej uczucia wobec rodziców były aż tak widoczne.

– Nie jesteś elfem, nie umiesz odczytywać moich uczuć, więc nawet nie próbuj. – Zrobiła dwa kroki, po czym spojrzała na niego. – Idę spać.

Postawił krzesło z powrotem.

– Jest jeszcze wcześniej. – Popatrzyli sobie w oczy. – Przepraszam, że o tym wspomniałem. Myślałem po prostu... Opowiedziałem ci o moich rodzicach i... Nie musimy o tym rozmawiać. Wybierz jakiś inny temat i porozmawiajmy jeszcze.

Ignorując prośbę w jego głosie, Della podeszła do torby z supermarketu, którą zostawiła na kanapie. Wyciągnęła z niej prześcieradło, koc i poszewkę na jasiek.

– Musimy wstać o wpół do czwartej. Nie przeszkadzaj mi.

Trzy razy wypsykała łóżko środkiem dezynfekującym, posłała je, a potem ułożyła starą pościel tak, by wyglądało, jakby spała pod kocem. Jeśli Steve zajrzałby do pokoju, uznałby pewnie, że śpi jak zabita – i ta gra słów nie była przypadkowa.

Tego właśnie najbardziej nie cierpiała w byciu wampirem. Mogła się pogodzić z piciem krwi, ale gdy

ktos przez pomyłkę się o nią otarł i wzdrygnął na myśl o chłodzie jej ciała, czuła się... jak potwór.

I wiedziała czemu. To właśnie sprawiło, że Lee nie chciał jej dotykać po przemianie. *Co się z tobą dzieje?* Powiedział. *Jesteś zimna. Na pewno jesteś jeszcze chora.*

Przyszła jej do głowy szalona myśl. Czy Steve też unikałby dotykania jej? Otrząsnęła się z tych rozważań, bo prawdę mówiąc, nie było na nie miejsca w jej umyśle. Przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać, co robi zmiennokształtny. Kiedy ścieliła łóżko, słyszała, że on ścielił kanapę. Musiał już spać, bo słyhać było tylko cichy odgłos czyjegoś oddechu.

Przypomniała jej się ich rozmowa o rodzicach Steve'a i ścisnęło jej się serce. Wyglądało na to, że Steve pogodził się już ze złymi kontaktami z rodzicami. A może tylko udawał? Podobnie jak to często robiła ona sama?

Kiedy wampirzyca zorientowała się, że pozwala, by Steve zaprzętał jej myśli, westchnęła głęboko. Podeszła do okna i cicho je otworzyła. Stała przez moment, nasłuchując odgłosów nocy, po czym wyszła na zewnątrz. Przysiadła na parapecie, a następnie wzbiła się do lotu.

Nocne wrześnie powietrze było chłodne, chłodniejsze niż jej skóra. Włosy łopotały jej wokół twarzy, czasami zasłaniając widok. Z lewej usłyszała jakiś odgłos. Czyżby coś ją śledziło? Pociągnęła nosem. Nikogo nie wyczuła, ale wiatr owiewał ją tak mocno, że nie była pewna swojego zmysłu węchu.

Nie zwalniając, spojrzała do tyłu. Za nią była tylko noc.

Pomyślała o tym, że znajduje się bardzo blisko bazy wampirów i gangu wyrzutków. Ogarnął ją strach, ale go opanowała. Jeśli to oni, to przecież miała powód, dla którego tu była. Na pewno zapytaliby ją, zanim zaczęliby atakować. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Po kilku minutach zauważyła jezioro, które znajdowało się nieopodal domu jej rodziców i obniżyła lot. W jej sercu strach zastąpiło jeszcze gorsze uczucie. Żal.

Wylądowała przecnicę od swojego domu, w parku. Czarne dżinsy i czarna bluzeczka bez rękawów pomagały we wtopieniu się w noc. Idąc cieniem, by nikt jej nie zauważył, zobaczyła światło w salonie rodziców. Albo jej rodzina jadła późną kolację, albo grali w gry planszowe. Mama uwielbiała gry planszowe.

Kiedy skradała się pomiędzy krzakami a domem, usłyszała, jak z ogródka obok zaszczekał Czempion, pies sąsiadów uwielbiający wąchać jej krocze.

A potem Della usłyszała śmiech.

Śmiech ojca.

Serce jej zamarło i coś ścisnęło ją za gardło. Od kiedy wyjechała do Wodospadów Cienia, nie widziała nawet, by choćby się uśmiechnął. Ostrożnie zajrzała przez okno.

Jej oczom ukazała się scena jak z filmu rodzinnego. Rodzina spędzająca razem czas. Rodzina, do której ona już nie należała.

Na ich widok napłynęły jej łzy do oczu. Jej mama, siostra i tata grający w scrabble. Wyglądali na takich szczęśliwych... jakby niczego im nie brakowało. Nie tęsknili za nią? Ani trochę?

Za plecami Delli trzasnęła gałązka, a serce podskoczyło jej do gardła. Odwróciła się gwałtownie. Wpatrywał się w nią Czempion, mieszaniec labradora i owczarka niemieckiego. A może patrzył w okno?

– Jak wyszedłeś? – wyszeptała, a po policzku spłynęła jej łza.

Pies opuścił łeb, zaskomlał i otarł pysk o jej kolano.

– Co? Dziś nie będziesz wachał mi majtek? Czuję się zawiedziona.

Pies popatrzył na nią tak, jakby naprawdę za nią tęsknił. Jak to możliwe, że tęsknił za nią pies sąsiadów, a jej własna rodzina nie?

Della wysunęła się zza krzaków i podrapała psa za uszami. Otarła samotną łzę i wzbiła się w powietrze.

Po niecałych pięciu minutach wylądowała przed domem Lee. Kiedy otworzyły się drzwi garażowe, skryła się za węglem. Za kierownicą wyjeżdżającego samochodu siedział Lee.

Dokąd on jechał? Na randkę? W głębi serca wiedziała, że tak. Serce podpowiadało jej także, że powinna wracać do siebie. Nie musiała tego oglądać. A jednak została.

Kylie setki razy mówiła Delli, że musi zapomnieć o Lee. Może to było rozwiązanie? Może jeśli zobaczy go z kimś innym, to sobie odpuści. Przystanie żywić nadzieję, że Lee się opamięta i przybiegnie do niej prosić o jeszcze jedną szansę.

Kiedy wyszedł z dziewczyną, Azjatką, Della znów poczuła ucisk w piersi. A więc to była ta naręczona. Lee powiedział Delli, że jego rodzice nalegają na małżeństwo z nią. Ten widok powinien Delli wystarczyć. To, jak dziewczyna wisiała na jego ramieniu. Powinna była odlecieć w tym momencie, ale nie. Kiedy wsiedli do samochodu, poleciała za nimi do restauracji.

Czerwony Smok. Lokal należał do jakichś przyjaciół rodziców Lee. Jego mama kilka razy namawiała Dellę i Lee, by tam poszli, ale on zawsze mówił, że nie ma ochoty na chińszczyznę. Miał tego dość w domu.

To czemu teraz nagle naszła go ochota?

Della wylądowała przed restauracją, kiedy Lee parkował samochód. Skryła się za wysokim posągiem smoka, czekając, aż ją miną. Zza rogu wysunął się i podszedł do niej wygłodniały kotek.

– Nic nie mam. Ale z tyłu jest śmietnik, czuję go aż stąd – wyszeptała i w tym momencie usłyszała kroki.

Trzymali się za ręce, a dziewczyna, naręczona Lee, uśmiechała się od ucha do ucha. Oczy lśniły jej z radości. Kiedy wchodzili do środka, Della poczuła wodę kolońską Lee.

Zagotowało się w niej ze złości. Kupiła mu tę wodę w prezencie na ostatnią Gwiazdkę. Już nie pamiętał? A może nie miało to dla niego znaczenia? Jak mógł używać wody, którą od niej dostał, na spotkanie z inną dziewczyną?

Stała tak dobre dziesięć minut, powtarzając sobie, że powinna iść, że już po wszystkim. Ale gdy już miała odlecieć, obróciła się na pięcie i weszła do środka.

Powiedziała kelnerce, że kogoś szuka, minęła ją i weszła do pachnącego przyprawami i sezamem

wnętrza. Przeszła obok dużego akwarium z kolorowymi rybkami, które krążyły wokół, jakby szukały wyjścia. Minęła jakąś parę i usłyszała zgrzyt folii, gdy otwierali swoje ciasteczka z wróżką. Może powinna zwinąć jedno, by zobaczyć, co ją czeka w przyszłości?

Bo Bóg jeden wie, co zrobi, jak znajdzie Lee. Jakaś część jej chciała wyrwać mu serce za to, że użył sprezentowanej przez nią wody kolońskiej, by zrobić wrażenie na innej. A jakaś część chciała paść przed nim na kolana i błagać, by powiedział chociaż, że za nią tęsknił.

Przez cały ten czas wierzyła, że Lee się zaręczył, bo zmusili go do tego rodzice. Teraz nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie wyglądało na to, by cierpiał. Wydawał się... szczęśliwy.

„Wyjdz! Wyjdz! Wyjdz!” To wrzeszczał w jej głowie rozsądek. Ale wtedy zobaczyła ich przy stoliku na tyłach sali. Paliły się świece. Jak romantycznie. Usłyszała ich rozmowę. Nie po angielsku, ale po mandaryńsku.

Della mówiła po mandaryńsku. Jej ojciec tego dopilnował. Ale Lee nigdy nie rozmawiał z nią w tym języku. W tym momencie Della miała już pewność, że została odrzucona nie dlatego, że przemieniła się w wampira. Została odrzucona, bo była w połowie biała.

Usłyszała, jak dziewczyna mówi o imionach. Imionach, jakie dadzą swojemu pierwszemu dziecku. Lee nachylił się i ją pocałował. To był romantyczny pocałunek, który zranił Dellę do głębi. Biorąc pod uwagę radość w jego głosie i sposób, w jaki pocałował tę dziewczynę, podejrzewała, że wybór narzeczonej należał tak samo do niego, jak i jego rodziców.

Jakiś kelner musiał upuścić tacę, bo tuż za Dellą rozległ się straszny hałas. Wiedziała, że powinna natychmiast się odwrócić i uciec, ale było już za późno. Patrzyła z przerażeniem, jak Lee cofa rękę z dłoni narzeczonej i podnosi wzrok. Widziała, jak robi na jej widok wielkie oczy. Czy to z radości, czy przerażenia? Nie wiedziała.

„Wyjdz! Nie stój tak żałośnie” – powtarzała sobie. Ale jej stopy jakby przywarły do podłogi restauracji i mogła tylko żałośnie patrzeć. Spojrzała Lee w oczy, gdy wstał i ruszył w jej stronę. Prosto na nią. Wiedziała, że wygląda gorzej niż żałośnie.

Była godna politowania.

Smutna.

Wyglądała na samotną i zrozpaczoną.

Ogarnął ją wstyd, ale nie miała czasu, by mu się poddać. Ktoś złapał ją od tyłu w tali i przyciągnął do siebie. Zszokowana, uniosła wzrok i zobaczyła... Steve'a. Uśmiechnął się do niej.

– Zdążyłem się stęsknić – powiedział i pocałował ją.

Nie był to delikatny, słodki pocałunek, ale taki z jęczyczką i... pożądaniem.

Della poczuła, że opuszcza ją wstyd, a na jego miejsce pojawia się coś innego. Nie chodziło tylko o język Steve'a. Chodziło o namiętność. Poczucie, że jest żywa. Nadzieję, że jej żalosne życie jeszcze się nie skończyło. Od kiedy stała się wampirem, od kiedy straciła Lee, myślała, że nie będzie jej dane tego poczuć. A może tylko myślała, że tego nie poczuje.

Ktoś odchrząknął. Uświadomiwszy sobie, że ten znajomy, pełen dezaprobaty odgłos wydał Lee, położyła dłoń na piersi Steve'a i z niechęcią się odsunęła.

Spojrzała Steve'owi w oczy. Wiedziała, że pocałował ją, by wyciągnąć ją z trudnej sytuacji, ale wiedziała też, że ten pocałunek podobał mu się tak samo, jak i jej. Dowód na to miała w jego ciepłych brązowych oczach. I chociaż jedno z nich było zapuchnięte, to widziała w nich ten żar pocałunku.

Odwróciła się do Lee. Nagle uświadomiła sobie, że nadal nie ma pojęcia, co mu powiedzieć.

– Um, hej. Ja...

– Co ty tu robisz? – zapytał Lee. – Poza obślinianiem się na środku restauracji?

„Przecież on też przed chwilą pocałował swoją dziewczynę?” – pomyślała.

I w tym momencie Della zobaczyła w Lee coś, czego wcześniej nie widziała. Swojego ojca. A przynajmniej jego niechętnie nastawienie. Czy Lee zawsze taki był i dopiero teraz to zauważyła? A może się zmienił?

– Co się stało? Nie umiesz mówić? – zapytał.

Rozdział 3

Jego słowa dzwoniły jej w uszach. Nie wiedziała, co o nich sądzić ani jak na nie zareagować. A nawet gdyby wiedziała, to nie miała pewności, czy język będzie w stanie spełnić jej żądania, bo wciąż był w szoku, że jeszcze przed chwilą miał towarzystwo: język Steve'a.

– Jedliśmy kolację – odpowiedział za nią Steve. – Prawdę mówiąc, świętujemy dziś trzy miesiące naszego związku. – Spojrzał na Delle.

– Trzy miesiące? – zapytał Lee takim tonem, jakby go wkurzało, że tak szybko zaczęła się z kimś spotykać. Ale, kurde, on sam był zaręczony. Jak mógł myśleć...?

Znów otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Steve był szybszy.

– Przepraszam – odezwał się. – Nie przedstawiłem się. Jesteś pewnie starym przyjacielem Delli. Jestem Steve...

Lee zignorował Steve'a i spojrzał na Delle.

– Myślałem, że jesteś w tej szkole.

Tej szkole? Nie pamiętał nawet, do jakiej szkoły chodziła?

– Jestem – zdołała w końcu wykrztusić. – My... właśnie się wymknęliśmy.

– Więc poznałaś go w szkole? – zapytał Lee, wyraźnie zdenerwowany.

Delle znów zaczął ogarniać gniew. Nie miał prawa się denerwować. Żadnego!

Steve znów zabrał głos.

– Miłość od pierwszego wejrzenia. – Spojrzał na nią, przesunął swoją ciepłą dłoń po jej talii i przyciągnął ją bliżej, a potem znów popatrzył na Lee. – Nadal nie wiem, jak to możliwe, że jestem takim szczęściarzem.

Gdyby w jego głosie nie było słychać tyle szczerości, to jego wyznanie brzmiałoby fałszywie. Przez moment pożałowała, że nie wsłuchiwała się w bicie jego serca – kolejna przydatna umiejętność wampirów. Czy Steve był nią zainteresowany od pierwszego wejrzenia?

Naręczona Lee wstała od stołu i zbliżyła się do nas. Della z niechęcią zauważyła, że dziewczyna jest śliczna, i to w bardzo tradycyjny azjatycki sposób. Miała dłuższe, bardziej lśniące i czarniejsze włosy od niej i twarz jak laleczka. Piękną i idealną – malutki nosek, nieskazitelny łuk warg, skośne czarne oczy, które skrzyły inteligencją. Rodzice Lee na pewno dobrze wybrali. A może to Lee ją wybrał? Czy od początku zamierzał z Dellą zerwać? Siedząc obok naręczonej, sprawiał wrażenie zadowolonego, dopóki nie pojawiła się ona.

Teraz nie wyglądał na zachwyconego. Skrzywił się, gdy dziewczyna wzięła go pod ramię, ale

zachował się właściwie i przedstawił ich sobie.

– Mei, to jest Della i jej... przyjaciel. – Słowo „przyjaciel” zabrzmiało tak, jakby chciał powiedzieć coś brzydkiego. – Przyjaciel, który, sądząc po podbitym oku, lubi się bić.

Della cała się spięła, gotowa powiedzieć mu, że Steve oberwał w oko, stając w jej obronie. Coś, czego, jak sobie nagle uświadomiła, Lee nigdy nie zrobił. Nawet wobec swoich rodziców.

– Prawdę mówiąc – odezwał się Steve – przepychaliśmy się trochę w łóżku i Della trafiła mnie w oko łokciem.

Lee spochmurniał jeszcze bardziej, a jedyne, co przychodziło Delli do głowy, to „Dawaj, Steve!”.

Mei spojrzała na Lee i chyba dostrzegła jego reakcję. Zmarszczyła brew i spojrzała na Dellę. Wampirzyca rozpoznała tę minę – to była czysta zazdrość. Sama czuła, że brew jej się marszczy za każdym razem, gdy myśli o Lee z kimś innym. Co dziwne, tym, co Della czuła... Co właściwie czuła? Gniew. Ból. Smutek. Ale nie zazdrość. A to musiało coś znaczyć. Ale teraz nie było czasu na rozważania.

– Powinniśmy... – Zamilkła, znów spoglądając Lee w oczy.

Uświadomiła sobie, że zna lepsze określenie na smutne uczucie ściskające jej pierś. Żal. Kochała Lee. Kochała go całą sobą. Oddała mu wszystko: serce, ciało, umysł. A teraz go straciła. I ogarnął ją żal za tym, co minęło.

– ...iść. Powinniśmy iść – dokończył za nią Steve. – Już zająłem się rachunkiem.

Steve wypuścił Dellę z objęć i wyciągnął rękę do Lee.

– Miło było poznać.

Lee nie przyjął ręki. Co było niesamowicie dziwne i zupełnie do niego niepodobne. Zwykle nie był niegrzeczny. A może? Czy tego też nie zauważyła? Della skinęła parze głową, gdy Steve znów ją objął, i pozwoliła, by ją wyprowadził.

Wyszli z restauracji i dopiero po kilku sekundach przebywania na chłodnym jesiennym powietrzu Della zorientowała się, że wciąż trzyma się Steve’a. Trzymała się go tak, jakby statek zwany jej życiem się wywrócił. Jakby chłopak był jedynym unoszącym się na burzliwych wodach przedmiotem, którego można było się złapać.

Ogarnęło ją poczucie słabości, w którym łatwo mogłaby utonąć, a wraz z nim złość. I to duża. Odsunęła się. Czuła mętlik w głowie. Żal trzymał ją za serce równie mocno, jak ona kilka minut wcześniej trzymała się Steve’a. Potem wrócił gniew, który czuła wcześniej. Otworzyła się na to uczucie. Z gniewem umiała sobie poradzić, mogła z nim żyć. Pozwoliła więc, aby ją oblał, zmywając inne emocje, które sprawiały, że była słaba i bezradna.

Spojrzała na Steve’a, który wydawał się szczęśliwy, zupełnie odwrotnie niż ona.

– Śledziłeś mnie – oskarżyła go.

Radość w jego oczach przygasała.

– Wypełniałem rozkazy – odparł. – Powiedziano nam, że cały czas mamy się trzymać razem.

– Kurde! Mam gdzieś rozkazy. Nie lubię, jak mnie śledzą. – Zrobiło jej się ciężko na sercu

i rozumiała, że to poczucie winy. Wywołane przez...

– To następnym razem nie uciekaj – odparł stanowczo Steve i ruszył na tyły restauracji.

Cholera. Ogarnęło ją poczucie winy wywołane tym, że zachowała się jak idiotka wobec osoby, która właśnie ją uratowała.

Dogoniła Steve'a.

– Nie skończyłam! – syknęła.

Steve zatrzymał się gwałtownie i odwrócił.

– Ale ja skończyłem słuchać. Możesz się wściekać do woli. Próbowałem pomóc. – Znów ruszył przed siebie.

– Powiedziałam, że nie skończyłam! – Podbiegła i stanęła przed nim, wyciągając rękę, by go zatrzymać.

Kiedy dotknęła jego ciepłego ciała, przypomniała sobie, jaka jest zimna, i cofnęła rękę.

Spojrzała na niego. Wyglądało na to, że Steve ma ochotę zmyć jej głowę, ale ona odezwała się pierwsza.

– Dziękuję! – warknęła.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Na pewno zszokowały go jej słowa. I, kurde, doskonale wiedziała, co czuł. Nie zamierzała tego powiedzieć, chociaż on zasługiwał na te słowa, ale...

– Rany – odezwał się w końcu. – Chyba nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wyrażał wdzięczność takim wkurzonym tonem.

– To dlatego, że jestem zła. Jestem wściekła. Śledziłeś mnie. A potem... pocałowałeś mnie, z języczkiem, przy ludziach.

Jego brązowe oczy znów zalśniły wesoło. Nachylił się trochę. Jego ciepły oddech połaskotał ją w czoło.

– I było naprawdę dobrze, co?

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem i cofnęła się o krok.

– Dobra, skoro nie chodzi o pocałunek, to za co mi dziękujesz? – zapytał wyraźnie zdziwiony, ale i zaintrygowany.

Znów czuła to, co on: była zdziwiona.

– Nie wiem – syknęła.

I w tym momencie dotarła do niej odpowiedź na to pytanie. Uratował ją przed wyjściem na żalną byłą dziewczynę o złamanym sercu.

– Niezła jesteś, Dello Tsang. – Wyciągnął rękę, jakby chciał odgarnąć jej kosmyk włosów z twarzy.

Nie wiedziała, czy uznać to za komplement, czy za obelgę, ale na wszelki wypadek odtrąciła jego dłoń.

Roześmiał się.

– Wiesz, jak na pierwszy pocałunek to naprawdę nie było źle. Zwykle są krępujące. Ale ten... ten nie

był. Był pociągający.

Pomyślała o tym pocałunku, o jego ciepłych ustach, dotyku języka. Jak smakował.

– Cieszę się, że ci się podobał, bo to był ostatni – warknęła.

Odwróciła się, by odlecieć. Nie zdążyła się jeszcze oderwać od ziemi, gdy usłyszała jego odpowiedź:

– To się jeszcze zobaczy.

Zacisnęła zęby i skierowała się do ich kwatery, myśląc o tym, że jeśli nie będzie uważać, to może wyjść na jego.

A to byłoby złe.

Prawda?

Trzecia trzydzieści zbliżała się w ślimaczym tempie. Nowe prześcieradło, poszewka, koc i środek odkażający pomogły, ale i tak budziła się co kilka minut. Jedyne, co było słyhać w domku w lesie, to sporadyczne odgłosy zwierząt. To powinno być doskonałe miejsce na wyspanie się. Niestety, jako że była wampirem i w związku z tym stworzeniem nocnym, nigdy nie spała dobrze w nocy.

Wcześniej sądziła, że kręci się tak w łóżku na myśl o pluskwach. To zabawne, jak wizję pluskw co chwila zastępował pocałunek Steve'a. A ten pocałunek sprowadzał jej myśli na pokręcone, szalone uczucia wobec Lee.

Czy już z niego zrezygnowała? A jeśli tak, to czemu wciąż ją to bolało? Ale jeśli nadal go kochała, to czemu nie była zazdrosna o Mei? A potem myśli Delli skupiły się na jej rodzicach i siostrze, grających w gry planszowe bez niej. Z jakichś przyczyn myśli o Lee i rodzicach pomagały jej zagłuszyć pamięć o pocałunku.

Della wciąż leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit, gdy usłyszała szum wody, który oznaczał, że Steve bierze prysznic. Przed pójściem do łóżka spryskała porządnie kabinę prysznicową środkiem odkażającym i sama weszła pod pryskającą na wszystkie strony wodę.

Kiedy wyszła spod prysznica, Steve siedział na kanapie i wpatrywał się w drzwi od łazienki, jakby liczył, że Della wyjdzie w czymś seksownym.

Biedny chłopak, głęboko się zawiódł. A przynajmniej tak sądziła, dopóki nie spuścił wzroku, a potem znów na nią popatrzył, a w jego oczach pojawił się seksowny uśmiech.

– Miałaś rację – powiedział. – I się myliłaś.

Podobał jej się ten kawałek o racji, ale...

– W czym się myliłam?

Pociągający uśmiech wykwitł na jego ustach, gdy znów spojrział w dół, na jej bose stopy.

– Miałaś rację w kwestii tego, że jestem fetyszystą stóp. I myliłaś się, mówiąc, że nigdy nie widziałem twoich nagich stóp.

Wykorzystała swoje nagie stopy, by uciec do sypialni. Gdy zatrzasnęła drzwi, zawołał za nią, że muszą omówić misję. Odkrzyknęła, że zrobią to rano. A potem wskoczyła do łóżka.

Pięć godzin później wspomnienie tego, jak na nią patrzył... na miłość boską, jak patrzył na jej stopy... przyprawiało ją o szybsze bicie serca. A teraz, gdy usłyszała szum wody, pojawiły się też i wizje. Pomyślała o tym, jak Steve stoi pod parującym strumieniem wody. I naszała ją przedziwna ochota, by zobaczyć jego nagie stopy. I inne rzeczy.

Jęknęła i przycisnęła dłonie do oczu. Czemu on nie był brzydki?

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, i powiedziała sobie, że musi się opanować. Poza tym nadszedł nowy dzień. Wskoczyła z łóżka, przeczesła włosy i poprawiła stanik. Czując, że znów zaczyna nad sobą panować, poszła do salonu, by poczekać na swoją kolej. Musiała umyć zęby i musieli omówić plan misji. A potem iść i zrobić to, co do nich należało. Dopaść pewne złe wampiry.

Nie miała czasu na rozmyślania o tym, jaki przystojny był Steve, ani o tym, że pod wpływem jego pocałunku jej wnętrzości roztopiły się niczym masło na gorącej kolbie kukurydzy. Nadeszła pora na myślenie o tym, jak skopać tyłki wampirów wyrzutków, a nie o słodkiej pupci Steve'a.

Bębniąc palcami o kolana, spostrzegła na kanapie kopertę z wytycznymi misji. Naprawdę nie musiała tego omawiać. Przeczytała to z tuzin razy i zapamiętała. Jako że wampiry potrafiły usłyszeć, że ktoś kłamie, wsłuchując się w bicie jego serca, wymyślili pewną wersję prawdy, która nie powinna zostać uznana za kłamstwo. Ona, Della Tsang, przemieniła się w wampira i została wysłana do specjalnej szkoły z internatem. Nie odpowiadały jej szkolne zasady, więc wraz ze swoim przyjacielem, zmiennokształtnym Steve'em, uciekli. Ponieważ jednak ciężko im było zdobywać dla niej krew, postanowili przyłączyć się do gangu.

Zgrzytnęły drzwi od łazienki i wyszedł z niej Steve. Był... półnagi i bum, Della znów zaczęła myśleć o jego ślicznym tyłku. I... spuściła wzrok. Założył skarpetki.

Z jakiegoś dziwnego powodu przypomniała sobie, że ktoś jej mówił, iż Steve ma już osiemnaście lat. Wyglądał na osiemnaście, pewnie był z rok starszy od Delli. Na jego ramionach i piersi prężyły się muskuły. Wiedziała, że ćwiczył, ale większość z tych mięśni wyglądała na jego naturalną budowę ciała.

Na moment zaparło jej dech. Widziała, jak pływał bez koszulki, ale coś w widoku jego nagiej skóry, prosto spod prysznic, przyprawiało ją o skurcz żołądka. Przypomniało o pocałunku i o tym, jak jego ciepłe ręce okalały jej talię.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się, jakby czytał w myślach. Podeszedł do krzesła i założył ciemnozieloną koszulkę.

„Dzięki Bogu”.

– Gotowa do omówienia wszystkiego? – zapytał.

– Muszę umyć zęby. – „Muszę odzyskać panowanie nad sobą, a nie mam pojęcia, gdzie się podziało”.

Poderwała się na równe nogi i pobiegła do łazienki. Wyszła z niej trzy minuty później, kiedy już wyładowała frustrację na zębach. Na jej lśniących kłach nie było ani krztyny osadu. I chociaż nie

odnalazła swojego opanowania, to sama sobie zrobiła pogadankę o tym, że nie wolno zachowywać się jak nastolatka z burzą hormonów. Owszem, była nastolatką i pewnie miała burzę hormonów, ale nie musiała się tak zachowywać.

Kiedy weszła do pokoju, Steve miał na kolanach teczkę z dokumentami. Usiadła na drugim końcu kanapy, a on zaczął omawiać zadanie.

Nie mówiła mu, że już to wszystko wie, bo może on musiał to sobie powtórzyć. Pięć minut później zamknął teczkę.

– Dobra, pamiętaj, że jeśli będą nalegali, żebym odszedł, to zmienię postać i będę w okolicy. Nie zostawię cię.

Della spojrzała na niego.

– Wzruszające, ale jeśli się uprą, żebyś odszedł, to dam sobie radę. Umiem o siebie zadbać. Poza tym oni wiedzą, że jesteś zmiennokształtnym. Nie rób nic, co mogłoby zagrozić misji.

– Nie zrobię nic takiego, ale nie zamierzam cię zostawić – odezwał się stanowczym, opiekuńczym tonem. – Będę ostrożny. Nie zorientują się, że to ja.

– Oczywiście, że tak. Nie rozumiesz, że wiedzą, że jesteś zmiennokształtny?

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

– Mówisz, że są mądrzejsi od ciebie?

Zmrużyła oczy.

– Co masz na myśli?

– Wczoraj wieczorem nie wiedziałaś, że tam byłem. A widziałaś mnie dwa razy.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Ja nie...

– Byłem psem twoich sąsiadów, a potem kotkiem. Jeśli zmiennokształtny przemienia się rozsądnie, doskonale wtapia się w otoczenie i nie jest podejrzany. Myślisz, że czemu jesteśmy jednymi z najpotężniejszych istot nadnaturalnych?

Po pierwsze, wcale nie byli najpotężniejsi, bo były nimi wampiry, ale w końcu to nie zawody. A potem Della ścisnęło w piersi i oblał ją rumieniec, gdy przypomniała sobie spotkanie z psem sąsiadów. Mówiła chyba coś o wążaniu majtek...

– Nie rób mi tego więcej. – Wstała, podeszła do drzwi i spojrzała przez ramię. – Pora ruszać.

Pięć minut później Della i Steve wylądowali na ustalonym miejscu w parku krajobrazowym. Na otoczonej drzewami polanie, z dala od drogi i ludzi. W okolicy, w której mogło się wydarzyć wszystko i nikt by się o tym nie dowiedział. Della rozejrzała się wokół, ale widać było tylko wysokie sosny, trochę dębów i gęste, kłujące poszycie.

Nie podobało jej się to.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to miejsce było opuszczone. Na niebie widać było tylko kilka gwiazd. Kiedy jednak pociągnęła nosem, wiedziała, jaka jest prawda. Byli tu.

W ukryciu.

Czekali.

Ale na co?

By zaatakować?

Jej nos nie umiał liczyć, ale wyczuła, że jest ich więcej niż trójka.

Czy gang dowiedział się skądś, że Della i Steve pomagają JBF? A może w ten sposób witali wszystkich potencjalnych członków?

Poczuła niebezpieczeństwo. I chociaż było to podniecające, ogarnął ją też strach. Pamiętała zdjęcia tych, którzy zginęli z rąk podejrzanych wampirzych gangów. Matka z dzieckiem. Starsza kobieta. Jeśli to ten gang stosuje morderstwo jako ryt inicjacyjny, jeśli to oni odbierają życie niewinnym istotom, to należy ich powstrzymać i ryzyko jest tego warte. Co prawda Burnett nie wierzył, żeby to był ten gang, ale na pewno miał jakieś wątpliwości, bo przecież inaczej nie wysłałby ich na tę misję.

– Są – wyszeptał Steve.

– Wiem – powiedziała Della.

Coś zaszurało w zaroślach na prawo od nich, a chwilę potem na lewo. I za nimi. Della zauważyła kolejnego wampira wychodzącego spomiędzy drzew tuż przed nimi.

No cudownie.

Byli otoczeni.

Rozdział 4

Jakie miłe powitanie – powiedziała Della, nie chcąc okazać strachu.

– Jest pyskata – odezwał się ktoś za nią.

– Możemy jej to wybić z głowy – odezwał się wampir, mierząc ją wzrokiem i podchodząc bliżej.

– Nie próbowałabym – powiedziała Della.

– Właśnie – dodał Steve, a w jego niskim głosie słychać było groźbę.

Wyrzutek zmarszczył brwi, by sprawdzić ich wzory.

– A więc zabrałaś ze sobą zwierzątko?

Della usłyszała, jak Steve nabiera gwałtownie powietrza, więc sięgnęła za siebie i złapała go za ramię. Na pewno wiedział, że to ona ma się tym zająć.

– To nie jest moje zwierzątko – warknęła, oburzona tym stwierdzeniem bardziej, niż sądziła.

– Och, rozumiem – odezwał się przywódca wyrzutków i spojrzał na nią lubieżnie. – Więc dajesz temu typkowi?

– Wymieniliśmy płyny ustrojowe, jeśli o to pytasz – odparła pewna siebie i zadowolona, że poprzedniego dnia wymienili się śliną podczas tego gorącego pocałunku.

Wampir uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Podoba mi się twoje podejście. Może któregoś dnia też się wymienimy płynami ustrojowymi?

Steve cały się spiął.

– Nie liczyłbym na to – powiedział.

– Właśnie – dodała Della.

Wampir prychnął, jakby zawiedziony, że nie zdołał ich zastraszyć.

– Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała najpierw dowieść, że jesteś nas warta? Jeśli cię przyjmujemy, to wtedy będzie musiał tego dowieść twój zmiennokształtny, ale nawet jeśli mu się uda, będzie tylko pomocnikiem. A pomocnicy... cóż, nie wytrzymują długo.

Słowa wyrzutka uderzyły Dellę, ale skupiła się na tym, co ważne. Stwierdzeniu o tym, że musi „dowieść, że jest ich warta”.

Czyżby to miało być takie łatwe? Powie jej teraz po prostu, co ma zrobić, i będą mogli odejść? Jakaś część jej miała nadzieję, że tak będzie. Ten facet jej się nie podobał i chętnie dałaby mu nauczkę.

– A jak właściwie mamy tego dowieść?

– Umiesz walczyć?

„O tak!”

– Daję radę – odparła Della.

Wampir spojrział na Steve'a.

– Wygląda na to, że twój zmiennokształtny lubi się bić – powiedział, najprawdopodobniej odnosząc się do podbitego oka Steve'a.

– Ja też daję radę – powiedział Steve.

– Jak potężnym zmiennokształtnym jesteś? – Wyrzutek przyglądał mu się, jakby go oceniał.

– Całkiem, całkiem – odparł Steve.

Wampir się roześmiał.

– Więc czemu do walki pozostałeś w ludzkim ciele? Na pewno nie jesteś tak potężny, jak ci się wydaje.

– Niech cię ten siniak nie zmyli. – Steve odchylił się na piętach.

Della słyszała pewność siebie w głosie Steve'a i chociaż doceniała szybkość jego przemian, to naprawdę nie wiedziała, jaką ma siłę. Czuła jednak, że podobnie jak ona, trzymał karty przy orderach. Nie okazywał strachu, ale też nie pokazywał, na co go stać, gdyby doszło do walki.

Wampir wyrzutek zaśmiał się, jakby nie wierzył Steve'owi.

– No dobra, lećcie za nami. Zorganizowaliśmy pewną zabawę i zobaczymy, jak sobie w niej poradzicie.

– Jaką zabawę? – zapytała Della, rozglądając się wokół. Wampiry zaczęły ich otaczać.

– Och, taka tam walka wręcz. Jak ci dobrze pójdzie, to zobaczymy, co będzie z twoim zwierzątkiem.

Wchodzisz w to?

– Teraz? – zapytała Della, doskonale pamiętając, że Burnett przestrzegał, aby nie dali się nigdzie zaciągnąć.

Wampiry już dowiodły, że nie dotrzymują słowa, bo przecież mieli się z nimi spotkać tylko trzech przedstawiciele gangu na rozmowie bez zobowiązań.

– Teraz – powiedział wyrzutek, wyciągając z pochwy u pasa nóż i wycierając go o brudne dżinsy.

Mężczyźni stojący obok też wyciągnęli noże.

Della usłyszała cichy warkot i chociaż nie wiedziała, że zmiennokształtni warczą, to była przekonana, że ten dźwięk wydał Steve.

Wiedziała też, że nie może odmówić propozycji wyrzutka. Mogła iść albo od razu przejść do walki wręcz przeciw nożom.

– No to chodźmy – powiedziała z nadzieją, że tam, gdzie trafią, będą lepsze warunki do ucieczki.

Steve rzucił na nią okiem, a jego spojrzenie mówiło „to mi się nie podoba”.

Cóż, jej też, ale nie widziała innego wyjścia. Rozejrzała się wokół i naliczyła dwunastu przeciwników.

Dałaby sobie pewnie radę z piątką lub szóstką, ale nie z dwunastką. Zwłaszcza że mieli noże.

Zostali zaprowadzeni do jakiegoś starego, opuszczonego magazynu. Steve przemienił się w gawrona i leciał wolniej. Wampiry klęły pod nosem, że ich spowalnia.

Della zastanawiała się, czy wybrał tę formę specjalnie. Czy przemiana w szybszego ptaka wymagała więcej energii? I czy ją oszczędzał? A może umiejętność przemieniania się w niektóre gatunki zwierząt wskazywała na dużą moc, a on ukrywał swoje prawdziwe możliwości? Pomyślała, że jeśli zamierza pracować w JBF, to musi się doksztalić w kwestii wszystkich gatunków.

Byłoby jej łatwiej, gdyby wiedziała, co takiego knuje Steve. Kiedy wylądowali, zauważyła, że jej koleżka przemiana zajęła kilka minut. Zdecydowanie wolniej niż poprzednimi razy. W tym momencie była już pewna, że ukrywał swoje prawdziwe moce przed wyrzutkami.

Jeden z wampirów podszedł bliżej i powiedział coś o ukłuceniu łba gawronowi. Della stanęła między nim a Steve'em.

Kiedy Steve przyjął wreszcie ludzką formę, weszli do ciemnego wnętrza budynku. Della czuła starą krew i wampirzy pot. I chociaż nic nie widziała, czuła spragniony krwi tłum. Teraz miała przeciwko sobie nie dwunastu, ale z pięćdziesięciu wyrzutków. Serce jej się ścisnęło ze strachu i pomyślała, że może jednak należało spróbować swoich sił w parku.

Nagle rozbłysły światła i ujrzała skryty dotąd w ciemnościach tłum. Na środku pomieszczenia był ring bokerski. Steve z niepokojem popatrzył na Dellę.

Tłum zaczął wiwatować, a Della spojrzała przed siebie. Na ring wepchnięto jakąś dziewczynę. Wyglądała na przestraszoną, ale też zdecydowaną. Della zmarszczyła brwi i zobaczyła, że tamta to częściowo wilkołaczka, częściowo wampirzyca. Pierwiastek wilkołaczy był dominujący. Na pewno była pomocnikiem. A sądząc z postawy, Della uznała, że dziewczyna cierpi na syndrom sztokholmski.

– A ja myślałam, że wystarczy, jak zabiję jakiegoś człowieka albo dwóch – powiedziała Della, modląc się, by głos jej nie zdrzął.

– Och, tak też robimy, ale czasem coś zmieniamy, żeby nie było nudno.

„Bingo”, pomyślała Della. Teraz mogli się wynosić. Niestety, nie widziała żadnej drogi ucieczki.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Dellę z wściekłością. Della wiedziała, że to właśnie z nią ma walczyć. Unoszący się w powietrzu smród krwi mówił jej, jak daleko ta walka ma się posunąć.

Spojrzała na przywódcę wyrzutków.

– Trudno walczyć z kimś, do kogo nic nie mam.

– Kiedy zada ci pierwszy cios, już będziesz coś miała. Nie jest tak słaba, na jaką wygląda. Założę się, że trochę jak ty.

Znów wyciągnął nóż.

– Idź walczyć, panno wygadana, i zobaczymy, jaka dobra jesteś naprawdę.

Della przełknęła gulę w gardle i zmusiła się, by zapytać:

– Jak daleko ma to zajść?

– O co ci chodzi? – odparł, ale sądząc z jego złośliwego uśmiešku, doskonale wiedział, co ma na myśli.

– Jak dziewczyna straci przytomność, to kończymy? – odezwała się z nadzieją.

Jego oczy zalśniły złowrogo.

– A co to by była za zabawa? – Uniósł nóż i spojrzał na ostrze. – Kończy się wtedy, gdy jedna z was przestanie oddychać i stanie się dawcą krwi. Pytanie tylko, czy o wschodzie słońca będziemy pić twoją krew, czy jej.

– Hmm – mruknęła Della, starając się, by przerażenie nie odbiło się jej na twarzy. Spojrzała na Steve'a. Ten rzucił okiem na sufit. Nie miała pojęcia, co to ma oznaczać, ale liczyła, że on ma jakiś plan. Bo ona, niech Bóg ma ją w opiece, nie mogła w tym momencie nic wymyślić. I zaraz miała kogoś zabić albo sama zginąć.

Rozdział 5

Della weszła na ring, sądząc, że rozlegnie się dzwonek i że zdoła wymyślić sposób, żeby się z tego wykręcić, ale nie, i to w obu przypadkach. Nim zdążyła złapać oddech, dziewczyna zaatakowała.

Della wciąż nie miała pojęcia, co robić. Ale kiedy dostała cios w policzek i zabolalo jak cholera, uznała, że nie ma sensu dać się przerobić na miazgę.

Uchyliła się przed drugim ciosem. Tłum wydał okrzyk niezadowolenia. Wilkołaczycza zaatakowała znowu, a Della złapała ją za ramię i rzuciła przez ring. Dziewczyna upadła, ale w kilka sekund poderwała się na równe nogi.

Kiedy tańczyła wokół, wyprowadzając ciosy niczym jakaś królowa boksu, Della dostrzegła w tłumie Steve'a. Spojrzał na nią, a potem znów na sufit.

Sekunda rozproszenia drogo Dellę kosztowała, bo wilkołaczycza znów ją trafiła, tym razem kopiąc w zębra i pozbawiając tchu. Ból sprawił, że wampirzyca zatoczyła się do tyłu. Wtedy spostrzegła niewielką dziurę w suficie, gdzie kiedyś znajdował się otwór wentylacyjny. Dobra, wiedziała już, że Steve ma plan, ale czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że wszystkie te wampiry też potrafiły latać?

Wilkołaczycza znów wyprowadziła kopniaka w twarz Delli. Wampirzyca złapała ją za kostkę i wyrzuciła za ring. Tłum zawył, żądając krwi. Dziewczyna wleciała w grupę wampirów, ale była chyba z gumy, bo poderwała się na równe nogi i znów zaatakowała.

Wskoczyła na ring. Oczy lśniły jej pomarańczowo, jak to u wkurzonych wilkołaków. Uniosła do ciosu nogę, a Della próbowała go zablokować. Błąd, bo nie zauważyła, co ta suka ma w ręku.

Nóż celował prosto w serce Delli. Jedynym rozwiązaniem było zablokowanie go ręką. Ostrze rozcięło przedramię. Poczula pieczenie, gorące, a zarazem lodowate. I zapach krwi. Jej własnej.

Widownia krzyczała o krew.

Wilkołaczycza cofnęła się, ale od razu zaatakowała ponownie. Celowała nożem w serce. Rozległ się ryk, ale nie tłumu, lecz jakiegoś dzikiego kotowatego.

Wściekłość wypełniła serce Delli w tym samym momencie, w którym nóż wbił się w jej klatkę piersiową, tuż poniżej obojczyka. Co dziwne, Della czuła głównie gniew, nie ból. Złapała dziewczynę za ramiona i rzuciła nią. Wyglądało to tak, jakby działało się w zwolnionym tempie. Poczula, jak nóż wysuwa się z jej piersi. Wstrzymując z bólu powietrze, obserwowała, jak wilkołaczycza odlatuje, a z noża, który wciąż ściska w dłoni, kapie krew.

A potem ujrzała wielkiego lwa, czyli Steve'a, jak pędzi w stronę ringu, taranując wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Do boju, Steve! Wskazała w górę i zebrawszy wszystkie siły, wskoczyła

w powietrze, ledwie mieszcząc się w wąskiej dziurze. A tuż za nią ratował skórę jastrząb.

Leciała dalej, wiedząc, że wampiry, przynajmniej te, które mogły się zmieścić w wąskiej dziurze, będą ich gonić. Nie zwracała uwagi na pieczenie ramienia. Nagle się zorientowała, że nie słyszy łopotu skrzydeł i odwróciła się. Steve wrócił na dach, przemienił się w smoka i ział ogniem przez dziurę, którą uciekli. Cholera, ten chłopak był naprawdę ładnym smokiem.

Najwyraźniej budynek nie był ognioodporny, bo z dachu momentalnie zaczął unosić się dym. Kilka sekund później wokół smoka pojawiły się skry i Steve znów był jastrzębiem. Odlatywali jak najszybciej. Della wciąż oglądała się za siebie, modląc się, żeby nikt ich nie gonił. Na szczęście za nimi była tylko ciemność.

Nagle Steve zapikował w dół.

– Nie – krzyknęła za nim. – Musimy lecieć. Dopadną nas!

Nie słuchał, lecz zniżał lot, aż wylądował w ciemnej uliczce, podobnej do tej, w której byli poprzedniego wieczoru. Ścieżkę okalały wysokie na prawie dwa metry ogrodzenia, zupełnie jakby miały chronić przed niepożądanym elementem. Przepelnione śmietniki, śmierdzące gnijącymi owocami, podtrzymywały płoty, z których część wydawała się zbutwiała. Nim Della wylądowała, Steve znów przybrał ludzką postać.

– Kurde – zawołał, łapiąc ją za ramię. Słodki zapach jej własnej krwi zagłuszył smród śmietników.

– Wiesz – powiedziała, krzywiąc się z bólu. – Dobrze ci poszło.

– Nie umrzesz! – syknął.

– A kto mówi o umieraniu? – Trudno jej było skupić na nim wzrok i kilka razy zamruwała.

– Właśnie mnie komplementowałaś – warknął cicho. – A to znaczy, że jesteś ciężko ranna.

Uśmiechnęła się szeroko, ale tylko na moment.

– Nie jestem taka zła, co?

– Nie, nie jesteś. Tylko uparta... – Spojrzał jej w oczy. – I doskonała – dodał, ale jego głos zdawał się dolatywać z dużej odległości. – Muszę cię zabrać do szpitala.

– Nie – odparła, czując, że ma nogi jak z waty. – Potrzebuję krwi, a wszystko się zagoi. Nie trafiła w nic ważnego, bo już bym nie żyła. Daj mi tylko krwi, Steve. Tylko tyle potrzebuję. Wampiry bardzo szybko zdrowieją.

Skrzywił się i wyciągnął komórkę.

– Nawet nie próbuj dzwonić do Burnetta! – syknęła, ale kolana się pod nią ugięły i osunęła się na ziemię.

– Proszę – jęknęła, czując, jak do oczu napływają jej łzy. – Chcę zrobić na nim wrażenie. Nie mogę go zawieść.

Zamruwała, próbując pozbyć się łez, i ujrzała, jak Steve patrzy na nią ze współczuciem.

Z ulgą zobaczyła, że chowa komórkę do kieszeni.

– Dziękuję – rzekła. – Dziękuję.

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowo, gdy poczuła nieprzyjemny zapach, podobny do gnijącego mięsa. Mieli towarzystwo. Ale nie wampirów. Wilkołaków.

Kurde! Naprawdę nie chciała jeszcze umierać.

Wstała, a całe jej ciało zadrżało. Miała nadzieję, że wygląda groźniej, niż się czuje. Wilkołaki były trzy. Wielcy, groźnie wyglądający mężczyźni. O włosach tak brudnych, że nie wiadomo było, jakiego są koloru, i równie paskudnych ubraniach.

Na pewno wyczuli krew i przyszedli poszukać czegoś na ząb.

– Odejdźcie – warknął Steve. – Albo was zabiję.

Wokół niego pojawiły się skry. W ciemnej uliczce rozległ się ryk. Znow zobaczyła lwa, tyle że tym razem był jeszcze większy, wielkości małego vana. Dwa wilkołaki się wycofały, ale trzeci, najwyraźniej najgłupszy z nich, ruszył na Steve'a, wysuwając kły. Steve machnął łapą tak, że wilkołak przeleciał przez uliczkę. Uderzył z hukiem w płot. Dwa mądrzejsze wilkołaki uciekały, jakby się za nimi paliło.

Dopiero po chwili do Delli dotarło, że nic nie zrobiła. Nawet nie warknęła na przeciwników, by pomóc Steve'owi. Ale jak miałyby to zrobić, skoro całej energii potrzebowała, by stać?

W oddali słyhać było cichnące kroki uciekinierów, a Della patrzyła, jak biegnie na nią lew. Ale nie mogła zrozumieć, czemu wszystko się kręciło. „Świat się kręci”, przyszło jej do głowy. Wraz z tymi słowami zrobiło jej się słabo. A gdy już zaczęła się do tego uczucia przyzwyczajać, przed oczami ujrzała czarne plamy.

Ostatnie, co pamiętała, to jak osunęła się na wielkie zwierzę, myśląc, że nawet jako lew Steve pachnie męskim mydłem.

Della poczuła, że ktoś unosi jej głowę.

A potem usłyszała męski głos o południowym akcencie, równie seksownym, co niskim.

– Albo się obudzisz i to wypijesz, albo zadzwonię do Burnetta. Słyszysz? Obudź się, kochanie.

„Kochanie?” Della uniosła powieki i spojrzała na ciemnowłosego, brązowookiego chłopaka, siedzącego obok niej na wielkim łóżku. Jedną dłoń wsunął jej za głowę, a drugą przytrzymał przy jej ustach szklankę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, kto to. A po kolejnej wszystko sobie przypomniała.

Misja.

Wampiry.

Wilkołaki.

Pocałunek Steve'a.

O tak, pamiętała pocałunek Steve'a.

– Dzięki Bogu – mruknął, gdy ujrzął, że Della na niego patrzy. – Dasz radę się napić? – Przyłożył jej

szklankę do ust. – Tylko kilka łyków.

Poczuła słodki zapach krwi, otworzyła usta i wzięła jeden łyk. Smakowało tak dobrze, że pociągnęła następny.

Steve opuścił jej głowę na poduszkę, która była taka miękka, że prawie w niej zatoneła. Wampirzyca spojrzała na jego uśmiech.

– Powinnaś wypić więcej, ale dam ci kilka minut – powiedział.

Jedwabisty dotyk pościeli na jej nagich plecach i miękka poduszka oznaczały dwie rzeczy. Po pierwsze, nie byli w domku-kryjówce, a po drugie, była właściwie naga.

Rozejrzała się wokół. Wyglądało na to, że są w jakimś eleganckim hotelu. A potem uniosła prześcieradło, które zasłaniało jej pierś, by sprawdzić, jak wygląda kwestia ubrań.

Tak, była naga. No, prawie naga. Wciąż miała na sobie czerwone jedwabne majtki. I bandaż na ranie.

Opuściła prześcieradło i spojrzała krzywo na Steve'a.

– Gdzie moje ubrania?

– Wrzuciłem je do wanny i wypłukałem, na wypadek, gdyby w okolicy były jakieś wilkołaki lub wampiry. Nie chciałem, żeby cię wyczuły.

Jak mogła się z tym nie zgodzić? Nie mogła. No, owszem, mogła, nie każdy argument musiał być logiczny, ale była zbyt zmęczona, by bronić logicznych argumentów, a co dopiero nielogicznych.

– Gotowa na kolejną porcję krwi? – Uniósł szklankę.

Chciała zaprotestować, ale wiedziała, że tylko krew może jej pomóc. Uniosła się na łokciu, a raczej spróbowała, i osunęła się z powrotem na poduszkę. Spojrzała w jego ciepłe, pełne niepokoju oczy i poczuła się... naga, słaba i bezbronna. To nie był jej najlepszy dzień.

Steve pomógł jej usiąść. Czowała, jak zsuwa się z niej prześcieradło, i ledwie zdołała je złapać, nim odsłoniło jej biust. Steve przyłożył szklankę do jej ust, aby mogła się napić.

Kiedy ją zabrał, znów uśmiechnął się ciepło. Nawet nie patrzył na nią tak, jakby pod prześcieradłem była naga, jak zrobiłaby większość chłopców. Uśmiechał się do niej, jakby... jakby była kimś, na kim mu zależało.

Zdecydowanie nie był to jej najlepszy dzień.

Nie chciała, by mu na niej zależało. Bo wtedy jej także mogłoby zacząć zależeć na nim. A to było niebezpieczne.

Zamknęła oczy, położyła się i po kilku minutach poczuła, że znów odpływa.

Rozdział 6

Della poczuła na skroni łaskotanie i spróbowała je odgarnąć. Wtedy pojawiło się na dłoni. Zaskoczona otworzyła oczy. To łaskotanie było czyimś oddechem. Spokojnymi podmuchami powietrza.

A tym kimś był Steve.

Steve spał z nią w łóżku. Steve, na boku, dzielił z nią poduszkę. Steve, ani trochę nie brzydki, o długich ciemnych rzęsach opierających się o policzki. Jego jednolicie ciemnobrązowe włosy rozsypały się po czole.

Kiedy spał, wyglądał młodziej, jeśli nie liczyć delikatnego zarostu. Próbowała sobie przypomnieć, czy czuła jakiś zarost, gdy całowali się poprzedniego wieczoru w restauracji, ale nie. Chciała teraz pogłaskać go po brodzie.

Przesunęła wzrok na swoją klatkę piersiową i niewielki biust. Prześcieradło zsunęło jej się do pasa.

Krzywiąc się, podciągnęła je i zaczęła się zastanawiać, czy Steve widział to, nim zasnął. Uświadomiła sobie, że musiał. W końcu to on zdjął jej stanik i bawił się w lekarza, opatrując ranę. Naszła ją ponura myśl. Czy był zawiedziony, że nie miała większych piersi?

Spojrzała na dwa niewielkie pagórki napierające na prześcieradło, myśląc z nadzieją, że teraz są troszkę większe niż kiedyś. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczęły wypełniać miseczkę B. Oczywiście nie liczyła na C, jak u Mirandy czy Kylie, ale pełne B albo odrobinę więcej byłoby miłe.

Spojrzała na lewy bok i nieco zsunęła prześcieradło, by przyjrzeć się bandażowi. Wyglądało to profesjonalnie. Poruszyła ramieniem i uznała, że musiało się uleczyć, bo nie czuła ani trochę bólu. A potem spojrzała na ramię, gdzie znajdował się drugi bandaż.

Jak przez mgłę pamiętała, że Steve budził ją dwa czy trzy razy i zmuszał, by napiła się krwi. Pamiętała też, że poprzedniego dnia mówił, iż jego mama jest lekarzem. Czy też planował zostać lekarzem? Powinien. Miał predyspozycje.

Sięgnęła i rozluźniła bandaż poniżej łopatki, by zobaczyć ranę. Wciąż widać było rozcięcie, ale było prawie zagojone.

– Dobrze wygląda – rozległ się zaspany głos.

Spojrzała na chłopaka dzielącego z nią materac.

– Wynoś się z mojego łóżka – warknęła.

Uśmiechnął się szeroko.

– W zasadzie to moje łóżko. To ja wynająłem pokój.

Skrzywiła się.

– Jest za wcześnie na logikę!

Zachichotał.

– Prawdę mówiąc, nie jest też wcześnie.

Usiadła, przytrzymując prześcieradło przy piersi, i przypomniała sobie, że wcześniej nie była w stanie tego zrobić.

– Która godzina?

Przewrócił się na drugi bok i spojrzał na zegarek na stoliku nocnym.

– Szósta.

– To wcześnie – odparła.

– Po południu. – Przeczesał dłonią potargane włosy. Wyglądało to uroczo.

– Chwila. Szósta po południu? Kurde! – Usiadła prościej. – Przespałam cały cholerny dzień? Burnett jest pewnie wściekły. Miałam się zameldować.

– Ja to zrobiłem.

Skrzywiła się.

– Powiedziałeś, że jestem ranna!

– Nie. No, trochę, ale zbagatelizowałem to, i to bardzo. Musiałem mu powiedzieć, że walczyłaś, bo cały ten pożar magazynu i olbrzymie lwy trafiły do wiadomości.

Przypomniała sobie, jak przemienił się w lwa, aby odgonić wilkołaki.

– Zauważono cię?

– Jakiś pijany w uliczce, ale to nic poważnego.

– Przepraszam – powiedziała, pamiętając, że miał bzika na punkcie przestrzegania zasad i nieprzemieniania się w miejscach publicznych. A jednak przemienił się, bo... bo ona nie mogła ich ochronić.

– Nic się nie stało. – Znów spojrzał na nią ciepło, jakby mu zależało czy co. – Wydostaliśmy się żywi i wypełniliśmy zadanie. Teraz JBF może tam wkroczyć i aresztować, kogo trzeba.

Skinęła głową.

– Dziwię się, że Burnett nie dzwoni co kwadrans.

– Pewnie by dzwonił, ale ma na głowie inny problem.

– Jaki? – zapytała Della.

– Podobno Helen została napadnięta.

– Helen? Nasza Helen? – Helen była nieśmiałą półelfką i Della nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł ją skrzywdzić. – Nic jej nie jest? Kto to zrobił?

– Burnett był z nią w szpitalu. Mówił, że wszystko w porządku. Zapytałem, kto to zrobił, ale odparł, że nie wiedzą. Ale znasz Burnetta, dopadnie ich, a wtedy zrobi im piekło.

– Tak. Chętnie pomogłabym mu w robieniu tego piekła. Jak to dobrze, że nic jej nie jest. – Delli

zaburczało w brzuchu, i to głośno.

Steve zachichotał.

– Myślę, że jesteś głodna. – Wyskoczył z łóżka. – Już podaję.

Della oparła się o zagłówek i przyciągnęła prześcieradło do piersi. Patrzyła, jak Steve podchodzi do małej lodówki i wyciąga plastikową torbę z krwią. To nie była ta sama krew, którą zabrała na wyprawę. Tamtą zostawiła w domku.

Zaczęła się zastanawiać.

– To nie moja krew. Skąd...

– Moja mama pracowała przez kilka tygodni na pogotowiu w tym mieście, zaraz po naszej przeprowadzce z Alabamy. Na tej ulicy jest bank krwi, dlatego wybrałem ten hotel.

Przemyślała jego słowa.

– Ukradłeś krew z banku krwi? – Potrząsnęła głową. – Nie wolno tego robić!

– I nie zrobiłem. No, w zasadzie. – Stał przy łóżku i podał jej szklankę.

Wzięła ją od niego i zajrzała do środka. Poczuła cudowny aromat.

– To zero minus? – zapytała, przypominając sobie, jak dobrze jej smakowała, gdy była półprzytomna.

– Dla ciebie tylko, co najlepsze. – Posłał jej krzywy uśmiech.

– Chyba nie możesz jej odnieść, co? A jeśli spróbujesz, to chyba będę musiała cię zabić. – Pociągnęła długi łyk.

Steve uśmiechnął się szeroko.

– Pij spokojnie. Tak właściwie to jej nie ukradłem.

Spojrzała na niego znad szklanki. Wciąż stał i na nią patrzył.

– To znaczy?

– Poszedłem oddać pół litra krwi i wyszedłem razem z nim.

Oblizła ostatnią kroplę z warg.

– Masz zero minus?

Nic dziwnego, że tak podobał jej się jego zapach.

Skinął głową. Teraz uśmiech widać też było w jego oczach.

– Nie ma za co.

– Nie podziękowałam.

– Nie, ale w twoich oczach widać wdzięczność.

Skrzywiła się z nadzieją, że w ten sposób ukryje wdzięczność. A potem usiadła trochę prościej, dopiła krew i odstawiła szklankę na stolik nocny.

– Gdzie moje ubrania?

– W łazience. Powinny być już prawie suche. Wyprałem je dokładnie. Ale zanim się ubierzesz, muszę jeszcze nałożyć na twoje rany maść. Po raz ostatni.

– Myślę, że nic mi nie jest.

– Owszem. – Uśmiechnął się. – Ale twoje rany nadal potrzebują ostatniej porcji maści.

Podszedł do szafki, sięgnął po tubę i kilka innych przyborów.

Usiadł na brzegu łóżka, położył wszystko na stoliku nocnym i ostrożnie odbandażował ramię Delli.

Wycisnął trochę maści na wacik i delikatnie potarł nim ranę.

Della przyjrzała się skaleczeniu, które, podobnie jak to na piersi, prawie się zagoiło.

Następnie zsunął z niej prześcieradło, nie na tyle, by cokolwiek zobaczyć, ale dość, by zaznaczyła się pierś i by mógł dosięgnąć do zabandażowanej rany. Ostrożnie odsunął opatrunek i nałożył lekarstwo.

Spojrzała na niego spod rzęs. Wpatrywał się w nią.

– A tak przy okazji, to jesteś piękna.

Poczuła, jak się rumieni. No dobra, teraz patrzył na nią jak zwykły chłopak, który myśli o tym, że pod prześcieradłem jest naga. A ona zamiast obrzydzenia czuła... ulgę, wiedząc, że uznał ją za atrakcyjną. A na pewno widział ją prawie całą.

– Jeśli powiesz komukolwiek, że widziałeś mnie nago, to skopię ci tyłek.

Rzucił wacik na stolik nocny, a potem wyciągnął rękę i uniósł jej brodę palcem wskazującym.

– Nikomu nie powiem. – Miał odrobinę zachrypnięty głos i brzmiał szczerze.

Przesunął palcem po jej wargach.

– Nie pocałujesz mnie – powiedziała.

– To się zobaczy – odparł, a potem to zrobił. Pocałował ją.

Jak to się stało, że ze zwykłego pocałunku przeszli do tego, że leżał obok niej, prześcieradło gdzieś się zsunęło i zniknęła jego koszulka, pozostało tajemnicą. Przepyszną. Jego usta przesunęły się z jej warg na szyję, a potem niżej. Jęknęła, pochłonięta cudownymi odczuciami. Ale gdy jego dłoń wolno i uwodzicielsko przesunęła się poniżej jej talii, złapała ją i wróciła do rzeczywistości.

– Przepraszam – szepnęła i usiadła. – Nie mogę... Nie możemy.

Usłyszała, jak Steve nabiera gwałtownie powietrza, i wiedziała, że jest tak samo ogarnięty pragnieniem jak ona. Podobno w przypadku facetów jest jeszcze ciężiej. Lee zawsze było ciężko, nim... nim zdecydowała się iść na całość.

Myśl o Lee znów zaparła jej dech.

Do oczu napłynęły jej łzy i myślała tylko o tym, że już raz poszła tą drogą. Oddała się Lee i do czego ją to doprowadziło?

– Idź wziąć zimny prysznic. – Odwróciła się do niego plecami i zakryła się prześcieradłem.

Steve odetchnął głęboko kilka razy, a po dłuższej chwili powiedział:

– Nie chciałem... Chciałem cię tylko pocałować. Kurde. – W jego głosie słychać było żal do samego siebie. – Nie zamierzałem wykorzystać tego, że...

– Nie zrobiłeś tego. – Zamknęła oczy. – Nie wykorzystałeś mnie. Zrobiłam to z własnej woli. Ale... nie powinniśmy... tego robić.

– Za wcześniej? – zapytał.

– Wszystko „za”... – odparła.

„Za dobrze. Zbyt prawdziwie. Za bardzo tak, jakby to naprawdę coś znaczyło. Za dużo, by potem znów to stracić”.

– Jeśli nie idziesz pod prysznic, to idę ja. Musimy wracać do Wodospadów Cienia.

Nienawidziła swojego gniewnego tonu i miała nadzieję, że Steve rozumiał, że to nie przez niego. To przez nią. Po prostu nie mogła sobie na to znowu pozwolić.

Będąc pod prysznicem, usłyszała dzwonek telefonu i to, jak Steve powiedział Burnettowi, że wróca za kilka godzin. Kiedy wyszła z łazienki, poszedł wziąć prysznic i pół godziny później byli już w hotelowej windzie, której Della za nic nie mogła sobie przypomnieć.

Czy Steve ją niósł? Nienawidziła czegoś nie wiedzieć. I tego, że była tak bezbronna.

Kiedy znaleźli się w zatłoczonym hallu, Steve poprowadził ją do hotelowej restauracji.

Już chciała zaprotestować, gdy przypomniała sobie, że ona tego dnia jadła, a on nie. Zamilkła i poszła za kelnerką, która wskazała im stolik dla dwojga.

Niezlomny

Z OSTATNIEJ CHWILI

Zaginiony samolot odnaleziony w paśmie górskim Jasper

Szeryf Ted Carter poinformował, że wrak samolotu Cessna 210, przypuszczalnie tego samego, którym leciał doktor Edward Tallman, został odnaleziony w paśmie górskim Jasper. Ekipę poszukiwawczą wezwano po tym, jak wczoraj o 16:20, dwadzieścia minut po starcie, samolot zniknął z radarów. Już wczoraj wysłano na poszukiwania dwa helikoptery z górskiego pogotowia ratunkowego, ale wrak samolotu odnaleziono dopiero dziś rano. Z powodu niskiego pułapu chmur i silnych wiatrów widoczność na miejscu katastrofy była ograniczona i nie udało się ustalić, czy są jacyś ocalali. Wraz z doktorem Tallmanem lecieli jego żona Amy i dwoje nastoletnich dzieci, Mindy i Chase, a także przyjaciółka rodziny, Tami Collins. W stanie gotowości są ratownicze jednostki naziemne, ale czekają na poprawę pogody. Rzeczniczka poinformowała, iż wiedzą, że należy jak najszybciej dotrzeć na miejsce katastrofy, ale nie można zapominać o bezpieczeństwie ratowników.

Krążą pogłoski, że dr Tallman i jego rodzina przylecieli do Jasper, by wziąć udział w badaniach genetycznych, żadne z miejscowych laboratoriów nie potwierdza jednak obecności Tallmanów. Tymczasem przyjaciele rodziny Tallmanów i rodzice Tami Collins są w Jasper i modlą się o pomyślną wieści, gdy jednostki ratownicze dotrą do wraku.

Rozdział 1

DZIEŃ WCZEŚNIEJ: SOBOTA, 31 PAŹDZIERNIKA, 10:30

Chase Tallman obserwował, jak laborantka krwiopijca o lśniących oczach zawiązuje elastyczną opaskę na jego ramieniu, by uwydatnić żyły.

– Ta jest dobra – powiedziała kobieta i przesunęła dwoma palcami po wewnętrznej stronie jego łokcia, gdzie ukazała się niebieska żyła. – Masz wspaniałe żyły – powiedziała szczerze.

Miała zimne ręce. Wyjątkowo zimne, co przyprawiało go o dreszcze.

– Jedno drobne ukłucie i będzie po wszystkim. – Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po igłę z przymocowaną do niej dużą fiolką. Zdjęła z igły osłonkę.

Kurde! Ile krwi potrzebowała ta kobieta? Nienawidził igieł. Ale nawet nie drgnął. Czternastolatek nie mógł okazywać strachu przed igłą. Nie płakał nawet, gdy rok wcześniej podczas treningu baseballu złamał sobie rękę. Bolało jak cholera, ale to jego trener odwiózł go do szpitala, a ostatnie, czego chciał, to okazać słabość przy trenerze.

Chase rozejrzał się po niewielkim laboratorium w gabinecie lekarskim, który był właściwie ukryty w odległej części Gór Skalistych. Nie był pewien, czemu jego tata upierał się, żeby wzięli udział w tych badaniach, ale musiały być naprawdę ważne, skoro tata wyciągnął samolot i przywiózł ich tu aż z Houston.

Chase'owi wcale się ten pomysł nie podobał. Po co bez powodu oddawać krew? Ale wizja weekendu w chatce w górach, a do tego lot samolotem, przekonały go. A fakt, że leciała z nimi Tami Collins, najlepsza przyjaciółka jego siostry, był dodatkowym atutem. Kurde, dałby sobie wbijać igły przez cały dzień, byle tylko znów zobaczyć ją w kostiumie kąpielowym. Rany, wyglądała bosko, kiedy poprzedniego wieczoru przyłączyła się do niego i jego siostry w jacuzzi.

Mógłby nawet przysiąc, że przez moment bawiła się z nim w stópki. Może to był przypadek, ale miał nadzieję, że nie. I strasznie żałował, że się wtedy odsunął.

Miło było pomyśleć, że wreszcie przestała patrzeć na niego jak na młodszego braciszka swojej najlepszej przyjaciółki i zaczęła traktować go jak... faceta. Potencjalnego chłopaka. Kurde, był niecały rok młodszy od niej i ponad dwadzieścia centymetrów wyższy. Większość ludzi sądziła, że ma co najmniej szesnaście lat.

Poczuł ukłucie igły, gdy pielęgniarka szukała żyły. Nie chcąc skupiać się na bólu, zamknął oczy i zaczął myśleć o tym, jak ciemnobrązowe włosy dziewczyny spływały na jej nagie ramiona. Zadziałało.

W odróżnieniu od większości kumpli, których pochłaniały gry komputerowe i którzy zaprzeczali

zainteresowaniu płcią przeciwną, Chase porzucił tę postawę. Wolał przyglądać się pięknej dziewczynie, niż przechodzić kolejny etap Battlefield 4. Kurde, wolałby dotykać lub całować dziewczynę, niż grać w baseball. A naprawdę lubił baseball.

Kłopot w tym, że był zdecydowanie lepszy w sporcie niż choćby w przełamywaniu pierwszych lodów z dziewczyną. A przynajmniej tak powiedziała mu rok wcześniej Susie Muller po balu ósmoklasistów. Ale tanta dziewczyna nosiła aparat ortodontyczny, jak więc miał ją pocałować?

Był przekonany, że gdyby miał okazję pocałować Tami, poszłoby mu lepiej. Nie miała aparatu, a jej usta... wyglądały na takie miękkie.

W wyobraźni całował ją setki razy. Powinien być już specjalistą.

– Gotowe – powiedziała laborantka, jedną ręką klepiąc Chase'a po ramieniu, a drugą przyciskając gazik do niewielkiej kropli krwi wypływającej z miejsca ukłucia.

– Oj, nie mam plasterków. Potrzyмай to, proszę.

Położył palec na gaziku. Kobieta odwróciła się, by wyjąć plaster z szafki. Chase trzymał palec na opatrunku, ale pewnie nie dość mocno, bo zaczął spod niego wypływać czerwony strumyczek krwi.

– Przyciśnij trochę mocniej – powiedziała wciąż odwróconą do niego plecami laborantka, zupełnie jakby wiedziała, że krwawił. A potem odwróciła się, rozpakowując plaster. Kiedy przyklepiła opatrunek, Chase spojrzał na nią. Gdy uniosła wzrok, prawie krzyknął na widok jej pałających oczu. Wcześniej były intensywnie zielone, ale teraz miały kolor fluorescencyjnej zieleni limonki.

Jakby zażenowana, odwróciła wzrok i zdawała się z rozmysłem na niego nie patrzeć. A przynajmniej tak to wyglądało.

– Możesz już iść – powiedziała, wyciągając z szafki kolejne plasterki i kładąc je na wózku.

Nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Nie był wystraszony, bo był już za duży na strach, ale czuł się trochę nieswojo, gdy wstawał z krzesła i szybko opuszczał gabinet.

Wyszedł na korytarz i usłyszał z drugiego końca niski głos taty. Jego ojciec stał w drzwiach innego gabinetu z mężczyzną w białym fartuchu laboratoryjnym.

– Dasz mi znać o wynikach jak najszybciej, prawda? – zapytał ojciec.

– Oczywiście – odparł mężczyzna.

„O jakich wynikach?” Byli tu przecież z powodu jakichś badań naukowych. Patrząc, jak mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, Chase poczuł, że nie powinien ich podsłuchiwać. Odwrócił się i ruszył na poszukiwania poczekalni, w której była jego mama, a miał nadzieję, że także i Tami.

– Płakałeś? – zapytała Mindy, jego starsza siostra, gdy podszedł do stojących z nią mamy i Tami.

Rzucił siostrze ponure spojrzenie i pokazałby jej środkowy palec, ale pohamował się ze względu na mamę.

– Na pewno nie tak bardzo jak ty – fuknął, spoglądając na jej opatrunek.

Jego siostra, mająca ledwie ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, często bywała wkurzająca, ale przy Tami stawała się jeszcze gorsza. Nie wiedział czemu. Czyżby się zorientowała, że Chase podkochiwał się w Tami i chciała, by gorzej wypadł?

– Bolało? – zapytała Tami, spoglądając najpierw na jego siostrę, a potem na niego.

– Trochę – odparła Mindy i odrzuciła na ramię swoje ciemne włosy.

– Nie bolało – powiedział Chase.

Jego siostra przewróciła oczami.

– Uważaj, bo jeszcze poprosi, żebyś pocałowała kuku – zachichotała.

O, tego było już za wiele. Miał w nosie, czy jego mama to zobaczy. Pokazał siostrze środkowy palec i skrzywił się do niej okrutnie.

– Chase! – zaprotestowała mama, ale ją zignorował. Jeśli chciała, żeby on się odpowiednio zachowywał, to musiała najpierw zacząć panować nad swoją pierworodną, która celowała w byciu skończoną suką.

Jego siostra była zachwycona tym, że Chase dostał reprimendę. Chłopak zauważył jednak, że Tami tylko się uśmiechnęła.

– Co to za badania? – zapytała Tami, kierując ciemnobrązowe oczy na jego mamę.

– Och, ogólne badania dotyczące genetyki – odparła matka.

A tata pytał o wyniki. Coś tu się nie zgadzało.

– Chodzi o ustalenie, czy dostaniecie raka albo czegoś w tym guście? Moja mama robiła testy, by sprawdzić, czy grozi jej rak piersi. Wyszło, że nie. Jej biust jest bezpieczny – powiedziała Tami.

Prawie się roześmiał, ale ledwie usłyszał, jak Tami mówi „piersi” i „biust”, naszła go ochota, by spojrzeć na skrytą pod czerwonym swetrem pierś Tami. Nie chciał jednak zostać przyłapany na gapieniu się, więc sięgnął po jakiś magazyn sportowy i zaczął udawać, że interesuje go okładka. Ale prawda była taka, że wolałby gapić się na jej piersi niż na brzydką gębę Billy’ego Hamiltona. Nie obchodziło go, jak dobrym był baseballistą.

– Nie, nie chodzi o raka – powiedziała jego mama.

– A o co? – zapytała niewinnie Tami.

Chase uniósł głowę, również zaciekawiony, myśląc, że mama mogła się już czegoś dowiedzieć.

– To tylko badania naukowe. – W głosie mamy słychać było frustrację, chociaż zupełnie nie rozumiał, czemu denerwowała się na Tami, skoro sama dwa tygodnie wcześniej te same pytania zadawała tacie. Co dziwne, ojciec odpowiedział wtedy równie mętnie, jak teraz mama.

Ojciec Chase’a wyszedł z laboratorium z opatrunkiem na ramieniu. W tym momencie chłopak zorientował się, że nie poddawano badaniom jego matki. Jeśli to naprawdę miało być losowe, to czemu jej też nie przebadali? Już miał o to spytać, ale uznał, że tata będzie bardziej skłonny do odpowiedzi, gdy będą sami.

Mama podała ojcu płaszcz.

– Dzięki. – Narzucił go na siebie, a potem schylił się, by ucałować ją w policzek. I to porządnie, bo przy swoich stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrach wzrostu wręcz górował nad mamą, która miała zaledwie metr pięćdziesiąt pięć. Chase nie miał nic przeciwko mamie, ale zawsze się cieszył, że to po ojcu odziedziczył gen wzrostu.

– Proszę, nie obcałowujcie się przy wszystkich – zawołała Mindy. – To żenujące.

Mama się skrzywiła, a tata uśmiechnął się szeroko.

– Nic nie poradzę na to, że twoja mama wciąż tak na mnie działa. Chcesz zobaczyć prawdziwy pocałunek?

– Proszę, nie! – zawołała poważnie Mindy, kiedy ojciec objął mamę ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Przestań – zachichotała mama.

– Chciałabym to zobaczyć – powiedziała Tami. – Uważam, że to urocze.

Tata Chase'a się roześmiał.

– Jako że z powodu badań musieliśmy zrezygnować ze śniadania, to co powiecie na wczesny obiad?

– Umieram z głodu – zawołała Mindy. – Ale chcemy z Tami iść na jarmark uliczny w Old James Town. To chyba z okazji Halloween. Będą karuzele, nawiedzony dom, wróżenie z ręki. A na rynku ma nawet grać jakiś zespół.

„I wybierał się tam również chłopak, który mieszka w domku obok”, pomyślał Chase. Pamiętał, że Eric wspominał o tym, gdy poprzedniego wieczoru przyszedł do nich pogadać, jak siedzieli w jacuzzi. Eric nie przypadł Chase'owi za bardzo do gustu, podobnie jak sposób, w jaki patrzył na Mindy i Tami w kostiumach kąpielowych. Owszem, Chase doceniał wdzięki Tami, ale jest różnica między docenianiem a gapieniem się. Eric się gapił. Na szczęście wyglądało na to, że bardziej interesuje go Mindy niż Tami. Aczkolwiek Chase nie był też zachwycony tym, jak ten chłopak patrzył na jego siostrę. Baxterowi też nie przypadło to do gustu. Baxter, ich czarny labrador, zwykle wszystkich lubił, ale na tego chłopaka nawarczał.

Chase postanowił zastosować się do zasady: jeśli Baxter kogoś nie lubi, to on też.

Co prawda Mindy wgapienie się w nią Erica zdawało się nie przeszkadzać. Kurde, a może dziewczyny lubią, gdy się na nie gapi?

Chase słuchał, jak jego siostra zachwala rodzicom jarmark. Wątpił, czy Mindy wspomni o tym, że Eric też się tam wybiera. Ich rodzice uparli się, że Mindy nie wolno umawiać się z chłopcami, dopóki nie skończy szesnastu lat. Natomiast Mindy uparła się na chłopców. Matka spojrzała na zegarek.

– Moglibyśmy zajrzeć tam na godzinę, ale o pierwszej mamy lekcje jazdy na nartach.

– Nie chcę iść na lekcję – jęknęła Mindy. – Byliśmy już wczoraj. Czemu nie możecie nas po prostu podrzucić do miasta i zostawić na resztę dnia? Moglibyście nas odebrać po nartach. Prooooooszę!

Chase opuścił wzrok na gazetę, którą wciąż trzymał w ręku, z nadzieją, że mama się nie zgodzi. Już

wszystko idealnie zaplanował. Cztery godziny na nartach, potem spacer z Baxterem po parku odległym o dwa kilometry od domku, a po powrocie jacuzzi. Bardzo liczył na to, że Tami znów zacznie ocierać się swoją stopą o jego. I tym razem nie zamierzał cofnąć stopy.

– Ja... – Mama się zawahała.

Chase uniósł wzrok.

„Powiedz nie. Powiedz nie!”

– Przykro mi – rzekła mama. – Ale nie podoba mi się taka wizja, że spędzacie cały dzień same na jakimś jarmarku.

– Mamo – jęknęła Mindy. – Mam piętnaście lat, a nie pięć!

– To może pójdziemy na kompromis – włączył się ojciec. – Zabierzcie Chase’a i myślę, że we trójkę dacie sobie radę.

Chase uznał, że ten kompromis mu odpowiada. Straci narty, a Baxter nie pójdzie na fajny spacer, ale wycieczka na jarmark z Tami też mogła być fajna. A po powrocie mogli jeszcze iść do jacuzzi. Tak, Chase’owi ten pomysł przypadł do gustu. A jeszcze bardziej spodobało mu się to, że to on miał się opiekować siostrą, a nie na odwrót.

I chociaż jemu to odpowiadało, to Mindy nie bardzo. Przewróciła oczami.

– Nie chcę się bawić w niańkę.

Chase zmarszczył brwi.

– Nie słyszałaś? To ja będę niańczył was.

Już miał powiedzieć coś na temat tego, że Eric też tam będzie, byle tylko jej się odgryźć, ale ugryzł się w język. To, że jego siostra była jędną, nie oznaczało, że on też musiał się tak zachowywać.

– To niesprawiedliwe – warknęła Mindy. – Jestem starsza, a wy zachowujecie się zawsze tak, jakby...

– Jest wyższy i waży dwa razy tyle co ty – powiedział tata, wskazując tym samym, że Mindy odziedziczyła wzrost po matce. – A jeśli będziecie we trójkę, to będzie mniejsze niebezpieczeństwo, że coś wam się stanie.

Mindy jęknęła z niezadowolenia.

– Ale...

– Wóz albo przewóz. – Ojciec spojrzał na Mindy stanowczo, a potem rzucił okiem na żonę. – Co ty na to, kochanie? Zgadzasz się, żeby poszli we trójkę?

Mama się zamyśliła.

– Myślę, że jeśli Chase z wami pójdzie, to nie będzie problemu. – Spojrzała na Chase’a. – Zgodzisz się pójść z siostrą? Czy wolałbyś pojechać na nartach?

Zawahał się, popatrzył chwilę na Mindy, z nadzieją, że jego siostra wie, iż wystarczy jego jedno słowo i jej plany wezmą w łeb.

Oczywiście nie zamierzał tego robić. Jeśli wystarczyło wytrzymać z siostrą, byle tylko być z Tami, to był gotowy na takie poświęcenie, ale jego siostra nie musiała o tym wiedzieć. Miał nadzieję, że nie

wiedziała. Im mniejszą miała nad nim władzę, tym lepiej.

– Nie, pójdę z nimi – powiedział w końcu.

– Świetnie – zawołała Tami, wyciągnęła rękę i uścisnęła jego ramię.

Jej dotyk sprawił, że ogarnęło go jakieś słodkie uczucie i przypomniał sobie, jak się czuł, gdy jej stopa otarła się o jego. Zamrugał i spojrzał na Tami. Uśmiechnęła się do niego tak szeroko, że jej ciemnobrązowe oczy zrobiły się wręcz malutkie. Czyżby naprawdę się cieszyła, że szedł z nimi?

Cofnęła rękę i spojrzała na jego rodziców.

– Od dawna chciałam, by ktoś powrózył mi z ręki. – Odgarnęła ciemne włosy na jedno ramię, a Chase patrzył, jak spływają jej na plecy. Nagle zaczął się zastanawiać, czy są równie miękkie, jak wyglądają. – Uwielbiam jarmarki.

No dobra, może to nie na myśl o spędzeniu z nim całego dnia tak się ucieszyła. Mimo to był zachwycony tym, że przez najbliższe kilka godzin będzie w jej towarzystwie, a może nawet skradnie jeszcze kilka jej uśmiechów i musnięć. Zwłaszcza że następnego ranka mieli wracać do domu i weekend się skończy. A to oznaczało, że zobaczy ją znowu dopiero za dwa tygodnie. Okropność.

Na samą myśl było mu przykro. Dziewczyna znów zrobiła to coś z włosami, unosząc je i pozwalając, by opadły jej na ramiona. Przyglądał się jej profilowi: małemu noskowi oraz pełnym wargom, które wyglądały na miękkie i zawsze lśniły. Lekko skośne, duże, brązowe oczy o gęstych, ciemnych rzęsach.

Wsunął ręce do kieszeni spodni i próbował opanować emocje. Chase naprawdę lubił dziewczyny, ale nie cierpiał myśleć o sobie jako o jednym z tych facetów, którzy robili maślane oczy i zaczęli kręcić się wokół słowa na M. Ale niestety wyglądało na to, że właśnie szedł w tę stronę. Wcale nie był pewien, czy potrafi się zatrzymać. Spojrzał znów na uśmiechniętą Tami. Wciąż była to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział.

Nie był pewien, czy chce to powstrzymać.

Z OSTATNIEJ CHWILI: AKTUALIZACJA

Brygada ratownicza mimo złej pogody postanowiła rozpocząć misję ratunkową z nadzieją, że uda się odnaleźć ocalonych z wypadku Cessny 210 przewożącej doktora Tallmana i czworo innych pasażerów. Mimo coraz trudniejszych warunków atmosferycznych ratownicy szykują sprzęt i wyruszą w ciągu najbliższych kilku godzin. Samolot doktora Tallmana zniknął z radarów dwadzieścia minut po opuszczeniu lotniska w Jasper, wczoraj o 16.00. „Może uda nam się odnaleźć całą piątkę żywą”, mówi ochotnik pogotowia ratunkowego Tom Phillips. „Troje z nich to jeszcze nastolatki. Jeśli żyją, to na pewno z niecierpliwością oczekują na pomoc. A jeśli nie, musimy to potwierdzić i powiadomić rodziny. Trzeba dostać się tam jak najszybciej”.

W najnowszym oświadczeniu szeryf Ted Carter napisał: „Dwa helikoptery służb ratowniczych przeleciały dziś rano nad wrakiem, ale widoczność jest bardzo słaba i nie udało im się dostrzec żadnych oznak życia”. Tom Phillips poinformował nas również, że „przy normalnej pogodzie wspinaczka na pasmo Jasper zajmuje około trzech godzin, ale w takich warunkach atmosferycznych może zająć dwa razy tyle czasu”.

Rodzina i przyjaciele Tallmanów przylecieli do miasta poprzedniego wieczoru, zaraz po tym, jak zostali poinformowani o zaginięciu samolotu. „Chcę się dowiedzieć, że moja córka wciąż żyje. Muszę w to wierzyć”, mówi Cary Collins, ojciec piętnastoletniej Tami Collins. Kościół baptystów w Jasper otworzył swoje drzwi dla rodziny i odprawia mszę dla wszystkich mieszkańców, którzy chcieliby wstąpić i pomodlić się za szczęśliwy powrót rodziny Tallmanów i Tami Collins.

Rozdział 2

31 PAŹDZIERNIKA, 11:00

Rodzice Chase'a podrzucili ich na róg Pierwszej i Orzechowej i ustalili, że za cztery godziny będą na nich czekać w tym samym miejscu.

Mindy zażyczyła sobie, by najpierw poszli na rynek, gdzie zebrał się największy tłum, by posłuchać kapeli.

Żołądek Chase'a miał inne plany i wolałby, żeby kupili hot doga na którymś ze straganów. Minęli już ze trzy, a ich zapach wołał do Chase'a. Pomyślał, że cała ta krew, którą z niego utoczyli, pewnie też wzmagala apetyt, ale nie chciał kłócić się z Mindy.

Zwłaszcza że wiedział, że to nie muzyka ściągnęła tutaj jego siostrę. Chciała znaleźć Erica. Wtedy do niego dotarło, że rodzice oczekiwali, iż będzie na nią uważał. Cholera, wiedział, że to znaczyło, że ma ją trzymać z dala od szesnastolatków, którzy się na nią gapili. Z drugiej strony, czy ta zasada nieumawiania się aż do szesnastego roku życia nie była trochę głupia? Kurde, większość dziewczyn z jego klasy już miała chłopaków.

Obeszli rynek w zawrotnym tempie z Mindy na czele, przepychając się przez tłum i rozdzielając grupy przyjaciół. Mindy wpadła przypadkiem na jakiegoś chłopaka w czarnej szacie i z wystającym z piersi nożem, ale była tak zajęta poszukiwaniem pewnego blondyna z domku obok, że nawet go nie zauważyła. Wyglądało na to, że zorganizowano jakiś konkurs przebierańców, bo co najmniej jedna trzecia uczestników była przebrana za mroczne istoty.

Chase przepaszająco wzruszył ramionami, gdy Mindy przebiegła przez środek jakiejś grupy znajomych, z których część miała bladą skórę i sztuczne kły, a inni maski wilkołaków. Nie chciał wkurzyć całego stada wilkołaków i wampirów.

Raz czy dwa rzucił okiem na idącą obok niego Tami, a ona tylko wzruszała ramionami, jakby także zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo odbiło jego siostrze.

Zrobili trzy czy cztery rundki wokół placu, już stracił rachubę, ale nigdzie nie dostrzegli Erica.

Kiedy po raz trzeci weszli pomiędzy tę samą grupę stworów, które wyglądały na wkurzone brakiem dobrego wychowania jego siostry, Chase wziął ją w końcu za ramię i spróbował przemówić jej do rozumu.

– Mindy. Jego tu nie ma. Chodźmy coś zjeść.

Skrzywiła się niezadowolona i wyglądało na to, że chce mu powiedzieć coś brzydkiego, ale niejako rozumiał, że nie była zła na niego, tylko zawiedziona, że wystawił ją do wiatru facet, na którego leciała.

Pamiętał doskonale, jak ten dupek powtarzał kilka razy, że będzie na jarmarku, i prosił, by się tam pojawiła i go odnalazła.

– Przyjdziemy później i sprawdzimy, czy jest – zaproponował Chase, widząc ból w jej oczach.

Ból spowodowany odrzuceniem. Podobny do tego, jaki czuł on sam, gdy Susie Muller powiedziała mu, że nie umie całować.

– Ja też zgłodniałam – powiedziała Tami, podchodząc bliżej i sprawiając, że Chase kompletnie zapomniał o Susie.

Ciepło ramienia Tami obok jego sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy to był przypadek, czy może... może jednak lubiła dotykać go w równym stopniu, jak on lubił, gdy go dotykała.

– Dobra – powiedziała jego siostra, ale smutna mina i zrezygnowana postawa sprawiły, że na moment zapomniał o Tami, za to jeszcze bardziej znieubił Erica.

Jeśli ten chłopak wystawił jego siostrę do wiatru, to lepiej, żeby nie pokazywał swojej paskudnej gęby w okolicach ich domku aż do ich wyjazdu, bo inaczej Chase powie mu, co o nim myśli. A może nawet poszczuje na niego Baxtera.

Zamówili hot dogi – dla niego dwa i po jednym dla dziewczyn – z dodatkową musztardą i porcją nachosów. Jako że przed wyjściem z samochodu ojciec wsunął Chase’owi trzy dwudziestodolarowe banknoty, chłopak przejął rachunek. Właściwie podobało mu się płacenie za Tami. Sprawiało, że czuł się prawie jak na randce. Oczywiście gdyby byli na randce, ona trzymałaby go może za rękę, a on zastanawiałby się pewnie, jak jej skraść całusa. Ponieważ jednak nie chciał się zawieść, starał się o tym za bardzo nie myśleć.

Usiedli przy jednym z wystawionych na czas jarmarku stolików. Tami, która pożyczyła od Mindy komórkę, ponieważ jej własna się rozładowała, próbowała zadzwonić do rodziców, ale z jakiegoś powodu nie mogła się połączyć. Chase przyglądał jej się spod rzęs, skupiając się na różnych drobiazgach, jak kształt jej ust czy to, jak bawiła się włosami.

– Pewnie brak sygnału – stwierdziła i odłożyła telefon.

Usiadła obok niego, a nie obok Mindy. Czyżby nadinterpretował każdy jej ruch? A może jej się jednak podobał?

Przy stoliku obok usiadła grupa wampirów, których wcześniej widzieli na placu, kiedy szukali Erica. Mindy zagapiła się na nich, jakby widziała ich pierwszy raz w życiu, a potem zadrżała.

Nachyliła się i wyszeptała:

– Są dziwni, prawda?

Chase spojrział na nastolatki. Zgubili gdzieś swoich wilkołaczych przyjaciół, bo ci tutaj byli ubrani na czarno i przypuszczalnie upudrowani czymś na biało, by wydawali się jeszcze bardziej bladzi, i mieli

sztuczne kły. Po brodzie jednego z chłopaków spływała sztuczna krew, a na szyi pewnej dziewczyny było coś, co wyglądało na ślady kłów.

– Musi się tu odbywać jakiś konkurs przebierańców – powiedział Chase. Co prawda nie wyglądało na to, by siedzący obok mieli szansę na zwycięstwo. – Widziałyście tego zombie, któremu z twarzy zwisała skóra? Wyglądał jak prawdziwy.

– Mimo to uważam, że są dziwni – stwierdziła Mindy, spoglądając znów na stół wampirów.

– Naczytałaś się za dużo książek – powiedział Chase i ugryzł hot doga.

Pikantna musztarda wypełniła jego kubki smakowe i przypomniała, jaki jest głodny. Mimo to powstrzymał się przed wsadzeniem całego hot doga do ust, co pewnie by zrobił, gdyby był z kolegami. W towarzystwie dziewczyny swoich marzeń nie chciał wyglądać jak świnia.

– Nie – odparła Mindy, nabierając na chips trochę sera z plasterkami papryczek jalapeños. – To nie książki. Naczytałam się zbyt wielu raportów taty.

Chase sięgnął po napój.

– Raporty?

– Medyczne – odparła. – Kilka tygodni temu przechodziłam obok jego pracy, a że miał akurat pacjenta, to czekałam w jego biurze – nachyliła się i ściszyła głos. – Na biurku leżały dokumenty o jakimś wirusie, który sprawia, że ludzie łakną krwi. Ludzkiej krwi.

Tami prawie zakrztusiła się nacho.

– Mówisz, że wampiry naprawdę istnieją?

– Nie, to nie tak – odparła Mindy. – Mówię, że jest wirus, który sprawia, że ludziom odbija i pragną pić ludzką krew. Możesz to nazywać, jak chcesz.

Chase zachichotał.

– Myślę, że coś źle zrozumiałaś.

– Nieprawda – upierała się Mindy. – No wiesz, może to było o jednym z jego pacjentów z wariatkowa, ale...

– Tata jest nefrologiem, a nie psychiatrą. Leczy nerki. Nie ma pacjentów w wariatkowie.

Mindy pociągnęła długi łyk i przewróciła oczami, niezadowolona, że Chase jej nie wierzy.

– Hej, mówię tylko, co czytałam.

– Posłuchajcie – odezwała się Tami. – Szaleńcy też mogą mieć problemy z nerkami. Nie sądzę, aby choroby nerek miały jakieś uprzedzenia wobec umyślowo chorych.

Chase zachichotał i spojrzał na uśmiech zadowolonej z siebie Tami. Między innymi to u niej tak lubił: czasem mówiła zupełnie zaskakujące rzeczy.

– Pewnie tak – przyznał.

Tami sięgnęła po chipsa, a Chase uświadomił sobie, jak wspaniale było po prostu tam być. Obserwować ją. Patrzeć, jak je. Był przekonany, że mógłby patrzeć, jak obcina sobie paznokcie u stóp, i też by mu się podobało.

– Wiecie – rzekła Tami. – Słyszałam kiedyś, że są bary, w których można dostać do picia ludzką krew.

Fuj! Kto by pił krew?

– Ktoś, kto jest bardzo spragniony – odezwał się z drugiego końca stołu mroczny głos.

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Stał tam Eric, wysoki, ale nie tak jak Chase. I jasnowłosa.

Mindy spojrzała na niego z rozmarzonym uśmiechem.

– Mówił ci ktoś kiedyś, że wyglądasz jak Josh Holloway? – zapytała.

– Och, ciągle! – Eric uśmiechnął się szeroko. – Jestem zagubiony. Odnajdziesz mnie?

„Co? Ależ to było żałosne!” – pomyślał Chase.

A jednak Mindy się uśmiechnęła. Chase rzucił okiem na Tami. Zdawała się podziwiać chłopaka, ale nie tak jak jego siostra. Może wolała ciemnowłosych, a nie blondynów? Miał nadzieję.

– A więc udało ci się – powiedział Eric, nie odrywając wzroku od Mindy.

– Mówiłam, że dam radę – powiedziała jego siostra, wciąż głupio się uśmiechając.

Kurde, Chase miał nadzieję, że nie uśmiechał się w ten sposób do Tami.

Eric spojrzał w stronę drugiego stolika i przywitał się z kilkoma wampirami jedzącymi pizzę. A potem znów odwrócił się do nich i w końcu dostrzegł Chase'a i Tami. Chase skinął na powitanie głową. Wziął hot doga, starając się opanować niechęć do tego chłopaka. Wyglądało na to, że – czy mu się to podoba, czy nie – spędzą z nim resztę popołudnia.

Kiedy jednak znów podniósł wzrok i ujrzał, jak Erik wlepia gały w jego siostrę tak, jakby była prezentem, który tylko czeka, aby go rozpakować, uznał, że chyba nie da rady pozbyć się niechęci i braku zaufania do tego blondyna.

No trudno, będzie udawał. Jedno było pewne: nie zamierzał zostawić Erica i swojej siostry sam na sam. Coś mu w tym facecie nie pasowało.

A tego nie lubił.

WIADOMOŚCI

Ekipy ratownicze wyruszają z nadzieją odnalezienia ocalałych

Trzy ekipy ratownicze, a także wolontariusze z ochotniczego górskiego pogotowia ratunkowego przeszkoleni w niesieniu pierwszej pomocy, rozpoczęli wspinaczkę na górę Jacobs, by dotrzeć do wraku Cessny 210, która przewoziła rodzinę doktora Tallmana i przyjaciółkę rodziny, Tami Collins. Zdaniem Jake'a Steinsa, który prowadził już kilka podobnych misji ratunkowych w okolicy, wciąż nie wiadomo, czy w takich warunkach atmosferycznych uda im się dotrzeć do wraku. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mają się znaleźć na miejscu katastrofy za sześć do ośmiu godzin.

Ze śmigłowców, które patrolowały okolicę, nie udało się dostrzec żadnych oznak życia, są natomiast ślady ognia. Nie wiadomo, czy pożar jest wynikiem katastrofy, czy też ocaleni rozpalili ognisko, by uchronić się przed chłodem lub wezwać pomoc. Społeczność miasteczka, rodzina i przyjaciele wciąż mają nadzieję, że pasażerowie kryją się po prostu we wraku, by się schronić przed śnieżycą i zimą.

„Czasami pozostaje tylko nadzieja”, powiedział jeden z przyjaciół rodziny Tallmanów.

Rozdział 3

31 PAŹDZIERNIKA, 13:00

Siadaj z nami – zaproponowała Mindy i przesunęła się, poklepując ławkę obok siebie.

Eric nie wahał się ani chwili, tylko że bydlak posunął się trochę za daleko. Chase wątpił, czy między jego siostrę a tego faceta dałoby się wsunąć kartkę.

Posłał Ericowi ponure spojrzenie z nadzieją, że zrozumie, ale ten tylko objął Mindy ramieniem. Jego dłoń zwisała, prawie dotykając jej prawej piersi.

Na szczęście nawet Mindy musiało to przeszkadzać, bo nachyliła się po kolejne nacho, zrzucając z siebie w ten sposób rękę chłopaka.

Chase był bliski wyzwania Erica, ale aby się pohamować, skupił się na jedzeniu hot doga. Niezadowolony, zapomniał jednak o dobrym wychowaniu i wsunął do ust całą resztę bułki z parówką.

– Masz ochotę na coś do jedzenia? – zapytała Mindy Erica, przysuwając do niego czipsy.

– O tak, umieram z głodu – odparł chłopak, ale nie sięgnął po chipsa, tylko spojrzał na drugą stronę stołu. – Zamierzasz zjeść tego hot doga? – zwrócił się do Chase’a.

Chase miał pełne usta, więc nim zdążył odpowiedzieć, Mindy rzuciła:

– Och, już skończył. Zjadł już jednego.

Zanim Chase się zorientował, co się dzieje, Mindy poderwała się na równe nogi, ukradła drugiego hot doga Chase’a i położyła go przed Erikiem.

Chase zaczął intensywniej przeżuwać i spojrzał na siostrę z ponurą miną. Odpowiedziała tym samym.

Eric zdawał się nie dostrzegać bezgłośnej wymiany zdań.

Zanim Chase zdążył przełknąć i zażądać zwrotu obiadu, ten drań wziął jego hot doga i wsadził go sobie całego do ust. Policzki mu się nadęły.

„O tak”, pomyślał Chase, uświadomiwszy sobie, czemu duże kęsy wyglądają nieestetycznie. Temu złodziejowi hot dogów wypływała z ust odrobina musztardy, ale że policzki miał wypełnione niczym chomik, to pewnie nawet tego nie czuł.

– Gotowi na czytanie z ręki? – zapytała Tami, wyczuwając napięcie.

– Czytanie z ręki? – skrzywił się Eric, wciąż z pełnymi ustami. – To głupota.

Chase nachylił się.

– No to spotkamy się później. Chodź, Mindy – powiedział, a kiedy usłyszał swój głos, uświadomił sobie, że brzmi trochę jak własny ojciec. Jego ton był głęboki i poważny.

Tami poderwała się na równe nogi, jakby doskonale rozumiała i pochwałała plan Chase’a. A potem

wzięła komórkę Mindy i wrzuciła ją do kieszeni.

– Gotowa? – zwróciła się do przyjaciółki.

Ale Mindy jej nie odpowiedziała. Znow skupiła się na swoim ulubionym zajęciu, czyli rzucaniu ponurych spojrzeń bratu.

– Hej, uważam, że to głupie – odezwał się Eric, wciąż przeżuując hot doga Chase'a. – Ale pójdę z wami się pośmiać.

– Dobrze. – Mindy posłała Chase'owi jeszcze jedno chłodne spojrzenie, zupełnie jakby ostrzegała go przed próbą pakowania się między nią a chłopaka, którego najwyraźniej uznała za swojego księcia z bajki. Chociaż nie miał w sobie rycerskości nawet za grosz.

Chase już miał powiedzieć Ericowi, żeby się zwijał i poszedł do swoich kumpli-wampirów, ale kolejne spojrzenie na ponurą minę Mindy podpowiedziało mu, że skończyłoby się to piekielną awanturą. Nie chciał, żeby Tami była świadkiem ich utarczek, zagryzł więc zęby, złapał kubek z napojem i wstał.

Złodziej hot dogów mógł iść z nimi, ale Chase nie zamierzał spuszczać go z oczu. Kradzież hot doga to jedno, ale gdyby próbował czegoś z Mindy, dotknąłby go nie tylko wzrok Chase'a.

Chase nigdy nie wszczął bójki, ale kilka zakończył. Ludzie zawsze uważają, że łobuzy najchętniej atakują niedużych chłopaków, i rzeczywiście tak jest. Ale fakt, że Chase był duży, sprawiał, że stawał się celem niektórych drani, którzy chcieli dowieść, że powalą najwyższego chłopaka w klasie.

Niestety, nigdy im się to nie udało.

Chase zmierzył Erica wzrokiem. Miał na oko szesnaście lat, szerokie ramiona i pewnie troszkę więcej mięśni niż on sam. Chase'a nie obchodziło, czy tamten był starszy albo potężnej budowy. Jeśli Eric jeszcze raz coś zbroi, to zamierzał mu pokazać, gdzie jego miejsce.

– Trochę się boję – powiedziała Tami, gdy już stanęli przed straganem wróżbiarki. – Idź pierwszy.

Posłała Chase'owi słodki, bezradny uśmiech. Znow uderzyło go, jaka ona piękna. Jej ojciec był Amerykaninem, a matka Hawajką, ich córka zaś idealną mieszanką. Miała lekko oliwkową cerę, prawie czarne włosy i ciemnobrązowe oczy. Chase nie mógł powiedzieć, że jest w jego typie. Nie wiedział, czy ma jakiś typ. Ale Susie Muller też była brunetką o ciemnych oczach, chociaż nie umywała się do Tami.

– Nie poszedłbyś pierwszy? – zapytała Tami, uświadamiając Chase'owi, że od dłuższej chwili gapił się na nią jak idiota. Pewnie nawet głupio się uśmiechał.

– Nie ma sprawy.

Wróżbiarka siedziała przy stole. Ręce położyła na czarnym obrusie. Napis na stole głosił: UWAGA: MÓWIĘ PRAWDĘ BEZ WZGLĘDU NA TO, CZY JEST DOBRA, CZY ZŁA.

Miała kruczoczarne włosy, czarne jak węgiel oczy i pomarańczowy strój. Przypominała Chase'owi Cyganekę. A może nią była.

– Tylko wy dwoje? – zapytała.

– Tak – odparł Chase.

Eric twierdził, że to głupota, więc Mindy zrezygnowała z czytania z ręki. Chase widział, że Tami potrzebowała towarzystwa, więc skoro miało jej to sprawić przyjemność... Nie miał nic przeciwko. Nie wierzył w to, ale był gotów poświęcić się dla Tami.

Chase wyciągnął dwudziestkę, by zapłacić za wróżby.

– Mogę za siebie zapłacić – powiedziała Tami. – Tata dał mi pieniądze, a twój tata nie zgadza się, żebym za cokolwiek płaciła.

– Nie trzeba – odparł Chase, wdzięczny, że ojciec zapewnił mu odpowiednią ilość gotówki.

Chowając resztę do kieszeni, rozejrzał się, by sprawdzić, co z Mindy. Serce podeszło mu do gardła, gdy stwierdził, że nigdzie jej nie ma. Kurde! Czyżby pozwolił temu dupkowi zabrać ją gdzieś samą?

Na szczęście po chwili ich zauważył. Stali jakieś cztery metry dalej i rozmawiali. Kiedy tu podchodzili, widział, jak Eric znów próbuje objąć Mindy, ale ona się odsunęła i wzięła go za rękę. Podobała mu się świadomość, że jego siostra nie jest głupia. Może podobał jej się ten baran i zgadzała się, by trzymał ją za rękę, ale nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

Chase spojrział znów na wróżbiarkę. Kobieta wskazała mu krzesło. Usiadł naprzeciwko niej. Skinęła, by podał jej dłoń. Wyciągnął rękę i oparł ją na stole.

Kobieta wsunęła dłoń pod jego rękę. Miała ciepłe, wręcz gorące palce. Z jakiegoś dziwnego powodu Chase przypomniał sobie lodowaty dotyk laborantki, która rano pobierała mu krew. I przypomniał sobie, że chciał zapytać tatę, o co chodzi z tymi badaniami.

Przestał rozmyślać, gdy kobieta, wciąż trzymając jego dłoń, poprawiła się na krześle. Mebel zgrzytnął upiornie, a on zaczął się zastanawiać, czy wróżbiarka specjalnie wybrała krzesło, które wydaje takie odgłosy. Kobieta popatrzyła na jego dłoń i przesunęła po niej kciukiem. Nagle zrobiła wielkie oczy i spojrzała na niego. Na czoło.

Westchnęła cicho, zupełnie jakby zobaczyła coś w jego głowie.

– Co? – zapytał.

– Nic. – Znów popatrzyła na jego dłoń i przyglądała jej się przez kilka długich sekund. Czyżby wymyślała jakąś głupotę? Nie przećwiczyła tego wcześniej?

„No już, powiedz, że będę żył długo i szczęśliwie, i bierz pieniądze”.

– Co pani widzi? – zapytała podekscytowana Tami.

– Widzę... – Zamilkła. – Widzę, że będziesz miał niesamowite moce. Nie wiadomo jednak, czy użyjesz ich w dobrej, czy w złej sprawie.

– To dość złowieszcze – powiedziała Tami.

Kobieta spojrzała na nią.

– Przyszłość może być trochę przerażająca. – Znów spuściła wzrok, dotknęła jego nadgarstka i przesunęła palcem do połowy linii na jego dłoni. – Natrafisz na swojej drodze życia na wiele

rozwidleń. Na niektóre szybciej. Inne będą boleśniesz. Będziesz musiał pragnąć przetrwać. Nigdy... – zniżyła głos. – Nigdy nie odwracaj się od wyzwania. Walcz o prawo do życia.

Chase skrzywił się. Ta baba była stuknięta. Opowiadała jakieś głupoty, ale mimo to przyprawiały go o dreszcze. Cofnął rękę.

– Dobra. – Spojrzał na Mindy, by się upewnić, czy gdzieś nie zniknęła, a potem popatrzył znów na Tami.

– Nadal masz na to ochotę? – Nie był zachwycony tym, co usłyszał, i wątpił, aby wróżba Tami brzmiała lepiej.

– Już zapłaciliście – powiedziała kobieta, jakby dawała do zrozumienia, że nie odda pieniędzy.

– Tak – powiedziała Tami. – Myślę, że ja też nie powinnam odwracać się od wyzwania. – Zachichotała nerwowo.

Chase wstał i odsunął dla Tami krzesło. Nim zdążył zabrać rękę, Tami usiadła, a jej ciemne włosy przesunęły się po jego dłoni. Prawie zapało mu dech. Były takie delikatne. Pragnął zostawić tam swoją rękę i czuć ich jedwabisty dotyk na swoich palcach. Przestraszył się jednak, że jego dotyk może nie być mile widziany, i cofnął dłoń.

Wróżbiarka nachyliła się i ujęła dłoń Tami. Tak jak poprzednio, zrobiła wielkie oczy, a Chase usłyszał, jak westchnęła.

Czyli to w ten sposób budowała nastrój. Udawała, że w każdej dłoni widzi ponurą przyszłość. A potem...

Nagle wysunęła rękę spod dłoni Tami.

– Przepraszam. To, co powiedziałam wcześniej, było niegrzeczne. Jeśli chcecie odzyskać pieniądze, to nie ma sprawy.

WIADOMOŚCI: AKTUALIZACJA

Brygada ratownicza zbliża się do miejsca katastrofy

Ponieważ opady śniegu zelżały, trzy ekipy zmierzające do miejsca katastrofy Cessny 210, którą leciał dr Edward Tallman z czwórką pasażerów, sprawnie posuwają się do przodu. Kierownik grupy poinformował przez radio, że mają nadzieję dotrzeć na miejsce za niecałe dwie godziny. Temperatura spadła poniżej –10 stopni, co stanowi poważne zagrożenie dla potencjalnych ocalałych.

Nie wiadomo, czy dr Tallman i pozostali pasażerowie przechodzili trening przetrwania w trudnych warunkach pogodowych. Miejscowe służby medyczne są w pogotowiu, by pomóc ocalałym. Niestety, z każdą godziną szanse na odnalezienie Tallmanów i panny Collins żywych maleją. Mimo złych rokowań rodzina i przyjaciele ofiar wciąż mają nadzieję.

„Znam Edwarda”, powiedział bliski przyjaciel doktora Tallmana. „Przecież jest lekarzem. Jeśli to w ogóle możliwe, to z pewnością robi wszystko, by zapewnić rodzinie bezpieczeństwo”.

Rozdział 4

31 PAŹDZIERNIKA, 13:30

Tami wyglądała na zaskoczoną.

– Zwrot pieniędzy? Nie – powiedziała z lekkim wahaniem. Ona też uważała, że kobieta zachowuje się trochę dziwnie. – Chcę, żeby pani skończyła. A przynajmniej tak mi się wydaje – dodała i spojrzała na Chase’a.

Nic nie powiedział, bo uznał, że nie ma do tego prawa, ale liczył, że Tami jednak zrezygnuje. Nie podobało mu się to całe gadanie o dobru i złu na jego temat i podejrzewał, że nie spodoba mu się też to, co kobieta powie na temat Tami.

– Jesteś pewna? – zapytała znów Cyganka, zwiększając tym niepokój Chase’a.

– Tak – powiedziała Tami zdecydowanie.

Kobieta skinęła głową i znów sięgnęła po rękę Tami. Zaczęła przesuwać palcem po linii na jej dłoni, ale zatrzymała się ledwie za połową centymetra. A potem zamrugała i odwróciła wzrok, jakby musiała coś przemyśleć.

Chase przyglądał się, jak przez dłuższą chwilę patrzy niewidzącym wzrokiem. Zamknęła oczy. Nabrała głęboko powietrza, a potem powoli je wypuściła. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała na Tami i wzruszyła ramionami.

– Czeka cię dobre życie. Dwoje dzieci. Chłopiec i dziewczynka.

Chase zagapił się na kobietę, zdziwiony, że jej zachowanie i ton zupełnie się zmieniły. A sądząc z miny Tami, ona też to zauważyła.

Tami przechyliła głowę na bok i przyjrzała się kobiecie.

– Czemu mam wrażenie, że pani kłamie?

Wróżbiarka zamarła. Przyłożyła rękę do serca. W jej pierścieniu z dużym rubinem odbiło się światło.

– Mówię z głębi serca.

– A czy to serce mówi prawdę? – zapytała Tami.

Kobieta uniosła brodę i ściągnęła usta.

– Odczytałam twoją przyszłość, a teraz idź i pozwól mi przyjąć nowych klientów.

– Czego mi pani nie mówi? – zapytała przestraszona Tami.

Chase chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, ale nie wiedział, czy jej się to spodoba. A potem pomyślał, że co, do cholery? Położył Tami rękę na ramieniu.

– Chodźmy już – powiedział.

– Czy ja umrę? – zapytała Tami.

Spojrzenie kobiety zrobiło się zimne, jakby odległe.

– Wszyscy umrzemy.

Popatrzyła na tłum.

– Widzisz ją? Ona umrze. – Wskazała na prawo. – Tamten chłopiec, on też umrze. Nikt nie uniknie śmierci.

Tami skrzywiła się, wstała i spojrzała na kobietę.

– Jest pani w tym beznadziejna.

– Idźcie sobie. No już! – odgoniła ich jak komary.

– Chodź. – Chase ujął Tami za łokieć.

Odeszli kilka kroków. Tami zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Odbiło mi? Nie uważasz, że ona kłamała?

Chase ostrożnie dobierał słowa.

– Myślę, że to po prostu stara wariatka, która nie odróżnia swojej głowy od główki kapusty.

Tami roześmiała się, ale po chwili spoważniała.

– Chyba już nigdy nie zdecyduję się na wrózenie z ręki.

– Ja też – dodał Chase.

Tami skrzywiła się.

– No wiesz, powiedziała tylko, że wszyscy kiedyś umrzemy. Jakby to nie było oczywiste.

– Hej, to i tak lepiej niż u mnie. Ja mogę wyrosnąć na jakiegoś drania. Równie dobrze mogła mi powiedzieć, że zostanę seryjnym mordercą albo co. Aha, no i mogę, ale nie muszę umrzeć. Jeśli odwrócę się od wyzwania, to koniec.

Tami się roześmiała.

– Masz rację. To tylko szurnięta staruszka, prawda? – Trąciła go ramieniem w ramię. To było miłe. Jakby był kimś więcej niż tylko młodszym bratem jej najlepszej przyjaciółki.

– Właśnie – powiedział i nie wiedząc, czy to nie było przypadkowe, odsunął się odrobinię, by miała trochę przestrzeni, ale wciąż się uśmiechał.

Tami rozejrzała się wokół.

– O cholera.

– Co?

– Gdzie Mindy i ten kretyn?

Kurde. Zapomniał o niej na dwie minuty. Natychmiast spoważniał i spojrzał w stronę, gdzie widział ich ostatnio. Nie było ich.

Kurde! Nie ufał Ericowi, tym bardziej teraz, kiedy okazało się, że Tami też uważa go za kretyna.

– Zadzwońię do niej. – Wyciągnął komórkę i wybrał numer siostry. Telefon zadzwonił. W kieszeni Tami.

– Och. – Tami wyciągnęła komórkę. – Przepraszam. Dała mi go i...

Chase starał się opanować panikę. Mindy musiała być w pobliżu. Musiała.

– Przepraszam – powtórzyła Tami.

– To nie twoja wina. Chodźmy jej poszukać.

Dziesięć minut później zdążyli już obejść trzy ulice i nadal nie znaleźli jego siostry.

– Czasami ona tak mnie denerwuje – mruknął Chase.

Tami westchnęła.

– Mój brat też mnie wkurzał.

Chase zaczął się zastanawiać nad wszystkim, co wiedział o Tami. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek wspominała o bracie, ale...

– Teraz się dogadujecie?

– Umarł – rzekła.

– Przykro mi... nie wiedziałem. – Zamilkł, nie wiedząc, czy ma prawo pytać, ale chciał wiedzieć.

Zależało mu. – Co się stało?

– Białaczką. Minęły już prawie cztery lata, ale nadal za nim tęsknię.

– Rany, to okropne – powiedział. – To znaczy, Mindy doprowadza mnie czasem do szału, ale bez niej nie wyobrażam sobie życia.

– No właśnie. – Po dłuższej chwili Tami zaproponowała, by wrócili do stoiska wróżbiarki, bo może Mindy też ich szuka.

Chase się zgodził, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Ale jeśli Mindy tam nie będzie, to zadzwoni do taty.

Nie wiedział, czy to ponura postawa szalonej wróżbiarki tak na niego wpłynęła, ale miał złe przeczucia. Czuł, że wydarzy się coś okropnego. Jakby dla podkreślenia tej myśli, zawiął zimny wiatr.

Kiedy szli do miejsca, gdzie ostatnio widzieli Mindy, zauważył, że Tami szczelniej opatula się kurtką.

– Chcesz mój płaszcz? – Zatrzymał się i zaczął go zdejmować.

– Nie, wystarczy, że zapnę suwak. Ale dzięki, to miłe. – Uśmiechnęła się tak słodko, że aż go ścisnęło w piersi. Myślał tylko o tym, jak musiała się poczuć, gdy straciła brata. Chciał ją przytulić.

– Ty jesteś miły – dodała, jakby chciała uściślić, co miała na myśli.

Gdyby nie niepokoił się tak bardzo o siostrę, napawałby się tym komplementem, ale nie, jego siostra zrobiła coś głupiego, a on nie miał teraz czasu na żadne napawanie się.

Szli dalej. Chase szedł szybko, ale Tami nadążała. W końcu dotarli do miejsca ze straganami.

Kierując się w stronę wróżbiarki, Chase usłyszał, jak ktoś go woła. Żołądek przestał mu się skręcać, gdy rozpoznał głos Mindy. Odwrócił się i zobaczył, jak biegnie w ich stronę, i nagle zrozumiał swoją

matkę, która, gdy wracali spóźnieni, zwykła mówić, że nie wie, czy ich przytulić, czy walnąć.

– Gdzie się podziałeś? – zapytała Mindy, zatrzymując się przed nimi z oburzoną miną.

– Ja? – zapytał, a że nie był już tak zaniepokojony, wrócił gniew. – Szukałem cię. Do cholery, zniknęłaś. Tata kazał nam trzymać się razem.

Spojrzała na niego wściekle, a potem rzuciła okiem na Erica, który stał obok, jakby chciała powiedzieć, żeby trzymał gębę na kłódkę przy jej nowym chłopaku.

– Poszliśmy tylko po coś do picia. Myślałam, że zdążymy wrócić, zanim skończycie z tym przepowiadaniem przyszłości.

– Masz. – Tami podała Mindy jej komórkę. – Niepokoiliśmy się, bo okazało się, że przez nieuwagę zabrałam twój telefon i nie mogliśmy się z tobą skontaktować.

„To nie był jedyny powód niepokoju” – pomyślał Chase. Martwił się, bo jego siostrze zależało na spotkaniu z facetem, który patrzył na nią, jakby była czekoladką, a jemu brakowało cukru w organizmie.

– Nikt nie musi się o mnie martwić – powiedziała Mindy, jakby obrażona na Tami.

– Wszyscy potrzebujemy kogoś, kto by się o nas martwił – odparła Tami, równie urażona.

Zapadła cisza. Ponura cisza. Cisza typu „dwie wściekle na siebie dziewczyny”.

W końcu Mindy powiedziała:

– Ustawmy się w kolejce do nawiedzonego domu. Słyszałam, jak ktoś mówił, że jest świetny. – Obróciła się na pięcie i ruszyła ulicą.

Eric poszedł za nią, ale zamiast patrzeć pod nogi, gapił się na jej tyłek.

– Nie podoba mi się ten facet! – warknął Chase przy uchu Tami.

– Mnie też – odparła. – Chodźmy do tego nawiedzonego domu, a potem powiem, że zaczął mi się okres i musimy wracać.

Chase prawie się zakrztusił. To był doskonały pomysł, ale czy musiała wspominać o swoim okresie? Jak w takich przypadkach mówiła Mindy? A, nadmiar informacji.

Tami zachichotała tuż przy jego uchu. Spojrzał na nią.

– Co? – zapytał, nie rozumiejąc, czemu jej tak wesoło.

– Przepraszam, ciągle zapominam, że chłopaki nie znoszą słuchać o tych sprawach.

– Nie, mnie to nie przeszkadza – skłamał.

– W takim razie czemu jesteś taki czerwony? – Podeszła trochę bliżej, a jej miękkie ramię ocierało się o jego biceps. W tę i z powrotem, z każdym krokiem. Serce mu podskoczyło pod wpływem ciepła tego delikatnego dotyku. Tym razem się nie odsunął. A może nawet odrobinę przysunął. I chociaż wciąż był wściekły na siostrę i jej nowego chłopaka, to uznał, że ten dzień jest jednym z najlepszych w jego życiu.

Które, zdaniem wróżbiarki, mogło już długo nie potrwać.

Nigdy nie odwracaj się od wyzwania. No, Tami była wyzwaniem, a on nie zamierzał się od niego odwrócić.

Otoczyły ich egipskie ciemności. Chase potrzebował chwili, by jego oczy się przyzwyczyły. Pierwsze, co sprawdził, to czy jego siostra i kretyn są tuż przed nim. Byli.

Bez ostrzeżenia wyskoczył na nich wampir, któremu z kłów kapłała krew. Tami krzyknęła, złapała Chase'a za ramię i przycisnęła się do jego boku.

Nawiedzone domy nigdy nie robiły na Chasie dużego wrażenia, ale po tym, jak poczuł tak blisko ciało Tami, zaczął się zastanawiać, czy znajdzie jakiś, już w Houston, który działałby przez okrągły rok. Chętnie zabierałby tam Tami przynajmniej raz w tygodniu.

Następnie rzucił się za nimi facet z piłą łańcuchową. To nie była prawdziwa piła, ale wydawała bardzo realistyczne odgłosy. Tami mocniej się go przytrzymała.

Tak, właśnie został dozgonnym miłośnikiem nawiedzonych domów.

Podążali według strzałek wskazujących kierunek zwiedzania. Przeszli przez czarną zasłonę i znów ogarnęła ich kompletna ciemność. Chase zamrugał, próbując dostrzec Mindy. Był przekonany, że weszła tu dosłownie przed chwilą. Nie widział jej, ale może to była kwestia oświetlenia. Szedł dalej wzdłuż malutkich niebieskich światełek, obok trumny, z której próbowaly ich złapać jakieś zwłoki.

Zaniepokojony, że zgubił siostrę, przyspieszył i pociągnął Tami za kolejną zasłonę. Zmrużył oczy, próbując coś zobaczyć. Mindy nie było.

I wtedy to usłyszał. Krzyk. Krzyk Mindy.

I to nie był wesoły okrzyk.

– Przestań! – wrzasnęła.

Żołądek Chase'a zwinął się na sto supełków, złapał Tami, by jej nie zgubić, i pognał za głosem siostry. Trafił na ścianę, ale okazało się, że to tylko zasłona. Odgarnął ją i wbiegł do środka, rozglądając się za potworem. Potworem imieniem Eric.

W niedużym pokoiku pełnym sprzętu technicznego było akurat tyle światła, by dostrzec sylwetki. Wyostrzyły się. Eric przyciskał Mindy do ściany, obmacywał ją, a ustami próbował zdusić jej krzyki.

– Tam – wrzasnęła Tami, ale Chase już trzymał dupka za kołnierz.

Ściskając koszulę tego drania w rękę, Chase odciągnął go od siostry.

– Hej, przestań! – krzyknął Eric, unosząc ręce.

– Mam wrażenie, że właśnie to mówiła moja siostra! – Chase zacisnął pięść.

Zza pleców słyszał, jak Tami pociesza przyjaciółkę.

– To pomyłka, myślałem, że ma na to ochotę – powiedział Eric.

– Kłamiesz! – rozległ się damski głos. Nie siostry Chase'a, lecz Tami. – Mindy pewnie miała ochotę na pocałunek, ale nie pozwoliła ci pakować łap do stanika! Powiedziała, żebyś przestał, ty podły bydlaku.

Eric zeszywniał, najwyraźniej niezadowolony, że przeżywa go dziewczyna.

– Tylko jej dotknąłem. Sama się o to prosiła.

– To ty się prosisz! – Chase wziął zamach i walnął chłopaka pięścią w twarz, prosto w zęby. To bolało jak cholera, ale też było zaskakująco przyjemne.

Eric z hukiem wylądował na tyłku.

– Złamałeś mi ząb – warknął, próbując się podnieść.

– Nie ruszaj się! – Chase podszedł bliżej i spojrział na niego z góry. – Jeśli wstaniesz, to tym razem złamię ci nos.

Chłopak nie ryzykował, słysząc, że Chase mówi serio.

Chase odwrócił się do siostry, która wciąż pociągała nosem i ocierała łzy.

– Ktoś musi zadzwonić po policję.

– Nie – powiedziała Mindy. – Nie trzeba. Dzięki tobie, on nie... nic nie zrobił. Chcę tylko wrócić do domu. Proszę. Zabierz mnie do domu.

Czuł, że powinien kogoś o tym poinformować, ale błaganie w głosie siostry sprawiło, że chciał jej po prostu pomóc.

– Dobra. – Odwrócił się znów do dupka na podłodze i wskazał go palcem. – Jeśli przed wyjazdem zobaczę cię jeszcze raz, to stłukę cię znowu. I przysięgam, że jak skończę, to będziesz tak zakrwawiony, że zawstydzisz tamtego wampira. Więc lepiej nie wracaj na noc do swojego domku.

WIADOMOŚCI:

Ochotnik górskiego pogotowia ratunkowego ranny podczas próby dotarcia na miejsce katastrofy lotniczej

Jeden z ochotników górskiego pogotowia ratunkowego spadł z dziesięciometrowego urwiska, próbując dotrzeć do miejsca katastrofy Cessny 210. Samolot rozbił się poprzedniej nocy w paśmie gór Jasper, mając na pokładzie pilota i czterech pasażerów.

Dwaj ratownicy zanieśli mężczyznę na miejsce, z którego odebrał go helikopter ratowniczy, by przewieźć go do miejscowego szpitala. Jego obrażenia nie zagrażają życiu, ale według wstępnych ustaleń mężczyzna ma złamaną nogę i obojczyk.

Tom Phillips, ochotnik z grupy poszukiwawczej dobrze znający miejscowe góry, szuka innej, bezpieczniejszej drogi do wraku. Temperatura wciąż spada, co oznacza, że warunki są coraz bardziej niebezpieczne dla potencjalnych ocalałych, a także dla członków ekipy ratowniczej, która ich poszukuje.

Rozdział 5

31 PAŹDZIERNIKA, 14:15

Wybiegli z nawiedzonego domu, a Chase wciąż je poganiał. Nie chciał znów natknąć się na Erica. Mógłby go wtedy zabić. A przede wszystkim zależało mu na zabraniu Mindy w jakieś spokojne miejsce i upewnieniu się, że nic jej nie jest.

Przeszli kawałek drogi, aż dotarli do długiego stołu przy budce z jedzeniem. Wskazał stół, myśląc, że jego siostra powinna usiąść. Gdy tylko do niego dotarł, odwrócił się do Mindy.

– Na pewno nic ci nie jest? Jeśli on... jeśli cię skrzywdził, to wrócę tam, znajdę go i skrećę mu kark.

– Nie – powiedziała Mindy, wciąż stojąc, chociaż głos jej zadrżał. – Nic nie zrobił, tylko... mnie obmacywał. Nic mi nie jest.

– Cholera! – zawołała Tami. – Chase, spójrz na swoją rękę. Krwawisz i puchną ci knykcie.

Złapała go za rękę i uniosła do oczu.

– Potrzebujesz lodu. Przyniosę trochę. – Odbiegła, a Chase znów odwrócił się do siostry.

– Przepraszam, że tyle czasu trwało, zanim cię znalazłem.

– O rany, Chase, to nie twoja wina. Byłam głupia – powiedziała, a głos drżał jej już mniej. – Weszłam z nim za zasłonę, myśląc, że mnie pocałuje, ale... – zawahała się. – Proszę, nie mów rodzicom. No wiesz, w gruncie rzeczy nic się nie stało. Nie zdążył nawet wsadzić mi ręki pod bluzkę. Byłam po prostu... taka wściekła, że na niego poleciałam i że nie mogłam go powstrzymać. Był silniejszy ode mnie.

– Przygryzła wargę. – Proszę, proszę, nie mów im. Wiesz, że dostaliby szau, a tata... kurde, tata by go zabił.

Tak, ich ojciec pewnie by Erica zabił. Chase sam miał na to ochotę.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Podeszła kilka kroków.

– Dzięki tobie tak. A byłam dziś dla ciebie taka niemiła. Przepraszam, że zachowywałam się jak suka. Obiecuję, że już nigdy nie będę cię tak traktować.

Widząc, że Mindy zachowuje się jak Mindy, ta milsza Mindy, poczuł, że zaczyna się uspokajać. Niestety, to pewnie panika sprawiała, że nie czuł bólu, bo teraz ręka zaczęła mu okropnie pulsować.

Zanim się zorientował, co planuje jego siostra, ona go przytuliła. Nie przytulali się, od kiedy mama przestała im nakazywać, by uściskali się na zgodę. Co dziwne, tym razem było znacznie milej.

Naprawdę kochał siostrę, nawet gdy zachowywała się jak suka.

– Dziękuję – powiedziała, odsuwając się.

Rozejrzała się wokół.

– Idzie Tami z lodem. – Spojrzała na jego rękę. – Przykro mi, że się zraniłeś.

– Nic mi nie jest – skłamał.

Skrzywiła się, spoglądając najpierw na Tami, a potem znów na niego.

– Słuchaj, wiem, że Tami ci się podoba... Jeśli powiesz jej, że ci o tym powiedziałam, to zaprzeczę,

ale... – Znów się rozejrzała. – Ty też jej się podobasz. Nie pochwalałam tego, ale kiedy zobaczyłam was dziś razem, uznałam, że doskonale do siebie pasujecie. Więc działaj. Masz moją zgodę, by spotykać się z moją najlepszą przyjaciółką. Ale masz być dla niej dobry!

Chase'owi aż się zakręciło w głowie na te słowa.

– Proszę. – Tami podbiegła z kubkiem pełnym lodu i papierowymi ręcznikami w ręku. – Nie mieli torebek plastikowych, więc to musi nam wystarczyć.

Zaciągnęła go do stołu.

– Siadaj i pozwól mi to opatrzyć.

Chase usiadł na ławce plecami do stołu. Tami stanęła między jego nogami i szybko wysypała lód na ręczniki.

– Nic mi nie jest, wcale nie boli. – Tym razem nie kłamał. Kiedy usłyszał, że podoba się Tami, zupełnie zapomniał o bólu.

Tami ujęła jego dłoń i położyła na niej lód, zawinięty w papierowy ręcznik.

– Byłeś wspaniały – powiedziała.

Kątem oka zauważył, że jego siostra odchodzi na bok, jakby chciała dać im trochę prywatności.

Spojrzał na Tami.

– Nieprawda. Powinienem był go przegonić dużo wcześniej.

– Mindy by się na to nie zgodziła. Poza tym... nie sądziłam, że oglądanie, jak chłopak się bije, może być takie pociągające.

– Jestem pociągający? – zapytał, zachwycony jej słowami.

– Myślę, że jesteś bohaterem – odpowiedziała z szerokim uśmiechem.

– A więc nie jestem pociągający?

Roześmiała się.

– Jesteś tym i tym. – Schyliła się i pocałowała go.

To nie był pocałunek z jęczyczkim, ale znacznie więcej niż zwykłe cmoknięcie.

I wcale się szybko nie skończył. Trwał nie tak długo, jak by tego pragnął, ale na tyle, żeby coś znaczyć.

Kiedy się odsunęła, spojrzał na nią.

– Całujesz mnie tylko dlatego, że uderzyłem Erica? Bo nie chciałbym, żeby za każdym razem, gdy zechcę całusa, trzeba było kogoś walnąć. – Uśmiechnął się, a serce waliło mu jak oszalałe.

– Nie – odparła, uśmiechając się szeroko. – Od dawna chciałam cię pocałować. I – zrobiła dziwną minę – skoro mam niedługo umrzeć, to uznałam, że nie ma na co czekać.

– Myślisz, że na wszelki wypadek mogłabyś to powtórzyć? – To był żałosny tekst, ale zadziałał.

Znów go pocałowała. Tym razem z odrobiną języczka. W pierwszej chwili się zaniepokoił – ale tak, jak sądził – szło mu całkiem nieźle. Nagle ogarnęła go pewność siebie. A nawet wyciągnął zdrową rękę i przytrzymał jej głowę.

Pocałunek przerwał im dzwonek telefonu. Mindy stała jakieś trzy metry dalej, gapiąc się na nich i uśmiechając. Gdy wyciągnęła komórkę i spojrzała na ekranik, zrobiła przerażoną minę.

Podbiegła do nich.

– To tata. Proszę, powiedz, że nie dzwoniłeś do niego w tej sprawie.

– Nie dzwoniłem – odparł i wstał. – Pewnie po prostu sprawdza, jak tam sytuacja.

Mindy nabrała głęboko powietrza i odebrała telefon.

– Cześć, tato – powiedziała nazbyt wesoło, ale rzeczywiście wyglądało na to, że wszystko z nią w porządku.

Zamilkła na chwilę.

– Okropnie. Tak, i tak jesteśmy gotowi do powrotu. – Spojrzała na Chase’a. – Dobra, do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Schowała telefon do kieszeni.

– Zabierze nas wcześniej. Mówił coś o śnieżycy i operacji, na którą go wezwali. Musimy wyjechać dziś po południu. I to szybko, bo wszyscy chcą się wydostać z miasta przed śnieżycą.

– Wcale mi się to nie podoba – powiedziała Tami.

– Mnie też nie – dodał Chase.

Nie był jeszcze gotowy na koniec weekendu.

Odłożył paczuszkę z lodem na stół. Poruszył dłonią. Nic nie było złamane, tylko potłuczone.

Mindy wpatrywała się w niego z niepokojem.

– Obiecuj, że nie powiesz o tym rodzicom.

Chase przyjrzał jej się uważnie.

– Obiecuj, że od tej pory będziesz ostrożniejsza. I nie będziesz się umawiać z dupkami.

– Obiecuję – powiedziała Mindy. – Teraz ty. Chcę to usłyszeć.

Chase wzruszył ramionami.

– Już raz obiecywałem, ale jeśli sprawi ci to przyjemność... Obiecuję, że nie powiem rodzicom. – Mindy podeszła do niego i znów go przytuliła.

– Uwielbiam szczęśliwe zakończenia – powiedziała Tami.

Kiedy szli na miejsce, gdzie mieli się spotkać z rodzicami, minęli stragan wróżbiarki. Miała klienta. Trzymała jego dłoń i pewnie opowiadała mu jakieś bzdury. A potem – jakby ich poczuła – spojrzała na nich. Podążyła za nimi wzrokiem. Chase’a bardziej zaniepokoił jednak wyraz jej twarzy. Nie była rozłoszczona ani zła. Była smutna.

Chase szybko odwrócił wzrok, zadowolony, że Tami tego nie widziała.

Nie wierzył tej kobiecie. Na pewno. Ale odwrócił się jeszcze raz i z jakichś przyczyn przypomniał sobie słowa Tami. *Uwielbiam szczęśliwe zakończenia.*

Kiedy ruszyli na spotkanie z ojcem Chase'a, Mindy zawołała, że musi iść do toalety. A ponieważ z jakiegoś powodu dziewczyny nigdy nie chodziły do łazienki samotnie, Tami poszła razem z nią. Chase siadł na ławce kilkadziesiąt metrów od toalet.

Siedział tak, szczęśliwy, rozmyślając o dwóch pocałunkach, i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Nie chodziło tylko o kolejny pocałunek, to na pewno miał w planach, ale myślał, co powinien zrobić chłopak. Zaprosić na randkę? zaproponować wyjście do kina? Nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. Rodzice byli tacy stanowczy, jeśli chodzi o Mindy i zakaz umawiania się na randki do szesnastego roku życia. Czy tak samo potraktują i jego?

Kurde! Wcale mu się to nie podobało. Przynajmniej raz poczuł, że doskonale rozumie swoją siostrę.

Minęło kilka minut. Trochę bolała go ręka. Niepokoił się też kwestią rodziców. Pomyślał, że Eric nadal może być w pobliżu. Ten koleś jest na tyle głupi, że mógłby czegoś spróbować, więc Chase wstał i skierował się w stronę toalet, by być na miejscu, gdy Tami i jego siostra wyjdą.

Wyszły dwie dziewczyny, ale to nie były jego towarzyski.

Stał w tym samym miejscu, szurając nogą, obserwując damską toaletę i próbując się nie denerwować.

Dziewczyny zawsze siedziały w łazience godzinami.

Kiedy minęło kolejne pięć minut, zaczął wpadać w panikę. Jeśli zaraz nie wyjdą, to on tam wejdzie. Zrobiło mu się gorąco na myśl o tym, że miałby wejść do damskiej toalety, ale...

– Hej – zawołała Tami.

Odwrócił się i zobaczył, jak idą w jego stronę.

– Myślałem, że byliście w łazience? – odezwał się trochę niezadowolony. Natychmiast pożałował swojego tonu, ale w końcu miał do niego prawo. Niepokoił się.

– Zobaczyłam coś, co chciałam kupić – powiedziała Tami i podeszła blisko niego. – Zobaczyłam to, jak byłam po lód.

Już chciał rzucić, że powinny mu o tym powiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie chciał, żeby Tami uznała, że stara się wszystko kontrolować.

– Chcesz to dostać teraz czy później?

Zamyślił się chwilę.

– To dla mnie?

– Tak – odparła, jakby sam powinien to wiedzieć.

Nagle poczuł się źle. Nic jej nie kupił. Co prawda nie bardzo miał okazję, ale...

– Proponuję, żebyś otworzył teraz. – Tami uśmiechnęła się ciepło i podała mu plastikową torbę.

– Tak, otwórz to teraz – wtrąciła swoje trzy grosze Mindy. – Spodoba ci się.

Chase spojrział na Mindy, a potem na Tami.

– Ale ja nic...

– Nie wygłupiaj się, otwórz. To drobiazg. Nawet nie jest tak całkiem dla ciebie, ale... poniekąd.

Chase wyciągnął z torebki skórzaną obrozę dla psa.

– To dla Baxtera – powiedziała Tami. – Ale przeczytaj napis. Zobaczyłam to, kiedy czekałam na lód, żeby opatrzeć ci rękę. Mieli je na wystawie.

Chase obrócił obrozę i przeczytał napis: NIGDY NIE ODWRACAJ SIĘ OD WYZWAŃ.

– Niesamowite, co? – odezwała się Tami. – To samo, co powiedziała tamta wróżbiarka.

– No – przyznał Chase, pocierając palcem miękką skórę.

Tami skrzywiła się.

– Założę się, że ta szurnięta staruszka zobaczyła to wcześniej i po prostu wykorzystwała, ale... to całkiem niezłe hasło. A wiem, jak wiele Baxter dla ciebie znaczy.

– To prawda. I... podoba mi się ta obroza. Dziękuję. Baxter też ci podziękuje.

Tami stanęła na palcach. Jej usta były tak blisko jego, że czuł jej delikatny oddech. Czuł też jej miękkie piersi dotykające jego klatki piersiowej. A to było naprawdę bardzo przyjemne.

– Nie ma za co – powiedziała, a potem go pocałowała.

Mindy zachichotała.

– Nie chcę wam psuć zabawy, ale nie ma czasu na to buzi buzi. Jesteśmy umówieni z tatą.

Chase skrzywił się do siostry i wsunął obrozę do kieszeni płaszcza.

A potem, nie odwracając się od wyzwania, ujął dłoń Tami. Idealnie pasowała do jego dłoni.

Ojciec prowadził jak szalenciec, by dojechać do domku. Podobno usłyszał o zbliżającej się śnieżycy podczas jazdy na nartach i odwiózł mamę do domku, by zaczęła pakować rzeczy.

– Pięć minut – zawołał, gdy weszli do środka. – Mówią, że śnieżycy może nadejść wcześniej, a ja muszę dotrzeć do domu. Nie mogę tu utknąć.

Ojciec rzucił płaszcza na kanapę.

– Amy? Gotowa do drogi? – zawołał do mamy.

– Prawie – rozległ się jej głos z sypialni.

– Lećcie – zwrócił się do dzieci. – Mówię serio, łapcie rzeczy, pakujcie do walizek i się zmywamy.

Cztery minuty. Jeśli się spóźnimy, utkniemy, czekając przez kilka godzin na pas startowy, a śnieżycy może zacząć się szybciej.

Mindy i Tami pobiegły do pokoju, w którym mieszkały. Chase ruszył do swojego. A potem uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Baxter nie czekał na niego przy drzwiach. Baxter zawsze czekał na niego przy

drzwiach.

– Gdzie Baxter? – zapytał, rozglądając się wokół i sprawdzając, czy ma jeszcze w kieszeni obrożę od Tami.

– Pakuj się – odparł ojciec.

Chase nie chciał wkurzać taty, ale zamiast iść do swojego pokoju, ruszył do mamy.

Biegała po sypialni, wrzucając ubrania do otwartej walizki.

– Mamo, gdzie jest Baxter?

Mama wrzuciła akurat naręczce ubrań w stronę łóżka i zamarła, gdy dotarło do niej pytanie. Stała tak chwilę, a potem zrobiła wielkie oczy.

– Cholera! – wybiegła z sypialni.

– Co? – zawołał Chase, biegnąc za nią.

– Wypuściłam go na siusiu i patrzyłam na niego, a potem zadzwonił twój tata i powiedział, że zaraz musimy ruszać, i kompletnie o nim zapomniałam. – Minęła ojca.

– Jesteśmy spakowani? – zwrócił się ojciec do mamy.

Zignorowała go, otworzyła tylne drzwi i wybiegła na ganek.

– Baxter? – zawołała. – Chodź do mnie!

A kiedy pies się nie pojawił, zbiegła w śnieg.

Chase ruszył za nią, wołając psa.

– Co się stało? – zapytał ojciec, wychodząc na ganek.

– Wypuściłam Baxtera i kompletnie o nim zapomniałam. – Mama biegała tam i z powrotem, wołając psa.

Chase ruszył w stronę lasu, bojąc się, że Baxter pogonił jakiegoś królika. To nie był pies, który zwykł uciekać, ale pewnie ruszył w pościg instynktownie.

– Chase? – zawołał ojciec. – Idź się spakować, a ja poszukam Baxtera. Ty też, Amy.

Chase chciał zaprotestować, że jego pies jest dziesięć razy ważniejszy niż pakowanie, ale widząc minę ojca, zrozumiał, że nie ma dyskusji.

Kiedy wracał do domku, słuchając, jak ojciec woła Baxtera, podbiegła do niego Mindy.

– Co się stało? Baxter się zgubił?

– Tak. – Chase się skrzywił.

– Cholera! – zawołała Mindy. – Jak się wydostał?

– To przeze mnie. – Matka podeszła do nich. – Tak mi przykro, Chase.

W jej głosie słychać było poczucie winy. Baxter należał do całej rodziny, ale czarny labrador na swojego pana wybrał Chase'a już w chwili, gdy przywieźli go do domu ze schroniska, w którym zostawił go poprzedni właściciel.

– To był przypadek – powiedział Chase, nie chcąc obwiniać matki.

Wiedział, że mama też bardzo kochała Baxtera.

- Chcesz, żebyśmy też go poszukały? – zapytała Tami, stojąc za jego siostrą.
- A już się spakowałyście? – zapytała mama.
- Nie – odparła Mindy.
- W takim razie szybko się pakujcie, a potem poszukamy go razem.

Chase siedział na tylnym siedzeniu z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Nie mógł uwierzyć, że jego tata robi coś takiego. Zostawić Baxtera! Jak mógł zostawić psa Chase'a? Co jakiś czas Tami ocierała się o jego ramię. To było miłe i na pewno by to docenił, gdyby tak bardzo nie cierpiał. Gdyby nie był taki wściekły na ojca.

Nagle, czując, że wybuchnie, jeśli jeszcze raz nie spróbuje przekonać ojca, uniósł głowę. Spojrzenie ojca, jakby wiedział, że Chase jeszcze nie przestał walczyć, padło na tylne lusterko i spotkało się z jego wzrokiem.

– Chase, Jimmy go znajdzie. – Ojciec odezwał się, nim Chase zdążył otworzyć usta. – Powiedział, że ruszy na poszukiwania natychmiast po naszej rozmowie. Znajdzie go. Byłbyś zadziwiony, jaki jest dobry w... odnajdywaniu rzeczy... Jak tylko minie śnieżycą, Baxter przyleci do Houston.

– Więc pozwól mi zostać i pomóc temu facetowi go szukać. Przylecę do domu z Baxterem – wykrztusił Chase. – Proszę, odwieź mnie i pozwól mi odnaleźć mojego psa.

– Nie, nie zostawię cię tutaj. Nadchodzi straszna śnieżycą i chcę wiedzieć, że cała moja rodzina jest bezpieczna.

– A jeśli nie odnajdą Baxtera przed śnieżycą? Przecież wiesz, że twój przyjaciel nie będzie szukał tak intensywnie jak my. Pewnie nawet nie lubi psów. Proszę, nie wyjeżdżajmy – błagał Chase. – Zostańmy i znajdziemy Baxtera. On należy do rodziny.

Ojciec spochmurniał.

– Cholera, tato, jego pierwszy właściciel go zostawił. Baxter pomyśli, że zrobiliśmy to samo.

Chase zauważył, że jego ojciec mocniej zaciska ręce na kierownicy.

– Chase, muszę wrócić do domu. Nie mogę nie zjawić się na tej operacji.

Chase cały się spał.

– Umrzesz, jeśli opuścisz jeden dzień w pracy? Czemu twoja cholerna praca jest ważniejsza niż Baxter?

Widział, jak oczy jego ojca wypełnia złość i współczucie.

– Ponieważ to dwunastolatka, która od czterech lat czeka na nerkę, i jeśli nie dostanie tej, to do następnej pewnie nie dożyje. Opiekowałem się nią, od kiedy skończyła osiem lat. Należę do zespołu zajmującego się przeszczepem i jestem najlepszym nefrologiem, jakiego mają. Chcę tam być, by dopilnować, aby miała najlepszą możliwą opiekę – westchnął. – Posłuchaj, wiem, że zależy ci na

Baxterze. Mnie również. I mówię ci, że Jimmy go znajdzie. Baxterowi nic się nie stanie.

Chase rozumiał dylemat swojego ojca związany z operacją, ale przecież mógł zostać sam.

– Zapytaj tego swojego kolegę, czy mogę z nim zostać.

Ojciec potrząsnął głową.

– Nie ufam... To znaczy, nie znam Jimmy'ego aż tak dobrze.

Chase zmarszczył brwi.

– Jeśli Baxter umrze, to nigdy ci nie wybaczę!

Mama odwróciła się do tyłu.

– Chase, uspokójmy się. Tata ufa Jimmy'emu. To najlepsze, co możemy zrobić.

Chase nie chciał się uspokajać. Chciał wrócić do domku. Chciał tego tak bardzo, że aż mu się skręcał żołądek.

WIADOMOŚCI: AKTUALIZACJA

Brygada ratownicza zmierzająca na miejsce katastrofy znalazła nową trasę

Brygada ratownicza, która stara się dotrzeć do wraku samolotu, którym leciał dr Edward Tallman i czwórka pasażerów, postanowiła wypróbować inną trasę, ponieważ dotychczasowa była zbyt oblodzona. Członkowie brygady donoszą, że nowa droga już została wytyczona i mają nadzieję dotrzeć do wraku w ciągu godziny.

Tom Philips z ochotniczego pogotowia ratunkowego mówi: „Jeśli ta trasa nas zwiedzie, będziemy musieli zawrócić, by dobrze w bezpieczne miejsce przed zapadnięciem zmroku”.

Helikopter ratowniczy po raz kolejny przeleciał nad miejscem katastrofy i donosi, że nie dostrzeżono żadnych oznak życia. Mimo to w mieście ludzie wciąż mają nadzieję, że kiedy ekipa dotrze na miejsce, będzie to misja ratunkowa, a nie mająca na celu sprowadzenie zwłok.

„Tak czy inaczej”, mówi Phillips, „mamy zadanie do wykonania”. Kolejne wiadomości podamy, gdy tylko uzyskamy nowe informacje.

Rozdział 6

31 PAŹDZIERNIKA, 16:00

S tarając się nie myśleć o dziewczynce, która potrzebowała operacji, Chase modlił się, by na lotnisku powiedziano im, że warunki pogodowe nie pozwalają na lot. Kiedy firma wynajmująca samochody podrzuciła ich pod lotnisko, zauważył, że temperatura gwałtownie spadła. Niestety, jego modlitwa pozostała bez odpowiedzi. I oto byli w samolocie, gotowi do startu.

Zadzwoił telefon ojca. Ten spojrzał na Chase'a.

– To na pewno Jimmy z dobrymi nowinami.

Chase z nadzieją wstrzymał oddech. Czy zdoła przekonać tatę, by wrócili po psa, jeśli został odnaleziony?

Ojciec odebrał, ale to, co usłyszał, nie mogło być pozytywne, bo się nie uśmiechał.

– Dobra, dzięki. Wiem, że będziesz.

Schował komórkę do kieszeni i spojrzał na Chase'a ze współczuciem.

Chase poczuł, jak żołądek skręca mu się jeszcze bardziej. Czy Baxterowi stało się coś złego?

– Jimmy jeszcze się na niego nie natknął, ale szuka. Obiecał nie przestawać, póki go nie znajdzie.

Chase opadł na siedzenie i wyjrzał przez okno samolotu.

Na szybę spadło kilka płatków śniegu. Sześciokątna gwiazdka przykleiła się do szyby, zaśniła w słońcu, a potem rozpuściła się, zamieniając w kropelkę.

Chase myślał tylko o tym, czy na Baxtera też pada. Albo czy wrócił do domku i nie rozumiał, czemu ich nie ma, tak samo jak poprzednim razem, gdy został porzucony.

Po kilku minutach ojciec dostał zgodę na start. Tami wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Chase'a.

– Coś mi mówi, że ten facet odnajdzie Baxtera. Naprawdę tak myślę.

Chase skinął głową, pragnąc jej wierzyć i żałując, że nie może się skupić na ich pocałunkach i zastanawiać się nad ich przyszłością. Było tyle do obmyślenia, a on wciąż martwił się o Baxtera.

Spojrzał na tatę, który, obserwując niebo, sięgnął po radio i poprosił o potwierdzenie zgody na start. Chase wstrzymał oddech z nadzieją, że może jednak się uda. Ale nie.

Ojciec skinął głową, odwiesił radio i powiedział, by wszyscy wyłączyli telefony komórkowe. Ruszali. Śnieżycy miało nadejść za pięć godzin. Byli bezpieczni.

To oznaczało, że ten Jimmy, ktoś, komu ojciec ufał na tyle, by zajął się Baxterem, ale nie Chase'em, co samo w sobie było niepokojące, miał pięć godzin na odnalezienie psa.

Samolot wystartował lekko, a szare niebo przywitało ich śnieżną mgłą. Kilka minut później Mindy

nałożyła słuchawki i pogрузzyła się muzyce, ale od czasu do czasu spoglądała na Chase'a, który wiedział, że też martwiła się o Baxtera. Ponura cisza w samolocie odpowiadała nastrojowi Chase'a. A ten pogorszył się jeszcze bardziej, gdy coś nagle szarpnęło samolotem. Ten niespodziewany ruch rzucił Chase'a na ścianę kabiny.

– Co się dzieje? – zapytała mama, a głos aż jej się zmienił z przerażenia.

– Prąd zstępujący – wycedził przez zęby ojciec, próbując zapanować nad samolotem.

Ale mały samolocik wciąż spadał, podrzucany na boki.

W kabinie rozległy się dziewczęce krzyki przerażenia.

– Mam go, mam go – zawołał ojciec, próbując wszystkich uspokoić.

Bezskutecznie. Samolot dalej spadał. Chase'a ogarnął strach, gdy jego tata walczył ze sterem. Nagle przechylili się na bok. Ramię Tami oparło się o niego. Złapała go za rękę, zaskakująco mocno. Zrobił to samo. Zdecydowany nie puszczać.

– Uważaj! – krzyknęła mama. – Góra! Góra!

Samolotem wstrząsnęło kolejne szarpnięcie. Musiał uderzyć o coś skrzydłem. Rozległ się głośny trzask, ostry odgłos pękającego metalu.

– Kocham was wszystkich – zawołała mama.

To było ostatnie, co Chase usłyszał, nim zapadła ciemność. Kompletna ciemność. Nic. A ponieważ bał się tego, co nadchodziło, poszedł tam z chęcią.

Chase nie mógł się ruszyć. Utknął. Był uwięziony w środku czegoś... jakiegoś miejsca.

Ciemność zaczęła znikać. Zobaczył światło. Zobaczył... swoją rodzinę.

– Nic wam nie jest? – krzyknął, nie rozumiejąc, czemu ma wrażenie, że coś jest nie tak. Chociaż wcale nie wyglądali źle. W odróżnieniu od niego byli w tunelu. W tunelu światła. Nie rozumiał. Skoro oni byli tam, to czemu on był... tu? Gdziekolwiek owo „tu” się znajdowało.

Strach. Panika. Przerażenie. Ogarniały go kolejne emocje i czuł, że jeśli tylko dotrze do rodziny, to będzie dobrze. Nie będzie już uwięziony. Próbował ruszyć w ich stronę, ale coś go wstrzymywało. Nie tylko wstrzymywało, ciągnęło do tyłu.

– Nie – zawołał, próbując się uwolnić.

Mama spojrzała na niego. Poruszała ustami, jakby coś mówiła, ale on jej nie słyszał. A potem skinęła ręką, jakby domagała się, by sobie poszedł. Co prawda i tak nie miał wyboru.

To, co go trzymało, wciąż go ciągnęło. Jego rodzina robiła się coraz mniejsza. Czemu mama nie chciała, by z nimi szedł? Nie chciał zostawać sam.

W oddali usłyszał szczekanie. Baxter. Myśl o Baxterze sprawiła, że znów ogarnęła go panika. Czemu martwił się o Baxtera? Zmrużył oczy, próbując dostrzec, czy pies jest z jego rodziną. Chyba nie. Ale byli

teraz tak mali, że może po prostu nie widział.

Szczekanie dochodziło chyba z miejsca bliższego niż to, w którym znajdowali się jego rodzice i Mindy. Odwrócił wzrok, szukając psa. A kiedy znów spojrzął na swoją rodzinę, byli już tylko malutkimi kropkami w plamie światła.

Wciąż słyszał szczekanie.

– Baxter? – zawołał. – Gdzie jesteś?

A potem przypomniał sobie, że Baxter się zgubił. Zgubił. I nadchodziła śnieżycą. Serce ścisnęło mu się nagle na inne wspomnienie. Samolot. Katastrofa.

Serce waliło mu jak oszalałe.

Bum.

Bum.

Bum.

Światło zniknęło. A przynajmniej tamto światło. Inne sprawiło, że wewnątrz jego powiek stało się czerwone. Próbował je otworzyć, ale były takie ciężkie. Jakby coś je zakleiło.

Nim spróbował ponownie, ogarnął go ból. Ból ręki. Szyi. Głowy. Ale co dziwne, nic więcej go nie bolało. Wtedy do niego dotarło. Nie bolało, bo nic nie czuł. Nie czuł nic poniżej klatki piersiowej. Ani nóg, ani stóp.

Z trudem otworzył oczy. W jego stronę leciały białe drobinki. Śnieg. Płatek wpadł mu do oka, więc zamrugał, by się go pozbyć. Ogarnęła go jeszcze większa panika.

Jego rodzice? Mindy? Tami? Przełknął. Jego gardło ledwie działało. Próbował unieść głowę. Bolało, ale zrobił to mimo wszystko.

– Mamo? Tato? – zawołał ledwie słyszalnym głosem.

Zamrugał kilka razy, próbując wyostrzyć wzrok, ale dostrzegł tylko pognieciony kawał metalu, który kiedyś był samolotem. Samolotem, który jego ojciec tak kochał. Nazwał go Amy, na cześć matki.

– Mamo? – zawołał znowu i odwrócił głowę z nadzieją, że kogoś ujrzy. Ale nie. A potem zobaczył śnieg wokół pogniezionej sterty metalu. Był czerwony. Krwiście czerwony.

Przypomniał sobie światło. I ich w tunelu.

– Nie – krzyknął i próbował wstać, ale nie mógł poruszyć nogami.

Głowa opadła mu na śnieg. Gorące łzy potoczyły się po policzkach.

Zaczęło mu się kręcić w głowie. Znów ogarnęła go ciemność. Przystał na nią.

Hałas. Zarejestrował go umysł Chase'a. Metal zgrzytający o metal.

Znów zobaczył czerwień powiek i zmusił się, by otworzyć oczy. Na rzęsach miał śnieg, a może lód? Miał wrażenie, że twarz mu zamarzła, tracił w niej czucie.

– Kurde, Tallman. To nie tak miało być – rozległ się jakiś głos.

Chase wykorzystał całą energię, by unieść głowę. Zobaczył dwóch mężczyzn stojących obok wraku samolotu i czerwonego śniegu. Jeden był w białym płaszczu, drugi ubrany na czarno – czarne dżinsy, czarny płaszcz.

– Nie powinienem być cię w to mieszać – odezwał się mężczyzna w bieli, jakby patrzył na...

„Czy on żyje?” Chase próbował się odezwać, ale z ust wydobyło się tylko powietrze. A może jednak coś powiedział, bo obaj mężczyźni obrócili się gwałtownie, jakby krzyknął.

– Wygląda na to, że jeden żyje – odezwał się mężczyzna w bieli.

Obaj podeszli bliżej, a ich kroki zaskrzypiały na śniegu.

„Jeden? Tylko jeden?” Nie żyli. Jego mama, tata, Mindy i... Tami. Pamiętał światło.

WIADOMOŚCI

Potwierdzono śmierć czterech osób w katastrofie samolotu w górach Jasper

Po prawie sześciogodzinnej wspinaczce na miejsce katastrofy ekipy ratownicze i Górskie Pogotowie Ratunkowe dotarły do wraku Cessny 210. Szeryf Ted Carter z hrabstwa Jasper potwierdził, że dwadzieścia minut temu dostał raport o odnalezieniu czterech ciał na miejscu katastrofy samolotu pilotowanego przez doktora Edwarda Tallmana z czterema pasażerami na pokładzie. Rodzina i przyjaciele ofiar znajdujący się w Jasper zostali poinformowani. Nie przeprowadzono jeszcze identyfikacji zwłok. Niestety, ekipa ratunkowa nie przewiduje odnalezienia żadnych ocalałych. Miejsce katastrofy wyglądało gorzej, niż wstępnie oceniano. Uważa się, że ostatni pasażer mógł zostać wyrzucony z samolotu albo znaleźć się wśród zwęglonych szczątków maszyny.

Szeryf Ted Carter oświadczył: „W imieniu hrabstwa Jasper chciałbym złożyć najserdeczniejsze wyrazy współczucia rodzinie i przyjaciołom tych, którzy stracili dziś życie. Zajmujemy się dalej tą sytuacją, a nasze myśli i modlitwy są z najbliższymi tych, którzy byli na pokładzie samolotu”.

Kolejne wiadomości podamy, gdy tylko uzyskamy nowe informacje.

Rozdział 7

31 PAŹDZIERNIKA, 16:45

Czy ci ludzie naprawdę powiedzieli, że jego rodzina zginęła? Chase znów opuścił głowę. Nie, nie mógł przyjąć tego do wiadomości. Nie mógł uwierzyć, że już ich nie ma. Próbował utrzymać otwarte oczy, chciał znów zapytać, błagać, by się mylili. By ratowali jego rodzinę.

Stanęło przed nim dwóch mężczyzn.

Próbował otworzyć usta i coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Czarne plamy, jak fajerwerki, zaczęły przesłaniać mu wzrok. Nie potrafił dostrzec ich twarzy, ale widział kształty.

A potem zobaczył... oczy. Lśniące. Intensywną limonkową zielenią. Co się działo z jego wzrokiem?

Jeden z mężczyzn ukucnął obok niego, a śnieg zaskrzypiał pod jego butami. To był ten mężczyzna w laboratoryjnym kitlu. Chase nie widział jego twarzy, ale widział lśniące oczy i biały płaszcz.

– Kurde – odezwał się mężczyzna, spoglądając na tego w czerni. – To nosiciel. Wzięliśmy rękawiczki?

– Nie – odparł drugi.

Chase'owi tak kręciło się w głowie, że zamknął oczy, ale wciąż słuchał. Ich głosy zdawały się coraz odleglejsze, jakby dochodziły z radia w innym pokoju. Próbował unieść prawą rękę, ale nie mógł.

– Jesteśmy tu, mały – odezwał się jeden z nich, a Chase poczuł, że jego ciało się rusza, jakby ktoś odgarniał wokół niego śnieg. – Kurde. Jeśli go dotknę, to ryzykuję uaktywnienie wirusa. Jest w złym stanie. Może nie wytrzymać przemiany.

– Wręcz przeciwnie – odezwał się niższy głos. – To jego jedyna szansa na przetrwanie.

– Jest za słaby. To go zabije – odezwał się pierwszy głos.

– Możliwe, ale on i tak umiera. Przemień go, a będzie miał przynajmniej jakieś szanse. To nie jest najlepsze rozwiązanie, ale chyba jedyne.

Umierał. Sądził, że jeśli to usłyszy, to jakoś zareaguje. Ale nie. Pomyślał o świetlistym tunelu, w którym widział swoją rodzinę. Chciał tam iść.

Chase otworzył oczy, by powiedzieć im, że nie szkodzi. Nie mógł mówić, ale wpatrywał się w niewyraźne postacie. Jeden z mężczyzn podał coś drugiemu.

Chase zamrugał, by pozbyć się lodu z rzęs, i zobaczył, że mężczyzna w laboratoryjnym fartuchu trzyma nóż. Serce podskoczyło mu ze strachu. A potem patrzył, jak mężczyzna odwraca nóż do siebie. Przyłożył go do dłoni i objął ostrze palcami. Z zaciśniętej pięści zaczęły kapać krople krwi.

Chase nie zareagował, bo nie miało to dla niego znaczenia. Umierał i zamierzał pójść w stronę światła.

Kiedy tak patrzył, mężczyzna upuścił nóż w śnieg. A potem przycisnął krwawiącą dłoń do ramienia

Chase'a, do otwartej rany. Dotyk nie był tak ciepły, jak można się było spodziewać. I nagle stał się ciepły. Tak gorący, że aż piekło.

– Gorące – próbował powiedzieć, ale nie wiedział, czy mu się udało.

Poczuł, jak ogarnia go pieczenie. Usłyszał swój jęk.

– No dalej, mały. Trzymaj się. Jestem to winien twojemu ojcu.

Chase zakrzuszył się następnym haustem powietrza.

– Kurde! Nie umieraj mi tu.

Umieraj mi tu. Umieraj mi tu. Umieraj mi tu.

Słowa odbiły się echem w jego głowie i znów zobaczył światło. Spokojne, czyste, intensywne, ale też delikatne. Nie bolało, gdy się na nie patrzyło. Prawdę mówiąc, było piękne.

Nagle pojawili się przed nim rodzice.

– Nie – powiedziała mama. – Wracaj.

– Żyj, synu – odezwał się ojciec. – Żyj dla nas.

– Nie chcę – odparł. – Ja... nie chcę być sam.

– Zabierzcie go z powrotem! Do cholery! – ryknął ojciec, wpatrując się w tunel światła, jakby było tam coś jeszcze. – Proszę, to niesprawiedliwe.

Coś znów zaczęło go odciągać.

– Nie – błagał. – Podoba mi się tutaj.

Zatrzymał się. Znów usłyszał szczekanie. Baxter.

Zaczął się obracać w kółko, szukając psa.

– No, chodź do mnie. Chodź.

– Chase?

Odwrócił się, słysząc delikatny głos.

Tami.

Wyglądała jeszcze piękniej, niż pamiętał. Jej ciemne włosy lśniły w świetle. Uśmiechała się szeroko. Niczym anioł. Tak by ją opisał.

Podeszła do niego. Jej obecność była tak miła, że aż ścisnęło go w piersi.

Nagle spojrzała przez ramię, zupełnie jakby ktoś ją wołał.

– To mój brat – powiedziała, odwracając się. – Jest tutaj. I tak dobrze wygląda. Biega i może grać w piłkę jak przed chorobą.

Chase próbował spojrzeć jej przez ramię, by go zobaczyć, ale nie mógł. Widział tylko ją. Patrzył na jej twarz. Na oczy, w których widział szczerą radość.

A potem uśmiech zniknął.

– Musisz wrócić, Chase. Nie pamiętasz, co ona powiedziała?

– Kto co powiedział?

– Nie możesz się odwracać od wyzwania, Chase. Tak powiedziała wróżbiarka. Kupiłam obrozę dla

psa z tym napisem, pamiętasz? Masz ją w kieszeni, w płaszczu. Musisz stawić czoła temu wyzwaniu.

– Nie, nie chcę wracać. Byłbym sam. Byłbym nieszczęśliwy.

– Przez jakiś czas będziesz smutny, ale nie na zawsze. To nie zniknie, ale nauczysz się z tym żyć, a wtedy uświadomisz sobie, że życie się nie skończyło. Tak było z moim bratem. I tak będzie z tobą. Idź, Chase. Staw czoła wyzwaniu.

Potrząsnął głową.

– Ty byłaś moim wyzwaniem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Żartujesz? Nie byłam wyzwaniem. Miałeś mnie w ręku od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak grasz w baseball. Tak świetnie wyglądałeś w tym stroju. – Rzuciła okiem do tyłu, jakby ktoś ją wołał.

– Wracaj.

– Nie – powiedział.

Posmutniała.

– Posłuchaj, nie wiem, czy powinnam ci to mówić, ale tu widzi się różne rzeczy. Urywki przyszłości. Wiem na pewno, że nic ci nie będzie. Spotkasz kogoś – roześmiała się. – Tylko ci się wydaje, że ja byłam wyzwaniem. Ta dziewczyna, którą spotkasz, będzie prawdziwym. I dasz radę. Nie odwracaj się od tego.

– Znow spojrzęła do tyłu. – Muszę iść. Brat mnie woła.

Rozpłynęła się. Zniknęła. W miejscu, gdzie stała, był śnieg i drobinki lodu. Powoli opadły na ziemię.

– Nie wracam! – mruknął.

WIADOMOŚCI

Sprowadzono wszystkie pięć ciał osób, które zginęły w katastrofie Cessny 210 w paśmie gór Jasper

Pośród zwęglonych szczątków Cessny 210 ekipa ratunkowa odnalazła ciało ostatniej ofiary tragicznej katastrofy. Rodzina i przyjaciele Tallmanów i Collinsów czekają na wydanie ciał z kostnicy po przeprowadzeniu sekcji zwłok, by przetransportować je z powrotem do Teksasu na pogrzeb.

Tom Phillips, ochotnik grupy poszukiwawczej, powiedział: „Trudno teraz orzec, co spowodowało katastrofę, ale jedną z przyczyn mogły być trudne warunki atmosferyczne”. Phillips dodał, że „nie może sobie wyobrazić bólu, jaki czują rodziny zmarłych”.

Kolejne wiadomości podamy, gdy tylko uzyskamy nowe informacje.

Rozdział 8

31 LISTOPADA, 17:00

Chase ruszył tunelem światła. Nie chciał być sam. Bez ojca, matki i Mindy. Może i była upierdliwa, ale ją kochał.

Wtedy znów to usłyszał. Baxter. Szczekał jeszcze bardziej stanowczo. Chase spojrział w lewo, potem w prawo. Zawołał psa.

– Idź po Baxtera – usłyszał swoją siostrę. Stała obok niego. – Idź, Chase, idź.

Pies dalej szczekał.

Chłopak odwrócił się od światła, by spojrzeć za siebie, i to wystarczyło. Jakaś moc, nieznaną mu moc, pociągnęła go z powrotem.

W śnieg. Do głosów. Do dwóch obcych mu mężczyzn.

Chase nie otwierał oczu. Nie chciał. Bolało go. Wszystko go bolało. Głowa go bolała. Noga go bolała. Plecy bolały go jak po ciężkich ćwiczeniach.

Teraz czuł swoje ciało poniżej piersi, ale bolało tak bardzo, że aż tego żałował.

Nie możesz odwrócić się od wyzwania, Chase – usłyszał w swojej głowie głos Tami i przypomniał sobie, co powiedziała o psiej obroży. Powoli poruszył ramieniem, zaskoczony, że w ogóle jest w stanie to zrobić, i zlokalizował kieszeń. Z wciąż zamkniętymi oczami zacisnął palce na prezencie od Tami. Przesunął kciukiem po wyrytych w skórze słowach.

– Mówiłem, że da radę – odezwał się ktoś, jakby dostrzegł jego ruch. – Zostanę z nim, a ty zdobądź ciało.

Głowa go bolała. Na pewno coś źle zrozumiał.

– Nie sądzisz, że uznają, że został wyrzucony z maszyny i dobrały się do niego zwierzęta?

– Zapominasz, że zdarzyło mi się pomagać ekipie poszukiwawczej. Nie przestają szukać, dopóki nie znajdą szczątków wszystkich ofiar. Poza tym już podzwoniłem po okolicy. W sąsiednim hrabstwie mają dla nas odpowiednie zwłoki. Położymy je pod tym, co zostało z baku, i podpalimy. Nikt się nie zorientuje, że to nie on.

Słowa odbiły się echem w głowie Chase'a. No dobra, to muszą być majaki. Pewnie uraz głowy. A potem ogarnął go straszny ból, jakby ktoś przycisnął mu czymś ciężkim klatkę piersiową. Ból był tak silny, że aż krzyknął. Kiedy w końcu odpuścił, Chase przytulił do piersi obrozę Baxtera i trzymał ją mocno.

A potem westchnął, próbując znów odpłynąć w nicość.

Poczuł dym. I chłód. Większy niż lód, na którym leżał. Gorączka. Miał gorączkę. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Pięć minut czy pięć godzin. Uznał, że to nie ma znaczenia. Nie był pewien, czy cokolwiek ma znaczenie, jeśli to, co myślał na temat swoich rodziców, siostry i Tami było prawdą.

Nie wiedział, co bolało bardziej. Jego ciało czy serce. A potem nagle uświadomił sobie, że wie. Serce. Stracił rodzinę. Stracił psa. Stracił wszystkich.

Nagle usłyszał zbliżające się w jego stronę kroki. Kolejna fala bólu zaatakowała go w szyję i spłynęła wzdłuż kręgosłupa. Wygiął się w łuk i jęknął.

– Chodź, mały. Wynośmy się stąd.

Chase poczuł, jak ktoś go podnosi niczym piórko. Otworzył oczy.

– Odłóż mnie – wyszeptał z trudem.

– Przykro mi, mały. Musimy iść.

– A co ze śladami? – zapytał drugi mężczyzna.

– Trzeba je zatrzeć. Przy tej pogodzie ratownicy nie dotrą tu wcześniej niż za jakieś dwanaście do piętnastu godzin.

Nagle Chase został poderwany z ziemi. Zupełnie jakby się unosił na wodzie. Nie, jakby leciał. Odwrócił głowę od mężczyzny, który go trzymał. Był jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią i patrzył na miejsce katastrofy. Ostatnie, co zobaczył, nim znów stracił przytomność, to dym unoszący się z wraku.

7 LISTOPADA

Chase usłyszał jakieś głosy. Otworzył oczy, niepewny, gdzie się znajduje. Uniósł głowę z poduszki i spojrzał na stolik nocny, na którym leżała obroża sprezentowana przez Tami.

Zaczęły wracać wspomnienia. Tami. Samolot. Katastrofa. Światło. Dwaj mężczyźni.

Ogarnął go potworny smutek. Tylko duma nie pozwoliła mu na to, by zwinąć się w małą kulkę i zapłakać. A potem zaczął sobie przypominać jakieś niewyraźne obrazy. Czas spędzony w tym łóżku. Ból. Gorączkę. Miał straszną gorączkę. Pamiętał mężczyznę, tego w białym kitlu, tego, który pojawił się na miejscu katastrofy, i to, jak przy nim siedział. Prawie czuł, jak robi mu chłodne okłady. Jego słowa go uspokajały. Mówił Chase'owi, że nic mu nie będzie. Że ból niedługo minie.

Nie czuł, aby było dobrze. Wciąż okropnie cierpiał.

Obok obroży zauważył szklankę. Pamiętał, że mężczyzna przyniósł mu coś do picia. Smakowało jak jakiś shake jagodowy, ale było lepsze niż cokolwiek, co w życiu jadł. A kiedy wypił szklankę, poprosił o więcej, ale mężczyzna powiedział, że nie może wypić za dużo. Chase warknął na niego niczym zwierzę, nie wiedząc, skąd mu się to wzięło.

Zza drzwi ponownie dobiegł jakiś odgłos. Chase usiadł, odpędzając wspomnienia. Nagle znów poczuł zapach jagód. Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna z kolejną szklanką.

Chase przełknął, gdy ślinka napłynęła mu do ust. Usiadł prościej. Nie prosił o to, ale mężczyzna

przysiadł na brzegu łóżka i podał mu szklanę.

Chłopak przyłożył ją do ust i zaczął łapczywie pić. Kiedy skończył, mężczyzna zabrał szklanę.

– Pamiętasz coś? – zapytał.

Chwilowa ulga, którą czuł, zniknęła. Znow ogarnął go smutek.

– Samolot się rozbił.

Mężczyzna skinął głową.

– Przykro mi. Twój ojciec był dobrym człowiekiem.

Chase przypomniał sobie, że widział tego mężczyznę w laboratorium, gdzie byli na testach.

– To pan jest Jimmy?

– Tak.

Chase'owi skręcił się żołądek.

– Mój tata nie ufał panu na tyle, by zostawić mnie pod pana opieką – powiedział bez zastanowienia.

Jimmy westchnął.

– Dopiero się poznawaliśmy. Ale zrobiłem wszystko, co mogłem, by ci pomóc. I będę ci dalej pomagał.

Chase rozejrzał się wokół.

– Czemu nie jestem w szpitalu? Przecież brałem udział w katastrofie lotniczej!

Jimmy dotknął ramienia Chase'a.

– Pamiętasz, w jak okropnym byłeś stanie? – zapytał. – A widzisz teraz jakieś rany? Czy któraś kość jest pęknięta?

Chase spojrzał na swoje ręce. Pamiętał jak przez mgłę, że nie mógł ruszyć prawą ręką i nie czuł nóg. Ogarnął go strach. Zrzucił kołdrę, odsłaniając nogi. Zgiął je w kolanach, a potem znow wyprostował. Żadnych ran. Żadnych połamanych kości. Uniósł wzrok. Jak to...

– Co się stało?

– Jest pewien wirus. Wirus grupy VI. Twój ojciec, ty i twoja siostra byliście nosicielami. To...

– Nie! – Chase przypomniał sobie, co jego siostra mówiła o tym dziwnym wirusie. Wirusie, który sprawia, że ludzie... ludzie pragną krwi. Spojrzał na szklanę, którą trzymał mężczyzna. Czy to była krew? – Nie – powtórzył. – To szaleństwo. Nie wierzę w...

– Wampiry? – zapytał Jimmy.

Chase skinął głową.

– Jak dużo wiesz? Czy ojciec ci to wyjaśnił?

– Nie – odparł Chase. – Moja siostra przeczytała jakieś dokumenty. Ale to nie może być...

– A jednak. Wiem, że to trudne. – Spojrzał na Chase'a współczująco. – Pamiętam, że kiedy mnie wyjaśniano to po raz pierwszy... to... miałem wrażenie, że to szaleństwo – westchnął. – Trochę potrwa, nim się do tego przyzwyczaisz. – Poklepał Chase'a po ramieniu. – Ale będzie dobrze. A ja będę blisko, by ci pomóc.

Umysł Chase'a kręcił się niczym wiatrak, w kółko, próbując ustalić, czy może zaufać temu mężczyźnie.

Zza drzwi dobiegł jakiś dźwięk.

– Och, ktoś chce cię zobaczyć. – Jimmy wstał i otworzył.

Do pokoju wpadł Baxter, machając ogonem tak, że całe jego ciało kręciło się z radości. Pisnął cicho, a potem wskoczył na łóżko i natychmiast zaczął lizać Chase'a po twarzy. Chase'owi łzy napłynęły do oczu, ale i je zlizzał pies.

Chase spojrzał w końcu na siedzącego obok mężczyznę. Otarł twarz.

– Znalazłeś go? – zapytał.

– Tak.

– Nic mu nie jest? – Przesunął dłonią po lśniącej sierści psa.

– Myślę, że nie. Na początku się o niego bałem. Wciąż tylko szczekał. Poprosiłem znajomego, by się nim zajął, gdy szukałem samolotu. Powiedział mi, że pies szczekał przez cały czas. W ogóle nie przestawał. Ani na minutę. Gdy tylko z tobą wróciłem, zamilkł.

Chase pamiętał, że słyszał Baxtera, kiedy był w tym dziwnym świetlnym tunelu. Zawrócił, bo chciał odnaleźć psa. Słyszał jego szczekanie. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Pies jęknął i położył łeb na kolanach Chase'a, liżąc jego dłoń.

– Zostawię was samych. Jeszcze przez kilka dni będziesz osłabiony, a później... Później pokażę ci, co teraz potrafisz.

Chase nie zrozumiał go, ale skinął głową. Mężczyzna wyszedł. Chase sięgnął do nocnego stolika po obrożę.

– To dla ciebie, stary – powiedział, czując, jak ogarnia go smutek.

Zamienił psu obrożę, a potem wtulił twarz w jego gęste futro i pozwolił sobie na łzy.

– Myślałem, że ciebie też straciłem. Ale nie. – Odsunął się, ujął psią mordę w dłoń i spojrzał mu w ciemne oczy. – To byłeś ty, prawda? To ty wołałeś mnie z powrotem. Słyszałem cię.

Wiedział, że tak było. Baxter uratował mu życie. Nie rozumiał, jakim sposobem słyszał psa na tamtej górze. Nie wiedział, jak przeżył katastrofę. Ani co się z nim działo, ani... Spojrzał na szklanę z czerwoną obwódką. Czy to była... Kurde, wciąż nie wiedział, co się z nim dzieje. Znów zgiął nogi, pamiętając, jak nie mógł nimi ruszać. A potem rękę. Była przecież złamana. W jaki sposób mógł tak szybko wrócić do zdrowia?

Wziął głęboki oddech i spojrzał na obrożę. NIGDY NIE ODWRACAJ SIĘ OD WYZWAŃ.

Żyj, synu – przypomniały mu się słowa ojca. Żyj dla nas.

– Spróbuję, tato. Spróbuję.

Czarująca

Rozdział 1

Miranda Kane leżała na podłodze w swojej osobistej poczekalni/garderobie. Zamiast medytować nad czarami, do których za chwilę miała zostać zmuszona, popełniła morderstwo.

Niedawno odkryła, że zabijanie pomaga jej się uspokoić. Oczywiście, nie zabijała naprawdę. To była tylko gra. Nie nadepnęłaby nawet na robaka. A wielki jak Teksas karaluch, z rodzaju tych latających, unosił się w kącie pokoju, jakby niepewny, czy jej zasada „żyj i daj żyć innym” dotyczyła także i jego. I owszem. Wszystkie żywe stworzenia miały prawo do życia.

Ale obserwowanie, jak wymyśleni demoniczni zmiennokształtni łapią się za pierś i padają trupem, dobrze robiło jej na serce. Zwłaszcza od kiedy Perry, przystojny zmiennokształtny blondyn, zerwał z nią i uciekł do Paryża.

Nie dość, że do niej nie dzwonił, to nawet nie odbierał telefonów. Nie wierzyła w jego tekst: „zasługujesz na kogoś lepszego”. Pewnie w tym momencie obcałowywał jakąś paryską kretynkę.

A świadomość, że doskonale całował, tylko pogarszała sprawę.

– Giń – syknęła i z przyjemnością przebiła mieczem brzuch demona o jasnych włosach i lśniących oczach, który przypominał jej Perry’ego. – Tak! – Uderzyła z radości powietrze.

Grała już od dwóch tygodni i jak dotąd, przypominający Perry’ego drań wciąż jej umykał. Ale nie tym razem.

– Zwycięstwo należy do mnie! – stwierdziła zimno.

Odgłos otwieranych drzwi przywrócił ją do rzeczywistości. Jako że było za późno, by udawać, że robiła coś innego, dalej obserwowała dotykowy ekran swojego telefonu. Nie raczyła nawet wyciągnąć szyi, by zobaczyć, kto naruszał jej prywatność. Nie musiała.

Gdyby nawet zapach słodkich perfum tego nie zdradził, to odgłos uderzających o drewnianą podłogę szpilek jasno dawał do zrozumienia, jakiego ma gościa. A że Miranda wiedziała, iż czeka ją piekło, to uznała, że równie dobrze może się cieszyć wygraną tak długo, jak się tylko da. Umierający zmiennokształtny powoli osunął się na kolana. Jego jasnyniebieskie oczy spojrzały na nią z ekranu. Były smutne. Zbolałe. A ona poczuła się winna.

„Nie, nie, nie. To miała być przyjemność. Nie miałam czuć się źle”.

– Co ty wyprawiasz? – rzuciła oschle jej matka.

– Nic – jęknęła, gdy zmiennokształtny znalazł magiczny woreczek z uzdrawiającymi ziołami, które uchroniły go przed śmiercią. Zanim zdążyła nacisnąć kilka przycisków i wygrać, uleczył się, poderwał na równe nogi i zaatakował.

– Nie! – wrzasnęła Miranda.

– Co nie?

Palec Mirandy nacisnął przycisk, by zabić, a jej postać złapała broń, ale było już za późno. Zmiennokształtny zabił ją, przeszywając jej serce mieczem. Ekran poczerwieniał. Czerwień to krew. Czerwień to śmierć. Zaparło jej dech. Poczowała ból w piersi. Do oczu napłynęły jej łzy. To uczucie było bardzo na miejscu. Prawdziwy Perry dokonał tego samego.

– Od kiedy to tracisz czas na granie w te głupie gry na telefon? – zapytała ją matka.

– Nie gram przez cały czas. – Czując na sobie wzrok matki, wstała, schowała komórkę do kieszeni dzinsów i zamrugła, by odpędzić łzy.

Spojrzała w okno, przez które jeszcze niedawno wpadało do pokoju słońce. Teraz zrobiło się ciemno. Sięgnęła do włącznika, ale jej mama przełączyła go magią.

– Wiesz, gdybyś trochę częściej używała swoich mocy, to może... – Zamilkła, jakby pożałowała swoich słów.

Dopiero wtedy Miranda spojrzała na matkę, która oceniała ją wzrokiem. Oczy jej matki, o tym samym orzechowozielonym odcieniu co oczy Mirandy, były zmrużone ze złości.

– Znów się zdenerwujesz? – zapytała ją matka. – Nie możesz. Wiesz, że zawsze, gdy się zdenerwujesz, nawalasz.

„Nie. Nawalam, bo mam dysleksję. A denerwuję się, bo wiem, że cię zawiodę”.

Po siedemnastu latach można by pomyśleć, że jej matka wreszcie się ogarnie i pogodzi się z prawdą. Urodziła fajtlapę. Miranda Kane jest fajtlapą.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Tylko tyle mogę obiecać. – Co prawda, to nie wystarczało. Nigdy nie wystarczało.

Miesiąc wcześniej zajęła trzecie miejsce w konkursie czarownic północnego Teksasu. I tylko dzięki temu brała udział w obecnym konkursie. Można by pomyśleć, że jej mama będzie dumna, ale nie. *Trzecie miejsce oznacza tylko, że byłaś drugą przegraną.* Och, Miranda nie była przyzwyczajona do tego, by skończyć w najlepszej dwudziestce piątce przegranych.

– Czy ty w ogóle ćwiczyłaś dziś czary?

– Tak. – Tylko jeden i tylko raz.

Nie miała pojęcia, jakie były czar drugi i trzeci, ale jej mama nie musiała o tym wiedzieć.

– Czemu jeszcze się nie przebrałaś? – Intensywnie zielona odcinana sukienka z poszerzaną spódnicą wciąż wisiała na wieszaku.

Zamierzała się ubrać. Nawet fajtlapa mogła znać się na modzie.

– Mam jeszcze pół godziny.

– Młoda damo, czy wiesz, kto jeszcze uczestniczy w tym konkursie?

Oj. Określenie „młoda damo” padało zawsze, gdy nadchodziły kłopoty. Miranda nie chciała kłopotów. Chciała wrócić do mordowania zmiennokształtnych.

– Nie wiem – odparła.

Nic jej to nie obchodziło. Pokonywali ją najlepsi. A nawet nie ci najlepsi. Fajłapy nie wypadają dobrze w konkursach. Kolejna rzecz, której mama już powinna się nauczyć.

– Twoją przeciwniczką jest Tabitha Evans, ta, którą złapałaś, gdy szpiegowała cię w Wodospadach Cienia. Zamknęłaś ją w klatce.

Mirandzie szczęka opadła.

– Skąd wiesz?

Nigdy o tym mamie nie mówiła. Jeśli z czegoś mogła być dumna, to z tego, że nie była papłą.

– Wiem mnóstwo rzeczy, młoda damo. I pozwolisz, żeby ta... rudowłosa kretynka cię pokonała?

„Kretynka?” Ten dobór słów wydał jej się zaskakujący. Nie dla niej. Zdarzało jej się nazywać Tabithę znacznie gorzej. Ale w ustach mamy określenie „kretynka” było bardzo ostre.

Nie mogła zaprzeczyć, że zaboli ją, gdy zostanie pokonana przez Tabithę, swojego największego wroga, ale... nic nie mogła na to poradzić. Sam fakt, że miała kogoś takiego, robił na niej niemałe wrażenie. Nie nadawała się na wielkiego wroga. Naprawdę starała się roztaczać pozytywną energię, dawać światu dobro i liczyć na to, że ono do niej wróci.

Tak naprawdę nie wiedziała nawet, czemu Tabitha tak jej nienawidzi. Ani czemu jej mama nienawidzi Tabithy. I matki Tabithy. Co tak okropnie ważnego było w ciasteczkach? Bo jeśli dobrze pamiętała, właśnie to było powodem zerwania znajomości. Miranda i Tabitha przyjaźniły się w przedszkolu. A potem nastąpiła jakaś straszna awantura o to, czyja jest kolej na przynoszenie ciasteczek, a następnego dnia Tabitha, jej mama i jej ciasteczka nie pojawiły się w przedszkolu. Ot tak. Tabitha zniknęła z życia Mirandy. Dopiero trzy lata temu, kiedy mama Mirandy zapisała ją na konkursy, ich drogi znów się spotkały. I od tamtej pory Tabitha zachowywała się jak skończona suka.

– Pozwolisz, żeby cię pokonała? – warknęła matka.

„Naprawdę musisz to podkreślać?” – pomyślała Miranda.

– Powiedziałam, że postaram się wypaść jak najlepiej. – Zamilkła na chwilę. – Wiesz, czego nie rozumiem?

– Nie. Powiem ci, czego ja nie rozumiem. Zamieniłaś pięciu drani w kangury, rzucając klątwę jednym machnięciem małego palca, ale nie potrafisz stworzyć czaru, który zamieniłby kilka jabłek w pomarańcze.

Miranda poczuła, jak gula w jej gardle robi się jeszcze większa.

– Może zdołałam to zrobić, bo wiedziałam, że moje życie, a także życie Delli i Kylie, wisi na włosku.

– A to nie jest ważne?

– O rany. Jak mogłam zapomnieć? – Miranda zaczęła ostentacyjnie grać. – Najważniejsze jest zwycięstwo, prawda? Ważniejsze od życia mojego i moich przyjaciół.

– Nie chodziło mi... – W głosie matki usłyszała skrucę.

Rany, to chyba pierwszy raz. No dobra, może nie, ale matka czasem doprowadzała Mirandę do szaleństwa. Chcąc zmienić temat, zapytała:

– Widziałaś na widowni Kylie i Dellę?

– Nie, nie wychodziłam tam. – Mama na chwilę zamilkła. – Nie chciałam...

– Nieważne – powiedziała Miranda, bojąc się, że ta rozmowa doprowadzi do starej gadki. Wywodzą się z wyższych sfer. Jej ojciec, którego Miranda bardzo kochała, gdy zdołał wygospodarować dla niej kilka minut, pochodzi z Anglii i jest potomkiem Merlina. A matka, podobnie jak babka, przez wiele lat była arcykapłanką. Miranda powinna iść w ich ślady.

To było kompletnie niemożliwe.

– Po prostu... pomyślałam... myślałam, że postarasz się bardziej, biorąc pod uwagę nagrodę.

Może i tak by było, gdyby wiedziała, co to za nagroda. Z drugiej strony... nie bardzo. Chciała tylko, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju i żeby znów mogła zabijać zmiennokształtnych. Czy prosiła o zbyt wiele? Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Zbierało się na burzę. Poranne niebo zrobiło się prawie czarne, co jakiś czas przecinała je błyskawica.

Poczuła, jak ogarnia ją ponury nastrój. Pewnie Tabitha posyłała jej złe myśli. Ta dziewczyna była szurnięta. I to porządnie.

– Biorąc pod uwagę, że jest tam ten chłopiec, którego lubisz, uznałam, że może chciałabyś go odwiedzić. Peter?

Miranda odwróciła się od okna i spojrzała na matkę.

– Nie lubię żadnego Petera. On ma na imię Perry i... Co... Jak to „odwiedzić”?

Jej mama ściągnęła usta.

– Nie przeczytałaś ulotki, którą ci wysłałam, prawda?

– Jaka jest nagroda?

– Po co ja ci to wszystko wysyłam, skoro...

– Po prostu powiedz! – Uświadomiła sobie, że to było niegrzeczne. – Proszę – dodała.

Rozdział 2

Mama Mirandy wydeła policzki.

– Płacą za przelot na następny konkurs, a tak się składa, że odbędzie się on w Paryżu.

Mirandzie zaparło dech.

– Komu opłacają przelot? Pierwszemu, drugiemu i trzeciemu, czy tylko pierwszemu miejscu? Ile finalistek przechodzi dalej?

– W konkursie bierze udział dwadzieścia dziewcząt. Z tego, co wiem, pierwsze pięć ma opłacony lot do Paryża, ale... powinnaś pragnąć zwycięstwa. Komu zależy na miejscu w pierwszej piątce? Chcesz wygrać!

„Wygrać?” Miranda miała w głębokim poważaniu zwycięstwo. Ale wyjazd do Paryża? O tak. Mogłaby wytropić swojego własnego zmiennokształtnego o jasnych włosach i lśniących oczach i... nie zabiłaby go. Może przemówiłaby mu do rozumu. Może gdyby ją zobaczył, uświadomiłby sobie, że wciąż ją kocha. Napłynęły jej łzy do oczu. Tego właśnie pragnęła najbardziej – chciała, by Perry ją kochał.

Matka patrzyła na nią uważnie.

– Wiesz co, podniosę stawkę. Jeśli zajmiesz pierwsze miejsce, to zapłacę za podróż tej niegrzecznej wampirzycy i dziwnej kameleonki, żeby poleciały z tobą.

Zszokowana Miranda zamarła. W oddali zagrzmiało. Odepchnęła od siebie ponury nastrój i spojrzała na matkę z niedowierzaniem. Jedyne, co mogło być lepsze od spotkania z Perrym, to wyjazd na spotkanie z Perrym z jej dwiema najlepszymi przyjaciółkami – Kylie i Dellą – jako wsparciem.

Miranda złapała matkę za ramię i odprowadziła ją do drzwi.

– Powinnaś już iść.

– Czemu?

– Bo muszę poćwiczyć i się ubrać. Och, i leć kupić te bilety. Wygram!

Rozległ się dzwonek informujący o tym, że do rozpoczęcia konkursu mają jeszcze pięć minut. Przerazona, że przećwiczyła tylko pierwszy czar, polegający na przemianie jabłek w pomarańcze, jęknęła cicho. Nie miała jednak na to czasu. Poderwała się z krzesła, wsunęła stopy w zielone szpilki i po raz ostatni spojrzała w lustro.

Sukienka pasowała na nią jak rękawiczka. I to ciasna rękawiczka. Za dużo lodów z powodu rozstania. Pamiętała, jak Della jej mówiła, że utyje, i jak zrzuciła jej lody na podłogę. Wtedy Miranda była na nią

wściekła, ale teraz... Chyba powinna podziękować wampirzycy, bo inaczej musiałaby stanąć przed radą w swoich szerokich dżinsach.

Wyciągnęła z torebki szczotkę i przeczesała swoje jasnorude włosy. Oczy odziedziczyła po matce, ale te czerwone pasemka po ojcu. Kiedy włosy opadły jej na ramiona, wokół twarzy ujrzała zielone, różowe i czarne kosmyki. Popatrzyła na siebie i przypomniała sobie, że w przeszłości sędziowie – zwykłe staromodne staruchy – rzucali negatywne komentarze na temat jej włosów, a nawet odjęli jej kilka punktów. Miranda miała w nosie ich zdanie i przestarzały styl.

Tym razem zrezygnowana opuściła głowę. Koniec z tym, żeby mieć to w nosie. Przynajmniej tym razem. Bo, kurde, naprawdę chciała wygrać. Musiała.

Ich opinia mogła przekreślić jej szansę na to, czego pragnęła najbardziej. Paryża z Perrym. Paryża z Perrym. I z Dellą oraz Kylie, stanowiącymi emocjonalne wsparcie.

Zamknęła oczy, uniosła mały palec i wyszeptwała:

– Włosy kolorowe przybierzcie znów stary odcień i gotowe.

Otworzyła oczy, wstrzymując oddech i modląc się, żeby nic nie sknociła. Okazało się, że kolorowe kosmyki zniknęły. Czyżby to był dobry znak, że jej pozostałe czary też się udadzą? Jednak widok swojej osoby bez kolorowych pasemek po raz pierwszy od dwóch lat sprawił, że coś zaczęło dusić ją w gardle.

Ogarnęło ją przedziwne uczucie. Kim była? Bez swoich kolorowych włosów i bez Perry'ego czuła się pusta, brakowało jej poczucia świadomości samej siebie.

I naszała ją smutna myśl. Czy była dziewczyną, która definiowała się tylko przez kolor włosów i chłopaka? Czy była aż tak płytka?

Potrzebując wsparcia, złapała za komórkę i zadzwoniła do jedynej osoby, która zawsze mówiła to, co trzeba. Mężczyzny, który nazywał ją swoim aniołkiem i nie pozwalał jej myśleć, że go zawiodła. Do tatusia.

Niestety, w tym samym momencie rozległ się kolejny dzwonek, informujący, że konkurs zacznie się za trzy minuty. Rada czarownic, stanowiąca też zespół jurorów, nie pochwałała spóźniania się. To groziło utratą punktów, a nawet wykluczeniem z konkursu.

Miranda sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej naszyjnik – wisiołek w kształcie łyżeczki do absyntu, dowód jej czarowniczego dziedzictwa. Trójkątny kryształ Swarovskiego w kolorze szmaragdu wisiał tuż poniżej jej szyi i idealnie pasował do sukienki.

– Dasz radę – wyszeptwała do obcej twarzy w lustrze i odłożyła komórkę. – Chcesz przecież odzyskać Perry'ego, prawda?

Kiedy młoda kobieta w lustrze nie odpowiedziała od razu, Miranda miała ochotę krzyknąć. „Teraz zaczynasz wątpić?” – skarciła się w myśli.

Wyprostowała się i oczyściła umysł. Pragnęła odzyskać Perry'ego, prawda? Rozległ się dzwonek na dwie minuty przed rozpoczęciem.

Nie było czasu na samoanalizę. Odwróciła się, otworzyła drzwi i wyszła. Kiedy jej stopy trafiły na coś

ciepłego, maziowatego i obrzydliwego, spojrzała w dół.

– Nie! – Wdepnęła prosto w dużą, naprawdę dużą kupę końskiego łajna.

Była upaprana po kostki. Na końcu korytarza rozległy się śmiechy.

Gotując się z wściekłości, spojrzała morderczym wzrokiem na Tabithę i jej towarzyszkę Siennę, również stałą bywalczynią konkursów.

Miranda uniosła mały palec, myśląc o pryszczach, haczykowatych nosach i cyckach dziewięćdziesięcioletniej baby, takich, które można pokazać, unosząc spódnicę. Te dwie dziewczyny zasługiwały na opadające cycki.

I wtedy bum!

W chwili, gdy myśl już miała pognać z jej umysłu, przez ramię aż do małego palca, coś sobie przypomniała. Czary rzucane na przeciwniczki groziły odjęciem punktów.

Cennych punktów. Punktów, na których stratę nie mogła sobie pozwolić. Opuściła rękę. Owionął ją smród, więc próbowała oddychać przez usta. Tabitha i Sienna dalej chichotały. Och, jakie to śmieszne.

Wcale nie!

Miranda wyprostowała się.

– Czemu nie dziwię się, że tak doskonale udał ci się ten czar? – odezwała się do Tabithy, wiedząc, że to był jej pomysł. – Och, wiem! Bo sama jesteś jednym wielkim workiem łajna! – syknęła.

Rozległ się dzwonek ostrzegający, że konkurs rozpocznie się za minutę. Obie dziewczyny pognały na swoje miejsca. Miranda miała niecałe trzydzieści sekund na to, by wyjść na scenę i zająć miejsce w kręgu. Nie miała czasu na czar oczyszczający. Uniosła wysoko głowę i wyszła na scenę, udając, że nie jest po kostki upaprana końskim nawozem.

Szalony pomysł?

Owszem.

Głupi?

Nie.

Czy była zażenowana?

Zdecydowanie.

Mimo to logika wzięła górę nad wstydem. Sędziowie odejmowali punkty za spóźnianie się. Nie słyszała, żeby kiedykolwiek odjęli za końskie łajno.

Kiedy podchodziła na swoje miejsce, w tle sączyła się spokojna muzyka. Stała prosto jak struna. Zewsząd zaczęły dobiegać niezadowolone pomruki. Czarownice po obu jej stronach zasłaniały rękami nosy, a Tabitha, stojąca na prawo od niej, uśmiechała się delikatnie.

Och, Miranda miała przemożną ochotę sprawić, by na głowę Tabithy spłynęły całe tony końskiego

łajna. Dwanaścioro sędziów siedzących na końcu sceny za długim drewnianym stołem zaczęło machać rękami na wysokości swoich twarzy. Widzowie w pierwszym rzędzie amfiteatralnego wnętrza zmarszczyli nosy, jakby właśnie dotarł do nich smród.

Cóż za wspaniały początek konkursu. Zwłaszcza dla kogoś, kto postanowił go wygrać.

– Panno Kane? – odezwała się jedna z sędzi, kiedy druga wskazała jej usmarowane łajnem buty Mirandy.

Muzyka ucichła.

– Tak, proszę pani? – odparła Miranda, a jej głos za sprawą magii poniósł się po całym audytorium.

– Czy masz tak mało szacunku dla tego konkursu, że wyszłaś na scenę w takim... stanie?

– Nie chciałam nikogo urazić – odparła Miranda, modląc się, by głos jej się nie załamał. – Starłam się tylko dostosować do zasady punktualności. Nie sądziłam, że... trafię na ekskrementy przed drzwiami do mojej garderoby.

– Sugerujesz, że zrobił to ktoś stąd?

– Na to wygląda – odparła, uświadamiając sobie pewien problem.

Pewnie zaraz zostanie poproszona o poinformowanie, kto był odpowiedzialny za to łajno.

Miranda nie była papłą. O nie.

– Dość mam tych dziecinnych gier – odezwała się inna sędzia. Kobieta uniosła palec i machnęła nim energicznie. Łajno z podłogi i z butów Mirandy zniknęło.

– Kto jest za to odpowiedzialny? – zapytała czarownica. – Straci za to dziesięć punktów.

Tylko dziesięć? Chyba końskie łajno musi być wyżej oceniane?

– Ja... obawiam się, że nie widziałam, kto rzucił czar. – Taka była prawda.

– Masz podejrzenia, kto się mógł tego dopuścić? – odezwała się inna sędzia.

Miranda czuła na sobie spojrzenia Tabithy i Sienny. Czyżby się bały? Powinny.

– Naprawdę... nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz? – zapytała kobieta.

Miranda spojrzała na widownię i zobaczyła w drugim rzędzie swoją matkę. Ta kiwała głową, jakby dawała do zrozumienia, że ma wyznać prawdę.

Jej wahanie sprawiło, że odezwała się inna sędzia.

– To głupie. Twoje milczenie będzie cię kosztowało dziesięć punktów. Mów i idźmy dalej.

„Powiedz im”, odezwał się głos w jej głowie. Te dwie czarownice na to zasługiwały, ale to było sprzeczne ze wskazaniem jej kompasu moralnego.

Otworzyła usta, a wtedy zobaczyła, kto siedzi za jej mamą. Kylie, jasna blondynka, która była... równie idealna w środku, jak i na zewnątrz. Słodka jak szarlotka. I Della, z prawie czarnymi włosami i ciemnymi oczami, delikatnie skośnymi, zdradzającymi jej półazjatyckie korzenie. Nikt nie nazwałby Delli słodką. Przynajmniej nie w jej obecności. I rzeczywiście, Della była dość nieprzystępna i zادیorna, ale to była głównie poza. Miranda nie mogła liczyć na lojalniejszą przyjaciółkę. Obie były...

jej wsparciem. Jej najlepszymi przyjaciółkami. Dziewczynami, z których brała przykład i które podziwiała.

Co by zrobiły na jej miejscu?

Odpowiedź była jasna.

Rozdział 3

Miranda postanowiła trzymać się swoich zasad.
– Poproszę o odjęcie dziesięciu punktów – powiedziała, ale znów ogarnęła ją wściekłość.
– Niech tak będzie – odparła kolejna sędzia i uderzyła młotkiem w drewniany stół.

Miranda nie spojrzała na Tabithę, bojąc się, że nie zdzierży i ześle na nią jej własny czar z końskim łajnem.

Nie dość, że tamta nie została ukarana, to jeszcze ukarano za to Mirandę. Nie zamierzała jednak zrezygnować z wygranej. To tylko znaczyło, że trzeba się bardziej starać. To znaczyło, że będzie musiała bezbłędnie wykonać wszystkie czary.

Czy da radę?

Poczuła, jak między piersiami spływa jej kropelka potu.

– Sienna Banker – wywołano osiemnastą zawodniczkę.

Kolejność wystąpień została wylosowana. A to znaczyło, że zostały jedynie Miranda i Tabitha. To tylko zwiększało napięcie.

Miranda czuła, jak kolana jej się trzęsą, gdy obserwowała, jak ta suka podchodzi do stołu. Dziewczyna wyciągnęła rękę i poruszyła małym palcem. Zaczęła recytować zaklęcie:

– Jabłka do jabłek...

Miranda z rozmysłem starała się zagłuszyć słowa zaklęcia. Jednym z jej problemów podczas zawodów było powtarzanie złych czarów. W garderobie dwa razy zamieniła jabłko w pomarańczę. Znała ten czar. Nie mogła go sknocić.

– Och, pomarańczo... – mówiła dalej dziewczyna.

„Nie. Nie. Nie. Nie słuchaj jej”. Miranda zacisnęła dłonie i zaczęła w myślach nucić piosenkę o starym Donaldzie. Zarówno piosenkę, jak i nucenie w nerwowych momentach przejęła od taty. Spojrzała znów na widownię. Nie sądziła, by się tam pojawił. Z jakichś przyczyn, nawet jeśli był na miejscu, nigdy nie przychodził na konkursy.

Rozległy się brawa.

Miranda ze spokojem przyjęła sukces dziewczyny. Nie życzyła nikomu porażki, ale sukcesy innych tylko utrudniały jej sytuację. Kolejna kropla potu spłynęła jej po dekolcie.

Nagle ogarnął ją ponury nastrój, taki sam jak wtedy, gdy spoglądała na burzowe chmury. Posłała

w stronę Tabithy mroczne spojrzenie.

Dziewczyna odpowiedziała tym samym. Najwyraźniej coś ją gnębiło. Czy to Tabitha wpływała jakoś na Mirandę? Nie wyglądało na to, żeby rzucała zakłęcie nastroju.

Ale to musiała być ona, prawda?

– Tabitha Evans – odezwała się sędzia.

No cudnie. Miranda miała być ostatnia. Przełknęła z trudem i znów zaczęła nucić w myślach. *Stary Donald farmę miał...*

Tabitha podeszła do stołu, na którym położono nowe jabłko. Wypowiedziała kilka słów, poruszyła małym palcem i pojawiła się idealnie okrągła, soczysta pomarańcza.

Zabrano pomarańczę. Na jej miejsce postawiono kolejne jabłko.

– Miranda Kane. – Na dźwięk swojego nazwiska poczuła, jak żołądek jej się skręca.

Podeszła do stołu. Teraz była bliżej widowni. Widziała twarz swojej mamy. A także Kylie i Delle. „Pojedźcie ze mną do Paryża”, pomyślała.

Uniosła rękę i wyrecytowała zakłęcie.

– Jabłuszko, jabłuszko, co spadło z drzewa, być pomarańczą ci się zachciewa.

Jako że owoc nie zamienił się od razu, na widowni rozległy się głosy zawodu. Czas stanął. Na sekundę przed tym, nim przyznała się do porażki, nad stołem pojawiła się nieduża chmura magicznej mgły. Jabłko zniknęło, a na jego miejscu pojawiła się lśniaca, idealnie okrągła pomarańcza.

Na widowni rozległy się słabe oklaski. Miranda poczuła, jak pęcznieje z dumy. Jedno miała za sobą. Zostały jeszcze dwa.

W ciągu pięciominutowej przerwy przed kolejną częścią konkursu Miranda zignorowała coraz silniejsze uczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa i zbiegła ze sceny. Nie zamierzała pozwolić, by rozproszyła ją jakaś głupia klątwa Tabithy. Zdecydowana, pobiegła do swojej garderoby, by przeczytać ulotkę o konkursie i ustalić, jaki miał być następny czar. Jeśli się pospieszy, to może nawet zdąży raz go przećwiczyć.

Prawda była taka, że jeśli chciała wygrać, to ćwiczenia by jej nie zaszkodziły. Zamknęła drzwi i podbiegła do stolika, na którym leżała nietknięta ulotka. Malutka czcionka sprawiła, że do jej mózgu próbował się wepchnąć cały tekst na raz. Cholerna dysleksja. Miranda zamknęła oczy, próbując się skoncentrować. „Po jednej linijce. Po jednej linijce”.

Otworzyła oczy, spojrzała na drugi akapit i przesunęła palcem wzdłuż wiersza, który musiała przeczytać:

Drugi czar będzie polegał...

Drzwi do jej garderoby otworzyły się gwałtownie i walnęły o ścianę. Odwróciła się i spojrzała

wściekłym wzrokiem na intruza, przekonana, że to mama, pragnąca pewnie zrobić jej awanturę za to końskie łajno.

To nie była jej matka. Tylko osoba odpowiedzialna za to łajno.

– Przestań! – syknęła Tabitha.

– Co takiego? – zapytała Miranda.

– Wiesz co – odparła tamta poważnie i wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi tak mocno, że Mirandzie aż zadzwoniło w uszach.

– Nie, nie wiem, ty suko – prychnęła Miranda.

A potem, postanowiwszy skupić się na konkursie, przestała się zastanawiać nad przyczyną wybuchu Tabithy i znów spojrzała na ulotkę.

Drugi czar będzie polegał na zamianie żywego DNA. Każda zawodniczka musi przemienić kota w inne zwierzę – wybór należy do zawodniczki.

Na twarzy Mirandy pojawił się szeroki uśmiech. Co takiego zrobiła, że sprzyjało jej szczęście? Miała szczerą nadzieję, że prawdą było, iż to zawodniczki wybiorą, w co przemienią kota. Znając życie, większość czarownic zdecyduje się na typowe rozwiązanie i zamieni zwierzątko w psa albo królika.

Przygryzła wargę i zatańczyła z radości. Nikt jej jeszcze nie zarzucił, że była typowa. Wtedy spostrzegła swoje odbicie w lustrze. Żadnych kolorowych pasemek. Wyglądała na zadowoloną. Może jednak to nie te pasemka ją definiowały? Czy to znaczyło, że Perry też nie? Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Lecieć do Paryża. Znaleźć odpowiedzi. Spojrzała jeszcze raz na ulotkę. Pewność siebie sprawiła, że wszystko wydawało się weselsze. Zamiana DNA nie była jej obca. Tak się składało, że kiedyś już próbowała tego czaru, poniosła sromotną klęskę, ale w końcu go rozgryzła. Te wszystkie ćwiczenia, tydzień po tygodniu, sprawiły, że miała ten czar wytatuowany w mózgu. Miała tylko nadzieję, że przemieni kota, a potem zwierzątko zostanie przemienione z powrotem, zanim coś zrobi. Z drugiej strony sędziowie odbierali punkty za nieukończenie czaru, a nie za opryskanie przez skunka.

Rozległ się dzwonek uprzedzający, że konkurs zostanie wznowiony za trzy minuty. Ruszyła do wyjścia. Tym razem rozejrzała się jednak uważnie, nim opuściła pokój. Ponieważ na korytarzu nie było gnoju, podążyła ku scenie, a pewność siebie dodawała jej krokom sprężystości.

Miranda zajęła miejsce wśród innych dziewcząt, tworząc pośrodku sceny krąg. Po obu jej stronach stały bliźniaczki jednojajowe, które spotkała już na kilku konkursach, więc skinęła im głową na powitanie. Candy i Sandy Gleason były wysokimi blondynkami i obie miały na koncie więcej zwycięstw niż porażek.

Jeden z sędziów wstał i zwrócił się do zebranych:

– Podczas tego konkursu żadnemu zwierzęciu nie stanie się krzywda. Wszystkie koty zostały

pobłogosławione, a następnie rzucono na nie czar nadrzędny, który sprawi, że bez względu na to, w jakiej będą postaci, po dziesięciu minutach staną się znów kotami.

Miranda nie spodziewała się po radzie niczego innego, zwłaszcza po tym, jak dwa lata wcześniej rada czarownic została pozwana przez Czarowniczy Związek Praw Zwierząt za to, że żaba pozostała w postaci księcia dłużej, niż się na to zgodziła.

Miranda uniosła wzrok i zauważyła, że Tabitha stoi dokładnie naprzeciwko niej. Tamta skrzywiła się. Miranda zignorowała i ją, i poczucie zagrożenia, które rywalka musiała na nią zsyłać.

Pierwsza została wywołana Sienna. Miranda odetchnęła z ulgą. Jedyne, co było gorsze od występowania jako ostatnia, to występowanie jako pierwsza.

Na stole pojawił się duży czarny kot. Podniósł łapkę i miauknął cicho. Sienna zamknęła oczy, uniosła dłoń i zaczęła machać małym palcem.

– Kot w psa. Najlepszy przyjaciel człowieka...

Miranda z rozmysłem nie słuchała, nie chcąc, by te słowa wpłynęły na jej czar. Kot zniknął... a raczej zniknęło pół kota. Dumnie stojąca istota była w połowie szarym pudlem, a w połowie czarnym kotem.

Na widowni zaszumiało. Sędziowie zaczęli szeptać między sobą.

– Wykonałaś zadanie, ale nie w pełni. Dostaniesz tylko połowę punktów.

Sienna skinęła głową, uniosła mały palec i zamieniła stwora z powrotem w kota. Kiedy wróciła na swoje miejsce w kręgu, Miranda ujrzała w jej oczach wyraz zawodu. Nie przepadała za Sienną, ale ponieważ niejednokrotnie to przeżywała, rozumiała, co ona czuje.

Kolejne dziesięć dziewcząt wykonało zadanie. Tylko trzy otrzymały po sto punktów. Sześć poniosło całkowitą porażkę. Miranda współczuła im wszystkim.

To był jeden z powodów, dla których nienawidziła konkursów. Wygrywanie było miłe, ale obserwowanie, jak innym się nie udaje, trochę bolało.

– Miranda Kane. – Słyszac, jak jej nazwisko odbija się echem po milczącej sali, poczuła, że jej pewność siebie gdzieś ulatuje. Podeszła bliżej. Wzięła głęboki oddech, wyciągnęła rękę i zaczęła:

– Kocie, przyjacielu drogi, przyjmij bieli i czerni kolor srogi, jesteś zwierzęciem, które kryje noc, pokaż wszystkim, jaka skunksa moc. – Poruszyła małym palcem i w tym momencie przez głowę przebiegła jej myśl. *W worku. W worku.*

Czarnego kota otoczyła chmura magii. A potem zniknęła. Mirandzie zapało dech, gdy ujrzała, co narobiła. *O kurde!*

Rozdział 4

Na stole leżał worek. A w nim coś się poruszało. Ze środka dobiegało ciche warczenie. Rozległy się zaskoczony głosy. Miranda podeszła bliżej, modląc się, żeby jej jedyną pomyłką był ten worek, i rozwiązała sznurek. Sala zamilkła. Nawet powietrze znieruchomiało. Pojawił się czarny spiczasty nosek, a potem z worka wynurzył się piękny czarno-biały skunks. Przeszedł wzdłuż stołu i z powrotem. A potem odwrócił się tyłem do sędziów i uniósł ogon.

Ciszę przerwał czyjś śmiech.

– Natychmiast zamień go z powrotem! – zawołał ktoś z rady.

Miranda wyrecytowała zaklęcie i skunks zamienił się z powrotem w kota. Zastanawiała się, czy worek będzie ją kosztował punkty. Biorąc pod uwagę dziesięć punktów, które odjęto jej za trzymanie języka za zębami, naprawdę potrzebowała wszystkich.

Sędziowie z ponurymi minami szeptali między sobą. Zdawało się, że nawet powietrze, którym oddychała Miranda, jest przepełnione nerwowością.

W końcu arcykapłanka nachyliła się i spojrzała Mirandzie w oczy.

– Wykonałaś zadanie i chociaż worek był nadprogramowy, to uznaliśmy, że nie będziemy odejmować zań punktów.

Miranda panowała nad radością, ale z widowni doleciał głośny gwizd zwycięstwa. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że Della stoi z uniesioną dłonią i uśmiecha się szeroko do przyjaciółki. Obok niej siedziała Kylie i ciągnęła ją za bluzkę, jakby chciała jej dać do zrozumienia, że takie zachowanie nie przystoi na konkursie czarownic.

– Proszę o spokój – odezwała się stara sędzia, wpatrując się w widownię.

Zapadła cisza. Miranda, zupełnie niezmięszona zachowaniem Delli, przygryzła wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. Della właśnie zasłużyła sobie na porządny uścisk. Co prawda wampirzyca twierdziła, że nie lubi się przytulać, ale Miranda wiedziała swoje.

– Tabitha Evans – ogłosiła sędzia.

Nazwisko nemezis przywołało Mirandę do rzeczywistości. Tabitha posłała jej ponure spojrzenie i ruszyła do przodu. W tym momencie Miranda domyśliła się, co też Tabitha mogła mieć na myśli, kładąc jej przestać. Czyżby sądziła, że to Miranda rzuca zaklęcie nastroju? To by oznaczało, że to nie była sprawka Tabithy. Czyżby czekało je coś gorszego niż tylko wdepnięcie w łajno?

Nie, Miranda szczerze w to wątpiła.

Na tę myśl poczuła znów groźbę niebezpieczeństwa i nadciągające nieszczęście. Rozejrzała się wokół,

próbując ustalić, czy ktoś patrzy z poczuciem winy. Czy to była sprawka jednej z zawodniczek? Ale jeśli to naprawdę było zakłęcie nastroju, to czemu nie reagowali na nie wszyscy?

Owszem, zakłęcie nastroju można było rzucić na konkretną osobę, ale to wymagało naprawdę sporej mocy. A jeśli nawet, to z jakiego powodu zostało wycelowane w nią i Tabithę? Jeśli natomiast nie było to zakłęcie nastroju, ale dar wyczuwania niebezpieczeństwa, który miała Miranda, to dlaczego Tabitha też to czuła?

Zdolność do przepowiadania niebezpieczeństwa, którą Miranda odziedziczyła po ojcu, nie była wcale popularna. Ha, czy to nie byłoby beznadziejne, gdyby się okazało, że Tabitha jest jej daleką krewną?

Właściwie byłoby znacznie gorzej, gdyby jej złe przeczucia się sprawdziły. Spojrzała na widownię, na Delle i Kylie. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, to przynajmniej mogła liczyć na pomoc. Kurczę, naprawdę jej się udało z tymi dwiema przyjaciółkami.

Tabitha zaczęła mówić. Słysząc ją było głośno i wyraźnie.

– Czarny kocie, nie idź stąd, lecz zmień się teraz w Pepe Le Swąd.

Miranda zmarszczyła brwi. Nie miała wyłączości na przemianę kota w skunksa, ale zaniepokoiło ją, że jej największy wróg próbuje spapugować po niej czar.

Z sufitu spłynęła magiczna mgła. Zaczęła krążyć wokół kota, zatrzymała się, a potem znów go okrążyła. Gdy zniknęła, na stole stał skunks... No cóż, skunks z długimi, chudymi, kocimi łapami.

Niezadowolone westchnienie Tabithy rozległo się na moment przed szeptami z sali.

Sędziowie nachylili się, by przedyskutować sprawę. Kiedy znów zajęli miejsca, jedna z sędzi wstała i zwróciła się do Tabithy:

– Dostaniesz tylko siedemdziesiąt procent punktów. I niech to będzie dla ciebie nauczka, by używać własnych czarów, a nie podkradać pomysły innych.

Miranda powinna się cieszyć, że tamta dostała po nosie, ale nie. Schrzanienie sprawy na oczach swoich znajomych i widowni to wystarczająca kara. Tabitha nie zasługiwała na dodatkową naganę.

Dziesięć minut później skończyła się druga runda. Do następnego etapu miało przejść tylko dziesięć najlepszych zawodniczek. Sędziowie przeczytali listę. Mirandzie żołądek się skręcił, gdy usłyszała, że jest na piątym miejscu, a cztery dziewczyny przed nią mają po sto procent punktów.

W innym wypadku byłaby zachwycona, ale to oznaczało, że aby zająć pierwsze miejsce, musiała zdobyć sto procent za następny czar, a pozostałe zawodniczki musiały stracić kilka punktów. Przynajmniej raz doskonale wiedziała, co czuje jej matka. Wchodziło w grę tylko pełne zwycięstwo.

Miranda ledwie dotarła do swojej garderoby na czterominutową przerwę, gdy rozległo się głośne pukanie. Czyżby to znów Tabitha? O co jej chodzi?

Podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownie.

– Co do ciała jest z tobą nie... tak? – Wypowiedziała całe zdanie, chociaż już widziała, że się pomyliła co do pukającej osoby. A raczej osób.

Na progu stały Kylie i Della.

– Nic nie jest nie tak – odparła Della. – Natomiast ty masz problem! Należało dać im głowę tej dziewczyny na tacy.

Miranda pohamowała cisnący się na usta komentarz i przytuliła wampirzycę.

– To za wspieranie mnie. – Przytuliła ją mocniej. – Rany, jak ja za tobą tęskniłam. Jak sytuacja w domu?

Della wyswobodziła się z uścisku.

– Bez zmian.

Della tydzień wcześniej wróciła do domu, ponieważ jej ojciec został aresztowany pod zarzutem zamordowania swojej siostry. Wampirzyca przysięgała, że ojciec jest niewinny i że tę zbrodnię najprawdopodobniej popełnił jego brat bliźniak, który przypuszczalnie był wampirem wyrzutkiem. Próbowano rozwikłać zagadkę tej dawnej zbrodni z pomocą JBF.

Miranda rozumiała, czemu Della musiała wrócić do domu, ale była zdania, że ma prawo czekać na powrót przyjaciółki. Wodospady Cienia bez Delli nie były takie same.

– Dziękuję wam bardzo, że przyjechałyście. – Uściskała Kylie. Kiedy się odsunęła, rozległ się dzwonek informujący, że do następnego zadania zostały trzy minuty.

– Kurde – jęknęła Miranda.

– Świetnie ci idzie – powiedziała Kylie, wieczna optymistka.

– Musi – odparła czarownica. – Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale pięć najlepszych finalistek ma opłacony przejazd na następny konkurs, do Paryża.

– Paryż? – zawołała Kylie. – Rany, a tak się akurat składa, że tam jest...

– Perry, wiem – odparła Miranda i spojrzała na Dellę. – Staram się wygrać, żeby tam pojechać i wbić mu trochę rozumu do głowy. Wystarczy, że na mnie spojrzy, i od razu uświadomi sobie, jak bardzo mnie kocha. – A więc jednak chciała go z powrotem.

– Dobra – powiedziała Kylie bez przekonania.

– Olać Perry’ego – wtrąciła Della. – Wiesz, kto jest na widowni?

Miranda skrzywiła się i zignorowała słowa wampirzycy.

– A najlepsze jest to... i to naprawdę świetne... – zawiesiła głos dla zwiększenia napięcia – że jeśli zajmę pierwsze miejsce, to polecicie ze mną. Mama powiedziała, że kupi bilety.

Kylie i Della milczały osłupiałe.

– Super, co? – stwierdziła.

Della zaczęła potrząsać głową, a Miranda dodała.

– Och, zapomniałaś, że w Paryżu jest też Steve? – Steve, który był prawie chłopakiem Delli.

– Ale...

– Tylko na kilka dni – dodała Miranda.

Della skrzywiła się.

– Nie mogę lecieć do Paryża. Muszę pomóc tacie.

– Proszę – jęknęła Miranda. – Potrzebuję was tam. Jesteście moim wsparciem. Bez was sobie nie poradzę.

Rozległ się dzwonek informujący, że konkurs zostanie wznowiony za minutę.

– Muszę lecieć. Pomyślcie o tym. Nie możecie mnie zawieść. Nie możecie.

Miranda wybiegła i stanęła w kręgu dziesięciu dziewcząt... i natychmiast to poczuła. Dłonie zaczęły ją swędzieć z nerwów. Nie tylko z powodu konkursu i poczucia nadchodzącego niebezpieczeństwa. Chociaż jedno i drugie wpływało na jej zdenerwowanie. Ale teraz, poza niepokojem, czuła też, że została wypatrzona, że ktoś jej się przygląda.

Rozejrzała się po zebranych. Zauważyła mamę, a także Dellę i Kylie, znów na swoich miejscach. Żadna z nich nie mogła wywoływać tego przykrego uczucia. Rozglądała się dalej, gdy nagle zobaczyła, że zasłona prowadząca do wyjścia na tyłach audytorium opadła. Uczucie natychmiast zniknęło. Ktoś ją obserwował. Czy to ta sama osoba rzucała zakłęcie nastroju?

Pewnie należało o tym powiedzieć Kylie albo Delli, ale zupełnie nie przyszło jej to do głowy.

Westchnęła i uświadomiła sobie, że Tabitha, wciąż skrzywiona, stoi obok niej. Czy Tabitha też to czuła? Miała ochotę nachylić się i ją o to spytać, ale w tym momencie wstała jedna z sędzi i zaczęła mówić.

Miranda opanowała niepokój i skupiła się na jej słowach. W ulotce specjalnie nie podano informacji na temat ostatniego czaru, by sprawdzić ich spontaniczność. Miranda była w tym beznadziejna.

– Dziś postanowiliśmy przetestować zdolności zawodniczek we wzywaniu mocy żywiołów.

Mirandzie zabrakło tchu.

„Tylko nie ogień. Nie ogień. Proszę, nie ogień”. Jedyne, w czym była gorsza niż w spontaniczności, to...

– Ogień. – Arcykapłanka uniosła dłoń, a z czubków jej palców strzelił ogień.

Miranda z ciężkim sercem zaczęła rozważać zejście ze sceny. Jej umiejętności panowania nad tym żywiołem pozostawiły na niej ślad, a raczej pozostawiły go na jej ojcu.

Miała osiem lat, gdy – próbując zapalić świeczkę – posłała w głąb domu ognistą kulę. Była przerażona. Kula krążyła, dopóki nie trafiła na zadek ojca. Biedny mężczyzna przez tydzień nie mógł usiąść. Wcale jej za to nie ukarał. Roześmiał się tylko, mówiąc, że nie będzie już mógł wypinać się na ludzi. W odróżnieniu od matki nigdy nie przejmował się tym, że Miranda nie była idealna.

Miranda rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czemu naraża się na to, że zawiedzie przy tyłu

ludziach.

I szybko znalazła odpowiedź. Dla Perry'ego.

– Pierwszą zawodniczką jest... Tabitha Evans.

Miranda usłyszała, jak dziewczyna wzdycha, idąc na środek.

Z jej lewej strony w magiczny sposób pojawił się kominek, a z prawej stolik z niewielką świeczką.

– Każda z was zapali świecę, a następnie przeniesie płomień do kominka. – Tego właśnie bała się

Miranda. A jeśli ogień zejdzie z wyznaczonej ścieżki?

– Każda zawodniczka ma prawo do trzech prób. Za każde nieudane podejście będziemy odejmować punkty – dodała sędzia. – Ze względów bezpieczeństwa wokół zawodniczki wykonującej zadanie zostanie umieszczona magiczna bańka.

Miranda trochę się uspokoiła. Tym razem jedyną osobą, która mogła ucierpieć, była ona sama. Tyle mogła zaryzykować.

– Ogniu gorący, proszę... – Tabitha natychmiast zapaliła świeczkę, ale malutka kula ognia wciąż traciła moc i zamieniała się w dym.

Udało się jej za trzecim razem. Druga, trzecia i czwarta zawodniczka poniosły całkowitą porażkę. Candy przeniosła płomień za drugim razem, a jej siostra bliźniaczka za pierwszym. Sienna za drugim. Kolejnym dwóm dziewczynom się nie udało. A potem okazało się, że Miranda będzie ostatnia. Znowu.

Czekała, aż ją wywołają, a serce jej waliło. W sali temperatura wzrosła mimo ochronnej bańki. Znowu poczuła, że ktoś się w nią wpatruje. Chciała spojrzeć na widownię i zobaczyć, kto jej się tak przygląda, ale musiała się skupić. Na ogniu.

– Miranda Kane. – Własne nazwisko zadzwoniło jej głośno w uszach. Zbyt głośno.

Podeszła bliżej. Zaczęła ją otaczać magiczna bańka, niewidoczna, jeśli nie liczyć bladoniebieskiej poświaty. Odgłosy z zewnątrz stały się przytłumione, a jej własne myśli wydawały się zbyt głośne. W pierwszej chwili chciała uciec, póki jeszcze miała taką możliwość. Brakowało jej tchu, a dłonie stały się mokre od potu.

Tuż przed tym, jak bańka się zamknęła, Miranda poczuła, że ogarnia ją dziwny spokój.

„Dasz radę. Dasz radę!” Pomyślała o spotkaniu z Perrym. O tym, że u jej boku będą Della i Kylie.

Wyprostowała rękę.

– Iskro ognia, lśniaca skro, zapal knot i pójdz za mną – zaczęło jej się mieszać w głowie. Poruszyła małym palcem.

Nic się nie stało. Knot się nie zapalił.

Ogarnęła ją rozpacz. Czowała, że widownia spodziewa się jej porażki. Zaczęła opuszczać rękę i chciała poprosić o drugą próbę, kiedy znowu poczuła przypływ spokoju i jasności umysłu.

Zaparło jej dech, a jej żyły wypełnił spokój. W tym momencie dotarło do niej. To... bez względu na to, co to było, nie pochodziło od niej. Ktoś... ktoś manipulował jej mocą.

Chciała odepchnąć tę pomoc, ale było za późno. Knot zapłonął. Płomień uniósł się nad świeczką

i zamienił się w ognistą kulę. Unosił się w powietrzu, czekając na rozkazy.

To był jej czar, czy też działanie kogoś innego?

– Idź! – Jeden ruch ręką sprawił, że ogień popłynął do kominka, podpałka się zajęła i buchnął niebieski płomień.

Otoczająca Mirandę bańka zaczęła się rozpływać. Usłyszała głośniejsze oklaski. Spojrzała na widownię. Kto to zrobił? Odwróciła się, by przekazać radzie informację w sprawie złamania zasad, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, za jej plecami rozległy się krzyki.

Obróciła się na pięcie i zobaczyła, jak z końca sceny leci wielka kula ognia. Czy to jej sprawka? Kurde, pewnie tak. Kula niebieskoczerwonych płomieni zbliżała się do jej przeciwniczek.

Nie! Miranda nie mogła pozwolić na to, by jej głupota doprowadziła do tego, że komuś stanie się krzywda. Bez zastanowienia pobiegła naprzód, w myślach przyzywając do siebie ogień takimi słowami: „Jeśli masz komuś spalić tyłek, to tym razem spal mój”. Kula przez moment unosiła się w powietrzu. A potem zaczęła się kręcić, rozrzucając skry i buchając płomieniami. Najwyraźniej usłyszała jej prośbę.

Widząc zbliżający się ogień, Miranda szeroko rozłożyła ręce i całą sobą poprosiła magię, by znów zamknęła ochronną bańkę. Wokół niej urosła niewidzialna bariera, więząc ją i kulę ognia.

Ciepło we wnętrzu bańki piekło ją w skórę. Szary dym zasnuwał powietrze i dusił.

Zza bańki słyszała krzyki:

– Pomóżcie jej! Niech jej ktoś pomoże!

Niewidzialna bańka aż się trzęsła od uderzających w nią czarów. Czarodziejskiej bańki nie dało się rozbić.

– Niech ktoś coś zrobi.

Nie mogli uratować Mirandy.

Wszystko było w jej rękach.

Kiedy kula ognia unosiła się tuż nad nią, podniosła dłoń i przywołała żywioł wody. Gdy tylko wypowiedziała odpowiednie słowa, nogi się pod nią ugięły. Zapadła ciemność.

Rozdział 5

Oddychaj. Słyszysz mnie? Oddychaj, do cholery!

Miranda czuła, jak ktoś bierze ją w ramiona – jakiś mężczyzna, sądząc z mięśni i ostrego męskiego zapachu.

„Perry?”

Z trudem otworzyła oczy i ujrzała czyjeś niebieskookie spojrzenie. Nie Perry’ego. Wokół niej i jej tajemniczego mężczyzny padało coś, co wyglądało na szare płatki śniegu wymieszane z lekkim deszczem. Miło. Trochę jak... no nie, niezupełnie.

„Co, do cholery?”

– Nic ci nie będzie – powiedziały Niebieskie Oczy.

Chwila, znała te oczy.

Zamrugła. Znała tę twarz.

– Nic ci nie jest? – dał się słyszeć niski głos.

Znała ten głos.

– Odezwij się – powiedział.

Trzymał ją tak blisko, że czuła, jak te słowa wprawiają w drgania jego klatkę piersiową. Odetchnęła czysto męskim zapachem. Tak, znała go.

Shawn? Shawn Hanson.

Ale nic więcej nie wiedziała. Gdzie była? I jak...?

Rzeczywistość wyrwała ją ze stuporu. Przypomniała sobie konkurs i kulę ognia. Schrzaniła sprawę.

Usiadła. Shawn rozluźnił uścisk, ale wciąż podtrzymywał ją pod ramiona.

Ogarnął ją wstyd.

– Czy komuś stała się krzywda? – wydusiła z trudem.

– Nie. Dzięki tobie – odparł Shawn. – Ale mogłabyś sprawić, by przestało padać.

Puścił do niej oko.

No tak, wezwała żywiół wody, by się uratować. A ten szary śnieg, to nie śnieg, lecz popiół. Zadziałało? Uratowała się, czy...?

Poruszyła małym palcem, by powstrzymać deszcz. Wciąż czując się jak ryba wyciągnięta z wody, chociaż była kompletnie przemoczona, rozejrzała się wokół. Przy scenie stał tłum składający się z jakichś trzystu osób. Bliżej, na scenie, kolejne trzydzieści patrzyło na nią i pewnie śmiało się w myślach z jej błędu.

Zauważyła swoją mamę, która wyglądała na zaniepokojoną. Della i Kylie stały trochę z boku. Kylie miała lśniąca aureę, jak zawsze, gdy wchodziła w swój stan obrońcy. Czy to Kylie ją uratowała? Spojrzała na Dellę. Może nawet Della ze swoją wampirzą siłą pomogła ją ratować. A potem zauważyła, że Della uśmiecha się tak, jakby chciała powiedzieć: „a nie mówiłam?”. Czemu? Och, wiedziała czemu...

Od kiedy Perry wyjechał do Paryża, wampirzyca nalegała, by Miranda umówiła się z Shawnem. Teraz trzeba było ustalić, co tu robił Shawn.

Zaczęła się podnosić. Shawn poderwał się na równe nogi i podał jej rękę. Już chciała powiedzieć, że da sobie radę, ale ugryzła się w język.

Jego ciepła dłoń wsunęła się w jej dłoń i wtedy to poczuła. Iskrę zainteresowania. Podkochiwała się w nim, starszym bracie jednej z przyjaciółek, od kiedy miała dwanaście, a on czternaście lat.

Kątem oka zobaczyła, jak Della uśmiecha się szeroko i macha przed nosem ręką, jakby odganiała zapach feromonów.

I, cholera, taka była prawda. Shawn ją pociągał, ale... nie był Perrym. Nie mogła się na niego otworzyć, dopóki... dopóki nie wiedziała, jak wygląda sytuacja między nią a Perrym.

Kiedy się podniosła, zauważyła, że w kącie sceny zebrała się rada. No cudownie. Na pewno usłyszy reprimendę za narobienie takiego bałaganu. Spojrzała na matkę. Myśl, że znów poczuje się upokorzona porażką córki, zapiekła jak cięcie papierem przez samo serce.

A potem jej serce zraniło kolejne cięcie. Nie pojedzie do Paryża. Nie zobaczy Perry'ego.

Poczuła gułę w gardle.

Nagle rozległ się huk. Wzrok Mirandy, podobnie jak wszystkich innych, skierował się na drzwi do auditorium, które otwały się gwałtownie. Do środka wpadło trzech ubranych w czarne garnitury mężczyzn. Rozległy się okrzyki zdziwienia.

Na czele szedł wysoki mężczyzna o ciemnych włosach, który zawsze przejmował panowanie nad помещением, do którego wchodził, bez względu na jego wielkość. Burnett James. Burnett, superwampir i współwłaściciel szkoły i obozu Akademii Wodospadów Cienia, był także agentem Jednostki Badawczej Fallen (JBF), która w gruncie rzeczy była odpowiednikiem FBI dla istot nadnaturalnych. Nie zwolnił, dopóki nie zatrzymał się wraz z pozostałymi mężczyznami tuż przed Mirandą i Shawnem.

„Co tu robił Burnett?” – pomyślała.

Czy nabroiła tak bardzo, że aż wezwano JBF? A potem zauważyła poważną minę wampira. No pięknie, wpakowała się w niezłe bagno.

Burnett natychmiast przejął kontrolę nad wszystkim, kazał się cofnąć gapiom i zabronił komukolwiek opuszczać amfiteatr, nim wszyscy zostaną przesłuchani.

Kiedy Miranda wreszcie zapanowała nad szokiem, którego doznała na jego widok, w końcu odzyskała głos.

– Co ty...?

Uniósł palec i nakazał jej wzrokiem, by zamilkła. Nie protestowała. Kylie i Della może i miały dość pewności siebie, by sprzeczać się z tym groźnym wampirem, ale Miranda... nie bardzo.

Wciąż pamiętała wściekłość w jego oczach, gdy przez pomyłkę zamieniła go w kangura.

– Porozmawiamy na osobności – stwierdził.

Na osobności? Kurde! Czy jej czar schrzanił się do tego stopnia, że aż musiało interweniować JBF?

– Mam garderobę – wykrztusiła z trudem.

Wampir skinął głową i nakazał pozostałym agentom rozpocząć przesłuchania widzów. Chociaż Miranda nie miała pojęcia po co. Przecież już dopadł winnych. Czyli ją.

Skinął, by ruszyła przodem, a potem ruchem ręki dał do zrozumienia, że Shawn, Della i Kylie mają iść za nimi. A więc jednak nie tak bardzo na osobności. Nie ma to jak zmyć komuś głowę na oczach innych.

Garderoba wydała jej się mała, gdy weszło do niej pięć osób. Miranda zaczęła się niepokoić, że nie starczy dla wszystkich powietrza. A biorąc pod uwagę swój stan umysłu, przypuszczała, że potrzebuje go dużo. Czując, że robi jej się słabo, wzięła głęboki wdech.

– Naprawdę nic ci nie jest? – zapytał Burnett, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Pytanie sugerowało, że Burnett był zaniepokojony, ale tembr głosu by twardy jak skała, a ją znów zaczęły swędzieć dłonie.

– Mnie... nic. – W końcu nie mogła już dłużej wytrzymać. – Przepraszam – powiedziała. – To znaczy, zatrzymałam ją, nim komukolwiek stała się krzywda, prawda? – Spojrzała na Shawna, mając nadzieję, że nie okłamał jej wcześniej. – Mówiłeś, że tak było. Okłamałeś mnie?

– Nie. – Shawn przyjrzał jej się zdziwiony. – Chwila, ty sądzisz... Mirando, nie ty wyczarowałaś tę kulę ognia.

– Nie? – Powietrze... stare powietrze... opuściło jej płuca.

– Nie – odparł Shawn. – Byłaś wciąż w bańce, kiedy się pojawiła. Twój czar był opanowany. Za to na pewno zatrzymałaś kulę, nim komukolwiek stała się krzywda.

Mirandę ogarnęła ulga i uśmiechnęła się, blado, ale jednak.

– Myślałam... no bo ledwie skończyłam rzucać czar i pomyślałam...

„Że znów to schrzaniłam”.

– Była niesamowita – zawołała Della. – Burnett, szkoda, że jej nie widziałeś. Zanim zdążyliśmy z Kylie dobiec do sceny, uwięziła tę wielgachną kulę ognia w tamtej niewidzialnej bańce, machała rękami, jakby wyzywając ją, by się zbliżyła. A potem wywołała deszcz i kula się rozprysła. A potem osunęła się na ziemię, jak w tym słynnym filmie *Odleciała z wiatrem*, chyba tak się nazywał, gdy główna bohaterka krzyczy: „nigdy więcej głodna nie będę”.

– *Przeminęło z wiatrem* – poprawiła ją Miranda, zszokowana jej opisem wydarzeń.

– Przemięło, odleciało, co za różnica – odparła Della.

– Della ma rację. Byłaś niesamowita – powiedziała Kylie, jakby czytała Mirandzie w myślach.

– Zgadza się – dodał Shawn, patrząc na nią ciepło. Bardzo ciepło. Co on tu w ogóle robił?

– Nie ma teraz czasu na zachwyty. – Burnett przyjrzał się Shawnowi. – Wiesz, czyja to mogła być sprawka?

– Nie – odparł Shawn. – Ktoś, kto rzucił ten czar, nie pozostawił odcisku. Tak samo jak na wczorajszym miejscu zbrodni.

Właśnie że tak, pomyślała Miranda, przypominając sobie o złym przeczuciu, które miała. A potem dotarło do niej, co powiedział Shawn.

– Jakim miejscu zbrodni? – zapytała. – O czym ty mówisz?

– Równie dobrze możemy ci powiedzieć – odezwał się Burnett. – Zamordowano dwie dziewczyny.

– To okropne, ale jak to się... Jak to się ma do tego, co stało się dzisiaj?

– Obie miały brać udział w tym konkursie.

– Co? – zawołała Miranda. – Kto?

– Roni Force i Cindy Bryant. – Burnett zmarszczył brwi.

– O Boże... znam je. Nie przyjaźnimy się specjalnie, ale... poznałam obie. Czemu nikt o tym nie wspominał?

– Nie informowaliśmy o tym mediów, bo prowadziliśmy postępowanie przygotowawcze.

Miranda wciąż nie mogła tego ogarnąć.

– Ale... czemu ktoś chciałby je zabić?

– To właśnie usiłujemy ustalić. Nie mogliśmy znaleźć związku między tymi dwoma zabójstwami, dopóki nie uświadomiliśmy sobie dziś rano, że obie ofiary miały wziąć udział w dzisiejszym konkursie. Przesłałem tu Shawna, a sam zająłem się innymi tropami. Po tym, co się wydarzyło, uznałem, że to ma pewnie związek z tym wszystkim.

– Tym wszystkim? Wszystkim czym?

– Konkursem.

– Ale czemu... to znaczy...

Burnett przeczesał palcami ciemne włosy. Kosmyki wróciły natychmiast na miejsce, jakby bały się mu narazić. Spojrzał na Shawna, a potem znów na Mirandę.

– Jego zdaniem to drugi konkurs co do wielkości. Finalistki będą walczyły o pozycję arcykapłanki. Zgadza się?

– No tak, ale nie wierzę, by ktokolwiek... wybijał konkurencję. – Ledwie to powiedziała, coś do niej dotarło. – No dobra, może coś w tym jest.

To, że ona nie żyła wizją wejścia na szczyt, nie oznaczało, że inni też nie. A bardziej od samych zawodniczek pragnęły zwycięstwa ich matki. W porównaniu z matkami uczestniczek konkursów czarów, matki piłkarzy są jak stadko owieczek.

W tym momencie otwały się drzwi garderoby. I, jak już jesteśmy w temacie matek, do środka wpadła mama Mirandy.

– Udało ci się! Udało! – Uściskała Mirandę. – Właśnie ogłosili wyniki. Wreszcie pokazałaś tym sukom, gdzie ich miejsce.

Miranda odsunęła się. W głowie jej szumiało. Wygrała. Pojedzie do Paryża. A Kylie i Della z nią, jeśli tylko zdoła je przekonać.

– Wygramy, Mirando. Zrobię wszystko, by zapewnić ci zwycięstwo!

Burnett spojrzął na jej matkę, zupełnie jakby...

– Mamo, nie mów tak.

– Czemu? Taka jest prawda. Wreszcie pokazałaś, na co cię stać. Będiesz arcykapłanką. Czuję to w kościach. Na ten dzień czekałam.

Burnett odchrząknął.

– Przepraszam, pani Kane. Ale czy mógłbym jeszcze kilka minut porozmawiać z Mirandą... na osobności?

Spojrzała na niego z urazą.

– Oczywiście, ale pospieszcie się. Dziennikarze chcą przeprowadzić wywiad i zrobić mojej córce zdjęcie. – Wysłała, czyniąc równie dużo zamieszania, co przy wejściu, i zatrzasnęła drzwi.

Zapadła cisza. Miranda spojrzała na Burnetta.

– Proszę, powiedz, że nie podejrzewasz...

– Nie. – Burnett uniósł ręce. – Nie martw się. Nie przepadam za twoją mamą, ale nie ma jej na liście podejrzanych. Czy w związku z tym masz jakieś pomysły, kto mógł to zrobić?

– A ta dziewczyna, która wyczarowała przed twoimi drzwiami końskie łajno? – zapytała Della. – Wyczułam, kiedy to robiła – dodała, patrząc na Burnetta. – Przysięgam, że gdyby Kylie mnie nie powstrzymała, to ściągnęłabym ją ze sceny i nieźle jej przyfasoliła.

– Co? – Burnett spojrzął pytająco na Dellę.

Kylie podeszła bliżej.

– To ta sama, która szpiegowała cię w Wodospadach Cienia, prawda?

– Nic nie rozumiem – zawołał Burnett. – Kto to taki? I kiedy cię szpiegowała w obozie?

– Dawno temu. – Miranda potrząsnęła głową. – To nic takiego.

– Drobiazg – stwierdziła Della. – Miranda zapakowała ją do klatki, a potem Kylie powiedziała, że nie może jej tak trzymać, więc Miranda ją wypuściła.

Burnett potrząsnął głową. Spojrzął z ukosa na Mirandę.

– Czy to możliwe, że Tabitha jest za to odpowiedzialna?

Miranda skurczyła się pod jego groźnym spojrzeniem, ale zmusiła się, by powiedzieć, co myśli.

– Tabitha jest szurnięta, ale... no wiecie, zostawienie komuś łajna pod drzwiami to jedno. A morderstwo... Nie sądzę, by się zdobyła na coś takiego.

– A jednak ktoś to zrobił i dopóki nie będziemy pewni kto, musisz być czujna. Twoja wygrana w konkursie może oznaczać, że jesteś następnym celem.

– Celem czego? – zapytała, a kiedy uświadomiła sobie, co miał na myśli, serce zabiło jej mocniej. Była następnym celem zabójcy.

Nie mogła zebrać myśli. „Zabójstwo. Zabójstwo”.

– Chwila, ja to czułam – wydusiła w końcu.

– Co takiego? – zapytał Burnett.

– Nadchodzące niebezpieczeństwo. Miałam złe przeczucia.

Burnett spojrzał na Shawna.

– Ty nic nie czułeś?

– Nie. Wyczuwanie niebezpieczeństwa to wyjątkowy dar. W mojej rodzinie go nie mamy.

Burnett znów popatrzył na Mirandę.

– Wiesz, kto przesłał ci tę wiadomość?

– Nikt. To jest jak percepcja pozazmysłowa. Po prostu to czujesz. Ale jeśli znów to wyczuję, to rozpoznam, czy jest z tego samego źródła.

Burnett potrząsnął głową.

– Więc poczułaś ostrzeżenie i nic nie zrobiłaś?

Nie podobało jej się, jak to określił, ale miał trochę racji.

– No cóż... myślałam, że to zakłęcie nastroju, ale potem...

– Potem co? – zawołał z niecierpliwością Burnett.

– Pomyślałam, że to sprawka Tabithy, ale potem... Tabitha zachowywała się przedziwnie. Kazała mi przestać, jakbym to ja rzucała czar na nią.

– Sądysz, że obie poczułyście zbliżające się niebezpieczeństwo? – Burnett zdawał się zagubiony.

– Mało prawdopodobne – powiedział Shawn. – Jak już mówiłem, ten dar jest zwykle dziedziczny.

I dość rzadki.

Burnett westchnął głęboko, a potem znów skupił się na Mirandzie.

– Więc co chciałaś powiedzieć?

– Hm... nie wiem. To znaczy, miałam wrażenie, że właśnie tak jest, że obie to wyczułyśmy, ale Shawn ma rację. To mało prawdopodobne. Więc próbuję to jakoś ogarnąć.

Na komórkę Burnetta przyszedł esemes. Przeczytał go i znów spojrzał na Mirandę.

– Muszę przeprowadzić kilka rozmów z radą czarownic. Miejcie na nią oko. I nie wychodź do prasy, dopóki nie wrócę.

Shawn spojrzał na niego z niepokojem.

– A jeśli wróci jej mama i...

– Zajmij się nią – odparł Burnett.

– Nie widziałeś jej? – zawołał Shawn. – Nią nie da się zająć.

– Bez obaw, ochronię cię – prychnęła Della sarkastycznie.

Rozdział 6

Gdy Burnett wyszedł, Miranda osunęła się na krzesło i spojrzała na swoje najlepsze przyjaciółki, stojące obok Shawna.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Odetchnęła głęboko, próbując to wszystko ogarnąć.

Dwie dziewczyny zginęły.

Ona wygrała. Wygrała cholerny konkurs.

A zdaniem Burnetta to oznaczało, że stała się celem. Możliwe, że trafiła na czarną listę. Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Z drugiej strony znaczyło to również, że jedzie do Paryża.

Zobaczyć Perry’ego.

A Della i Kylie pojedą z nią.

Zanim jeszcze zaczęła się cieszyć tą myślą, naszła ją inna. Nie zasługiwała na zwycięstwo. Na chwilę przed tym, jak bańka się zamknęła, została potraktowana jakimś czarem. A ktoś, kto to zrobił, musiał być naprawdę potężny, bo chyba nikt inny tego nie zauważył.

Przeczesła włosy palcami.

– Cholera!

– Co cholera? – zapytała Della. – Chodzi ci o twoje włosy? Straciłaś kolory. Prawie cię nie poznałam.

– Moim zdaniem wyglądają dobrze – powiedziała Kylie.

– Wyglądają nudno – stwierdziła Della. – A Miranda nie jest nudna.

– Nie, nie jest – przyznał Shawn.

– Nie, nie chodzi o włosy. Tylko... będę musiała wycofać się z konkursu.

– Czemu? – zapytała Kylie.

Miranda nie chciała tego mówić.

– Bo... bo ktoś mi pomógł. I to ktoś potężny. – Spojrzała na Kylie, kameleonkę, która mogła się przemienić w dowolną istotę nadnaturalną. – O rany, wiem, że mnie kochasz, ale nie powinnaś była tego robić.

Kylie przygryzła wargę.

– Kocham cię, ale nic nie zrobiłam.

– Więc... to nie ty posłałaś mi moc?

– Nie.

– Ja natomiast – powiedziała Della – gdybym mogła, tobym ci posłała całe mnóstwo mocy.

Miranda siedziała nieruchomo.

– W takim razie, kto to zrobił?

– Może twoja mama? – zasugerowała Kylie. – Wiemy, jak bardzo zależało jej na tym zwycięstwie.

– Nie. – Miranda potrząsnęła głową. – Mama przestrzega reguł. Nienawidzi oszustów.

Nagle Miranda poczuła na sobie spojrzenie Shawna. Popatrzyła na niego. Podskakiwało mu jabłko

Adama. Ciężko było przełknąć poczucie winy.

Miranda wstała.

– Ty?

Jako że nie zaprzeczył natychmiast, wiedziała, że ma rację.

– Czemu to zrobiłeś?

– Ja... nie... – Zamilkł i przeczesał dłonią gęste jasne loki.

Miranda spojrzała na Dellę.

– Czy on kłamie?

Della przechyliła głowę, by wsłuchać się w bicie serca Shawna swoim superczułym słuchem.

– A czy niedźwiedzie załatwiają się w lesie?

Miranda znów spojrzała na Shawna.

– I owszem!

Chłopak uniósł ręce.

– Nie, nie posłałem ci mocy.

– A teraz mówi prawdę – odezwała się zaskoczona Della.

– Tylko trochę spokoju. Nic ponadto. – Przejechał ręką po twarzy. – Wyglądałaś na spanikowaną i ja...

nawet nie chciałem tego zrobić. Spojrzałem na ciebie i stało się... Odrobina spokoju – westchnął i spojrzał na nią przepaszająco tymi niebieskimi oczami. – Rzuciłaś czar, i to całkiem sama.

– Tak, ale... – Miranda była kompletnie zaskoczona.

Shawn wiedział, że gdyby został przyłapany przez radę, to dobraliby mu się do tyłka. Czemu zrobił to odruchowo? Czemu zależało mu, by nie schrzaniła sprawy i nie zrobiła z siebie idiotki? I czemu... Czemu świadomość tego, że mu zależy, sprawiała, że oddychało jej się nieco lżej?

– To wbrew zasadom – wydusiła w końcu Miranda.

– Tak samo jak podkładanie końskiego łajna pod drzwi innych zawodniczek – powiedział Shawn stanowczo i wyprostował się. – Odjęto ci dziesięć punktów za chronienie kogoś, kto na to nie zasługiwał. A wiesz, ile punktów kosztuje posłanie komuś spokoju? Dziesięć. Więc jest sprawiedliwie.

– Podoba mi się rozumowanie tego chłopaka – powiedziała Della.

Mirandzie także. A poza jego rozumowaniem podobało jej się także jego wysokie, szczupłe ciało, blond loki i niebieskie oczy. Wyglądał jak model, któremu powinno się robić zdjęcia na plaży, z deską do surfowania.

Wciąż pamiętała, jak się czuła w jego ramionach. Bezpieczna. Jego zapach był... apetyczny. Świeży,

taki jakby nadmorski. Ale nie chciała tak myśleć. Pragnęła innego zapachu. Należącego do pewnego zmiennokształtnego. Zmiennokształtnego, który się od niej odwrócił.

– Kurde – jęknął Shawn. – Wiesz, co to znaczy?

– Co? – zapytała Miranda. Della i Kylie spojrzały na niego.

– Burnett powiedział, że zwycięstwo naraża twoje życie. A jeśli to, co zrobiłem, naprawdę ci pomogło, to... to częściowo moja wina. – Założył ręce za szyję i ścisnął. – Masz rację. Musisz się wycofać. Powiem radzie, co zrobiłem. – Ruszył do wyjścia.

Nie podobał jej się pomysł, że ze względu na nią wpakował się w kłopoty.

– Nie. – Złapała go. Ten dotyk znów wywołał falę zainteresowania, więc szybko opuściła rękę. – Powiem po prostu, że ktoś to zrobił.

Wyraz jego oczu mówił, że uczynił to, by ją chronić. A ta myśl doprowadziła Mirandę do następnej.

– Jeśli wycofam się z konkursu, to wygra ktoś inny.

– Tak – powiedział Shawn, jakby nie rozumiał.

– A więc jeśli ja zrezygnuję, to może i uratuję siebie, ale narażę kogoś innego.

Shawn się skrzywił.

– A jeśli tego nie zrobisz, to twoje życie będzie zagrożone. I to przeze mnie. Jeśli wygra ktoś inny, to nie będzie to moja wina.

– Nie, wtedy będzie moja. Bo jeśli coś stanie się komuś innemu, to... będę wiedziała, że gdybym się nie wycofała, to byłabym to ja. – Potrząsnęła głową. – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę po prostu powiedzieć, że nie chcę zginąć, i pozwolić, by zabito kogoś innego.

– To lepsze, niż gdybyś ty zginęła – powiedziała Della, a Kylie zdawała się z nią zgadzać. Shawn skrzywił się mocno.

– Właśnie...

– Nie! – Miranda położyła rękę na biodrze i spojrzała na swoje najlepsze przyjaciółki. – Znam was obie. Żadna z was nie usunęłaby się, by ratować własną skórę. Jesteście zbyt odważne.

Nie mogły zaprzeczyć.

– Ołać odwagę – warknął Shawn. – Zginęły już dwie dziewczyny.

– W takim razie wasza trójka musi po prostu dopilnować, by nie przytrafiło się to mnie – odparła Miranda. – Zrozum, jeśli ktoś inny zajmie moje miejsce, to nie będzie miał was do ochrony.

Burnett napisał do Delli i Kylie i poprosił, by pomogły spisywać nazwiska widzów, bo niektórzy uparli się już iść.

Tym sposobem Miranda została sam na sam z Shawnem. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała. Usiadła na krześle. Shawn przysunął sobie drugie.

Zastanawiała się, czy nie wziąć komórki i nie zacząć znów zabijać zmiennokształtnych, ale jakoś przeszła jej na to ochota. Mimo to wyjęła telefon i udawała, że interesuje ją to, co na ekranie. W małym pomieszczeniu atmosfera stała się tak napięta, że aż ciężko było oddychać. A do tego głośno. Słyszała, jak chłopak wciąga powietrze, a sama starała się nabierać tlenu możliwie bezgłośnie.

Kiedy zadzwonił jej telefon, była taka szczęśliwa, że coś przerwało ciszę, że odebrała od razu, nie sprawdzając kto to.

– Halo? – zapytała.

– Cześć, aniołku.

Wystarczył jego głos, by poczuła jego uścisk i znajomy zapach wody po goleniu.

– Cześć, tatusiu.

– Słyszałem, że znów bawiłaś się ogniem – odezwał się. – Czy to dlatego swędzą mnie pośladki?

– To nie moja wina. – Od razu poczuła się źle, chociaż słyszała, że nie mówił poważnie.

– Żartuję. Twoja mama powiedziała, że uratowałaś sytuację. Chciałem tylko zadzwonić i upewnić się, że z moją córeczką wszystko w porządku.

– Tak – odparła, zastanawiając się, co takiego jej mama powiedziała ojcu. Zwłaszcza że tata nie pochwalał tych konkursów. – Tatusiu, wygrałam – dodała, pragnąc, by był z niej dumny, nawet jeśli nie w pełni zasługiwała na to zwycięstwo.

– Dla mnie zawsze jesteś zwyciężczynią – powiedział, dając jasno do zrozumienia, że nie przepada za konkursami. – Ale jestem z ciebie dumny. Muszę lecieć.

Rozłączyła się i zauważyła, że Shawn jej się przygląda.

– Mój tata – powiedziała.

Skinął głową i znów zaczął się gapić na swój telefon. I oddychać.

Zapadła niezręczna cisza. Po jakichś dwudziestu minutach Miranda nie mogła jej już znieść.

– Czemu to zrobiłeś? – zapytała. – Czemu mi pomogłeś?

Nie podnosił wzroku.

– Mówiłem. Spanikowałaś.

– Jestem pewna, że inne dziewczyny też się denerwowały.

– Innych nie znam. – Dalej gapił się w podłogę.

– Mnie też za bardzo nie znasz.

Uniósł wzrok i spojrzał na nią poważnie.

– Właśnie że tak.

Potrząsnęła głową.

– Nie bardzo. Przez kilka lat byłam przyjaciółką twojej siostry.

– Byłaś przyjaciółką mojej siostry i na mnie leciałaś.

Skrzywiła się.

– Skąd wiedziałeś?

Uśmiechnął się, a był to naprawdę zabójczy uśmiech.

– Mężczyźni wiedzą takie rzeczy.

Miranda przewróciła oczami.

– No dobra, ale to nie znaczy, że mnie znasz. Nigdy nie poświęciłeś mi ani chwili uwagi.

Uniósł brew i lekko się uśmiechnął.

– Doskonale wiem, jak wyglądałaś w cytrynowozielonym bikini, w którym pływałaś z Ellen w naszym basenie. Wiem, że gdy się uśmiechasz, twoje oczy robią się jasnozielone. Wiem, że jadasz jajecznicę z keczupem. Wiem, że gdy byłem w ostatniej klasie, ty chodziłaś na piąty rok WF-u. Czasami przechodziłem koło sali gimnastycznej, by zobaczyć cię w szortach i koszulce. No i jeszcze nasz pocałunek.

Miranda zagapiła się na niego, a jego słowa powoli dochodziły jej do mózgu.

– Ty... Chwila... Co? Nigdy się nie całowaliśmy.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Więc naprawdę nie wiedziałaś, że to ja?

– Nie wiem, kogo całowałeś, ale ja nigdy...

– Mówisz, że nigdy nie pocałowałaś kogoś, czyjej tożsamości nie znałaś? Na przykład na balkonie pewnej nocy przy pełni księżyca?

– Co? – O kurde!

Jak miała piętnaście lat, była w sylwestra na balu przebierańców. Tuż przed północą podszedł do niej na balkonie chłopak przebrany za Zorro, a kiedy zabił dzwon... wziął ją w ramiona i pocałował jak... jak nikt przedtem.

– Byłeś Zorro?

– A więc pamiętasz. – Na jego ustach pojawił się pewny siebie uśmiech. – Wiesz, jeśli wspomnienie ci się zatarło, to mogę ci przypomnieć.

Spojrzał na jej usta.

Potrząsnęła głową.

– Ale... to znaczy... czemu nie powiedziałaś, że to ty? Co za chłopak całuje dziewczynę i ucieka?

Wzruszył ramionami.

– Taki, który został przyłapany przez swojego ojca na podziwianiu, jak się opalasz, i dostał w łeb, bo miał szesnaście lat, a ty miałaś czternaście. – Spuścił na moment wzrok. – W tym bikini nie wyglądałaś na czternaście lat.

– Kiedy mnie pocałowałeś, miałam piętnaście.

– Tak, ale ja miałem siedemnaście i zaraz miałem iść na studia. Wtedy też nie był to odpowiedni moment.

Nawet nie wiedziała, czemu się rozłościła, ale złapała komórkę i zaczęła przeglądać Twitter.

Milczeli przez kilka chwil.

– Czemu parę tygodni temu zadzwoniłaś spytać, czy wszystko ze mną w porządku, ale nie oddzwoniłaś, gdy cię o to prosiłem?

– Bo czuję się zagubiona – powiedziała szczerze, nie myśląc o tym, że to może wymagać wyjaśnień.

– Czemu?

Zawahała się i spuściła wzrok na telefon. Nie chciała z nim tego omawiać.

– Chodzi o Perry’ego? – zapytał.

Uniosła powieki, zszokowana, że...

– Skąd o nim wiesz?

Odchylił się na krześle, aż uniosły się przednie nogi.

– Spotkałem go jakiś czas temu, gdy Burnett wystawił go na czujce podczas jednego zadania. To chyba miły chłopak.

– Owszem – przyznała.

Opuścił krzesło na cztery nogi.

– Muszę powiedzieć, że stracił w moich oczach, gdy odkryłem, że jesteście... parą. Ale słyszałem, że wyjechał i niejako cię zostawił.

Spojrzała na telefon, jakby znalazła tam coś ciekawego, ale tak naprawdę nie chciała o tym rozmawiać.

– Zrobiliśmy sobie tylko przerwę – powiedziała z nadzieją, że w uszach Shawna nie brzmi to równie żałośnie, jak zabrzmiało w jej, gdy Perry to powiedział.

– Aha – odparł.

Znów na niego spojrzała. Czy to znaczyło, że rozumiał? A jeśli tak, to czy mógłby jej to wytłumaczyć?

Spojrzeli sobie w oczy.

I w tym momencie zza drzwi dobiegły podniesione głosy.

Rozdział 7

Powiedziałem nie, pani Kane. Nie będzie dawała wywiadów ani nikt jej nie sfotografuje, dopóki nie sprawdzimy dziennikarzy! – huczał za drzwiami Burnett.

Miranda mu współczuła. Owszem, był zaprawiony w walce z wyrzutkami i seryjnymi zabójcami, ale nigdy nie miał do czynienia z jej matką. A to zupełnie inna para kaloszy.

– Czemu? – zapytała jej matka. – Ktoś zrobił głupi dowcip z kulą ognia. Owszem, to było niebezpieczne. Ale po co teraz te środki ostrożności?

– Bo zależy mi na bezpieczeństwie pani córki – odparł Burnett.

– A mogę ją chociaż zobaczyć? – rozległ się wysoki głos jej matki.

– Nigdy nie rozdzieliłbym matki i dziecka – syknął Burnett i otworzył drzwi, które walnęły w ścianę, aż Miranda podskoczyła.

Jej mama wpadła do środka, a tuż za nią wszedł Burnett. Oczy mu pałały i wyglądał, jakby chciał kogoś zabić. Jak to dobrze, że jego etyka nie pozwalała mu mordować. Z drugiej strony jej matka potrafiła wypaczyć swoim uporem każdą etykę.

– Ten mężczyzna niszczy twoje zwycięstwo! – zawołała. – Zaslugujesz na pięć minut sławy!

– Nie szkodzi – powiedziała Miranda.

Nie potrzebowała sławy – nie była nawet pewna, czy jej chciała – ale tym żyła jej matka. Miranda uścisnęła ją z nadzieją, że tym ją uspokoi i Burnett nie skręci jej mamie karku. Wciąż ją obejmując, zauważyła, że w drzwiach stoją Kylie i Della. Kylie uśmiechała się z niepokojem. Della wydawała się trochę wkurzona. Wampirzyca nie lubiła matki Mirandy. Choć jej rodzice wcale nie byli lepsi.

Chrząknięcie sprawiło, że Miranda przestała przytulać matkę.

– Przepraszam, pani Kane. – Shawn wstał z krzesła. – Ale zaraz naprawdę panią zdenerwuję.

No cudownie! Okazało się, że Shawn przestał się bać jej matki. Miranda popatrzyła na niego ostrzegawczo. Co on knuł?

Spojrzał jej w oczy, a potem odwrócił się do jej matki.

– Proszę pani, pani córka musi zrezygnować z udziału w konkursie.

Mirandzie szczeka opadła.

– Już o tym rozmawialiśmy!

– Zwariowałaś? – warknęła matka Mirandy.

Miranda zignorowała ją i spojrzała z wściekłością na jasnowłosego czarownika.

Ten otarł dłonią twarz i cofnął się o krok. W jego oczach widać było strach. I słusznie.

Shawn spojrział na Mirandę.

– Owszem, rozmawialiśmy, a ja się z tobą nie zgodziłem.

Miranda położyła dłoń na biodrze.

– Nie powiedziałaś, że się nie zgadzasz.

– Ani że się zgadzam.

Zatkało ją.

– Jakby to miało jakieś znaczenie. Nie musisz się ze mną zgadzać. – Potrząsnęła głową i popatrzyła na

Burnetta. – Nie zamierzam wycofać się z konkursu. To tylko narazi na niebezpieczeństwo kogoś innego.

– Oczywiście, że nie! Moja córka nie wycofa się z konkursu – dodała matka Mirandy i w ramach wsparcia stanęła obok córki. A potem odwróciła się i spojrzała na nią. – Chwileczkę. Dlaczego to miałoby narazić na niebezpieczeństwo kogoś innego?

Zanim Miranda zdążyła odpowiedzieć, Shawn rzucił:

– W takim razie muszę się przyznać radzie.

– Do czego? – zapytał Burnett.

– Nie zrobisz tego! – zawołała Miranda równie ostrym tonem, co jej matka.

– Do czego? – powtórzyła za Burnettem pani Kane.

– Pani córka podczas konkursu otrzymała wsparcie z zewnątrz.

– Moja córka nie oszukuje! – Matka Mirandy ruszyła w stronę Shawna.

Miranda chwyciła ją za ramię i trzymała z całych sił. A że jej mama trzy razy w tygodniu ćwiczyła pilates i aerobik, wcale nie było to łatwe. Burnett wskoczył między Shawna a panią Kane, jakby bał się o życie swojego młodszego agenta. Wreszcie załapał, z kim ma do czynienia.

– Co masz na myśli? – wampir zwrócił się do Shawna, wyciągając rękę na wypadek, gdyby pani Kane się wyzwoliła.

– Posłałem jej trochę spokoju.

– Ty? Posłałeś? – syknęła matka Mirandy i wyrwała się z uścisku córki.

– Tak – odparł Shawn.

– Czy prosiłaś go o to? – Matka spojrzała na córkę.

– Nie – odpowiedzieli chórem Miranda i Shawn.

– Dobrze! – Pani Kane wyciągnęła rękę i wycelowała mały palec.

– Nie. – Burnett podszedł do pani Kane i delikatnie opuścił jej rękę. – Czy możecie się uspokoić i dać mi ustalić, co się dzieje?

– Zwycięstwo w tym konkursie naraża życie pani córki na niebezpieczeństwo. – Shawn obszedł Burnetta.

– Ale czemu? – zapytała matka, a kiedy Shawn nie odpowiedział, spojrzała na Burnetta.

Miranda знаła to spojrzenie. W ten sam sposób mama patrzyła na ojca tuż przed tym, jak zamieniła go w pawiana.

– Ty – odezwała się z wściekłością. – Lepiej zacznij mówić, zanim pozbawię cię głosu.
Cholera! Było coraz gorzej.

Burnett opowiedział jej wszystko o dwóch dziewczynach, które zostały zamordowane. Pobladła mama Mirandy osunęła się na krzesło. Miranda podeszła do niej. Mama spojrzała na nią, a potem ujęła jej dłoń.

– Wiecie, kto... kto jest sprawcą?

– Jeszcze nie – powiedział Burnett. – Problem w tym, że nie musi chodzić o finalistki ze Stanów. Poinformowano mnie, że tam będzie dwadzieścia finalistek z całego świata. Skontaktuję się z nimi i ich rodzinami, by ustalić, czy nic im się nie stało.

– Rzecz w tym, że Miranda ma powód, by się wycofać – odezwał się Shawn. – Wygląda na to, że zabójca usuwa uczestniczki konkursu, prawda? – Spojrzał na Burnetta.

– Tak sądzimy...

Shawn nie dał mu dokończyć.

– Jeśli więc Miranda teraz odpadnie, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że już nic nie będzie jej grozić. Nie będzie musiała jechać do Paryża – dodał.

To ostatnie nie spodobało się Mirandzie.

– Nie – warknęła. – Jadę do Paryża.

Jej mama spojrzała na nią.

– Jeśli to ma zagrozić twojemu bezpieczeństwu, to nie jedziesz.

Miranda usłyszała te słowa, ale nie mogła w nie uwierzyć. Zwycięstwo, a raczej nominacja jej córki na arcykapłankę, było dla mamy najważniejsze. Poczwała, jak serce jej się ściska, a w gardle powstaje gula. Po raz pierwszy od lat poczuła się kochana. I z jakiegoś niezrozumiałego powodu te emocje, które złapały ją za serce i gardło, sprawiły, że nie mogła znieść myśli, że mogłaby zawieść matkę.

– Nic mi nie będzie – wydusiła. – Burnett mnie ochroni.

– Ale kochanie, gdyby coś ci się stało, ja... nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić.

– Nic się nie stanie. On do tego nie dopuści – odparła Miranda i wskazała na Burnetta.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na wampira, jakby oczekiwali potwierdzenia tych słów.

Westchnął.

– Gdybym uznał, że twoja rezygnacja z konkursu coś da, już dawno usunąłbym z listy twoje nazwisko. Ale dopiero co ustaliliśmy, że jedna z dziewcząt, które zostały zamordowane, trzy dni temu zrezygnowała z konkursu. A ponieważ wkrótce jadę do Francji, to wolałbym, abyś była blisko.

– Jestem prawie pewna, że ja też jadę – powiedziała Kylie, patrząc w oczy matki Mirandy. Nie dopuszczę, by coś jej się stało.

Kylie spojrzała na młodą czarownicę. Miranda poczuła, jak robi jej się ciepło. Nie ma to jak najlepsze

przyjaciółki.

– Ona jest obrońcą – powiedziała Miranda. – Potężniejszą niż ktokolwiek inny, gdy ktoś, kogo kocha, jest w niebezpieczeństwie. Więc jak widzisz, nic mi nie grozi. – Spojrzała na Dellę. – Ty też jedziesz, prawda? Mama płaci.

Miranda spojrzała pytająco na matkę. Kiedy mama skinęła głową, odwróciła się znów do Delli.

– Ja... – Ponura mina Delli odpowiedziała Mirandzie na pytanie i wcale jej się ta odpowiedź nie spodobała.

– Ja tylko chcę...

– Tak, pojedzie. – Burnett wystąpił naprzód.

Della spojrzała na niego ze zdziwieniem i potrząsnęła głową.

– Biorąc pod uwagę, co się dzieje z moim tatą, nie sądzę...

– Musisz...

Della potrząsnęła głową i powiedziała:

– Jestem pewna, że ty i Kylie możecie...

– Wysłuchaj mnie – warknął Burnett. – Trop w sprawie, którą się zajmujesz, właśnie objawił się w DeVille, we Francji. Chcesz jechać?

– Jaki trop? – Oczy zabłyśły jej z przejęcia. – Chase?

Miranda wiedziała, że Della zajmuje się sprawą swojego ojca, który został oskarżony o to, że osiemnaście lat temu zamordował własną siostrę. A osobą, która mogła coś w tej sprawie wiedzieć, był Chase, inny superwampir, który uratował życie Delli, mieszając swoją krew z jej, gdy przechodziła drugą przemianę. Podobno zmieszanie krwi wiązało ich ze sobą. Później jednak Della odkryła, że ją okłamywał i miał kontakt z bratem jej ojca, który przypuszczalnie był wampirem wyrzutkiem i którego JBF i Della uważali za prawdziwego mordercę.

– Chodzi o Chase'a? – powtórzyła Della, gdy Burnett nie odpowiedział.

Skinął głową.

– Dostałem tę informację godzinę temu. Podróżował z mężczyzną azjatyckiego pochodzenia.

– Chwileczkę – odezwała się Kylie. – Chyba nie sądzicie, że te sprawy są powiązane?

– Na razie nic na to nie wskazuje – odparł Burnett. – Ale zgadzam się, że to zaskakujący przypadek.

Della wypięła pierś, a oczy jej się roziskrzyły, ale Miranda nie wiedziała, od jakich emocji.

Della znów spojrzała na Mirandę.

– Wygląda na to, że jednak pojedę.

Dwa dni później chłodne popołudniowe powietrze owiewało twarz Mirandy. Dziewczyna stała na niewielkim spłachetku trawy i patrzyła na wieżę Eiffla. Kylie i Della były obok niej. Jej dwie najlepsze

przyjaciółki na świecie, ale nawet ich obecność nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa, którego pragnęła. A jakieś trzydzieści metrów za nimi był jasnowłosy czarownik.

Miranda czuła na sobie jego spojrzenie. Nie rozmawiała z nim od konkursu. Nadal ją wkurzało, że sprzeciwił się jej i groził, że doprowadzi do wykreślenia jej z konkursu.

Przybyli do Paryża tego ranka. Jej mama miała do nich dołączyć za dwa dni. Miranda czuła się zmęczona po podróży i wyczerpana emocjonalnie. Ze względów bezpieczeństwa Burnett zabrał je do jakiegoś mieszkania, a nie do hotelu, w którym miały się zatrzymać wszystkie zawodniczki.

I chociaż brzmiało to głupio, Miranda poczuła ulgę, że budynek, w którym mieszkały, nie miał gargulców. Nienawidziła gargulców i podczas wędrówki drżała za każdym razem, gdy ujrzała jakiegoś na okapie domu.

Spały przez jakieś sześć godzin, a kiedy się obudziły, Miranda wybłagała u Burnetta zgodę na wyjście na miasto.

Jak zwykle nadopiekuńczy Burnett odmówił. Miranda już miała zaprotestować, ale Della była szybsza. Zawołała, że nie po to jechały taki kawał do Paryża, by gapić się na puste ściany. Dodała też, że od kiedy wylądowali we Francji, Burnett nie pozwala jej polecieć do DeVille, by zająć się jej własnym śledztwem. Burnett zgodził się pod jednym warunkiem – wezmą ze sobą wsparcie. I tym sposobem Shawn szedł za nimi jak zagubiony szczeniaczek. Miranda wolałaby, żeby przestał się na nią gapić. Miała szczerą ochotę machnąć małym palcem i wyczarować mu na oczach klapki.

Nie wiedziała właściwie, co chce robić w mieście. Kurde, wiedziała. Chciała zobaczyć się z Perrym, ale nie była pewna, czy powinna. Ze sto razy gryzła się w język, by nie zapytać Burnetta, czy Perry wiedział o jej przyjeździe. Ale jeśli wiedział, pękłoby jej serce, bo nie przybył jej jeszcze na spotkanie. Czy w ogóle za nią nie tęsknił? Czy już mu nie zależało? Czy to wszystko, co mówił jej przez ostatnie sześć miesięcy, było kłamstwem? Jak mogło mu tak po prostu przestać zależeć?

Wilgotny chłód zdawał się przenikać pod jasnozieloną kurtkę Mirandy, a jej serce zaczęło boleć jeszcze bardziej. Dotknęła swojego wisiora, a następnie szczerzej otuliła się kurtką.

– Och! – syknęła Della. – Właśnie weszłam w psią kupę. Czy tu nikt nie sprząta po psach?

– Nie mogłabyś po prostu cieszyć się Paryżem? – warknęła Miranda.

– I kto to mówi? Nie możesz nawet spojrzeć na żaden budynek, bo się boisz gargulców.

– No i co z tego, że się ich boję? Wiesz, że niektóre to tak naprawdę demony? – odwarknęła Miranda i pożałowała, że przyznała się przyjaciółkom do swoich lęków.

Odwróciła się i znów zaczęła się przyglądać jednej z największych atrakcji Paryża. Po dłuższej chwili poczuła na sobie wzrok przyjaciółek, jakby oczekiwały, że coś powie. Uznała, że przynajmniej raz spróbuje spełnić ich oczekiwania, i rzekła:

– Duża ta wieża.

– Co my tu w ogóle robimy? – zapytała Della. – Wszystkie wiemy, czego tak naprawdę chcesz.

Miranda doskonale wiedziała, co Della ma na myśli, ale wkurzało ją, że wampirzyca nie chciała tego

samego. Perry nie przyjechał do Paryża sam. Był z nim Steve, niejako były Delli.

Jak to możliwe, że Della nie chciała go zobaczyć? Czyżby zrezygnowała z niego tak, jak Perry zrezygnował z Mirandy?

– Ta – prychnęła Miranda. – Chodźmy do Luwru. Oglądanie puszystej damy ze sztucznym uśmiechem jest zabawniejsze.

– Przestań się wygłupiać – warknęła Della. – Jeśli chcesz znaleźć Perry’ego, to po prostu powiedz i miejmy to z głowy.

Miranda posłała wampirzycy zimne spojrzenie.

– Nie wiem, czy chcę go widzieć.

– Nie żartuj – odparła Della. – Założę się o mój najlepszy stanik, że to dlatego chciałaś wygrać. Żeby tu przyjechać i się z nim zobaczyć.

– Wiesz co? – zawołała Miranda. – Zależy ci na tym, żebym powiedziała, że chcę się spotkać z Perrym, żebyś mogła zobaczyć się ze Steve’em. Oj, nie masz kłów i po prostu boisz się przyznać, że chcesz go spotkać.

Oczy Delli zalśniły ze złości – pewnie z powodu tego komentarza o kłach – ale wampirzyca wiecznie rzucała Mirandzie jakieś gadki o czarownicach. A może nie chodziło o krytykę wampiryzmu, tylko jej przyjaciółka była równie nieszczęśliwa z powodu Steve’a, co Miranda z powodu Perry’ego. Czarownicę prawie ogarnęło poczucie winy.

– Gdybym chciała zobaczyć Steve’a, to już bym tam była! Nie jestem tchórzem! – warknęła Della, a jej ton natychmiast pozbawił Mirandę jakichkolwiek wyrzutów. – Ty mała wiedźmo!

Ostatni komentarz uprawomocnił złość Mirandy. Przewróciła oczami, czekając, aż Kylie powie Delli, by się uspokoiła. Kylie była mediatorką i rozjemcą. A kiedy nie zabrała się do działania, Miranda spojrzała na blondynkę.

– Kiedy jej powiesz, żeby zaczęła się porządnie zachowywać?

Kylie zrobiła dziwną minę.

– E tam, uznałam, że pozwolę wam się wzajemnie pozabijać i będę miała spokój. To musiało kiedyś nastąpić.

– Mogę? Mogę ją zabić? – zawołała Della. – Proszę. O, wiem! Rzucę ją gargulcom na pożarcie!

– To nie jest śmieszne! – Miranda skrzywiła się i odwróciła od przyjaciółek.

Wiedziała, że zachowuje się okropnie, ale kurczę, zbyt cierpiała, by zachowywać się inaczej. W tym momencie to poczuła. Odniosła to samo złowieszcze wrażenie, jakie miała na scenie.

– Wróciło – powiedziała i rozejrzała się wokół.

– Co? – zapytała Della.

– Kłopoty. Kłopoty wróciły.

– Zdefiniuj kłopoty – powiedziała Della.

– Takie, z którymi pojawiają się ogniste kule. – Miranda rozejrzała się wokół i oto za grupą

azjatyckich turystów dostrzegła grzywę rudych włosów. Dwadzieścia metrów od nich stała Tabitha i patrzyła na wieżę Eiffla.

Czy to znaczyło, że to ona wywoływała te odczucia?

– Mamy towarzystwo – powiedziała Della, unosząc nos.

– Wiem, już ją zauważyłam – odrzekła Miranda, a kiedy odwróciła się do Delli, zobaczyła kolejne dwie znajome twarze.

Bliźniaczki, Candy i Sandy Gleason, stały jakieś sto metrów dalej, w kolejnej grupie turystów podziwiających wieżę Eiffla.

– Gdzie? – warknęła Della.

– Tabitha jest tam, a...

– Nie – odparła Kylie i uniosła głowę, pociągając nosem. – Ona ma na myśli wampira. W okolicy jest ich kilka i śmierdzą starą ludzką krwią.

– Tak, ale pewnie i tak są miłsze od Tabithy.

Miranda zauważyła kątem oka, jak obok nich mignęła niewyraźna postać, a potem przeleciała koło sześciorga Azjatów z telefonami komórkowymi wycelowanymi w wieżę Eiffla. Patrzyła przerażona, jak wampir spada na Tabithę.

– Tam – krzyknęła Miranda i pobiegła.

Co z tego, że pierwsza go zobaczyła i ruszyła biegiem, skoro Kylie, Della, a zaraz za nimi Shawn wyprzedzili ją w ciągu sekundy.

Wściekła na swoją powolność, Miranda stanęła i z przerażeniem patrzyła, jak obdarty wampir zatrzymał się za Tabithą, jedną ręką złapał ją przez pierś, a drugą przycisnął z boku jej głowy. Widziała to na filmach, tę okropną pozycję, w której łatwo skrócić komuś kark. W niebieskich oczach Tabithy ujrziała strach. Ten sam, który i Mirandzie zacisnął żołądek.

Rozdział 8

Co z tego, że była jej arcywrogiem? W tym momencie bała się o nią. Pożalowała złośliwych komentarzy na jej temat i przypomniała sobie, jak w przedszkolu dzieliły z Tabithą miłość do tych samych ciasteczek, tych samych wierszyków i wszystkiego, co było związane z księżniczkami.

– Zatrzymajcie go! – krzyknęła Miranda i uniosła rękę, by rzucić czar.

– Puść ją – zawołała Kylie potężnym głosem, a Miranda wstrzymała się z atakiem.

Kylie, obrońca, dysponowała silniejszą magią niż ona. Brudny ciemnowłosy wampir roześmiał się, jakby nic nie mogło go powstrzymać. Jego wygląd i paskudne łachy świadczyły o tym, że jest wyrzutkiem. A pewny siebie uśmiech, odsłaniający żółte zęby – że nie miał pojęcia, iż ma przeciw sobie obrońcę i superwampira. Przycisnął mocno rękę do policzka Tabithy, ale nim zdążył zrobić coś więcej, Kylie złapała go za ramię. Bez trudu przerzuciła go sobie nad głowę, aż upadł ciężko na zimny chodnik. Della podbiegła do niego na wypadek, gdyby próbował wstać.

Turyści zaczęli krzyczeć i rozbiegli się jak wypuszczone z klatki szczury. A potem zaczął się nalot wampirów. Dwa, trzy, cztery. Della i Shawn ruszyli do ataku, a każde z nich wzięło na siebie dwóch. Kylie zaś aż trzech.

Miranda patrzyła to na jedną, to na drugą grupę, aż spojrzała na Tabithę, która osunęła się na kolana i zwymiotowała. Miranda była kilka metrów od niej, gdy poczuła, że niebezpieczeństwo wzrasta. Po kręgosłupie przebiegły jej ostrzegawcze dreszcze. Uniosła głowę i zobaczyła, jak po niebie leci kula ognia wielkości kuli armatniej. Prosto na Tabithę.

Widząc, że Della, Shawn i Kylie są zbyt zajęci, by dostrzec kolejne niebezpieczeństwo, uniosła dłoń, poruszyła małym palcem i sprawiła, że ognista kula zmniejszyła się do wielkości dziesięciocentówki, po czym uderzyła w ziemię jakieś pół metra od Tabithy. Dziewczyna krzyknęła i poderwała się na równe nogi, gotowa do ucieczki.

Miranda rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nie pojawiło się jakieś nowe niebezpieczeństwo, i zobaczyła, jak Shawn walczy lśniącym mieczem już z trzema wampirami. Słyszała, że niektórzy wyjątkowo uzdolnieni i potężni czarownicy otrzymywali honorowe miecze.

Kiedy Shawna zaatakował czwarty wampir, Miranda uznała, że trzeba działać. Uniosła rękę, próbując wymyślić czar, którego nie zauważiliby ludzie.

– Mam – powiedziała na widok dużego wilczura i dwóch francuskich buldożków. – Atakujcie!

W chwili, gdy poruszyła małym palcem, zrozumiała swój błąd. Ostatnią myślą w jej dyslektycznym mózgu był komentarz Delli na temat psych kup, a nie samych psów.

Z przerażeniem patrzyła, jak z okolicznego trawnika unoszą się sterty psich odchodów i spadają na wampira.

– O nie – jęknęła.

Zanim zdążyła coś zrobić, z ziemi podniosła się mgła gęstsza od dymu. Wszystko zasłoniła szarość, przez którą nie było nic widać nawet na wyciągnięcie ręki.

– Miranda? – Z mgły dobiegł ją stłumiony głos Shawna.

– Tu jestem – odparła i nagle poczuła, jak ktoś ją łapie.

Na myśl o wampirze, który prawie skręcił kark Tabithy, instynktownie uniosła kolano i uderzyła w miękki punkt pomiędzy jego nogami, równocześnie próbując przypomnieć sobie jakąś klątwę.

– Cholera. – Usłyszała, jak ktoś jęknął. Po sekundzie uświadomiła sobie, że to był Shawn.

– Oj – pisnęła.

A potem, jakby za sprawą magicznej różdżki – oczywiście, że to była magia – mgła zniknęła. Gęsta chmura zamieniła się w błądy obłok pary. Miranda ujrzała, jak Shawn zasłania przyrodzenie, i nagle ogarnął ją wstyd.

– Do cholery, gdzie oni się podziali? – warknęła Della, patrząc najpierw na Kylie, a potem odwracając się do Mirandy i Shawna.

Czarownica dopiero po chwili zrozumiała, kto zniknął. Wampiry. Włącznie z tym, którego zaatakowała psią kupą.

– O rany. – Czasami nienawidziła swoich dyslektycznych wpadek. Z drugiej strony... może nie tym razem. Wampir wyrzutek, który resztę życia spędzi atakowany przez wszystkie okoliczne kupy, zasługiwał na to, prawda?

Wtedy do niej dotarło, że mgła pojawiła się, by wampiry mogły uciec. Wampiry nie potrafią wytworzyć mgły. To domena czarownic i czarowników, no i może kameleonów, jeśli akurat zamienią się w czarownicę.

– Nie wiem, gdzie zniknęli – warknął Shawn.

Miranda rzuciła na niego okiem. Na jego twarzy wciąż widać było wyraz bólu i przyciskał pięść do brzucha.

Kiedy spojrzał na Mirandę, wypowiedziała bezgłośnie „przepraszam”. Skinął głową z zaniepokojoną miną, a potem cofnął się o krok i wyciągnął komórkę. Usłyszała, jak wypowiada nazwisko Burnetta.

Na wspomnienie ognistej kuli Miranda uświadomiła sobie, że zniknął ktoś jeszcze. Wstrzymując oddech, rozglądała się po parku.

– Gdzie Tabitha? – zapytała z niepokojem i obróciła się dookoła, próbując wypatrzyć rudą czarownicę.

– Była tam – powiedziała Kylie.

W końcu Miranda zauważyła ją jakieś trzydzieści metrów dalej. Siedziała na ziemi z opuszczoną głową i wciąż trzymała się za żołądek.

Miranda ruszyła w jej stronę.

Kiedy się do niej zbliżyła, usłyszała jakiś dźwięk. Tabitha nuciła coś pod nosem. I to znajomą melodię. „Stary Donald...” Tę samą, którą ona nuciła, gdy chciała się uspokoić. Dziwny zwyczaj, którego nauczyła się od ojca. Czyżby Tabitha podłapała go od Mirandy, gdy chodziły do przedszkola? Miranda nie była pewna, ale jak to inaczej wytłumaczyć?

– Już dobrze – powiedziała, podchodząc bliżej.

Dziewczyna podniosła wzrok. Na brodzie miała trochę śliny. Spojrzała wściekle na Mirandę.

– Ty! Mogłam się domyślić, że to twoja sprawka.

– Ja nie...

– Co się stało? – rozległ się głos na prawo od Mirandy.

Podbiegła Sienna, usiadła na ziemi i uścisnęła Tabithę.

– Ona się stała – syknęła Tabitha, odsuwając się od przyjaciółki i patrząc na Mirandę.

– Bzdura! – Della i Kylie stanęły u jej boku. – Może nie zauważyłaś, ale Miranda skurczyła ognistą kulę, która celowała w twój zad.

Della spojrzała na Mirandę.

– Należało pozwolić, żeby nią oberwała. Świat byłby bez niej lepszy.

Tabitha zaczęła podnosić rękę. Miranda wskoczyła przed Dellę. Może i przed chwilą uratowała życie drugiej czarownicy, ale nie zamierzała pozwolić, by ta skrzywdziła jej przyjaciółkę.

Della odsunęła Mirandę i syknęła:

– Spróbuj tylko ruszyć tym palcem, a ci go urwę i nakarmię nim jakąś biedną paryską żabę. Nie jestem tak dobroduszna jak moja przyjaciółka.

Tabitha, która nie była taka głupia, opuściła rękę, ale nie zamierzała się wycofać.

– Zgłoszę to agentowi JBF.

– Komu, mnie? – zapytał Shawn, stając obok Mirandy. – Jeśli...

– A może mnie? – rozległ się niski głos, gdy obok Shawna zatrzymała się smuga cienia.

Miranda, nawet nie podnosząc wzroku, wiedziała, że to Burnett.

– A może wyjaśnisz mi, czemu nie zastosowałyście się do mojego rozkazu i wyszłyście z hotelu? –

Z tym pytaniem zwrócił się do Sienny i Tabithy.

– Nie jesteśmy więźniami – warknęła Sienna.

– Nie, ale ktoś życzy wam śmierci – odezwał się Burnett niskim, rozzłoszczonym głosem. – Wolicie być martwe?

Kiedy Sienna nie odpowiedziała, dodał:

– Czy ktoś byłby łaskaw powiedzieć, co tu się wydarzyło?

– Myślę, że ona próbuje mnie zabić. – Tabitha spojrzała z wściekłością na Mirandę.

– Czemu miałabym chcieć cię zabić? – warknęła Miranda.

– Przestań udawać, że nie wiesz – odparła Tabitha, podrywając się na równe nogi.

– Czego? – prychnęła Miranda i poczuła, że Kylie bierze ją za rękę, jakby chciała ją uspokoić.

Tabitha, nie odpowiedziawszy, zaczęła się oddalać.

– Zatrzymaj ją – rzekł Burnett do Shawna. – Wszyscy mają wrócić do mieszkania, dopóki nie ustalę, co się dzieje.

Spojrzał na drugiego agenta.

– Zbierzcie od ludzi aparaty. Weźcie je do biura i zgrajcie zdjęcia. Powiedzcie ludziom, że będą je mogli odebrać za kilka godzin.

Przestań udawać, że nie wiesz?

Miranda wciąż powtarzała w myślach ostatnie słowa Tabithy. Ruszyła za Shawnem, chcąc ustalić, o co chodzi, ale Burnett złapał ją za ramię.

– Nie. To nie pora na babskie kłótnie.

Miranda zatrzymała się, ale spojrzała z krzywą miną za Tabithą. Czemu miała wrażenie, że chodzi o coś więcej niż tylko babskie kłótnie? Co zaszło pomiędzy ich matkami prawie czternaście lat temu, że nadal budziło to takie emocje?

Cztery godziny później, podczas ich pierwszego wieczoru w Paryżu, Miranda siedziała obok Kylie na kanapie w mieszkaniu. Delli pozwolono udać się z drugim agentem do DeVille. Zanim wampirzyca wyszła, Miranda przeprosiła ją za swoje zachowanie. Della uśmiechnęła się krzywo i powiedziała, że już jej wybaczyła. Miranda nalegała, by się przytuliły, a Della jak zwykle protestowała, ale w końcu zgodziła się na krótki uścisk.

Tak właśnie było z tą wampirzycą. Wkurzała się w sekundę, ale prawie równie szybko wybaczała. A Miranda wiedziała, że pod tą drażliwą postawą kryje się złote serce.

Sienna i Tabitha siedziały na mniejszej kanapie. Tabitha wciąż krzywiła się na Mirandę, a ta powstrzymywała się z całych sił, by nie zażądać wyjaśnień co do wcześniejszej wypowiedzi.

Burnett skonfiskował turystom wszystkie aparaty i zgrywał zdjęcia i filmy na laptopa. Po rozmowach, a raczej przesłuchaniu wszystkich, podpiął do komputera rzutnik i na białej ścianie mieszkania wyświetlał atak uwieczniony na zdjęciach i filmach.

Shawn opowiadał, co widać na pojawiających się zdjęciach.

– Tu widać ognistą kulę. A tu Miranda skurczyła ją do wielkości groszku. – Shawn popatrzył na Tabithę.

Kiedy spojrzała zaskoczona, Miranda zrozumiała, że ona naprawdę nie zdawała sobie sprawy z tego, że została uratowana. A sądząc z jej miny, wcale nie była tym faktem zachwycona.

Miranda spojrzała na wiszący na ścianie zegar, pragnąc skończyć ze zdjęciami i ustalić wreszcie, czemu Tabitha była taka wkurzona. Co Miranda powinna wiedzieć, a nie wiedziała? Ta wojna między

nimi trwała już zbyt długo. Nadeszła pora na odpowiedzi.

– Dobra. – Burnett zatrzymał rzutnik. – Wydaje się oczywiste, że to Tabitha była celem.

– Co? Czemu tak pan uważa? – zapytała Tabitha, a w jej głosie słychać było strach.

Kylie nachyliła się do niej.

– Pierwszy wampir zaatakował właśnie ciebie i wygląda na to, że ognista kula też była w ciebie wycelowana.

– Ale... ale... – zaczęła się jąkać Tabitha. – To znaczy... Myślałam, że uważacie, że to robota kogoś, kto chce się pozbyć konkurencji.

– Owszem – przyznał Burnett.

– W takim razie czemu nie zaatakowali Mirandy albo Sienny?

– To właśnie próbujemy ustalić.

Burnett usiadł na krześle i spojrzał na Shawna.

– W kwestii tej akcji z ognistą kulą, kto...

– Czar – przerwała mu Sienna.

Burnett spojrzał na nią. Sądząc z jego miny, nie przepadał za nią.

– Słucham?

– My nie robimy akcji, tylko rzucamy czary.

Wampir z niezadowoleniem skinął głową.

– Czy aby rzucić ten... czar, trzeba być blisko? – Zwrócił się z tym pytaniem do Shawna, ale spojrzał też na Mirandę i pozostałe czarownice.

– Można rzucić taki czar z oddali, ale to mało prawdopodobne – odpowiedziała Miranda.

Shawn skinął głową, dając do zrozumienia, że się z nią zgadza. Sienna i Tabitha zrobiły to samo.

– A więc istnieje szansa, że osoba, która jest za to odpowiedzialna, jest na którymś ze zdjęć? – Burnett spojrzał na fotografię na ścianie, która w tym momencie akurat ukazywała Siennę.

– Możliwe – powiedział Shawn.

– Czemu omawiamy tylko ognistą kulę? Przecież to wampir prawie skrzył Tabicie kark – powiedziała Sienna, jakby czuła się dotknięta, że oskarżał tylko jej gatunek.

– Wiem o tym – odpowiedział Burnett. – Ale jestem prawie pewny, że wampiry zostały wynajęte, a ich przywódcą jest ktoś z waszego gatunku. Może nawet ktoś biorący udział w konkursie.

– Chwila – zawołała Sienna. – Twierdzi pan, że jesteśmy podejrzane?

Rozdział 9

Burnett przyjrzał się Siennie uważnie, a sposób, w jaki przechylił głowę, świadczył o tym, że zamierza ją przepytąć i będzie się wsłuchiwał w jej serce, by sprawdzić, czy mówi prawdę. Czyżby Burnett podejrzewał, że to Sienna stoi za tym wszystkim? Miranda nie знаła jej na tyle, by móc to wykluczyć.

– Czy to ci przeszkadza? – zapytał Burnett.

– Tak, przeszkadza mi – odparła stanowczo. – Tabitha jest moją przyjaciółką. Nie zrobiłabym jej krzywdy.

– Byłyście dziś razem?

– Nie – powiedziała Sienna. – Byłam na obiedzie z rodzicami, gdy zauważyłam, że coś się dzieje.

– Więc to nie ty wywołałaś te wydarzenia?

– Sienna by tego nie zrobiła – zawołała Tabitha.

Sienna skrzywiła się.

– Musi pan to usłyszeć ode mnie, prawda?

Burnett nie owijał w bawełnę.

– Tak.

– Nie, nie próbowałam zabić Tabithy. I czuję się urażona, że mógłby pan tak pomyśleć.

Miranda próbowała wyczytać z miny Burnetta, czy przyłapał dziewczynę na kłamstwie, ale jego twarz nie zdradzała nic. A potem przypomniała sobie, że Kylie może się zamieniać w wampira, i spojrzała na nią pytająco.

Kylie skinęła głową, dając do zrozumienia, że Sienna mówi prawdę.

Sienna spojrzała na Mirandę.

– A czemu jej nie zadaje pan tych pytań? To dlatego, że ona chodzi do pana szkoły i nie chce pan, żeby któryś z pana cennych uczniów okazał się winny?

– Jestem cenna? – zawołała Miranda, posyłając dziewczynie sztuczny uśmiech. – Dziękuję za komplement.

Burnett warknął cicho.

– To prawda. Moja znajomość z Mirandą Kane sprawia, że nie mogę jej podejrzewać. Poza tym dowody także na to wskazują.

– Jakie dowody? – zapytała Sienna.

Burnett nie lubił być przepytany i od razu dało się to wyczytać na jego twarzy.

– Gdyby chciała zabić Tabithę, to po co miałyby ją potem ratować? Jeszcze jakieś pytania? – rzucił budzącym respekt tonem.

Sienna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Miranda też. Tylko chyba z innych przyczyn. Miło było wiedzieć, i to miło w znaczeniu rozpluwającego się serca i potrzeby przytulenia, że Burnett jej wierzył. Miała straszną ochotę go uściskać. Tak, jak uściskałaby tatę. Tatę, którego przez ostatnie kilka miesięcy prawie nie widziała.

I wtedy coś sobie uświadomiła. A raczej dotarło to do niej wyraźniej niż do tej pory. Tęskniła za tatą. Z powodu pracy ciągle był w rozjazdach, ale od kiedy zapisała się do szkoły z internatem w Wodospadach Cienia, prawie w ogóle go nie widywała.

Kylie, jako kameleon, musiała zamienić się w elfkę, bo jakby odczytując nastrój Mirandy, nachyliła się i szepnęła:

– Będzie dobrze.

Dotknęła delikatnie ramieniem ręki Mirandy i na Mirandę spłynął cudowny spokój. Tak, Kylie była teraz elfką. Tylko dotyk elfa może pomóc na ból serca.

Burnett spojrział na Shawna.

– Włącz ostatni film.

Oglądali kolejne nagranie zrobione przez turystę, który nie wiedział, że jego wspomnienia z wycieczki zostaną wykorzystane w śledztwie. Ten jednak miał inną perspektywę i przedstawiał coś, czego nie było na pozostałych.

Atak kup.

Miranda opadła na skórzane poduchy, żałując, że nie może zniknąć.

– Co to, do cholery, jest? – zapytał Burnett i ponownie włączył film, na którym widać było, jak w wampira uderza cztery czy pięć stert odchodów.

– Nie zauważyłem tego – powiedział Shawn. – Byłem zbyt zajęty walką.

– Ja też – dodała Kylie, ale musiała coś wyczuć w emocjach Mirandy, bo spojrzała na nią.

Miranda lekko kiwnęła głową.

Burnett też na nią spojrział. Tak bardzo chciała skłamać – przyznanie się do schrzanienia czaru przy Shawnie, nie wspominając już o Tabicie i Siennie, było okropne – ale sumienie jej na to nie pozwalało.

– Zobaczyłam, że Shawn ma pełne ręce roboty i chciałam pomóc.

– Obrzucając wampira gównem? – zapytała Sienna.

– Zadziałało – powiedział Shawn, nim Miranda zdążyła się wytłumaczyć. Spojrział najpierw na Siennę, a potem na Mirandę i uśmiechnął się. Delikatnie. Słodko. – Dziękuję.

O kurde! To brzmiało idiotycznie, ale miała wrażenie, że on wiedział, że schrzaniła sprawę, i próbował oszczędzić jej wstydu.

– Zneutralizowałaś czar?

– Nie, on próbował nas zabić.

Burnett zachichotał.

– Cóż, myślę, że na to zasługuje. – Spojrzał znów na komputer. – Przejrzyjmy to wszystko jeszcze raz i sprawdźmy, czy nie ma tam nic nietypowego. Pamiętajcie, istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś, kto rzucił ognistą kulę, jest na jednym ze zdjęć.

Obserwując to wszystko po raz kolejny, Miranda coś sobie przypomniała. Kiedy skończyli oglądać zdjęcia, zamknęła oczy i odtworzyła w myślach własne wspomnienia. I przyszło jej coś do głowy.

– Wiecie, jakie osoby widziałam na miejscu, ale nie było ich na żadnym ze zdjęć i filmów?

– Jakie? – zapytali chórem Burnett i Shawn.

– Bliźniaczki. Candy i Sandy. Widziałam je w tłumie.

Burnett spojrzał na Shawna.

– Nie mówiłeś, że były w hotelu?

– Po powrocie rozmawiałem z Candy i powiedziała, że nie wychodziły.

Burnett popatrzył na Mirandę.

– Jesteś pewna?

Miranda znów odtworzyła w myślach obrazy, a po chwili spojrzała na Burnetta.

– Tak, na pewno.

– Oskarżasz o to Sandy i Candy? – zapytała sarkastycznie Tabitha.

– O nic ich nie oskarżam. Powiedziałam, że je tam widziałam.

– Ja ich nie widziałam. – Sienna usiadła z powrotem na kanapie i skrzyżowała ręce na piersi. Jej oczy załśniły wesoło, jakby niezgadanie się z Mirandą sprawiało jej przyjemność.

– Widziałaś je? – Sienna zwróciła się do Tabithy.

– Nie – odparła Tabitha, ale z mniejszą niechęcią.

Kto by pomyślał, że Sienna jest gorszą suką niż Tabitha?

– A ty? – Sienna zapytała Kylie. – Widziałaś bliźniaczki?

– Nie, ale się za nimi nie rozglądałam. – W oczach Kylie błysnęła złość. – Jeśli Miranda mówi, że je widziała, to tak było – powiedziała groźnym, opiekuńczym tonem.

Sienna nie zwróciła na to uwagi.

Tabitha spojrzała na Shawna.

– Pewnie byłeś zbyt zajęty podziwianiem Mirandy, by je dostrzec.

Shawn skrzywił się gwałtownie.

– Miałem za zadanie jej pilnować.

– Tak jakbyś na nią nie leciał – odparła Tabitha. – Widziałam, jak się na nią gapisz w czasie konkursu i jak się nad nią rozpląwałeś, gdy zemdląca. Teraz też patrzysz na nią, jakby była cukierkiem, a ty cukrzykiem.

– Moje uczucia wobec panny Kane, które nie dotyczą śledztwa, nie powinny cię interesować – odparł stanowczo.

– Nie jestem cukierkiem – warknęła Miranda bez zastanowienia i natychmiast naszła ją ochota, by się zapaść w poduszki kanapy. Czy uczucia Shawna do niej były aż tak wyraźne? Ta myśl sprawiała, że jednocześnie czuła się niezręcznie i była... zadowolona, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało. W tym momencie stwierdziła, że od kilku godzin nie myślała o Perrym. Czy to coś oznaczało? Czy przebyła całą tę drogę do Paryża, by w końcu zaakceptować jego decyzję, że ich związek potrzebuje przerwy? Och, to było złe pod tyloma względami. I ta myśl wywołała kolejne mieszane uczucia: ulgę i poczucie winy.

Ulgę, że wreszcie zaczęła iść w dobrym kierunku – czyli odsuwać się emocjonalnie od Perry'ego – a poczucie winy, bo... bo odsuwała się emocjonalnie od Perry'ego. Jak mogła się odsuwać, skoro go kochała? Czy to dlatego, że w głębi duszy nadal miała słabość do Shawna?

Burnett wstał i spojrzał na Shawna i Kylie.

– Wy dwoje miejcie tu na wszystko oko. Ja muszę zamienić kilka słów z bliźniaczkami. – Ruszył do wyjścia, ale odwrócił się i zmierzył wzrokiem Mirandę, a potem Siennę i Tabithę. – Mam nadzieję, że nie muszę wam przypominać, że nie wolno wam stąd wychodzić? Podczas tego zajścia udało nam się uniknąć wysyłania ciał do Stanów i wolałbym, aby tak zostało.

– Ale właśnie powiedział pan, że to Tabitha jest celem – rzekła Sienna.

– Była nim ostatnim razem – odparł Burnett. – Morderca zabił już dwie dziewczyny, które były faworytkami w konkursie. Z mojego punktu widzenia wszystkie jesteście celem. A dopóki nie ustalę, że jest inaczej, będziecie robić tak, jak powiedziałem. Czy wam się to podoba, czy nie.

Zniknął błyskawicznie, pozostawiając uczucie niepokoju. A to zaowocowało ciszą. Ciszą, którą przerwał dzwonek telefonu Mirandy. Sięgnęła po komórkę z nadzieją, że to jej tata, ale nie.

Spojrzała na Kylie i wyszeptwała:

– O kurczę, to mama. Jeśli jej powiem, co się stało, to dostanie zawału.

Mama nie dostała zawału – pewnie dlatego, że Miranda jej nie powiedziała. No, wspomniała o tym, ale przedstawiła całą sytuację tak, jakby była tylko drobną niedogodnością. I, taki drobiazg, próbą zabójstwa.

– Naprawdę, to tylko kilka nieodpowiedzialnych wampirów. – Miranda wstała, by znaleźć jakieś spokojne miejsce do rozmowy.

Zanim wyszła, Kylie uściśniła jej rękę, przesyłając spokój. Najwyraźniej wyczuwała emocje Mirandy.

– Czy Burnett o tym wie? – zapytała mama, gdy Miranda weszła do niewielkiej kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

– Tak, zajmuje się tym. – Jej wewnętrzny alarm „właśnie skłamałaś” właściwie się nie uruchomił. Bagatelizowanie czegoś nie było przecież kłamstwem. Poza tym mama była tysiące kilometrów stąd i miała się pojawić dopiero za dwa dni. Nie było sensu jej stresować.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Czy tata jest w domu? – zapytała Miranda, przypomniawszy sobie, jak bardzo niedawno za nim zatęskniła.

– Nie, poproszono go, by popracował jeszcze tydzień w Anglii.

– Ostatnio jest coraz bardziej zajęty. – Miranda próbowała zapanować nad frustracją.

– Tak, jest pracoholikiem. – W głosie matki słychać było pewne niezadowolenie.

Matka Mirandy nigdy nie narzekała na pracę ojca, akceptowała to. Miranda pamiętała nawet, jak mama mówiła czasem znajomym, że nie jest pewna, czy zdołaby żyć z mężczyzną na pełen etat. Jej rodzice nigdy nie mieli czegoś, co można by nazwać typowym związkiem. Ale wydawali się szczęśliwi. Miranda po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy jej mama nie czuje się samotna. Co prawda nie była typem, który może być samotny. Jej kalendarz towarzyski pękał w szwach. Przed wyjazdem do Wodospadów Cienia Miranda miała czasem wrażenie, że wręcz przeszkadza swojej matce w życiu.

– Więc nie przyjedzie do Paryża? – Nie uzyskała odpowiedzi. – To tylko kilka godzin pociągiem. Mamo?

– Och nie. Twój tata nie lubi zawodów. Przecież wiesz, kochanie.

– Tak, ale nigdy nie chodziło o arcykapłankę. – No przecież tata wcale tego nie chciał. To mama nalegała, by Miranda wspinała się po czarowniczej drabinie sukcesu. – Ani o Francję. Pomyślałam, że może by... no wiesz, zrobił wyjątek. – Znow odpowiedziało jej milczenie. – Może mogłabyś zadzwonić i zapytać? Od dawna się nie widzieliśmy na spokojnie.

– Masz rację. Powinniśmy pojechać na narty do Kolorado. Zaraz po Gwiazdce. Wydaje mi się, że w tym roku na niego przypada praca w święta, ale wspomnę o tym, jak będę z nim rozmawiać.

Tata wraz z przyjacielem byli właścicielami kilku wysokiej klasy hoteli w różnych częściach Stanów Zjednoczonych. Mama nie lubiła mieszkać w hotelach, więc bywały w posiadłościach ojca najwyżej kilka razy do roku.

– Może jak zadzwonię i poproszę, by przyjechał do Paryża, to się zgodzi – powiedziała Miranda, która była pewna swojego kontaktu z ojcem. Natomiast zawsze miała wrażenie, że matkę zawodzi.

– Poczuj się źle, jeśli będzie musiał ci odmówić. Nie wpędzajmy go w poczucie winy, dobrze?

Miranda już to słyszała. Kiedy zorientowała się, że nie wszyscy ojcowie tyle podróżują służbowo, zaczęła narzekać, że jej ojca nie będzie w domu na święta. *To dzień jak każdy inny*, mawiała jej matka. *Możemy świętować Gwiazdkę czy Wielkanoc w dowolnym dniu*. I tak właśnie robili. Zawsze.

Ich życie rodzinne odbiegało od tradycyjnego, ale kiedy myślała o swoich przyjaciółkach z tradycyjnym modelem rodziny, przyjaciółkach, których rodzice się rozwodzili, a czasem nawet procesowali o to, kto będzie się opiekował dziećmi, to dochodziła do wniosku, że nietradycyjne wcale nie oznaczało takie złe.

Owszem, jej rodzice się kłócili. Mama zamieniała biednego tatę w pawiana albo szczura, ale zawsze przywracała mu ludzką postać, a po kilku dniach milczenia w końcu się godzili. A co więcej, Miranda

czuła, że są szczęśliwi.

– O której lądujesz w Paryżu? – zapytała Miranda, dając do zrozumienia, że nie zadzwoni do taty. Rany, jak za nim tęskniła. Czemu nie mogła do niego zadzwonić i poprosić, żeby przyjechał?

Nigdy nie myślała o sobie jak o córeczce tatusia, ale świadomość, że ktoś może próbować cię zabić, sprawia, że dziewczyna potrzebuje swojego pierwszego bohatera.

– Nie jestem pewna. Będę musiała sprawdzić na bilecie.

– Dobra – powiedziała Miranda i rzuciła okiem za siebie, by się upewnić, czy drzwi są zamknięte.

Skoro kwestie taty zostały już omówione, postanowiła skupić się na czymś innym.

– Mamo, mogę cię o coś spytać?

– No... pewnie – odpowiedziała matka z wahaniem. – Ale jeśli chodzi o seks, to najpierw muszę usiąść. A jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, to muszę sobie zrobić drinka.

Zapadła cisza, gdy Miranda zastanawiała się, jak rozumieć odpowiedź mamy.

– O rany... Potrzebuję drinka?

– Nie, nie chodzi o seks i nie jestem w ciąży. – Miranda pamiętała, że rodzice Delli ciągle oskarżali ją o takie rzeczy. Przewróciła oczami i usiadła na stoliku w kuchni. – Skąd w ogóle ten pomysł?

– Chodzi o tego chłopaka, Petera?

– Perry'ego, nie Petera, ale nie, nie o niego chodzi.

– No dobrze, to chyba zniosę to na stojąco i na trzeźwo.

Miranda westchnęła w duchu. Kto by pomyślał, że jej mama tak lubi dramatyzować?

– Co zaszło pomiędzy tobą a mamą Tabithy czternaście lat temu?

Miranda usłyszała, jak jej mama gwałtownie chwyta powietrze.

– Co? Czy Mary Esther tam jest?

Miranda uznała, że Mary Esther to matka Tabithy. I zaskoczyło ją, że mama mówi o niej po imieniu.

– Nie.

– A więc ta jej mała jędza coś powiedziała? Nie słuchaj jej.

– Czego mam nie słuchać? Mamo, co się stało? Dlaczego mam wrażenie, że wszyscy wokół wiedzą coś, o czym ja nie wiem?

Nagle Miranda przypomniała sobie, nad czym zaczęła się zastanawiać. Zarówno ona, jak i Tabitha miały dar przeczuwania przyszłości. Kurde! Czy to znaczyło...

Jak wyglądała matka Tabithy? Miała rysy podobne do jej mamy, była mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała.

– Mamo, czy jesteś spokrewniona z Mary Esther?

– Czemu o to pytasz? – W głosie jej mamy brzmiała panika.

– Bo mamy z Tabithą te same zdolności, które zwykle są dziedziczne. Powiedz. Czy Mary Esther to moja ciotka albo co? Czy Tabitha to moja kuzynka?

– Nie mogę teraz o tym mówić – warknęła matka i się rozłączyła.

Rozdział 10

Za plecami Mirandy otwarły się drzwi do kuchni. Wciąż w szoku, dziewczyna odwróciła się, spodziewając się, że zobaczy Tabithę. Myliła się.

– Bardzo źle poszło? – zapytała Kylie.

Miranda dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Kylie pyta o to, jak jej mama przyjęła informacje o wydarzeniach pod wieżą Eiffla.

– Nie tak źle. Trochę zbagatelizowałam sprawę. Ale... – Miranda zamilkła, zastanawiając się, jak to ująć. – Ale myślę... To znaczy wiem, że to zabrmi idiotycznie, ale sądzę, że jesteśmy z Tabithą spokrewnione. Myślę, że nasze mamy są siostrami.

– Co? Jak do tego doszłaś?

– Zapytałam. Co prawda nie przyznała mi racji, ale... wiesz, mamy z Tabithą dar przepowiadania przyszłości. To zwykle sprawa dziedziczna. A kiedy byłam mała, chodziłyśmy do tego samego przedszkola. Nasze mamy pokłóciły się i Tabitha została zabrana z przedszkola. Mama powiedziała mi, że poszło o ciasteczka.

– Ciasteczka? – Kylie uśmiechnęła się od ucha do ucha. – A ty jej uwierzyłaś.

– Hej, miałam trzy lata. Ciasteczka były dla mnie bardzo ważne. – Miranda zeskoczyła ze stołu. – Nie spotykałam Tabithy, dopóki mama nie zmusiła mnie do udziału w tych konkursach. A Tabitha od początku mnie znienawidziła. I nie miałam pojęcia czemu. A teraz uświadomiłam sobie, że nasze mamy są podobne. Ten sam wzrost, budowa ciała, kolor włosów. To ma sens, nie sądzisz?

– Możliwe – odparła Kylie. – A czy twoja mama zaprzeczyła?

– Nie. Spanikowała i powiedziała, że nie może o tym rozmawiać, a potem się rozłączyła.

– Czy kiedykolwiek wspominała, że ma siostrę?

– Nie. Mówiła, że jest jedynaczką. A biorąc pod uwagę, jak bardzo skupiona jest na sobie, nigdy w to nie wątpiałam – westchnęła Miranda.

– A co z twoimi dziadkami.

– Umarli, jak byłam jeszcze bardzo mała. Prawie ich nie pamiętam.

– Sądzisz, że to miała na myśli Tabitha, gdy powiedziała, że masz przestać udawać, że nic nie wiesz?

– Tak.

– Wiesz co? – powiedziała Kylie. – Jak się nad tym zastanowić, to jesteście z Tabithą do siebie podobne. To znaczy, ona jest ruda i ma niebieskie oczy, ale jakby popatrzeć na rysy twarzy, to mogłybyście być siostrami.

Miranda skinęła głową i spojrzała w stronę drzwi. Może nadeszła pora, by porozmawiać z Tabithą.

Do rozmowy jednak nie doszło. Kiedy wyszły z kuchni, Sienna i Tabitha zamknęły się w jednej z trzech sypialni. Miranda zapukała. Sienna otworzyła drzwi. Kiedy Miranda powiedziała, że chce porozmawiać z Tabithą, Sienna odrzekła, że Tabitha odpoczywa i nie chce, by jej przeszkadzano.

A teraz, dwie godziny później, już po północy, Miranda leżała w łóżku i gapiła się w sufit, słuchała równego oddechu śpiącej Kylie i próbowała nie słyszeć, jak pęka jej serce.

A pękało, bo tęskniła za Perrym. I z powodu zamętu w uczuciach do Shawna. I z tęsknoty za tatą. A także dlatego, że jej mama coś przed nią ukrywała.

Może nawet pękało trochę na myśl, że ktoś chce ją zabić.

To zabawne, że najmniej przejmowała się tym ostatnim. Może dlatego, że jeszcze to do niej w pełni nie dotarło. W tym momencie usłyszała za drzwiami kroki. Kto to mógł być?

Poderwała się z łóżka, poprawiła koszulę nocną z napisem „księżniczka”, rzuciła na nią okiem i uznawszy, że może się tak pokazać, otworzyła drzwi sypialni.

Na korytarzu nie było nikogo, za to w kuchni rozbłysło światło, jakby ktoś otworzył lodówkę. Stąpając cicho w skarpetkach, poszła sprawdzić, kto pustoszy lodówkę.

Kiedy mijala sypialnię, którą zajęły Tabitha i Sienna, usłyszała jakąś rozmowę. Zatrzymała się, rozważając, czy nie zapukać i nie zażądać, aby Tabitha wyszła i z nią porozmawiała. Ale wtedy usłyszała głos Sienny.

– Mamo, nic na to nie poradzę. Agent JBF mówi, że muszę tu zostać. Dobra, zadzwoń do niego i powiedz, że mnie zabierasz.

Czy Tabitha spała? Czy też to właśnie ona była w kuchni? W chwili, gdy dotarła do progu kuchni, uświadomiła sobie, że to mógł być Shawn. O kurcze! To całkiem prawdopodobne. A biorąc pod uwagę porę, mógł być... półnagi. Czy miała ochotę na nocne spotkanie z półnagim Shawnem?

Serce jej podskoczyło. Odpowiedź brzmiała tak, a zarazem nie. Zastanawiała się, czy nie zawrócić, ale postanowiła rzucić okiem i sprawdzić, czy to jednak nie jest Tabitha. Wcale nie chodziło o wizję półnagiego Shawna.

Wyjrzała zza framugi. To nie był półnagi Shawn. Co prawda nie widziała twarzy. Natomiast osoba, która trzymała głowę w lodówce, miała na sobie niebieski szlafrok. Na pewno nie Shawn.

Rzeczona osoba wyprostowała się, a na plecy spłynęły jej rude włosy. Nadszedł czas, czas na rozmowę z Tabithą.

– Hej. – Miranda weszła do kuchni.

Zaskoczona Tabitha krzyknęła, obróciła się gwałtownie i rzuciła w Mirandę butelką z sosem.

Miranda zrobiła unik. Butelka przeleciała jej nad głową i w coś uderzyła.

Czarownica obróciła się. Butelka wylądowała na półnagim Shawnie. I to bardzo dobrze wyglądającym półnagim Shawnie. Był tylko w bokserkach i trzymał w ręku butelkę. A na jego nagiej i pięknej piersi rysowała się czerwona krecha.

Z keczupu.

– Przepraszam – powiedziała Tabitha, a potem nagle zachichotała. – Ja... ona mnie przestraszyła.

Zasłoniła usta ręką.

Miranda nie mogła się opanować. Też zaczęła się śmiać.

Shawn spojrzał na swoją pierś, wszedł do kuchni i odstawił otwartą butelkę na blat. Podniósł wzrok i przyjrzał się Mirandzie. Jego ciepłe spojrzenie zmierzyło ją od stóp do głów. Przecież uważała, że może się pokazać w tej koszuli. Czemu nagle poczuła, jakby sama była półnaga?

– Cieszę się, że mogłem sprawić wam przyjemność – powiedział zaspanym głosem i wyszedł.

Miranda patrzyła, jak odchodzi, i uznała, że z tyłu wygląda równie dobrze. Natychmiast pomyślała, że należało zamknąć oczy, bo nie powinna była tego zauważyć.

– To nic takiego. – Z korytarza dobiegł głos Shawna. – To tylko keczup.

Słysząc było kroki. Dwóch osób. Jedna odchodziła, a druga się zbliżała.

W drzwiach stanęła Kylie.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparła Miranda. – Zaskoczyłam Tabithę, a ona... rzuciła butelką keczupu. I trafiła w Shawna.

– Och. – Kylie odchyliła się na piętach i spojrzała w korytarz, jakby za oddalającym się Shawnem. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Wkurzył się?

– Tylko troszkę. – Uśmiechnęła się szeroko Miranda.

A potem przechyliła głowę i rzuciła okiem na Tabithę z nadzieją, że Kylie zrozumie, że chciała porozmawiać z drugą czarownicą na osobności.

– Dobra, to wracam do łóżka. – Kylie musiała ją zrozumieć, bo wyszła, zostawiając je same.

Miranda odwróciła się i spojrzała na Tabithę. Dziewczyna miała rozpuszczone włosy, była bez makijażu, wyglądała młodziej i... znajomo. Nagle Miranda zrozumiała, co miała na myśli Kylie. Rzeczywiście były do siebie podobne.

Czy były kuzynkami? A jeśli tak, to czemu przez cały ten czas były rozdzielone? Ze względu na co? Z powodu kłótni sióstr?

Napięcie zdawało się unosić z podłogi i napierać na ściany.

– Czemu to zrobiłaś? – zapytała Tabitha.

– Co takiego? – Miranda zaczęła przestępować z nogi na nogę.

– Uratowałaś mi życie. Czemu?

Miranda zamyśliła się, po czym wzruszyła ramionami.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Zobaczyłam ognistą kulę i po prostu to zrobiłam.

– Żałujesz, że to zrobiłaś? – zapytała Tabitha.

– Nie – odparła Miranda, zastanawiając się, jak ustalić, czy miała rację co do tego, że są spokrewnione.

Tabitha skrzywiła się.

– W takim razie jesteś lepsza ode mnie, bo ja nie wiem, czy bym się na to zdobyła.

– Miło wiedzieć – odparła Miranda, próbując nie czuć urazy, ale jak miała to zrobić? Ta dziewczyna właśnie powiedziała, że pozwoliłaby jej się usmażyć. – Aż tak mnie nienawidzisz? – zapytała.

– Tak bardzo nienawidzę twojej matki. – Tabitha zacisnęła pięści.

– Czemu? Tylko dlatego, że twoja mama nienawidzi mojej, to ty też jej nienawidzisz? – zapytała Miranda. – Nie sądzisz...

– Nie tylko... – odparła Tabitha przez ściśnięte gardło.

Miranda próbowała zrozumieć, co druga czarownica ma na myśli, ale w końcu się poddała.

– A co jeszcze? Co się między nimi wydarzyło?

Tabitha spojrzała na nią.

– Ty naprawdę nie wiesz, co?

– Chyba wiem – odparła Miranda. – Widać, że mamy te same moce, co oznacza, że jesteśmy spokrewnione – dodała, kiedy nie doczekała się reakcji.

Tabitha wolno skinęła głową, a jej znękana mina świadczyła o tym, że to boli.

– Beznadzieja, co?

Miranda przewróciła oczami. Ta dziewczyna mogła się wypchać! Miranda też nie była zachwycona tym, że są spokrewnione.

– Czyli nasze matki... są siostrami, prawda? – zapytała Miranda.

– Co? – Tabitha zrobiła wielkie oczy. – Ty naprawdę nie wiesz!

– Ale czego? – zapytała Miranda.

A ponieważ Tabitha tylko gapiła się na nią z otwartymi ustami, dodała:

– Kurde! No powiedz!

Żałowała, że nie może udawać, że zna tę tajemnicę. Nie lubiła czegoś nie wiedzieć, ale bardziej zależało jej na informacji, niż wyjściu z twarzą.

Tabitha potrząsnęła głową, jakby jej współczuła.

– Jak mogłaś się tego nie domyślać? Jesteś głupia?

Rozdział 11

Głupia? O, tego słowa Miranda nie lubiła.

– Mądralo, może mnie w takim razie oświecisz? – syknęła Miranda.

Wzięła się pod boki, by nie rzucić na Tabithę klątwy pryszczu.

– One nie są siostrami. Za to my tak!

Mirandzie zaparło dech. Pamiętała, co mówiła Kylie. *Jak się nad tym zastanowić, to jesteście z Tabithą do siebie podobne. To znaczy, ona jest ruda i ma niebieskie oczy, ale jakby popatrzeć na rysy twarzy, to mogłybyście być siostrami.* Próbowała jakoś to ogarnąć.

– Ale... jak to możliwe?

– Bo twoja zdzirowata matka przespała się z moim ojcem, właśnie tak!

– Moja mama nie jest...

– Daruj sobie! Zastanów się, czy może z matmy też jesteś taka beznadziejna? Jestem pięć miesięcy starsza od ciebie.

– Chwila! – Miranda uniosła rękę, a mały palec aż się prosił, by posłać w stronę Tabithy jakąś paskudną klątwę. – Po pierwsze, moja mama nie jest zdzirowata, a po drugie... – Nie miała drugiego argumentu. A może jednak. – Moi rodzice wzięli ślub całe...

– Nie są małżeństwem! Tata jest mężem mojej mamy! Która była już w ciąży, kiedy twoja matka uwiodła mojego tatę.

– Nie – odparła Miranda, myśląc, że to wszystko jest strasznie głupie. – Mój tata nazywa się Kane, a twój...

– Tak, wiem, że używa też nazwiska Austin Kane, a twoja mama zmieniła nazwisko na Kane. I dlatego ty też jesteś Kane. Ale tak naprawdę nazywa się Austin Evans. Wiem to, bo widziałam te dane na moim akcie urodzenia. Urodził się w Anglii, a moja mama jest Irlandką. Tak się poznali i pobrali.

– Nie – warknęła Miranda. – Kłamiesz. To jakiś głupi żart albo co.

W drzwiach, za Tabithą, stanęła Kylie. Najwyraźniej ich kłótnia znów ją obudziła.

– Co się dzieje? – zapytała kameleonka.

Tabitha ją zignorowała.

– To żaden żart. Nie bądź głupia – zawołała rozzłoszczona Tabitha. – A co ci mówi, kiedy wyjeżdża? Że pracuje? Bo mnie właśnie to. Tylko że, w odróżnieniu od ciebie, nie jestem taka głupia, by w to uwierzyć.

Nagle całe życie wydało się Mirandzie kłamstwem. Czuła się jak idiotka.

– Jeśli mnie okłamujesz, to przysięgam, że...

– Że co? Przemienisz mnie w skunksa jak kota przyjaciółki? A może tym razem w kangura? To bez znaczenia, bo nie kłamię. Widzę w twoich oczach, że już wiesz, że taka jest prawda. Pogódź się z tym, Mirando. Twoja matka to dziwka, a ty jesteś zwykłym bękartem.

Mirandę ogarnęła wściekłość. Zacisnęła pięści. Jedyne, czego pragnęła, to zamienić tę sukę w coś paskudnego, gorszego od skunksa. I tak by zrobiła, gdyby nie to, że miała wątpliwości. I chociaż nie chciała tego przyznać, to czuła, że Tabitha mówi prawdę.

– Nie wiadomo, czy to prawda – powiedziała Kylie, wracając z Mirandą do sypialni kilka minut po tym, jak Tabitha poszła do siebie. – Może po prostu kłamię.

– Tak sądzisz? – Miranda chciała w to wierzyć. Tak bardzo, że aż łopotało jej serce. Cholera, ale to miało sens. Praca ojca, nienawiść mamy do matki Tabithy. Nie chodziło o ciasteczka. Czy to znaczy...? Nie, nie mogła uwierzyć, że jej matka była dziwką. Nie wierzyła, by mama mogła być tą drugą. A jednak Tabitha była o pięć miesięcy starsza od Mirandy. „Kurde, może jednak moja mama jest dziwką!” – przemknęło jej przez myśl.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Złapała leżącą na nocnym stoliku komórkę.

– Ustalę to.

Otworzyła listę kontaktów. Znalazła słowo „tatus”. Jej palec unosił się tuż nad nim. Łzy, które do tej pory czekały, aby popłynąć, zaczęły się toczyć gorącymi kroplami po jej policzkach. Jak mógł ją tyle czasu okłamywać? Jak mama znosiła te kłamstwa? Jak Miranda mogła kochać mężczyznę, o którym tak mało wiedziała?

– Jak mam go spytać? – spojrzała na Kylie, mrugając, by pozbyć się łez.

– Nie wiem. Po prostu.

– I co powiedzieć? Cześć, tato, czy masz drugą rodzinę, o której mi nie mówiłeś?

Kylie, wyczuwając nastrój Mirandy, usiadła obok niej i objęła ją mocno.

– Będzie dobrze.

– Nieprawda – odparła Miranda. Chociaż kameleonka przekazywała jej swoim dotykiem spokój, to nie wystarczyło, by złagodzić ból w jej sercu. – Tabitha ma rację. Powinnam była się tego domyślić. Przecież jest w domu tylko przez dwa tygodnie w miesiącu.

– Słuchaj, wiem, jak się czujesz. Trudno się pogodzić z tym, że nasi rodzice nie są tacy, jak wydawało nam się, gdy byliśmy dziećmi. Ja dowiedziałam się, że mój tata jest tylko moim ojczymem, a do tego bzykał swoją stażystkę, która była ledwie kilka lat starsza ode mnie. Mama nie powiedziała mi, kto jest moim prawdziwym ojcem, i utrzymywała w tajemnicy, że mam prawdziwych dziadków. Ale wierz mi,

choć świadomość, że oni nie są tak idealni, jak nam się wydawało, boli, to nie znaczy, że nas nie kochają. Kiedy poznałam prawdę, moje relacje z mamą i ojczymem się poprawiły.

Miranda otarła oczy.

– Romans to jedno, a posiadanie drugiej rodziny to... to... Jak można tak robić? Jeśli Tabitha mówi prawdę, to nawet nie znam prawdziwego nazwiska mojego ojca – jęknęła. To, co mówiła, brzmiało żałośnie, ale nie mogła nic na to poradzić.

Czuła się żałośnie.

Spojrzała na telefon i dotknęła napisu „tatuś”.

– Chcesz, żebym wyszła? – Kylie wstała.

– Po co? – odparła Miranda. – I tak ci wszystko opowiem.

Zawsze tak robiła. Zawsze opowiadała wszystko Kylie i Delli. Czasami nie wiedziała nawet, co o czymś sądzi, dopóki z nimi nie porozmawiała.

Przyłożyła komórkę do ucha i wstrzymała oddech, czekając na sygnał. Przy pierwszym dzwonku serce zaczęło jej walić. Spojrzała na przyjaciółkę.

– Kurde! Co ja mam mu powiedzieć?

Kylie skrzywiła się, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Może jeszcze nie jesteś gotowa na tę rozmowę?

Chociaż miała ochotę się rozłączyć, nie zrobiła tego. Okazało się, że nie musiała. Po piątym dzwonku włączyła się poczta głosowa. Mirandę ogarnęła ulga. Kylie miała rację. Jeszcze nie była na to gotowa. A przynajmniej nie na rozmowę z ojcem. Ale przecież miała rodzica, z którym zwykła się kłócić. I który, co całkiem możliwe, rozwalił komuś rodzinę.

Rozłączyła się i natychmiast wybrała numer mamy, ale szybko zmieniła zdanie.

Rzuciła komórkę na łóżko, sięgnęła po poduszkę i przytuliła ją. I chociaż to była szalona myśl, zapragnęła, by był przy niej Perry. By ją przytulił. By powiedział, że wszystko będzie dobrze. Perry wydawał jej się bratnią duszą jeszcze bardziej niż Kylie i Della. A teraz jej bratnia dusza odeszła i nawet nie raczyła zadzwonić. Nawet nie przyjechała się spotkać, chociaż Miranda była w Paryżu.

Czarownica przewróciła się na bok i spojrzała na Kylie, która patrzyła na nią współczująco.

– Zawsze myślałam, że mam szczęście – powiedziała Miranda. – Twoja sytuacja rodzinna była pokręcona, a potem ojca Delli oskarżono o morderstwo. No owszem, moja mama jest straszną cholera i czepia się, że nie nadaje się na arcykapłankę, ale przynajmniej nie mam tak szalonych problemów jak wy dwie. A teraz okazuje się, że wcale nie mam szczęścia. Jestem po prostu za głupia, by to zauważyć.

– Nie jesteś głupia! – Kylie usiadła na łóżku. – Ufałaś im. Ufanie komuś, kogo się kocha, nie oznacza głupoty. Wiem, bo przez te wszystkie lata ufałam moim rodzicom, a oni też ukrywali przede mną prawdę.

Miranda zamknęła oczy, próbując zapanować nad łzami.

– Ufałam też Perry’emu.

Kylie położyła rękę na ramieniu Mirandy. Z jej dotyku popłynęło ciepło i spokój.

– Miłość sprawia, że można nas zranić – powiedziała. – Ale bez niej jesteśmy nieszczęśliwi.

– Teraz jestem nieszczęśliwa – odparła Miranda.

– Wiem, ale to minie. Obiecuję.

Miranda leżała z zamkniętymi oczami, tuląc poduszkę tak mocno, że nawet ona potrzebowała powietrza. Po jej policzkach popłynęło jeszcze kilka łez. Pragnęła zasnąć i zapomnieć.

Sen przyniósł ulgę, ale krótkotrwałą, bo nagle coś poruszyło materacem. Miranda poderwała się na równe nogi, myśląc, że jej sen przerwały wampiry wyrzutki, a widząc w nogach łóżka jakąś postać, uświadomiła sobie, że miała rację, ale tylko trochę. Wampir? Tak. Wyrzutek? Nie.

– Hej – powiedziała Della, a w jej oczach widać było przegraną.

– Wróciłaś – odezwała się sennie Kylie, podpierając się na łokciu.

– Znalazłaś wuja? – zapytała Miranda.

– Nie. – Della się skrzywiła. – Wygląda na to, że zdążył wyjechać, nim tam dotarłam. Ale wiecie co?

Przysięgam, że wyczułam słaby zapach Chase'a, gdy zbliżyłam się do tego budynku.

– Myślisz, że jest tutaj? – zapytała Kylie.

– Nie, jestem pewna, że to tylko ktoś z podobnym DNA.

– Przykro mi – powiedziały chórem Della i Miranda.

– Nie ma sprawy – powiedziała Della bez przekonania. – Nie poddam się. Nie mogę. Ale starczy

o mnie. Pogadajmy o tobie. – Della przechyliła głowę i przyjrzała się Mirandzie. – Wyglądasz na smutną.

Wszystko w porządku?

Wiedząc, że nie ma sensu kłamać wampirzycy, Miranda potrząsnęła głową, a do oczu znów napłynęły jej łzy.

– Nie, nie jest. Mój tata ma drugą rodzinę. Tabitha jest moją przyrodnią siostrą.

– O kurde! – zawołała Della. – Chwila, Tabitha to ta suka od końskiego łajna?

Miranda skinęła głową.

– Całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo.

– Rany, to naprawdę marnie. – Della zrobiła dziwną minę i spojrzała na Kylie, a potem znów na Mirandę. – Kurde... em... może to nie jest najlepszy moment, ale kiedy mnie tu nie było, trafiłam na coś jeszcze.

– Co? – zapytała Miranda z nadzieją, że sprawia wrażenie bardziej zainteresowanej, niż była naprawdę. W gruncie rzeczy chciała po prostu znów zasnąć.

Della spojrzała na czarownicę.

– Wielkiego pterodaktyla o niebieskich oczach.

Mirandzie zapało dech.

– W... widziałaś Perry'ego!

Della skinęła głową.

– Tak.

Łzy znów zaszczypały Mirandę w oczy.

– Pytał o mnie chociaż? Czekał. – Wyrzuciła ręce do góry, jakby chciała powstrzymać słowa. – Nie odpowiadaj. Nic mnie to nie obchodzi. – Podciągnęła kolana pod brodę. – Dla mnie już nie istnieje. Nie jest ważny. To nieistotne.

– Rzecz w tym, że istotne. Bo widzisz, mamy mały problem. – Della się skrzywiła. – Właściwie to nie taki mały. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i waży...

– Co? – zapytała Miranda. – Jestem zbyt zmęczona na zagadki. Po prostu powiedz.

– No dobra... Chodzi o Perry'ego... Tak jakby poleciał za mną.

– Tak jakby?

– No dobra, poleciał za mną.

– Jest tutaj? – Miranda podskoczyła na równe nogi i stanęła na łóżku. – Tutaj? Teraz?

– Tak. – Della spojrzała na Mirandę, która podskakiwała z radości na materacu. – W salonie. Chce się z tobą zobaczyć. Nie było go kilka dni i nie wiedział, że przyjechałaś. Mam go wygonić? Pewnie będę musiała zrobić mu krzywdę, bo strasznie się upiera przy tym, że chce cię widzieć. Ale dla ciebie się poświęcę.

– Nie. – Nie mogła zebrać myśli. – Muszę się ubrać.

Zeskoczyła z łóżka i otworzyła leżącą na komodzie walizkę. Zaczęła wyrzucać z niej ubrania, szukając idealnej bluzki i dżinsów. Tych, które lubił Perry. Tych, które spakowała specjalnie na ich spotkanie.

Serce waliło jej jak oszałałe. Po prawie czterech tygodniach miała go wreszcie zobaczyć. Nagle przypomniała sobie grę, w której zabijała niebieskookiego zmiennokształtnego. I to, jak w końcu zmiennokształtny przeżył, ale zabił ją. Wbił jej miecz prosto w serce.

Tak, Perry wciąż mógł ją skrzywdzić.

Rozdział 12

Wychodząc z pokoju, Miranda usłyszała głosy. Choć kładła serce pod nóż, to ręce jej drżały, a powietrze zdawało się słodsze, gdy kierowała się do drzwi.

Tam był Perry. Chciał ją zobaczyć.

Słodycz zniknęła, gdy Miranda ujrzała Shawna, wciąż półnagi, ze skrzyżowanymi ramionami i ponurą miną. Spojrzała na nią.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz się z nim spotykać – powiedział stanowczo.

Czyżby wyczuła urazę?

Spojrzała przez pokój i serce jej podskoczyło na widok zmiennokształtnego. Był ubrany w dzinsy, trochę węższe niż te, które zwykle nosił, i zieloną koszulę polo z długim rękawem. Miał trochę potargane włosy, jak zwykle po lataniu lub po tym, jak się intensywnie całowali. Jasnoniebieskie oczy zwrócone były na nią. Przyciągał ją spojrzeniem. W tych błękitnych głębinach widziała uczucie, które odbijało się echem w jej sercu.

– Chcesz, żeby wyszedł? – zapytał znów Shawn, prostując ramiona i ukazując nagą pierś, ale Miranda już kompletnie zapomniała, że czarownik był w tym samym pokoju.

Rzuciła na niego okiem i chociaż nie chciała, by cierpiał, to nie mogła, po prostu nie mogła odesłać Perry’ego.

– Nie, chcę z nim porozmawiać.

W oczach Shawna błysnął wyraz zawodu.

A kiedy znów spojrzała na Perry’ego, jego oczy jaśniały.

– Dobrze, że to ustaliliśmy – powiedział, a jego niski, znajomy głos był dla jej uszu niczym muzyka.

Wciąż skupiony na Shawnie, wziął głęboki oddech, jakby chciał nad sobą zapanować, po czym zwrócił się do Mirandy:

– Zechciałabyś się ze mną przejść, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności?

Nacisk, jaki położył na słowa „na osobności”, musiał coś oznaczać. Czyżby już zauważył, że Shawn jest nią zainteresowany? A jeśli tak, to czy zaraz zamieni się w jakąś niesamowitą bestię, by nauczyć czarownika rozumu?

Miranda, trochę przytłoczona tym wszystkim, zamarła i tylko obserwowała dalszy bieg wydarzeń.

– Przejdziemy się? To taka piękna noc – powtórzył Perry.

Już chciała powiedzieć „tak”, kiedy odezwał się Shawn.

– Przykro mi, ale Miranda nie może opuścić mieszkania. Jestem za nią odpowiedzialny.

Miranda odwróciła się do Shawna i odezwała z lekką irytacją.

– Tylko krótki spacer. To nie potrwa długo.

– Nie. – Zmarszczył brwi. – Przykro mi, ale rozkazy Burnetta są jednoznaczne. Nikomu nie wolno wychodzić.

– Burnett mi ufa. – Głos Perry'ego ze złości obniżył się o kilka oktaw, a oczy zaczęły mu mocniej pałać.

Miranda bała się przez moment, że Perry przemieni się i zacznie broić, ale tego nie zrobił.

– Może i tak – odparł Shawn. – I jeśli nawet się myli, to nie o ciebie tu chodzi. Mirandzie może grozić niebezpieczeństwo, a ja jestem agentem, zatrudnionym, by ją chronić.

– Myślisz, że pozwoliłbym, aby coś jej się stało? – oburzył się Perry.

Shawn spojrzał na Mirandę. Ta delikatnie potrząsnęła głową, prosząc, by tego nie robił. Chyba zrozumiał, bo zobaczyła, jak nabiera głęboko powietrza i wzdycha.

– Zostawię was samych w salonie. – Odwrócił się i ruszył w kierunku korytarza prowadzącego do trzeciej sypialni.

Miranda popatrzyła za odchodzącym Shawnem, czując jego niezadowolenie, po czym odwróciła się do Perry'ego. Zmiennokształtny przyglądał się jej, a jego oczy były teraz jaśniejsze, jak zawsze, gdy się złościł.

Przez kilka minut stali i patrzyli na siebie. Mirandę zalała fala sprzecznych emocji. Tak bardzo za nim tęskniła. Kochała go. Była na niego wściekła. Jak mógł jej zrobić coś takiego?

Ból wkradł się w jej serce i zderzył się z tym wywołanym informacjami o tacie.

– Hej – powiedział Perry.

– Hej – powtórzyła i podeszła bliżej.

Nie na tyle blisko, jak by tego chciała. Chciała, by ją objął. By jego usta dotknęły jej. Chciała, aby za jego sprawą zniknęło wszystko, co ją bolało. Mógł to zrobić.

Wcześniej tak robił. Tylko że nigdy przedtem ten ból nie był spowodowany przez niego. Spojrzała na drzwi, za którymi zniknął Shawn.

– To...?

– To co? – zapytała, nie chcąc wyjaśniać nic w kwestii Shawna, bo nawet nie wiedziała, czy potrafiłaby to zrobić. Nie było czego wyjaśniać.

– Wyglądasz... ładnie. – Jego głos złągodniał.

A wtedy ona też złągodniała. Skinęła głową i zrobiła krok, by być bliżej niego.

– Twoje włosy... Przestałaś je farbować.

– Nie podobają ci się? – zapytała.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Ty mi się podobasz. Nieważne, jakiego koloru masz włosy.

Też podszedł kilka kroków. Poczwała jego zapach, jak świeże górskie powietrze, i wzięła głęboki

oddech, pragnąc więcej. Miała ochotę wyciągnąć do niego ręce, ale duma jej na to nie pozwalała. Jej myśli i uczucia kierowały się ku niemu przez cztery tygodnie. A on ją odsuwał. Nawet nie zadzwonił.

Powoli unióśł dłoń i odgarnął jej z policzka kosmyk włosów. Pod wpływem tego dotyku zaląła ją fala emocji. Ledwie się powstrzymała, by się do niego nie przytulić.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – powiedział.

„Ja też!”

– Naprawdę? – zapytała. – Zwykle, gdy się za kimsz tęskni, to się dzwoni.

Nie wiedziała, skąd znalazła w sobie siłę, by to powiedzieć, ale nagle uświadomiła sobie, że ma prawo wiedzieć.

Opuścił rękę i głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę i ani drgnął. W końcu podniósł wzrok.

– Bałem się.

– Czego?

– Że jeśli z tobą porozmawiam, to rzucę szkołę i wrócę do ciebie.

– Do dziewczyny, z którą zerwałeś? To dziwne. – Poczula, jak łzy napływają jej do oczu.

– Mirando, naprawdę nie rozumiesz? Zerwałem z tobą, bo nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zdołam zapanować nad swoją mocą, a jeśli bym nie zdołał, to... Nigdy nie mógłbym prowadzić normalnego życia, nie w świecie ludzi. A wiem, że masz plany życiowe, opowiadałaś mi o nich setki razy. – Jego oczy przybrały smutny odcień błękitu. – A w tych planach nie ma miejsca na ukrywanie siebie lub męża. Nie pasowałbym do twojego świata. Byłbym kulą u nogi. Zaslugujesz na to, czego pragniesz.

– I kto to mówi? Kto decyduje o tym, na co ja zasługuję? Sądziłam, że to moja decyzja? – Popłynęło kilka łez. – Wiesz co? Nigdy nie myślałam, że zasługuję na kogoś lepszego niż ty... dopóki nie złamałeś mi serca. Wiesz, jak okropnie się czułam, czekając na twój telefon? Zaczęłam zabijać zmiennokształtnych.

Zrobił wielkie oczy.

– W grze. – Przewróciła oczami. – A ja nawet nie lubię gier. Zwłaszcza takich, w których się morduje.

Skinął głową i znów spuścił wzrok.

– Przepraszam. Może zerwanie z tobą było złe, ale...

– Może? – syknęła.

Jak mógł być tak blisko i nie widzieć, jak bardzo ją zranił? Jak mógł czuć, że miał prawo tak zrobić? Czy to samo czekało ją ze strony taty? Takie same żalosne wyjaśnienia za to, że schrzanił sprawę i skrzywdził innych?

– Och, nie mogę w to uwierzyć! – Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego jej mama nie mogła się powstrzymać przed zamianianiem ojca w pawiana, gdy doprowadzał ją do szału. Jej mały palec aż świerzbił, żeby go użyć, więc splotła dłonie, by nie ulec pokusie.

Perry stał nieruchomo. Wyglądał za dobrze, a zarazem był smutny i sfrustrowany.

– Czy w ten sposób mówisz mi, że jest dokładnie tak, jak na to wygląda?

– Co takiego?

– No... on. – Perry machnął ręką w stronę korytarza, w którym zniknął Shawn. – Pan zbyt seksowny, by nosić koszulę!

Jego wypowiedź sprawiła, że z mętliku emocji to gniew wyszedł na prowadzenie.

– A jak sądzisz? – zapytała.

Perry spochmurniał jeszcze bardziej.

– Umie zauważyć, kiedy chłopak jest zainteresowany dziewczyną.

– A to ciekawe, bo jesteś beznadziejny w dostrzeganiu tego, że dziewczyna jest zainteresowana chłopakiem.

– Co? Mówisz, że on cię interesuje, czy nie?

– Mówię, że kompletnie nie umiesz tego ustalić. Na pewno nie wiedziałeś, co do ciebie czuję, gdy... zerwałeś ze mną i zламаłeś mi serce. Bo gdybyś wiedział, tobyś tego nie zrobił. Nie zraniłbyś mnie tak bardzo.

Podszedł do niej i spojrzał jej w oczy, a jej serce się ścisnęło.

– Nie chciałem cię zranić.

– Ale ci się udało.

Wsunął ręce w kieszenie spodni i zrobił jeszcze jeden krok naprzód. Był tak blisko, że gdy uniosła wzrok, widziała tylko jego twarz. Schylił głowę o kilka centymetrów i dotknął czołem jej czoła. Teraz widziała tylko jego wargi. Tak blisko. To zadziwiające, ile końcówek nerwowych reaguje na taki drobiazg jak zwykłe zetknięcie się czół.

– Przepraszam – poruszył głową.

Otarł się nosem o jej nos. Jego usta znalazły się przy kąciku jej ust. Delikatnie muskając jej policzek, wyszeptał.

– Tęskniłem za tobą. Tak cholernie tęskniłem.

Mirandzie serce waliło tak mocno, że była przekonana, iż on to słyszał. Chciała poczuć na ustach jego wargi, ale czy... Czy w ogóle mogła tego pragnąć po tym piekle, jakie jej sprawił? Czy to pragnienie oznaczało, że mu wybaczyła? Tak. Trochę. Może. Kurde, nawet nie bardzo wiedziała.

– Za kilka tygodni wrócę do domu. – Powiedział to tak cicho i tak blisko jej warg, że prawie czuła jego usta.

A pragnęła ich dotyku. Tęskniła za jego pocałunkami, jego ciepłymi ustami, jego językiem. Jego rękami błędzącymi po jej ciele. Poczwała, jak uginają się pod nią kolana. Pragnęła więcej. Pragnęła jego.

Była tak skupiona na jego ustach i swoich pragnieniach, że dopiero po chwili dotarło do niej, co powiedział.

Zaparło jej dech.

– Tak? Wracasz do domu?

Skinął głową. Każdy jego ruch sprawiał, że jego usta muskały jej policzek. Ta bliskość doprowadzała

ją do szaleństwa.

Przypomniawszy sobie, po co tu przyjechał, po co z nią zerwał, spojrzała na niego uważnie.

– Więc ci pomogli?

– A zamieniłem się w lwa i przeżułem faceta z pokoju obok? – Jego oczy zalśniły wesoło.

– Nie – odparła i chociaż wiedziała, że żartował, to zdawała sobie też sprawę z tego, że stary Perry mógłby tak zrobić. Miał trudności w radzeniu sobie z emocjami.

– Wiesz, jak bardzo chciałbym go przeżuć? – zapytał.

– Pewnie tak, jak ja chciałam skopać ci tyłek za to, że ze mną zerwałeś. – Odzyskała trochę pewności siebie.

Chociaż bardzo chciała go objąć i powiedzieć, że wszystko jest dobrze, powstrzymała się.

Nie było. Nie można kogoś tak bardzo skrzywdzić i ot tak oczekiwać, że ten ktoś ci wybaczy. No, nie od razu. Z czasem. Może z czasem.

– Wciąż mnie kochasz? – zapytał, tuląc policzek do jej skroni.

Zastanowiła się nad tym.

– Tak. – Nie mogła skłamać. – Ale to nadal boli. I cały ten ból jest wymieszany z miłością i czuję się zagubiona.

– W takim razie po powrocie będę miał sporo pracy, by ci to wynagrodzić.

Skinęła głową i pozwoliła sobie poczuć jego bliskość. To było cudowne. Zbyt cudowne. A ona była za słaba, by z tym walczyć.

– Powinieneś chyba... Jestem zmęczona. A jutro muszę...

– Będę jutro na zawodach.

– Jutro będą tylko ćwiczenia. Prawdziwy konkurs jest w środę. I nie jest otwarty dla wszystkich.

– W takim razie się wślizgnę – odparł.

Jako zmiennokształtny był do tego zdolny.

– Przyjdę.

Poczuła, że nie jest jeszcze gotowa, by odszedł.

Przełknęła.

– Jutro zadzwonię i zobaczę, czy zgodzą się dodać twoje nazwisko do listy gości. Nie będziesz się musiał zakradać.

– Świetnie – powiedział i przysunął się trochę bardziej. Tak blisko, że jej biust oparł się o jego szeroką pierś.

– Mogę cię pocałować? – wyszeptał. – Tylko jeden raz. Jeden mały pocałunek.

Odetchnęła, a wydychane powietrze zabrzmiało jak westchnienie.

– Uznam, że to była zgoda. – Uśmiechnął się, a potem ten uśmiech i te wspaniałe usta dotknęły jej warg.

Nie była nawet pewna, kto zakończył pocałunek. Ona czy on. Pewnie ona, ponieważ magia bliskości

zaczynała znikać i znów odezwał się wywołany przez niego ból.

Perry ujął jej twarz w obie dłonie. Opuścił odrobinę głowę i spojrzał jej w oczy.

– Przepraszam, że cię zraniłem – powiedział. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale zrobiłem to, ponieważ mi na tobie zależy. I uczynię wszystko, co w mojej mocy, by to naprawić.

Westchnęła i odezwała się, zanim zdążyła się powstrzymać:

– Nie jestem pewna, czy to da się naprawić.

– Zobaczysz – powiedział z przekonaniem.

Nic nie odpowiedziała. Jakaś część jej chciała mu wierzyć. No dobra, większość jej chciała mu wierzyć. Ale ból serca, i to nie tylko z powodu Perry'ego, ale też jej taty, ogarniał ją coraz bardziej.

– Co jeszcze jest nie tak? – zapytał, patrząc na nią tym ciepłym, kochającym, wszechwiedzącym wzrokiem.

Przełknęła, poczuła gulę w gardle i nie była pewna, czy zdoła cokolwiek wykrztusić. Zawsze jej to robił. Zupełnie jakby patrząc jej w oczy, odczytywał jej myśli.

– Niepokoisz się tą sprawą? Nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził, jeśli o to chodzi. – Otarł kciukiem łzę, która spłynęła spod jej rzęs. – Della powiedziała mi o zagrożeniu. Jestem pewien, że Burnett cały czas się tym zajmuje, a teraz ja też się przyłączę.

Potrząsnęła głową.

– Nie tylko o to chodzi.

– A o co jeszcze?

– Pamiętasz Tabithę, tę dziewczynę...

– Tę, z którą chodziłaś do przedszkola i którą złapałaś, jak śledziła cię w Wodospadach Cienia?

Miranda skinęła głową. Fakt, że wszystko to pamiętał, sprawił, że emocje złapały ją za gardło. Ilu chłopaków pamiętało drobiazgi z życia swoich dziewczyn?

– To moja przyrodnia siostra.

– Cholera – zawołał Perry. – Twój tata miał romans z jej mamą, gdy twoja była w ciąży?

Miranda musiała przełknąć, nim zdołała powiedzieć prawdę. A przynajmniej powtórzyć to, co mówiła Tabitha.

– Ona jest starsza. – Cofnęła się o krok i otarła łzy z policzka. – Mówi, że jej mama i mój tata są małżeństwem. Że to moja mama... że to ona miała romans.

– Och. – Skrzywił się. – A pytałaś o to rodziców?

– Zadzwoiłam do taty, ale nie odebrał, a ja nie zostawiłam wiadomości. Nie wiedziałam, jak go o to zapytać. – Przełknęła gulę w gardle. – Mama jest w drodze.

– A twój tata przyjedzie? – zapytał Perry.

Potrząsnęła głową.

– Nigdy nie lubił konkursów. – I wtedy uświadomiła sobie dlaczego. – Ciekawa jestem, czy to jest powód? Czy wiedział, że Tabitha będzie brać udział w tych samych konkursach co ja?

Perry się zamyślił.

– Powiem ci coś. Nie wiem, czy to pomoże, ale mam nadzieję. – Zmarszczył brwi. – Chociaż wasza sytuacja jest dość okropna, to pomyśl, że jednak był w życiu was obu. A mnie opuścili i matka, i ojciec. I chociaż powtarzam sobie, że to nie ma znaczenia, to czasami... jak na przykład przez ostatnie cztery tygodnie, kiedy za tobą tęskniłem i czułem się taki samotny, czułem, że jednak ma. Więc bez względu na to, jacy są twoi rodzice, pamiętaj, że mogłoby być gorzej. Twój ojciec, a nawet oboje rodzice mogli postanowić, że w ogóle nie będzie ich w twoim życiu.

Podszedł bliżej i objął ją. Położyła mu głowę na piersi i tak stali.

Nie ruszali się, a przynajmniej nie drgnęli, dopóki gwałtownie nie otworzyły się drzwi do mieszkania. Perry natychmiast zasłonił Mirandę swoim ciałem i odwrócił się w stronę niebezpieczeństwa. Rozległ się niski, opiekuńczy warkot.

Rozdział 13

Miranda poczuła, jak Perry spina się, odwracając się do drzwi. Promieniowała od niego elektryzująca moc, wskazująca na to, że szykuje się do przemiany w coś groźnego. Miranda nie zamierzała zostawać w tyle. Uniosła rękę, gotowa rzucić urok.

– Kiedy wróciłeś? – padło pytanie, a napięcie od razu ustąpiło.

Miranda rozpoznała Burnetta i opuściła rękę.

– Dziś wieczorem – odpowiedział Perry. W jego głosie słyhać było niezadowolenie, a oczy mu pojaśniały. – Byłbym wcześniej, gdybym wiedział, że przyjechaliście.

Burnett skinął głową.

– Dzwoniłem i rozmawiałem z twoim instruktorem panem DeLeonem. Uznaliśmy, że to może poczekać, aż wykonasz swoje zadanie.

– Wolałbym sam podjąć tę decyzję. – Perry się spiał.

– Ważne, że teraz tu jesteś – odpowiedział Burnett. Podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu. – Dobrze cię widzieć. Brakowało mi cię w Wodospadach Cienia.

Miranda poczuła, że Perry trochę się rozluźnił. Burnett i Perry zawsze byli sobie bliscy. Mało kto wiedział, że gdy Perry trafił do swojego pierwszego domu zastępczego, był tam również nastoletni Burnett. Więc wampir był dla Perry’ego niczym starszy brat. I to właśnie dzięki Burnettowi Perry znalazł się w Wodospadach Cienia.

– Tęsknię za Wodospadami. – Perry przestąpił z nogi na nogę. – Czy pan DeLeon przekazał ci najnowsze wieści?

Burnett się uśmiechnął.

– Oczywiście. Jestem dumny, że zrobiłeś takie postępy.

Miranda zawstydzila się, że nie wykazała większego zainteresowania jego osiągnięciami, ale może interesowałyby się nimi bardziej, gdyby nie wykorzystał ich jako argumentu, by zdecydować, czy powinni być razem.

Nagle przypomniała sobie, gdzie był Burnett.

– Rozmawiałeś z bliźniaczkami?

Skinął głową. Z korytarza dobiegły ich kroki. Do pokoju weszły Kylie i Della. Kylie od razu podeszła do Perry’ego i uścisnęła go mocno.

– Tęskniłam za tobą.

– Ja też. – Perry odwzajemnił uścisk.

Nagle pojawił się Shawn, tym razem w koszuli. Spojrzał na Mirandę, a ona znów ujrzała w jego oczach zawód. Odwróciła wzrok, nie wiedząc, dlaczego ogarnęło ją poczucie winy. Niewielkie, ale jednak.

Ledwie Perry spostrzegł Shawna, wypuścił Kylie z objęć. Spoważniał i przysunął się bliżej Mirandy.

– Co to za bliźniaczki? – zapytał.

– Uczestniczki konkursu – odparł Burnett. – Twierdziły, że podczas ostatniego ataku były w hotelu, ale Miranda widziała je na miejscu zajścia.

– I? – zapytała Miranda.

– Przyznały, że tam były. Powiedziały, że skłamały, bo przstraszyły się, że złamały mój zakaz i wyszły z hotelu.

– Znów kłamały?

– Nie – powiedział Burnett. – Mówiły prawdę. No chyba że ich serca potrafią kłamać.

– Więc sądzicie, że odpowiedzialny jest ktoś z uczestników konkursu? – zapytał Perry.

– Albo ktoś, kto coś zyska na zwycięstwie konkretnej osoby.

– Czyli mogą to być również przyjaciele albo rodzina uczestniczki – powiedział Perry, a Burnett skinął głową. – Sądzisz, że to może być któraś z uczestniczek z innego kraju?

– Nie było żadnych ataków na uczestniczki spoza Stanów Zjednoczonych – odparł Burnett. – Jutro rano zamierzam zwołać spotkanie rodziców naszych zawodniczek. Mam nadzieję, że coś mi podpowiedzą.

– Nie sądzę, aby moja mama zdążyła dotrzeć – dodała Miranda.

Burnett spojrzał na nią.

– Już tu jest. Przyjechała wczoraj, kilka godzin po nas.

– Nie, rozmawiałam z nią i... – Miranda przypomniała sobie, jak jej mama niejasno wypowiadała się na temat swojego przyjazdu. Czemu miałyby ją okłamywać? Do cholery, co ona ukrywała?

– I co? – zapytał Burnett.

Nagle uświadomiła sobie, że jej słowa mogą wyrzucić na Burnecie złe wrażenie, jakby jej mama miała jakiś związek z morderstwami. Musiała coś szybko wymyślić.

– Uznałam, że jeszcze nie wyjechała. – To nie było kłamstwo.

W każdym razie nie całkiem, więc bicie jej serca nie powinno zaniepokoić Burnetta. Zupełnie inną kwestią było to, że zaniepokoiło Mirandę.

Pół godziny później Miranda, Kylie i Della położyły się do jednego wielkiego łóżka w sypialni. Leżały ramię przy ramieniu, z Mirandą pośrodku. Nie było to tak nietypowe, w ich domku w Wodospadach Cienia często pakowały się wszystkie do szerokiego łóżka Delli. Ale w Paryżu czuła, że jest... inaczej.

– Zostawić zapalone światło? – zapytała Kylie.

– Nie – odparła Miranda.

Kylie poruszyła się i w pokoju zrobiło się ciemno. A potem opadła na materac.

Burnett nalegał, by wszyscy przespali się trochę przed wschodem słońca. Perry nie próbował pocałować Mirandy na pożegnanie, ale odniosła wrażenie, że się nad tym zastanawiał. Najwyraźniej wyczuwając, że odrobinę się od niego odsunęła, uznał to za zły pomysł.

Już raz pozwoliła mu się pocałować i wcale nie była pewna, czy dobrze zrobiła. Więc zamiast ją całować, przesunął dłonią po jej przedramieniu. Jego dotyk był tak naładowany emocjonalnie, że aż bolało.

Wciąż bolało, ale myślała nie tylko o Perrym. Zastanawiała się cały czas, dlaczego matka wprowadziła ją w błąd w kwestii tego, czy już jest w Paryżu. Musiało pewnie chodzić o Tabithę i jej mamę.

Miranda zamknęła oczy. Myślenie o swojej matce jako o zdzirze, o tej drugiej, było tylko troszkę lepsze niż traktowanie jej jako morderczynie. Jej mama była chyba na to zbyt dumna?

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytała Kylie.

Miranda, wiedząc, że mówi do niej, wtuliła się głębiej w poduszkę.

– O czym?

– No weź! – warknęła Della. – Jesteś tak przepelniona badziewiem, że wypływa ci uszami. A jestem tak blisko, że aż mi się robi niedobrze. Przyznaj się, czarownico!

Mirandę ścisnęło za gardło, odwróciła się i spojrzała w ciemnościach na nieokrzesaną wampirzycę.

– Do czego?

– Dwóch kwestii – odparła Della. – Czemu skłamałaś Burnettowi? I co się wydarzyło między tobą a panem Perrym?

Mirandzie zapało dech.

– To zabrzmiało jak kłamstwo?

Kylie poruszyła się i rozblęskło światło.

– Niezupełnie.

– Po prostu cię znamy – odezwała się Della. – Kiedy próbujesz coś ukryć, zawsze szurasz nogami jak kot, który chce coś zakopać w kuwecie. – Zamilkła na chwilę. – Więc o co chodzi?

– Skąd pomysł, że mam się wszystkim z tobą dzielić, skoro ty nigdy nic nie mówisz?

– Za późno na kłótnie – odezwała się Kylie. – Jak nie chcesz mówić, to idziemy spać.

Kiedy nikt się nie odezwał, światło zgasło. Materac drgnął, a Kylie znów ułożyła się wygodnie.

– Czego ci nie powiedziałam? – syknęła w ciemnościach Della. Przekręciła się na bok i podparła głowę na łokciu.

– O Stevie – powiedziała Miranda. – Czy będziesz udawać, że się z nim nie widziałaś?

– Tak, tak właśnie, będę udawać, więc zostaw mnie w spokoju.

– Nadal kochasz Chase'a? – zapytała Miranda.

– Nie chcę. Nie chcę nic do niego czuć. Okłamał mnie. I to wielokrotnie.

– Ale...? – zapytała Miranda, a Kylie znów usiadła i oparła się o zagłówek. Tym razem nie zapalała jednak światła.

– To kwestia tej więzi – powiedziała Della. – To o to musi chodzić. Nie czuję się... dobrze. Jakby brakowało mi części siebie.

– Na tym polega miłość – powiedziała Kylie. – Od przyjazdu tutaj zadzwoniłam do Lucasa z sześć razy.

– Lucas cię nie oszukiwał. – W głosie Delli słychać było ból.

– Właśnie że tak. Miał się zaręczyć za moimi plecami. Więc można powiedzieć, że mnie oszukał – rzekła Kylie. – Ale przebaczymy im, bo ich kochamy.

– Może ona nie kocha Chase'a, tylko Steve'a? – powiedziała Miranda i spojrzała na Dellę. – Czy to możliwe?

– Nie wiem. – Della przeczesła palcami włosy. – W tym momencie nie jestem pewna, czy chcę kochać kogokolwiek. Nie cierpię tego uczucia, że moje szczęście zależy od kogoś innego.

Podeszła do okna, odsunęła zasłony i spojrzała w noc.

– Doskonale to rozumiem – westchnęła Miranda.

Della odwróciła się i spojrzała na czarownicę.

– Więc nie wróciliście do miłosnego rajku?

– Pocałował mnie – powiedziała Miranda.

– I jaki to był rodzaj pocałunku?

– Dobry. I zły. Nadal jestem wściekła. Zupełnie jakbym nie mogła tego wyłączyć. Wiem, że go kocham, ale wciąż chcę go skrzywdzić za to, co mi zrobił.

– Może powinnaś. Skop mu tyłek.

– Nie – wtrąciła się Kylie. – Gniew minie. Wygaśnie.

– Może nie ze wszystkimi tak jest – powiedziała Della. – Jesteś po prostu słodkim, wybaczącym typem.

– Wcale nie takim słodkim – odparła Kylie. – Nie cierpię, jak robicie ze mnie aniołka.

Miranda i Della spojrzały na siebie, a potem znów na kameleonkę.

– Cóż, jeśli to prawda... – powiedziała Miranda i uśmiechnęła się do niej współczująco. – Ale nie zamieniłybyśmy cię za nic na świecie.

– Za słodka. – Della wskazała Kylie, a potem przesunęła palec na Mirandę. – Zbyt lekkomyślna. – A na koniec wskazała siebie. – Zbyt wkurzona. Niezła z nas paczka.

Della zachichotała i wskoczyła z powrotem do łóżka.

– Uważam, że powinniśmy teraz siedzieć przy naszym kuchennym stole z dietetycznymi colami.

– To dobry pomysł. – Miranda wyczarowała trzy cole.

Wszystkie trzy oparły się o zagłówek i w ciemnym pokoju rozległ się syk otwieranych puszek.

– Więc o co chodzi z twoją mamą? – Kylie zwróciła się do Mirandy.

– Nie wiem. Nie powiedziała mi, że już tu jest. Sugerowała, że jeszcze nie przyleciała. I na pewno ma ku temu jakiś powód.

– Ale jaki? – zapytała Della.

– Nie wiem. Ściemniłam trochę Burnettowi, bo nie chciałam, żeby sądził, że mama ma coś wspólnego z tymi morderstwami.

Della potrząsnęła głową i pociągnęła łyk coli.

– Twoja mama jest wredna, ale nie sądzę, aby mogła kogoś zabić. Tak samo jak mój tata. – Wzięła kolejny łyk.

– Dziękuję – odparła Miranda. – Poza tym kawałkiem o wredności. – Skrzywiła się. – Pewnie chodzi o coś związanego z Tabithą i jej mamą. Może gdzieś się spotykały, by to wyciszyć.

– Fajnie byłoby to zobaczyć – powiedziała Della.

Miranda przewróciła tylko oczami.

– Nie sądzę – stwierdziła Kylie i posłała Delli ostrzegawcze spojrzenie, a potem zwróciła się do Mirandy. – Może do niej zadzwonisz?

– Myślę, że musimy się spotkać osobiście. – Miranda spojrzała w okno. – Czy to wschód słońca? Powiedzcie, że to jeszcze nie ranek.

– To jeszcze nie ranek – powtórzyła Della. – Widzisz, jak bardzo cię lubię? Nawet skłamałam dla ciebie.

Miranda przewróciła oczami.

– O której masz być na ćwiczeniach? – zapytała Kylie.

– W południe – jęknęła czarownica i oparła się o zagłówek. Była wykończona.

– To może spróbujemy się przespać? Potrzebujesz tego. Musisz wygrać i zostać arcykapłanką.

– Jasne – powiedziała i oddała Kylie colę, by ta odstawiła ją na stolik nocny. A potem zaczęła kręcić pupą, aż zsunęła się na materac.

– Nie chcesz wygrać? – zapytała Kylie.

Obie przyjaciółki usiadły i spojrzały na Mirandę.

– Przedtem myślałam, że nie, ale teraz... tak, chcę wygrać. – Przyznała to nie tylko przed nimi, ale i przed sobą samą. – Tak bardzo chcę wygrać, że czuję smak zwycięstwa. Nigdy nie chciałam tego mówić, bo nie sądziłam, że to możliwe. Ale teraz...

– Co? – zapytała Della.

– Ta sprawa z Perrym, a teraz jeszcze z Tabithą... Obie bolą, a to odbiera mi radość życia.

– Może nie jest tak źle, jak ci się wydaje – powiedziała Kylie. – Może Tabitha się myli. Nie dowiesz się tego, dopóki nie zapytasz rodziców.

– Tak – przyznała Miranda, ale w głębi serca czuła, że to prawda. Nie wiedziała tylko, jak ma wybaczyć rodzicom te wszystkie kłamstwa.

Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, spojrzała na obie przyjaciółki.

– Kocham was. Jak siostry, których nigdy... Cholera! – Walnęła pięściami w materac.

– Co? – zapytała Kylie.

– Tabitha jest moją siostrą. W pokoju obok śpi moja siostra.

Della spojrzała na nią, marszcząc brwi.

– Ale... wiesz już o tym od jakiegoś czasu. – Popatrzyła na Kylie. – Czy ona traci rozum?

– Nie – warknęła sennie Miranda. – Po prostu jeszcze to do mnie nie dotarło. Wiecie, przez całe życie prosiłam rodziców, by zrobili mi siostrę. Czasami czułam się bardzo samotnie, a nie musiałam, bo już miałam siostrę. – Zamilkła na chwilę. – A ona mnie nienawidzi.

– Jeśli to ci poprawi nastrój, to wiedz, że moja siostra też mnie czasem nienawidzi. – Della zsunęła się na materacu, aż zrównała się z Mirandą.

– Pewnie tak. – Miranda zamknęła oczy, czekając na sen.

Ostatnie, co przyszło jej do głowy, to pocałunek. Delikatny i bolesny pocałunek Perry'ego. I inny pocałunek, który został złożony na jej ustach lata temu na pewnym balu przebierańców.

– Dziewczyny, jestem strasznie pokręcona.

Głosy. Miranda, słysząc je, naciągnęła poduszkę na głowę. Słońce nadal świeciło jej w zamknięte oczy. Próbowwała zrozumieć, gdzie jest. Nie w domku.

I nagle sobie przypomniała.

Paryż.

Perry.

Wampiry wyrzutki.

Kłamiący rodzice.

Siostra.

Ćwiczenia przed konkursem.

Ech. Wcisnęła głowę głębiej w poduszkę.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do sypialni.

– Mirando?

Spodziewała się, że obudzi ją Kylie lub Della. Ostatnią osobą, której głosu oczekiwała, był...

Odrzuciła poduszkę i usiadła. Spojrzała w jego niebieskie oczy, a żołądek ścisnął jej się pod wpływem emocji. Nie była gotowa na to, by porozmawiać z nim poprzedniego wieczoru przez telefon, a tym bardziej nie czuła się na siłach, by zrobić to twarzą w twarz.

Ale wyglądało na to, że nie ma wyboru.

– Tatuś?

Rozdział 14

Pierś Mirandy ścisnął ból. Musiała przełknąć, i to dwa razy, by zapanować nad napływającymi łzami.

– Co... Co ty tu robisz? – Spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy. Jako tatę kogoś innego. Wtedy coś zauważyła. Tabitha odziedziczyła po ojcu więcej niż ona. Jej przyrodnia siostra miała po nim rude włosy i niebieskie oczy, podczas gdy Miranda miała orzechowe oczy i blond włosy z rudymi pasemkami. – Myślałam, że nie lubisz konkursów? – odezwała się z sarkazmem, ale i boleścią.

To był jej tatuś. Nie chciała się nim dzielić, a jednak... dzieliła się. Tylko o tym nie wiedziała.

Uniósł rękę i potarł nią kark. Zawsze to robił, gdy był zdenerwowany. Ale czym? A potem zauważyła, jak spoglądał to na nią, to na ścianę.

Wiedział.

Wiedział, że ona wie.

Czy to Tabitha mu powiedziała?

– Wiem, że to trudne – odezwał się zduszonym, przeprasającym tonem. Trochę na to za późno.

Miranda podciągnęła kolana pod brodę i opłótła je ramionami. Jak zamierzał się wytłumaczyć? Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłoby ją zadowolić. A jednak pojawił się, by spróbować. To chyba musiało coś znaczyć?

Możliwe, ale na razie nie czuła żadnej ulgi. Kłamstwa. Wszystko, co wiedziała o swojej rodzinie, okazało się kłamstwem.

– Dzwoniła twoja matka – powiedział. – A potem Tabitha.

W jej piersi eksplodował ból i rozplynał się po całym ciele. Oczy zapiekły ją od łez.

– A więc to wszystko prawda? – zapytała.

Otarł ręką twarz, zupełnie jakby próbował zyskać kilka sekund na zastanowienie, sekund, podczas których nie musiał na nią patrzeć.

Czy uważał, że była błędem?

– Nie wiem, co dokładnie wiesz, ale... – Zamilkł i chyba zauważył spływające po jej twarzy łzy. – Nie płacz. Nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

– Czy to prawda? – zapytała, a kiedy nie odpowiedział, powtórzyła pytanie jaśniej. – Czy Tabitha jest moją siostrą?

– Tak. – Znów spojrzał na ścianę.

Zamrugła, a po policzkach potoczyły się kolejne gorące łzy.

– Jesteś mężem jej matki, a nie mojej?

Popatrzył na nią. Jego spojrzenie, postawa, wszystko wyglądało tak, jakby poczucie winy go przygniatało. Ale nie zamierzała mu współczuć.

– Tak – powiedział. – Ale... to nie tak, jak ci się wydaje.

Zignorowała to i zadała kolejne pytanie.

– Czy moja mama wiedziała? Czy kiedy ją spotkałeś, wiedziała, że jesteś żonaty?

Nie miała pojęcia, po co jej odpowiedź na to pytanie, ale musiała to wiedzieć. Może chciała wiedzieć, jak bardzo ma o to winić matkę. Jeśli wiedziała, to...

– Mirando, wiem, że to brzmi okropnie, ale...

– Czy okłamałeś moją mamę? – warknęła.

Westchnął.

– Tak, na początku ją okłamałem. Ale to nie tak, jak myślisz.

– Tatusiu, a co jest nie tak, jak myślę? Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywasz. Jak mogłeś mi to zrobić? Nam? Mamie i mnie?

Mężczyzna opuścił głowę i ani drgnął. W końcu podniósł wzrok.

– Mirando, w Irlandii praktycznie nie dało się uzyskać rozwodu. Mary Esther i ja byliśmy w separacji. Rozwazałem próbę uzyskania rozwodu, ale... Jej dziadek nastawił przeciwko mnie mojego wuja. A mój wuj opiekował się moim funduszem powierniczym.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Wtedy byłem tylko rozpieszczonym, bogatym dzieciakiem. Żyłem z pieniędzy rodziny. Gdybym zdecydował się na rozwód, straciłbym wszystkie pieniądze. Na początku chciałem je poświęcić, ale wtedy dowiedziałem się, że Mary Esther jest w ciąży. I chociaż byłem rozpieszczony, nie chciałem się odwracać od własnego dziecka. Kochałem twoją matkę całym sercem, ale postanowiłem ją zostawić, bo uważałem, że zasługuje na więcej. W dniu, w którym miałem z nią zerwać, też miała mi coś do powiedzenia. Była w ciąży. Z tobą. Wtedy byłem tylko głupim szczeniakiem, który musiał utrzymać dwójkę dzieci. Nie mogłem odrzucić jedyne go źródła dochodu, czyli mojego funduszu powierniczego. Powiedziałem twojej mamie prawdę. Trochę to potrwało, ale w końcu wybaczyła mi kłamstwo i zgodziła się na to, co mogłem jej zaproponować.

– Więc żyłeś po prostu z obiema żonami? To obrzydliwe! Chyba zaraz zwymiotuję.

Jej ojciec spojrział na nią zszokowany.

– Nie żyję z Mary Esther jako jej mąż. Owszem, mieszkam obok. W znacznej mierze utrzymuję ją i Tabithę. Jestem w równym stopniu obecny w życiu Tabithy, co i w twoim. Wiem, że twoja mama tego nienawidzi, ale nie mogę się odwrócić od Tabithy, tak samo, jak nie mógłbym zrobić tego wobec ciebie. Mary Esther była pomyłką, ale Tabitha to nadal moje dziecko.

„A czym jestem ja?” Miała to pytanie na końcu języka, ale nie była w stanie go wykrztusić. „Bękartem?”

– Mirando, kocham twoją matkę. Wiem, że to życie nie było dla niej łatwe, i żałuję tego. I chociaż nie ma dokumentu, który głosiłby, że jest moją żoną, to jest miłością mojego życia. Razem stworzyliśmy ciebie. Jesteśmy rodziną. Kocham cię. Kochamy cię.

– Więc po co te kłamstwa? Czemu mi nie powiedzieliście? Dlaczego nie dałeś mi swojego prawdziwego nazwiska?

– Na początku chodziło o to, by chronić fundusz. Gdyby mój wuj odkrył, że nie żyłem... z Mary Esther jako mąż, z radością by mnie odciął od pieniędzy. A kiedy cztery lata temu zmarł, chciałem wszystko wyjaśnić, chciałem, żebyście się spotkały i poznały. Ale pomiędzy twoją matką i Mary Esther było zbyt wiele zatargów. Łatwiej było żyć w kłamstwie, niż to wyjaśnić. Nie chciałem cię skrzywdzić.

Miranda otarła łzy.

– No to nie wyszło. I to bardzo. To wszystko, kłamstwa, sekrety, to boli.

– Widzę i wiem, że to mnie zabija. Chcę to naprawić. Właśnie dlatego przyjechałem. Obie jesteście wspaniałe. Jestem z was obu taki dumny. Dziś po południu, po próbach do konkursu, spotkamy się wszyscy. Wiem, że to trudne, i żałuję, że nie zrobiliśmy tego wcześniej, ale chcę, żebyście się z Tabithą zaprzyjaźniły i pokochały.

– Ona mnie nienawidzi. – I wtedy Miranda uświadomiła sobie coś jeszcze. – Czy ona o tym wszystkim wiedziała? Powiedziałaś jej, a mnie nie?

– Nie. Kilka lat temu usłyszała, jak kłócę się z jej matką. Rozgryzła to. Podobnie jak ty, jest mną mocno zawiedziona. Wy dwie jesteście dla mnie całym światem. Dla was żyję. Chcę to naprawić.

Miranda spojrzała na mężczyznę, którego kochała całe życie. Swojego pierwszego bohatera, człowieka, który nazywał ją „aniołkiem”. Cierpliwego ojca, który uczył ją jazdy na rowerze i wiązania sznurówek. Nauczył ją nawet pierwszego czaru. Kochała go całą sobą, ale to bolało tak bardzo, że wolałaby nie kochać go tak mocno. Przełknęła i uniosła brodę. Nie próbując ukrywać bólu, powiedziała mu to, co wcześniej Perry’emu:

– Nie jestem pewna, czy to się da naprawić. – Cholera, powiedzenie tego też bolało.

– Czujesz coś? – Burnett zwrócił się do Mirandy, wchodząc do jej garderoby na kilka minut przed próbą.

Konkurs i ćwiczenia odbywały się w starej auli, która kiedyś była biblioteką – miała nawet gargulce. I, jak wszystko w Paryżu, zdawała się stara. Była stara. W stylu, który przyprawiał o dreszcze.

– Mirando? – zapytał Burnett.

A, tak... Czy coś czuła? O tak. Emocje aż jej się kotłowały w żołądku. Po wyjściu taty przyszły Kylie i Della i pozwoliły jej wypłakać się im na ramieniu. Gdyby nie to, pewnie dalej leżałaby z twarzą w poduszce i użalała się nad sobą. A tak miała oczy zapuchnięte od płaczu. Bała się spotkania, które miało nastąpić po ćwiczeniach. I to bardzo. Bała się też spotkania z mamą. Nie wiedziała czemu, ale była

przekonana, że będzie bolesne.

Może jej mama czuła to samo i właśnie dlatego jeszcze do niej nie przysłała.

– Czujesz coś? – zapytał znów Burnett, niezadowolony, że nie odpowiedziała od razu.

Owszem, wciąż to samo. Jakby jej serce zostało rzucone pitbulowi do zabawy. A potem ktoś znalazł uszkodzony narząd i wsadził jej z powrotem do klatki piersiowej, chociaż już nie działał.

Co prawda Burnett nie musiał o tym wiedzieć. Nurtowało go pytanie, kto próbuje pozbyć się konkurencji. Chciał wiedzieć, czy Miranda ma jakieś złe przeczucia co do przyszłości.

– Nie, jeszcze nie.

– Masz przy sobie komórkę? – zapytał.

Skinęła głową.

– Dobrze. Weź ją ze sobą. Jeśli coś poczujesz, cokolwiek, natychmiast do mnie zadzwoń. Nie obchodzi mnie, czy będziesz w połowie ćwiczenia i wkurzysz tym jedną z tych nadętych czarownic. Zadzwoń. Jasne?

Miranda zaczęła się zastanawiać, czy to samo powiedział do Tabithy. Pewnie tak. Na szczęście Tabithy już nie było w mieszkaniu, gdy jej tata... poprawka: ich tata... się pojawił. Spotkanie z nią zapowiadało się równie ciężko, co spotkanie z matką. Przecież ostatniej nocy nazwała ją kłamczuchą.

Burnett skierował się do wyjścia, ale zawrócił. Spojrzała na niego.

– Wszystko w porządku? – Popatrzył na nią z troską.

Skinęła głową.

Już się odwracał do drzwi, lecz z wampirzą prędkością skrzył głowę w jej stronę.

– Mam wrażenie, że gdyby była tu Holiday, to uściskałaby cię na pocieszenie. Pewnie doskonale by wiedziała, czemu jesteś taka smutna. Może nawet byś jej się zwierzyła. Nie jestem tak dobry w tym choler... pocieszaniu jak ona. Prawdę mówiąc, jestem w tym beznadziejny. Ale jeśli chcesz pogadać, to posłucham. Mam trochę czasu.

Propozycja była kusząca, ale bała się, że jeśli zacznie mówić, to znów się rozplacze. Potrząsnęła głową.

Wyglądało na to, że odczuł ulgę. Ruszył do wyjścia.

Pociągnęła nosem. Odwrócił się do niej. Spojrzał niepewnie, prawie z bólem.

– Chcesz się przytulić?

Podbiegła do niego jak wystraszone dziecko. Burnett nie przepadał za uściskami, więc jego propozycja tym bardziej ją poruszyła. Chociaż starał się zgrywać twardziela, to w rzeczywistości bardzo się nimi przejmował. Holiday i Hannah, jego córka, miały naprawdę mnóstwo szczęścia.

Poklepał Mirandę po plecach. Czuła, że jest zmieszany i spięty. Nie chcąc go krępować, odsunęła się.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Pomogło?

– Tak. – Uśmiechnęła się ciepło.

Skinął głowę.

– Chodzi o Perry’ego i...?

– Nie.

Przechylił głowę i skrzywił się, jakby usłyszał kłamstwo.

– No dobra, może trochę. Ale nie tylko o to. – A skoro już o tym wspomniał, zapytała: – Perry przyszedł?

Obiecał to Mirandzie, ale przecież niecały miesiąc temu obiecywał, że nigdy jej nie opuści, a to zrobił. Nadwyrężył jej zaufanie. Może znów zmienił zdanie.

– Tak, jest tutaj. Chyba nie dałoby się go powstrzymać przed przyjściem.

Skinęła głowę, a Burnett uniósł brwi. Podejrzewała, że pamiętał o tym, jak Shawn dość głupio przyznał, że jest nią zainteresowany.

Burnett dalej się jej przyglądał.

– Czy te... łyzy mają jakiś związek z poranną wizytą twojego taty?

Skinęła głowę.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał.

– Już to zrobiłeś.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Dałeś się przytulić. – Przełknęła gulę w gardle.

– Och. – Znów podejrzliwie zmarszczył brew. – Ale nie muszę nic na temat tego... problemu... wiedzieć?

– Nie ma związku z morderstwami – zapewniła go, czując, że to miał na myśli.

– Dobrze – odparł, słysząc, że dziewczyna mówi prawdę. – Jak już wspomniałem, gdybyś chciała pogadać, to wiedz, że jestem beznadziejny w doradzaniu w kwestiach osobistych, ale chętnie cię wysłucham.

– Dziękuję – odparła i nie mogąc się powstrzymać, znów go przytuliła.

Kiedy wypuściła go z objęć, podszedł do drzwi i przed wyjściem rzucił jeszcze:

– Pamiętaj, jeśli wyczujesz jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, choćby najdrobniejsze, to natychmiast daj mi znać.

Miranda stała w kręgu dwudziestu zawodniczek, w pełni świadoma, że cztery miejsca na prawo od niej stoi Tabitha. Nie patrzyła na nią, ale co kilka minut czuła na sobie jej wzrok. Czy jej przyrodnia siostra naprawdę jej nienawidzi? Przez moment próbowała spojrzeć na całą sytuację z perspektywy Tabithy. Trudno się dziwić, że oskarżała Mirandę i jej mamę o zniszczenie swojej rodziny. Może gdyby Miranda nie została poczęta, to matka Tabithy i jej ojciec jakoś ułożyliby sobie małżeństwo.

Cholera, rzeczywiście łatwo było ją zniechęcić. I jej mamę. Kto by chciał dzielić się swoim ojcem z dzieckiem „tej drugiej”?

Próbując się skupić na przemówieniach rady, Miranda stała nieruchomo. Czuła na sobie spojrzenia z widowni. Rozejrzała się po niej i znalazła gapiów. Jej mama siedziała w pierwszym rzędzie. Sama. Za nią było puste miejsce. Gdzie był tata? Ktoś mówił, że na jednej z głównych ulic dojazdowych był wypadek i kilka zawodniczek się spóźniło.

Miranda widziała niepokój na twarzy matki. Czy ona też się bała spotkania po ćwiczeniach?

„Witaj w klubie, mammo!”

Z tyłu widowni zauważyła zmiennokształtnego blondyna. Obserwował ją czujnie jak ochroniarz. Doceniałaby to, gdyby wcześniej nie rzucił jej, jakby była gorącym ziemniakiem, i nie zostawił, by prażyła się w bólu. I nie obchodziło jej, czemu to zrobił, bo i tak postąpił źle!

W drugim końcu sali stał Shawn. Uśmiechnął się. Delikatne skinienie głowy zdawało się mówić, że ją wspiera. Spojrzała znów na Perry'ego i zobaczyła, jak mierzy Shawna wściekłym wzrokiem. No dobra, to było krępujące.

Skupiła się na przemowie arcykapłanki. Wyglądała na Francuzkę, miała śpiewny akcent, ale idealną wymowę.

Ćwiczenia miały polegać na omówieniu przebiegu konkursu. Zawodniczkom nie powiedziano, jakie czary zostaną wykorzystane, ale sugerowano, że znów pojawią się żywioły. Miranda pomodliła się o to, by nie był to ogień. Zwłaszcza jeśli na zawodach miał być jej ojciec. Na pewno znów swędziałyby go blizny na pośladkach, gdyby zaczęła się bawić ogniem.

Przebiegła jej przez głowę myśl o tym, jak przez lata przekomarzał się z nią na ten temat. Wydała jej się skażona. A przynajmniej inna, od kiedy znała jego tajemnice. Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu, i zaczęła się zastanawiać, czy teraz wszystkie wspomnienia będą jej się wydawały kłamstwem.

Odgłos otwieranych drzwi poniósł się echem po sali. Do środka wpadło ze czternaście osób. Miranda spostrzegła swojego tatę i idącą obok niego Mary Esther. Doszli prawie do rzędu, w którym siedziała mama.

Ta odwróciła się i zrobiła nadąsaną minę. No cudownie! Czy Mary Esther i jej mama zaraz odstawią jakieś przedstawienie?

Ogarnął ją strach i wstyd. Nikt nie chciałby wyciągać rodzinnych brudów przy wszystkich. Miała ochotę uciekać, ale w tym momencie poczucie zagrożenia zdusiło myśli o upokorzeniu.

Pamiętała rozkaz Burnetta. *Jeśli coś poczujesz, cokolwiek, natychmiast do mnie zadzwoń.* Sięgnęła do kieszeni po komórkę i zauważyła, że Tabitha robi to samo. Zmierzyły się wzrokiem, trzymając telefony w ręku.

Burnett musiał dać takie same rozkazy także i jej. Czuła to samo, co Miranda. Zapowiadał się niezły burdel.

Spod sufitu spłynęła gęsta jak błoto mgła. W tym momencie rozległy się krzyki.

Rozdział 15

Mirando? – zawołał niski męski głos.

W niecałą sekundę rozpoznała, że to Shawn. Oślepiąca i zdezorientowana przez mgłę, krzyknęła:

– Tu jestem!

– Zostaw mnie! – wysoki głos przebił się przez inne krzyki.

– Tabitha? – zawołała Miranda.

Coś działo się z jej przyrodnią siostrą.

– Przestań! – wrzasnęła znów Tabitha. – Ratunku!

Jej głos znikł w oddali.

– Tabitha! Gdzie jesteś? – zawołała Miranda, ale wśród krzyków nie usłyszała Tabithy.

Moment później poczuła, jak coś zlatuje z góry, łapie ją za przedramiona i unosi. Wysoko, z dala od mgły.

Spojrzała w górę, a w tym samym momencie potężny jasnobrzędy ptak wielkości konia i z zakrzywionym dziobem popatrzył w dół. Poznała błękitne oczy Perry'ego. Następny oddech przyszedł jej łatwiej, a potem do niej dotarło.

– Znajdź Tabithę – krzyknęła.

– Nic nie widać – odparł.

Spojrzała w dół. Groźnie wyglądająca mgła unosiła się z podłogi i zdawała się ich wciągać.

Perry machnął skrzydłami.

– Nie bój się, mam cię.

Zaparło jej dech, gdy zapikował prosto w białą chmurę, gdzie znów oślepiła ją mgła. Zamrugła i zauważyła przed nimi coś, co wyglądało jak świetlny tunel.

Zorientowała się, że to wejście do sali. Drzwi były otwarte. Perry obniżył lot. Miranda słyszała, jak ludzie rozbiegają się niczym szczury. Zahaczyła stopami o kilka głów.

– Przepraszam, przepraszam.

Podciągnęła kolana. Mknąc jak wiatr i ciągnąc za sobą Mirandę, Perry przeleciał przez drzwi, ściskając ją mocno, ale nie za mocno. Perry nigdy by jej nie skrzywdził.

Ledwie wylecieli, Mirandzie zaparło dech, gdyż Perry wzniósł się w górę. Znacznie powyżej dachu auli. Zobaczyła, jak ptaszor przekrzywia głowę na boki, szukając miejsca do lądowania.

W oddali rozległ się grzmot, niebo było czarne. Perry obniżył lot i wylądował na skraju dachu, tuż

obok ponuro wyglądającego gargulca.

– Nie tutaj – zawołała, ale jej nie usłyszał.

– Wszystko w porządku? – Poruszył dziobem. A potem spojrzał w dół. – Cholera.

– Co?

– Zostań tu – nakazał.

„A niby jak miałam stąd uciec?” A potem rozprostował skrzydła, jakby...

– Nie! – krzyknęła, mając wrażenie, że gargulec obok gapi się na nią. – Nie zostawiaj mnie.

Zeskoczył z gzymsu. Podmuch wywołany łopotem jego skrzydeł rozwiał jej włosy. Ledwie przeleciał kilka metrów, gdy otoczyły go elektryzujące bąbelki i przemienił się w gawrona. Co on robił? Zostawiał ją... tutaj?

Była dziesięć pięter nad ziemią i siedziała obok ogromnego, paskudnego, betonowego stwora. Zupełnie jak w koszmarach z dzieciństwa.

A potem przypomniała sobie Tabithę.

– Wracaj! – wrzasnęła.

Gwałtownie łapała ustami powietrze i patrzyła, jak gawron robi się coraz mniejszy, znów zostawiając ją samą.

Nagle w dach uderzyła błyskawica. Budynek się zatrzęsł, a Mirandę zdjął jeszcze większy strach. Spojrzała na znajdujących się na dole ludzi, rozważając, czy nie zacząć krzyczeć, ale uznała, że i tak by jej nie usłyszeli.

Serce jej waliło. Uświadomiwszy sobie, że wciąż ściska w ręku komórkę, zabrała się za wybieranie numeru Burnetta. Brakowało już tylko jednej cyfry, gdy usłyszała przerażający śmiech, a ją ścisnęło za gardło.

Spojrzała na gargulca. Potrząsnęła głową, zmuszając się, by nabrać wilgotnego powietrza.

– Nie jesteś prawdziwy – powiedziała.

– Właśnie że jestem.

Przeszedł ją dreszcz i nie rzuciła się w dół tylko dlatego, że głos nie dobiegał z gargulca. Odwróciła powoli głowę i stanęła twarzą w twarz z wampirem wyrzutkiem, i to takim, który okropnie śmierdział psimi odchodami.

– O kurde! – zanim zdążyła zareagować albo choćby pomyśleć o jakiejś klątwie, wampir zaatakował.

Telefon wypadł Mirandzie z ręki na dach. Wampir złapał ją wpół, przyciągnął do piersi i zeskoczył z budynku.

Spadając i widząc zbliżającą się szybko ziemię, pomyślała o śmierci. Czy była na nią gotowa? Nie. Tyle jeszcze chciała zrobić w życiu. Czemu musiało się teraz skończyć?

A potem wampir zaczął lecieć. Pod wpływem wiatru włosy biły ją po twarzy, wywołując pieczenie policzków. Wyrzutek trzymał ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, ale wołała ten ból niż wizję śmierci.

– Porusz małym palcem albo chociaż pomyśl o tym, żeby użyć na mnie tej swojej głupiej magii, a rozerwę ci tętnicę i skąpię Paryż w twojej krwi.

Dla podkreślenia swoich słów przycisnął ostre kły do jej gardła.

Miranda nie odważyła się drgnąć, ale długie sekundy lotu poświęciła na wymyślanie czarów, które rzuci na wampira, gdy tylko wylądują.

Serce jej się ścisnęło, gdy zaczęli obniżać lot. Wampir wpadł na dziedziniec jakiegoś zamku i przeleciał pod kilkoma kamiennymi łukami. Miranda przygotowała się do walki, ale ledwie dotknęła posadzki, otworzyły się ciężkie drzwi i została wrzucona w ciemności. Tak czarne i gęste, że natychmiast poczuła się odcięta od świata.

Zanim jeszcze padła na ziemię, rozległ się zgrzyt świadczący o tym, że została zamknięta.

Wylądowała na kolanach, amortyzując upadek rękami. Jęknęła, gdy ostry żwir wbił jej się w dłoń. Łzy napłynęły jej do oczu. Żelazisty zapach krwi podrażnił nos. Czowała metaliczny smak strachu na języku i zapach wilgotnej ziemi. Gdzie była?

Podniosła się na nogi i wyciągnęła przed siebie ręce, by wymacać drogę w ciemnościach. Poruszyła małym palcem, by wywołać światło, ale nic się nie stało. Powtórzyła ruch. I znowu. Czemu jej magia nie działała?

Poza zapachem starości, wyczuła szalwią, paloną korę i coś naprawdę okropnego – zapach śmierci. Rozkład.

Żołądek skręcił jej się ze strachu, a łzy znów zaszczypały. W pierwszej chwili pomyślała, że została zamknięta ze zwłokami, ale potem włączyła się logika.

Znała tę kombinację zapachów: to była czarna klątwa, czar, który sprawiał, że nie można było używać żadnej innej magii.

Przesuwała powoli stopy, centymetr po centymetrze, starając się nie przewrócić po raz kolejny. Własny oddech wydawał jej się zbyt głośny. A potem coś usłyszała – cichy jęk. Nie była sama. W lochu był ktoś jeszcze. Pytanie, czy był to wróg, czy przyjaciel?

Strach zmuszał ją do milczenia, ale rozsądek nakazywał się odezwać.

– Hop hop?

Stała w ciemnościach, czując aromaty powstrzymujące ją przed użyciem magii. Przechyliła głowę na bok, nasłuchując, czy się nie pomyliła.

Odpowiedziała jej martwa cisza. Żołądek jej się skręcił. Miała ochotę upaść na ziemię i płakać, ale pomyślała o Kylie i Delli, i o tym, jakie są silne i jak bardzo chciałyby być taka jak one.

Zrobiła jeszcze jeden krok i znów to usłyszała: cichy wdech. Przełknęła gulę wywołaną strachem i zebrała się w sobie.

– Jest tu ktoś jeszcze? – Jej głos odbił się echem, sprawiając, że znów zdjął ją strach.

Rozdział 16

Czego ode mnie chcesz? – rozległo się w ciemnościach.

Miranda знаła ten głos.

– Tabitha? To ty? To ja, Miranda.

– To ty mi to robisz? Czy to...

– Nie. Też tu jestem – westchnęła Miranda. – Wredny wampir, ten, który był przy wieży Eiffla, złapał mnie, przyniósł i wrzucił tutaj.

– Mnie też. – Głos Tabithy trząsł się, jakby płakała.

Miranda nie zamierzała mieć jej tego za złe. Sama też miała policzki mokre od łez.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

– To chyba jakieś lochy – powiedziała Tabitha.

Miranda zaczęła się powoli przemieszczać w stronę głosu.

– Mów dalej, żebym mogła cię znaleźć.

– Z góry wyglądało jak zamek – powiedziała jej przyrodnia siostra.

– Tak, też to widziałam. – Miranda zahaczyła o coś stopą.

Coś, co nie sprawiało wrażenia skały. Uklękła i dotknęła czegoś, co okazało się stopą. W bucie z cholewką. Czy Tabitha miała na sobie buty z cholewami?

– To ty? – zapytała Miranda.

– Co takiego?

Na te słowa Mirandę ogarnęła panika. Cofnęła się gwałtownie, potknęła o własne stopy i wylądowała na pupie.

Podniosła się z trudem, by odsunąć się od stopy, którą przed chwilą dotknęła.

Jeden krok.

Dwa.

– Mirando, co się stało? – rozległ się cienki głos Tabithy.

Starając się zapanować nad oddechem, Miranda zapytała:

– Czy ja cię przed chwilą dotknęłam?

– Nieee – odparła zaskoczona Tabitha.

Miranda jęknęła.

– W takim razie dotknęłam stopy kogoś innego.

– Co? Mówisz, że... że jest tu ktoś jeszcze? – zapytała piskliwie jej przyrodnia siostra.

Miranda przełknęła.

– Tak. – Strzepnęła palce, jakby chciała się pozbyć tego dotyku.

– Kim jesteś? – zawołała Tabitha.

Nie padła żadna odpowiedź.

– Sądziś, że nie żyje?

Miranda zadrżała na tę myśl.

– Em... nie wiem.

– Ciało było zimne?

– Dotknęłam tylko stopy... w bucie. – Pomyśl, że mogła dotknąć trupa, sprawił, że zaczęła wycierać ręce w dżinsy.

– Nienawidzę tego miejsca. Chcę do domu. – Tabitha zaczęła płakać.

– Ja też – dodała Miranda, ale doszła do wniosku, że panika nic nie pomoże. – Nie płacz. Mów do mnie, żebym mogła cię znaleźć.

– Jestem tutaj, przy ścianie. Co mam mówić?

– Licz – powiedziała Miranda i zaczęła iść.

– Raz. Dwa. Trzy. – Z każdym krokiem głos Tabithy rozbrzmiewał bliżej.

Miranda starała się zachować orientację w przestrzeni, by – gdy nabierze odwagi – wrócić i sprawdzić tę stopę. A raczej przymocowane do niej ciało.

O Boże... Miała nadzieję, że ta stopa była połączona z ciałem. Zaparło jej dech.

– To ty? – zapytała, kiedy trafiła w coś stopą.

– Tak – odparła drżącym głosem Tabitha.

Miranda przysunęła się jeszcze kilkanaście centymetrów, a gdy wyczuła ścianę, odwróciła się i usiadła obok swojej przyrodniej siostry, która natychmiast znów zaczęła pociągać nosem.

– Nie płacz.

– Nie mów mi, co mam robić. Jestem zamknięta w ciemnościach z trupem. I pewnie duchem. O kurde, nienawidzę duchów!

– Nie wiemy, czy tu są jakieś duchy – zauważyła Miranda, ale w tym momencie pomyślała o tym, co to może być za miejsce. W jej wyobraźni zagrała przerażająca muzyka. Możliwe, że to nie był tylko loch, ale część katakumb. Stare kopalnie wapienia, z którego od tysiący lat budowano Paryż. Samo to nie byłoby takie złe, ale w pewnym momencie w kopalniach zaczęto składować zwłoki.

Tabitha miała rację, pewnie były tu duchy.

– Przestań się nakręcać – powiedziała Miranda i sama też wzięła to sobie do serca. – Nie wiemy nawet, czy ten ktoś... nie żyje. I musimy wymyślić, jak się stąd wydostać.

– Nie odezwał się ani razu, a jestem tu już dobre dwadzieścia minut.

– Może jest nieprzytomny? – zasugerowała Miranda. – Wstrzymajmy oddech i posłuchajmy, czy słychać jeszcze kogoś.

– Dobra – odparła Tabitha.

Miranda usłyszała, jak jej siostra nabiera powietrza i zrobiła to samo.

W ciemnościach zapadła kompletna cisza.

– Nie żyje! – pisnęła Tabitha.

W tym momencie Miranda coś usłyszała.

– Ci! Słuchaj.

– Czego?

– Bądź cicho. – Miranda przechyliła głowę i wstrzymała oddech. Znow to usłyszała. Za daleko, by to była Tabitha. Krótki, cichy odgłos, jakby ktoś wziął płytki oddech.

– Słyszałaś? Ten ktoś oddycha.

– Więc czemu się nie odzywa?

– Może jest nieprzytomny. Może powinnam sprawdzić, co mu jest – powiedziała Miranda. – Żałuję tylko...

– Że co?

– Że nie widzę, co robię. Chciałabym zobaczyć, czy... czy drzwi, przez które nas wrzucono, są jedyną drogą wyjścia. – Nie miała pojęcia, jak wyglądają katakumby.

„Czy te kopalnie miały tylne wyjścia?” Miranda zamrugła, próbując dostrzec coś w ciemnościach. Bezsukutecznie. Dotknęła ściany – wydawało się, że jest z ziemi. Czy to było jedno duże pomieszczenie, czy raczej tunel?

– Próbowałam wywołać światło.

– Rzucono czarną kłutwę, czuję ją – powiedziała Tabitha.

– Wiem, też ją wyczułam.

– Więc nic nie zrobimy. Zostaniemy tu, aż... aż też stracimy przytomność. A potem umrzemy. Umrzemy tu.

– Nie! – warknęła Miranda. – Musimy coś zrobić. Nie możemy się poddawać.

Nabrała głęboko powietrza, próbując wymyślić jakiś plan. Zapadła cisza. Czas płynął wolno w ciemnościach.

Tabitha się poruszyła.

– Nie mogę umrzeć – wydusiła zduszonym głosem. – Widziałam dziś tatusia i powiedziałam mu, że go nienawidzę. Nie mogę dopuścić do tego, żeby to była ostatnia rzecz, którą mu powiedziałam.

Miranda wymacała rękę siostry i ją ścisnęła.

– Nie umrzemy. Szukają nas Burnett, Kylie i Della. Znajdą nas. A poza tym, nie sądzę... Myślę, że nasz tata wie, że tak naprawdę wcale go nie nienawidzisz.

– Jestem na niego taka wściekła – powiedziała Tabitha.

– Ja też – przyznała Miranda.

– Też się z nim widziałaś?

Miranda skinęła głową, po czym uświadomiła sobie, że Tabitha jej nie widzi.

– Tak.

– Co ci powiedział?

Miranda zamyśliła się, nie mając pewności, czy powiedzieć przyrodniej siostrze o tym, że ich ojciec kocha jej własną matkę, a nie matkę tej drugiej. To by ją pewnie tylko zraniło.

– Próbował to wyjaśnić.

– Powiedział ci, że kocha twoją matkę? Bo właśnie to powiedział mnie i wtedy powiedziałam mu, że go nienawidzę. – Czknęła. – Ale ja wcale go nie nienawidzę. Nienawidzę twojej mamy.

Miranda przełknęła, zastanawiając się, czy to najlepszy moment na tę rozmowę, ale uznała, że pewnie nigdy nie będzie naprawdę dobrego.

– Powiedział, że był w separacji z twoją mamą, gdy poznał moją.

– Ale był żonaty, a ona nie miała prawa...

– Powiedział, że moja mama nie wiedziała, że był... żonaty. Przynajmniej na początku.

Usłyszała, jak jej siostra nabiera gwałtownie powietrza.

– To i tak nie w porządku. To boli.

– Wiem – przyznała Miranda. – Mnie też boli.

W tym momencie znów usłyszała, jak po drugiej stronie celi ktoś nabiera powietrza. Zastanawiała się, jak długo ten ktoś tu leżał. Samotnie. One miały przynajmniej siebie nawzajem.

Zamknęła oczy, rozważając, jak stąd uciec. Wiedziała, że Burnett, Della, Kylie i pewnie nawet Perry i Shawn ich szukają, ale to nie znaczyło, że ona i Tabitha mają siedzieć i czekać.

– Do cholery, czyja to sprawka? – mruknęła.

Tabitha poruszyła się, a odgłos poniósł się echem.

– Nie jestem pewna, ale...

– Co takiego? – zawołała Miranda.

– Porwali mnie i Siennę, ale jej tutaj nie wrzucili.

– Co takiego? Myślisz, że to sprawka Sienny?

– Nie, ale sądzę... że to może być jej matka. – Przełknęła gwałtownie. – Jestem przekonana, że na chwilę przed tym, nim mnie tu wrzucili, słyszałam mamę Sieny, jak mówiła innemu wampirowi, by wniósł ją do środka.

Miranda westchnęła.

– No cóż, Burnett miał się po ćwiczeniach spotkać z rodzicami zawodniczek. Rozgryzie to. Jest w tym dobry.

Zapadła dłuższa cisza.

– Bardzo w niego wierzysz – powiedziała Tabitha.

– Owszem. Jest... jak rodzina. – Zamknęła na chwilę oczy. – Chwila! – Nagle do niej dotarło. – My jesteśmy rodziną. Jesteś moją przyrodnią siostrą.

– Gratuluję odkrycia – powiedziała Tabitha.

Miranda przewróciła oczami.

– Możemy się w tym momencie nie nienawidzić?

– Nie powiedziałam, że cię nienawidzę – odparła Tabitha. – Nienawidzę...

– Nieważne. Posłuchaj, chciałam powiedzieć, że może czarna klątwa jest na tyle silna, by powstrzymać moc jednej osoby, ale jeśli... jeśli mamy wystarczająco dużo takiego samego DNA, to możemy spróbować magii krwi. Może nasze połączone moce odczynią klątwe.

– Masz rację – przyznała Tabitha. – Pamiętam, jak Candy i Sandy prezentowały to na jednym z konkursów. Ale one są bliźniaczkami... a my tylko przyrodnimi siostrami.

– Chyba warto spróbować.

– Dobra. Pamiętaj, jak to zrobiły? – zapytała Tabitha.

– Trochę – odparła Miranda. – Trzymały się za ręce i nuciły zakęcie. Powiedziały, że medytowały, skupiając się na tym samym.

– Więc co zrobimy?

– Dobrze byłoby mieć trochę światła. Dzięki temu będę mogła sprawdzić, czy da się pomóc naszemu przyjacielowi.

– Dobra. Jak brzmi zakęcie?

Miranda skupiła się.

– Może... Niech znikną ciemności, pragniemy jasności, wspólnie prosimy o trochę światłości?

Tabitha powtórzyła i stwierdziła:

– Brzmi nieźle.

Miranda zaczęła nucić i ścisnęła dłoń przyrodniej siostry. Tabitha się przyłączyła. Wypowiedziały zakęcie raz, potem drugi i trzeci.

– Nie działa – stwierdziła Tabitha.

– Może robimy coś nie tak. – Miranda próbowała sobie przypomnieć, co bliźniaczki mówiły o magii krwi. – Może źle medytujemy – stwierdziła w końcu. – Wizualizujesz sobie?

– Tak – odparła Tabitha.

– A co?

– Latarkę – powiedziała Tabitha.

– Och, a ja świeczkę.

– Czemu świeczkę? – zapytała Tabitha. – Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku.

– Bo wydawało mi się... Nieważne, masz rację. Spróbujmy jeszcze raz.

Zanim zdążyły zacząć, usłyszały jęk. Tabitha przysunęła się do Mirandy.

– Nienawidzę tego miejsca.

– No już – odparła Miranda. – Tracimy czas.

Spróbowały ponownie. Powtórzyły czar dwa razy, trzy. Cztery... Już miały przestać, gdy zapach ziół

stał się silniejszy, jakby ktoś wiedział, że jego klątwa zostaje wystawiona na próbę.

Tabitha jęknęła.

– To nie...

– Nie przestawaj! – zawołała Miranda i mocniej złapała siostrę za rękę.

Nagle usłyszały, jakby coś spadło na ziemię. W tym samym momencie ostry zapach stał się dziesięć razy mocniejszy.

– Co to było? – zapytała Tabitha, wciąż ściskając dłoń Mirandy.

– Może latarka? – Miranda opadła na klęczki. Powoli zaczęła obmacywać ziemię.

– Skoro to latarka, to czemu nie świeci?

– Może moce uznały, że stać nas na tyle, by ją włączyć. No chodź, spróbujemy ją znaleźć.

Usłyszała, jak siostra szuka po omacku. W ciemnościach rozległo się westchnienie Tabithy.

– Ktoś wzmocnił czarną klątwę. Czujesz to?

– Tak, ale nadal uważam, że już nam się udało. – Głos Mirandy dusiły ciemności.

– To pewnie nie była latarka – jęknęła Tabitha.

Miranda zdawała sobie sprawę, że podchodzi do sprawy optymistycznie, ale czasami nic innego nie pozostawało.

– Nie wiadomo. Szukaj dalej.

– Hej – zawołała Tabitha. – Chyba... Miałaś rację!

Na suficie pojawił się krąg światła.

– Udało się! – Miranda poczuła moc, chociaż zdawała sobie sprawę, że może nie udać im się wyczarować nic więcej.

Tabitha poruszyła latarką. Miranda obserwowała promień światła.

– Tu są tunele – powiedziała jej siostra. – Może znajdziemy wyjście.

– Tak – przyznała Miranda, obserwując powoli przesuujące się światło.

Krąg światła zatrzymał się na młodym mężczyźnie w dzinsach i koszulce. Chłopak leżał w bezruchu i Miranda przestraszyła się, że nie żyje.

Że ten oddech, który słyszały wcześniej, był jego ostatnim.

W końcu zobaczyła, jak poruszyła się jego klatka piersiowa.

– Wciąż żyje – rzekła Miranda.

Obie wstały.

– Wiem. – Tabitha się cofnęła.

Miranda podeszła bliżej. Z każdym krokiem czuła silniejszy zapach krwi, ale tym razem to nie była jej krew.

– Zaświeć mu na twarz – powiedziała Miranda, a kiedy zrobiła kolejny krok, krąg światła przesunął się powyżej szyi chłopaka.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na jego czoło – tak robiły wszystkie istoty nadnaturalne, by rozpoznać,

z kim mają do czynienia.

W końcu ujrzała wzór.

– To wampir. – Tabitha złapała Mirandę za ramię i pociągnęła do tyłu. – Pewnie jeden z nich. Nie podchodź. Może... Może zaatakować.

– Gdyby był jednym z nich, toby go chyba nie zamknęli? – Miranda wzięła latarkę od Tabithy i oświetliła pierś chłopaka.

Na jasnoniebieskiej koszulce była duża plama krwi. Koszulka była porwana. Został ugodzony nożem czy postrzelony?

– Zobacz, jest ranny. – Miranda spojrzała na siostrę. – Nie może być od nich.

– To nie znaczy, że jest miły. A nawet jeśli nie jest jednym z nich, to pewnie jest głodny i jeśli się ocknie... to będzie... chciał krwi. Bierzmy latarkę i ruszajmy tunelem, jak najdalej od niego. Może nawet znajdziemy wyjście. – Zabrała Mirandzie latarkę i skierowała ją w przeciwną stronę.

Miranda dalej wpatrywała się w miejsce, gdzie leżał prawie martwy wampir. Chociaż światło skierowane było teraz w inną stronę, wciąż widziała zarys jego ciała. Usłyszała, jak jęknął, troszkę głośniejszy, jakby był świadom światła.

– Nie podchodź za blisko. Wyczuje twoją krew – pisnęła Tabitha. – A wiesz, co wtedy robi.

Ostrzeżenie Tabithy miało sens. Miranda słyszała upiorne historie o ludziach, którzy ginęli, próbując pomóc rannym i zagubionym wampirom. A gdyby to była Della, Burnett albo któryś z wampirów z Wodospadów Cienia? Gdyby to ich ktoś zostawił na śmierć?

– Chodź, tu jest jakaś ścieżka – powiedziała jej przyrodnia siostra i znów ją pociągnęła. – Odejdźmy od niego, zanim się ocknie i zabije nas obie.

Tabitha wzięła ją za rękę i ścisnęła.

– Może czarna klątwa w głębi tunelu działa słabiej.

– Nie. – Miranda wypuściła dłoń siostry. – Nie możemy go zostawić na śmierć. Musimy mu pomóc.

– Zwariowałaś? – zapytała Tabitha. – Jedyne sposob, żeby mu pomóc, to dać mu krew.

– Wiem – odparła Miranda.

– Ale nasza jest nam potrzebna – warknęła Tabitha.

– Nie potrzebujemy całej. – Miranda pamiętała, jak na początku odrzucała ją myśl o oddawaniu krwi do banku krwi wampirów. A potem Kylie postanowiła to zrobić i Miranda się do niej przyłączyła.

To zabawne, że podczas pobytu w Wodospadach Cienia prawie zapomniała, jak wiele uprzedzeń panuje w zwykłym świecie.

– Moja przyjaciółka Kylie mówi, że ludzie ciągle oddają krew do banków krwi. Oddawanie jej wampirom to praktycznie to samo.

– To co innego. – Tabitha wzięła ją za ramię. – Posłuchaj, wiem, że przyjaźnisz się z wampirzycą i mieszkasz w szkole, gdzie wszyscy się dogadują, ale teraz jesteśmy w prawdziwym świecie. Nie wiesz, czy to nie wyrzutek i...

– Nie zasługuje na śmierć.

Tabitha wsunęła latarkę pod brodę, sprawiając, że na jej twarzy pojawiły się upiorne cienie.

– Nie wierzę. To wampir.

Miranda spojrzała na siostrę.

– Nie wierzę, że moja siostra ma takie uprzedzenia.

– To nie tak! – warknęła Tabitha, szczerze urażona. – Nie mam nic do wampirów. Ale jeśli mam do wyboru moje życie albo jego, albo mojej przyrodniej siostry, to cóż, wybieram nas. On może być wyrzutkiem, a jeśli dasz mu trochę krwi, to może... chcieć więcej.

– Posłuchaj, wiem, że to może być niebezpieczne, ale nie mogę zostawić go na śmierć.

– To nie ty mu to zrobiłaś. Nie jesteś za niego odpowiedzialna.

– Owszem, jestem, jeśli zostawię go, nie próbując mu pomóc. Jak chcesz, możesz iść. A jak tylko mu się polepszy, spróbujemy cię znaleźć.

Tabitha potrząsnęła głową.

– Zginiesz. On będzie potrzebował krwi, a ty pozwolisz na to, żeby ci ją wyssał. A potem pewnie rozerwie cię na strzępy i zje ci wątrobę. Słyszałam, że lubią wątroby.

– Nie – odparła Miranda, ale żołądek jej się skręcił.

– Nie, nie zginiesz, czy nie, nie lubią wątrób?

– Nie, nie zginę – powiedziała Miranda, pamiętając, jak Della wspominała, że wątroba jest pyszna.

A potem, czując, jak serce bije jej mocniej ze strachu, patrzyła, jak Tabitha odchodzi. Z latarką.

„Hej, to również i moja latarka!” – pomyślała Miranda.

Stała tak, pragnąc pogonić za siostrą, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie mogłaby ze sobą żyć, wiedząc, że zostawiła kogoś na śmierć. Kogoś, kto mógł być równie porządnym wampirem jak Burnett czy Della. W ciągu kilku chwil ogarnęła ją ciemność. Czuła, jak serce wali jej o mostek. Słyszała oddalające się kroki Tabithy. Coraz cichsze, aż w końcu nie było słychać nic. Została sama.

Odgłos gwałtownie nabieranego powietrza zaprzeczył jej ostatniej myśli. No dobra, nie była sama.

Zebrała się w sobie i odwróciła się w kierunku rannego wampira.

– Proszę, nie pozwól, aby ona miała rację. Jestem przywiązana do mojej wątroby.

Rozdział 17

Miranda zrobiła krok do przodu. Ciemności, które zdawały się atakować ją ze wszystkich stron, jakby przybladły. Odwróciła się i zobaczyła, że w jej stronę zbliża się krąg światła.

Tabitha? Światło było coraz bliżej. Rozległy się kroki. A potem pojawił się zarys Tabithy. Szła dalej, aż stanęła twarzą w twarz z Mirandą.

– Skłamałaś – powiedziała Miranda, czując, jak emocje łapią ją za gardło.

– Na jaki temat? – zapytała Tabitha, marszcząc brwi.

– W mieszkaniu, kiedy powiedziałam ci, że uratowałam ci życie. Stwierdziłaś, że nie uratowałabyś mojego.

– Nie uratowałam cię – odparła. – Nadal jesteśmy tu uwięzione, możliwe, że z wampirem wyrzutkiem, a nad naszymi głowami wisi czarna kłątwa.

Miranda się uśmiechnęła.

– Tak, ale wróciłaś. A to znaczy...

– Może po prostu nie chciałam być sama.

Miranda usłyszała kłamstwo w głosie siostry.

– Albo o to chodzi, albo jednak trochę ci na mnie zależy.

– No dobra – powiedziała Tabitha. – Zależy. Ale jeśli zginę albo ty zginiesz, to nigdy ci tego nie wybaczę.

– Nie zginiemy – powiedziała Miranda, a gdy po jej sercu rozplýwało się ciepłe, puszyste uczucie, nagle w to uwierzyła.

Jej siostra oświeciła wampira, a potem nabrała głęboko powietrza i spojrzała Mirandzie w oczy.

– Naprawdę nie mam uprzedzeń. Nie cierpię, gdy inni oceniają ludzi po pozorach. Po prostu... wampiry mnie trochę przerażają.

– Wiem – odparła Miranda. – Mnie też kiedyś przerażały. Ale wierz mi, Della jest najwspanialszą przyjaciółką na świecie. – Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Tabithy. – Dziękuję, że wróciłaś.

Tabitha skinęła głową.

– Więc jak się za to zabierzemy?

– Mam plan. – Miranda potarła zranioną rękę i ścisnęła ją, próbując wycisnąć trochę krwi. Nie mówiła, że to dobry plan. Czy zadziała? Nie miała pewności. Do tej pory oddawała krew za pomocą igły.

– Kiedy mnie tu wrzucili, skaleczyłam się w rękę. Myślę, że jeśli... jeśli tylko podsunę mu rękę, wyczuje krew i... ugryzie.

Tabitha zrobiła przerażoną minę.

– Jeśli cię skrzywdzi albo nie będzie chciał przestać, to... to walnę go latarką. I to mocno. Naprawdę mocno.

Miranda prawie powiedziała siostrze, by uciekała, gdzie pieprz rośnie, jeśli wampir nie przestanie. O Boże, czy narażała swoje i jej życie, by zrobić coś... głupiego?

Wampir znów jęknął. Nie, serce Mirandy podpowiadało jej, że robi właściwą rzecz. Musiała w to wierzyć. Poza tym, jeśli czarna klątwa nie zniknie, to przyda im się jeszcze jedna osoba do pomocy, na przykład ktoś tak silny jak wampir.

Podeszła bliżej do skulonej postaci.

– Poświeć mi na rękę. – Spojrzała na dłoń i ścisnęła mięsistą część, aż pojawiła się krew. A potem opadła na kolana. Czuła strach, ale mimo to przysunęła dłoń do ust wampira.

Otworzył oczy. Wyciągnął rękę, złapał ją za ramię i przyssał się do nadgarstka, w miejscu, gdzie żyły są tuż pod skórą.

– Aj – zwołała Miranda, czując, jak jego zęby wbijają się w skórę.

– Mam go walnąć? – krzyknęła Tabitha. – Mam go walnąć?

– Nie! – Miranda obserwowała, jak wampir pije jej krew. – Słuchaj, stary, to tylko przekąska, nie uczta, jasne? Odrobinka, żebyś mógł się podleczyć, rozumiesz?

– Mam go walnąć? – powtórzyła Tabitha. – Mam go teraz walnąć?

Miranda potrząsnęła głową.

– Jeszcze troszkę.

Policzyła do dziesięciu, poczuła, że robi jej się słabo i spanikowała. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Dobra, starczy. – Próbowwała cofnąć rękę, ale chłopak mocno zacisnął palce na jej nadgarstku.

– Hej! – Tabitha nachyliła się i zaświeciła mu prosto w oczy. – Powiedziała, że starczy. Puść ją albo przysięgam, że nabiję ci po drugiej stronie głowy takiego samego guza, jak masz tutaj. – Puknęła go latarką w czoło.

Wampir zamrugał, źrenice mu się zwężyły i zalśniły jeszcze mocniej, ale rozluźnił uchwyt. Powoli wysunął zęby. Miranda cofnęła rękę i usiadła na ziemi. Wampir opuścił głowę i zamknął oczy.

– Kim jesteście? – zapytał z francuskim akcentem.

Tabitha zaświeciła mu w oczy, ale nie otworzył ich.

– Jesteśmy bardzo groźnymi czarownicami i jeśli będziesz czegoś próbował, to rzucimy na ciebie taką klątwę, że nawet się nie zorientujesz, co ci przywaliło.

Uniósł głowę, otworzył jedno oko i spojrzał na Tabithę.

– Nie wyglądacie groźnie.

– Pozory myślą – powiedziała Miranda, a czując spływającą po ręce krew, zacisnęła dłoń powyżej ugryzienia, by powstrzymać krwawienie. – Powiedz nam, kim jesteś.

Nie otworzył oczu, ale odpowiedział:

– Jestem Anthony. Anthony Bastin.

Po kilku chwilach ciszy podniósł powieki i spojrzał na Mirandę.

– Czy nie wypada powiedzieć, jak się nazywasz, jeśli ktoś właśnie ci się przedstawił?

– Stary – warknęła Tabitha. – Właśnie uratowałyśmy ci życie, więc okaż trochę szacunku.

Popatrzył na Tabithę.

– Masz rację, przepraszam. – Oblizął wargi i popatrzył na nie. – Bierzecie udział w konkursie. Tym na arcykapłankę. Prawda?

– Skąd wiesz? – zapytała Miranda.

– Pracuję w auli, gdzie odbywa się konkurs. Dwie noce temu przyłapałem wyrzutków, którzy się tam kręcili. – Znów spojrzał na Tabithę. – Obezwładnili mnie... i zabrali tutaj. Oczywiście, było pięciu na jednego. Gdyby nie to, sprawa skończyłaby się inaczej.

– Jasne. – Tabitha przewróciła oczami.

Wampir popatrzył na nią.

– Myślisz, że dasz radę iść? – zapytała Miranda. – Uważam, że powinniśmy sprawdzić, czy ten tunel dokądś prowadzi.

Wampir spróbował wstać, jęknął i osunął się na ziemię.

– Dajcie mi jeszcze kilka minut. Krew pomoże mi się uleczyć, ale to zajmuje czas.

– Dobrze, ale nie za wiele. – Miranda spojrzała na ciężkie drzwi prowadzące na zewnątrz. Tam, gdzie byli ich porywacze.

– Tylko kilka minut – powiedział.

W ciągu paru sekund jego oddech zwolnił.

– Chyba zasnął – wyszeptła Tabitha i przesunęła światło tak, by padało na jego twarz.

Miranda przyjrzała mu się. Jego wydatna szczęka i wyraziste rysy wskazywały na francuskie pochodzenie.

– Daję mu pięć minut i ruszamy, nawet jeśli będzie trzeba go nieść.

Tabitha przesunęła światło latarki na jego tułów, wydobywając z ciemności szeroką pierś i płaski brzuch.

– Wiesz, gdyby nie był taki brudny, to byłby całkiem przystojny.

– Owszem – przyznała kompletnie niezainteresowana Miranda.

Zawsze wolała blondynów. Pomyślała o Perrym, a potem o dawniejszych czasach, kiedy była zakochana w Shawnie.

– Myślisz, że potrzebuje więcej krwi? – zapytała Tabitha.

– Pewnie tak – odparła Miranda. – Myślę, że mogłabym mu jeszcze trochę dać.

– Już dość mu dałaś. Jeśli będzie potrzebował więcej, to... ja to zrobię.

Miranda się uśmiechnęła.

– To bardzo szlachetne z twojej strony. Masz poczucie winy, czy uważasz, że jest taki przystojny?

Tabitha zachichotała.

– Jest słodki. Ale ty nie masz nic do gadania. Jesteś zakochana w zmiennokształtnym. Wszyscy wiedzą, że zmiennokształtni są... trudni.

Miranda spojrzała na Tabithę.

– Skąd o tym wiesz?

– Chodziły takie słydy – odparła. – I słyszałam, jak wczoraj rozmawialiście.

– Nie wszyscy zmiennokształtni są źli, tak samo jak wampiry – odparła Miranda. – Albo czarownice.

Poza tym, nieładnie jest podsłuchiwać.

Tabitha milczała przez kilka minut, po czym stwierdziła:

– Byłam ciekawa. – Znow zamilkła. – Wrócisz do niego czy zdecydujesz się na tego przystojnego agenta JBF?

Miranda na moment zamknęła oczy.

– Chyba już minęło pięć minut. – Spojrzała na śpiącego wampira.

– Dobra, nie mów. Myślałam po prostu, że... nieważne.

„Że znalazłyśmy wspólny język”. Miranda wiedziała, co tamta chciała powiedzieć.

– Nie wiem, co zrobię. Perry ze mną zerwał.

– Zmiennokształtny?

– Tak. – Miranda przesunęła palcem po ugryzieniu, by sprawdzić, czy przestało krwawić. –

Powiedział, że zasługuję na kogoś lepszego niż on i że robi to ze względu na mnie.

– Czemu tak powiedział? Coś z nim nie tak? – zapytała Tabitha.

– Jest potężny. Bardzo potężny. I miał problemy z panowaniem nad przemianami przy ludziach. Sądził, że nie będzie mógł prowadzić normalnego życia.

– Mówisz w czasie przeszłym... Poprawiło mu się?

– Tak, przyjechał tu do szkoły i wygląda na to, że są w stanie mu pomóc.

– Więc w czym problem?

– Nawet do mnie nie zadzwonił. Nie chciałam się z nim rozstawać – westchnęła. – To bolało.

A teraz... Teraz nie wiem, czy mogę tak po prostu przyjąć go z powrotem. A jeśli później uzna, że jednak nie jest dość dobry?

– To go rzucaj i zdecyduj się na czarownika. Sienna mówiła prawdę, twierdząc, że cały czas się na ciebie gapił.

Miranda oparła się o ścianę.

– Lubię Shawna, ale... Muszę ustalić, co czuję do Perry'ego. I...

– Co? – zapytała Tabitha.

– Nie wiem. To takie skomplikowane. – „Nawet bardziej, od kiedy dowiedziałam się prawdy o rodzicach”.

Siedziały tak, a w ciszy słycać było tylko ich oddechy.

– Masz chłopaka? – zapytała Miranda.

– Miałam, ale w zeszłym roku wyjechał do Kalifornii. Zapewniał, że się nie rozejdziemy, ale potem jakoś... nie wiem. To zaczęło być dziwne. Nie dzwonił już tak często, a kiedy rozmawialiśmy, to było sztywno. Jestem prawie pewna, że zaczął się spotykać z kimś innym. Więc napisałam do niego list i powiedziałam, że to już koniec.

– Przykro mi – powiedziała Miranda.

– Mnie też – odparła Tabitha. – Na początku bolało, ale potem poczułam, że to była słuszna decyzja. Chyba tak naprawdę go nie kochałam. A nawet jeśli, to mi przeszło. Mama mówi, że jestem młoda i nie powinnam się z nikim wiązać – westchnęła. – Myślę, że żałuje, że wyszła za tatę. – Tabitha zagapiła się w ciemność. – Najsmutniejsze jest to, że wydaje mi się, że ona wciąż go kocha. Zawsze kochała.

– Ale to pokręcone – powiedziała Miranda, współczując siostrze. – Jak sądzisz, co tata zamierzał powiedzieć podczas tego rodzinnego spotkania?

Tabitha się poruszyła.

– Myślę, że chce, żebyśmy się wszystkie dogadywały. Ale zapewniam cię, że moja mama na pewno nie zaprzyjaźni się z twoją.

– Ale my możemy – powiedziała Miranda.

– Owszem, o ile to przeżyjemy. – Tabitha oplotła kolana rękami i zrobiła ponurą minę.

– Przeżyjemy. – Miranda wstała. – Obudźmy naszą śpiącą królową i zobaczymy, czy może chodzić. Nie wiem, jakie są szanse na to, że znajdziemy wyjście, ale musimy spróbować.

Przeszli kilkadziesiąt metrów. Obie czarownice podtrzymywały Anthony'ego w pasie, a wampir położył im ręce na ramionach. Nie było łatwo. Chłopak był cięższy, niż mogło się wydawać.

– Idźcie dalej same – powiedział w końcu słabym głosem. – Jeśli znajdziecie wyjście, przyślijcie kogoś po mnie.

– Nie – odpowiedziały chórem Miranda i Tabitha.

– Posłuchajcie, jestem za słaby, spowalnim was. – Wyplątał się z ich objęć, oparł się o ścianę i zsunął się, aż usiadł na ziemi.

– Gdybyś dostał więcej krwi, miałbyś siłę – powiedziała Tabitha. – Możesz napić się mojej.

Spojrzał na nią i zrobił dziwną minę.

– Nie boisz się, że zjem ci wątrobę?

Tabitha też zrobiła dziwną minę. Miranda zachichotała.

Tabitha prychnęła.

– Nie byłeś nieprzytomny? Udawałeś!

– Co udawałem? Że dźgnęli mnie nożem? Nie udawałem. Co chwila traciłem przytomność. Co kilka minut słyszałem wasze głosy.

Tabitha zmierzyła go wzrokiem i położyła rękę na biodrze.

– I nie mogłeś zachować się elegancko i dać znać, że jesteś przytomny? A Francuzi mówią, że to Amerykanie są niegrzeczni.

Wampir popatrzył na Tabithę.

– No tak, cóż za złe wychowanie. Co z tego, że umierałem. Należało wykorzystać resztki energii i ostrzec was, że jeszcze żyję.

Tabitha się skrzywiła.

– No dobra, może nie mogłeś nic na to poradzić – warknęła. – No to wiesz, że się ciebie bałam, ale już się nie boję. Widzisz? – Podsunęła mu rękę pod nos. – Gryź – odezwała się prawie flirtującym tonem.

Zwrócił na nią spojrzenie swoich ciepłych brązowych oczu.

– Nie musisz tego robić. – Odepchnął jej rękę, ale oczy zaśniły mu, jakby wyczuł krew.

– Wiem, że nie muszę – odparła Tabitha. – Ale moja siostra ma zbyt miękkie serce i cię tu nie zostawi. Więc nie robię tego dla ciebie, tylko żeby udało nam się uciec. Więc już, napij się trochę. – Znow podsunęła mu rękę pod nos.

– Ona mówi serio – dodała Miranda. – Jeśli odzyskasz siły, to możesz pomóc nam w ucieczce.

Wyciągnął rękę i ujął jej ramię. Potem przesunął palcem po jej żyłę. Pociągnął nosem i znow na nią spojrzał.

– Jesteś pewna?

– Przecież mówiłam, że tak – powiedziała Tabitha i usiadła obok niego.

Anthony przysunął do ust jej rękę. Zadrżała, gdy wbił zęby w jej nadgarstek.

– Nie za dużo – powiedziała Miranda, widząc, jak wampir pije łąpczywie.

Natychmiast wypuścił Tabithę. Kiedy się odsunął, rzucił na nią okiem i oblizał kroplę krwi z warg.

– Przepraszam – powiedział i zasłonił dłonią twarz, zupełnie jakby się wstydził.

– Wszystko w porządku? – zapytała Tabitha.

– Tak. – Opuścił rękę. Wciąż miał zamknięte oczy, a po chwili zwrócił się do niej: – Dziękuję.

„A co ze mną?” – pomyślała Miranda, ale ugryzła się w język, a potem pohamowała uśmiech, czując, że między tymi dwojgiem coś się rodzi.

– Nie ma za co – powiedziała jej siostra. – Pomogło?

– Tak sędzę – odparł. Dajcie mi dwie minuty, a będę wiedział na pewno.

Za nimi rozległ się głośny zgrzyt, jakby ktoś otwierał metalowe drzwi. Ale dźwięk nie dobiegał od strony, z której przyszli, tylko z drugiego końca tunelu.

– Chyba nie mamy kilku minut – powiedziała Miranda, a w jej głosie słychać było strach.

Tabitha poderwała się na równe nogi i wyciągnęła rękę do Anthony'ego.

– Biegnijcie z powrotem, a ja spróbuję ich zatrzymać. – Wstał. Wydawał się silniejszy.

– Nie – odparła Tabitha. – Zmierzymy się z tym razem.

Anthony stanął przed Mirandą i jej siostrą.

Rozległy się szybkie kroki.

Anthony uniósł twarz i pociągnął nosem, by sprawdzić, kto się zbliża.

– Wampir – wyszeptał i zrobił kilka kroków do przodu. – Stój! – zawołał do zbliżającej się postaci.

– Przychodzę w pokoju – rozległ się męski głos.

Było zbyt ciemno, by dostrzec twarz obcego, ale ten głos brzmiał znajomo. Miranda wiedziała, kto to.

Zrobił jeszcze kilka kroków. Tabitha oświetliła go latarką.

Mirandzie szczęka opadła.

– Co ty tu robisz?

Rozdział 18

Wkatakumbach był Chase Tallman. Chase Delli. Skinął Mirandzie głową.

– Słyszałem, że masz kłopoty.

– Znasz go? – zapytał Anthony, kierując na nią spojrzenie lśniących żółto oczu.

– Tak.

– Ufasz mu?

– Nie wiem. – Miranda pamiętała, ile bólu sprawił Delli. I że pracował dla Rady Wampirów, grupy,

której nie ufało nawet JBF.

– No już – zawołał Chase i postąpił o krok. – Nie mamy czasu.

Anthony warknął ostrzegawczo.

– Nie podchodź bliżej.

Chase zatrzymał się i spojrzał na Mirandę.

– Bez względu na to, co o mnie myślisz, wiedz, że to nie ja jestem tu czarnym charakterem. Za kilka minut towarzystwo z góry zejdzie, żeby zabrać was na obiad. I z tego, co wiem, nie przewidują dla was miejsc przy stole.

– Należysz do ich gangu? – zapytała Tabitha.

– Nie. – Zrobił zniecierpliwioną minę. – Jestem tu, by pomóc Mirandzie. Jest bliska komuś, na kim mi zależy, i jeśli coś jej się stanie... – Przestał mówić, skrzywił się i popatrzył na Mirandę. – Naprawdę myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić?

Nie. Miranda uświadomiła sobie, że wcale tak nie myślała, ale coś się nie zgadzało. Wreszcie dotarło do niej, o co chodzi.

– Ale przyjechałeś tu, zanim jeszcze wygrałam konkurs. Więc nie przybyłeś tu po mnie.

– To prawda. – Skinął głową. – Przybyłem z innego powodu, ale teraz jestem tutaj. Musisz mi zaufać. – Spojrzał w kąt. – To miejsce przyprawia mnie o dreszcze, więc czy możemy już iść?

Mirandzie przypomniało się, że Chase, podobnie jak Della, wyczuwał duchy. I nagle też zapagnęła się stąd wydostać. Spojrzała na Tabithę i Anthony'ego.

– Ufam, że... on nas nie skrzywdzi. – Odwróciła się do Chase'a. – Ale skopię ci tyłek za to, że zraniłeś Dellę. Jeśli wiesz cokolwiek na temat sprawy jej ojca...

– Staram się to naprawić. – Wydawał się oburzony. – A teraz chodźcie.

Skinął ręką i ruszył przed siebie.

– Tam jest wyjście.

Zrobili tylko kilka kroków, kiedy z miejsca, z którego wyruszyli, rozległy się zgrzyty. W oddali słychać było głosy.

„Nadeszła pora obiadu”, pomyślała Miranda i żołądek skurczył jej się jak orzeszek.

– Kurde – warknął Chase. – Biegnijmy.

– Chwila. – Miranda wzięła głęboki oddech i ucieszyła się, że zapach czarnej klątwy jest ledwie wyczuwalny. – Może uda nam się coś zrobić.

Wyciągnęła rękę do siostry.

– Ochronń nas proszę przed złem teraz, niech tu powstanie żelazna bariera.

Rozległ się huk i pojawiła się metalowa krata. Głosy były coraz bliżej.

– Niezle – powiedział Chase. – Ale to ich długo nie zatrzyma. Wyośmy się stąd. Na końcu tunelu są drugie drzwi.

Pobiegli. Chase zamykał pochód, jakby chciał ich chronić, gdyby wyrzutki przebiły się przez kratę.

Tabitha wciąż trzymała latarkę. Pędzili przed siebie. Łoskot ich kroków mieszał się z głosami wyrzutek, które zdawały się wciąż przybliżać.

Tunel skręcił w prawo, a potem w lewo. Miranda zauważyła, że przed nimi robi się coraz jaśniej. Musieli być blisko wyjścia. Modliła się o to, bo za sobą słyszała już kroki pogoni.

Nagle rozległ się głośny szczęk i znów zrobiło się całkiem ciemno.

– Kurde! – syknął Chase. – Ktoś zamknął drzwi.

– Szybciej – zawołał Anthony, a Miranda poczuła na plecach jego oddech.

– Tam. – Zabrał latarkę z rąk Tabithy i oświetlił nią metalową zasuwę. – Możecie wyczarować drugą kratę i dać mi kilka minut?

Miranda nie miała czasu na odpowiedź. Złapała rękę Tabithy i razem powtórzyły zaklęcie. Za plecami słyszała, jak Chase mocuje się z ciężkimi metalowymi drzwiami.

Rozległ się brzęk stali i pojawiła się krata. I to w ostatniej chwili, bo zza zakrętu wynurzyło się osiem wampirów.

– Jesteśmy dobre – powiedziała Tabitha.

„To prawda”, pomyślała Miranda, ale jak zauważył wcześniej Chase, ta krata nie mogła powstrzymać wyrzutek, a tylko ich spowolnić. Miranda znów spojrzała na Chase’a. Obaj mężczyźni siłowali się z drzwiami. I nie szło im najlepiej.

Miranda złapała Tabithę i cofnęła się o kilka kroków. Wampiry wyrzutki z warkotem zaatakowały kraty i zaczęły się z nimi szarpać. Powietrze wypełniły upiorne zgrzyty wyginanego metalu.

– To nie zatrzyma ich na długo – zawołała.

– To wyczarujcie kolejną – odkrzyknął Chase. – Już prawie skończyliśmy.

W tym momencie pękł jeden z prętów. Nie zastanawiając się wiele, Miranda wycelowała w wampira wyrzutka mały palec. I oto na jego miejscu pojawił się kangur. Różowy. Z pryszczami na pysku.

Wampir zaczął podskakiwać, marszcząc różowy nos, by na siebie spojrzeć. Pozostali atakujący cofnęli

się i patrzyli na niego z przerażeniem.

Tabitha wybuchnęła śmiechem i unosząc mały palec, zapytała:

– Kto następny?

– Nikt. – Miranda nie знаła tego głosu, ale gdy uniosła wzrok, rozpoznała kobietę, którą widziała na kilku konkursach czarownic.

Matka Sienny. I to niezbyt zadowolona. Była ubrana w jakąś okropną suknię, przypominającą Mirandzie Cruellę De Mon z kreskówki *101 dalmatyńczyków*.

– Czemu pani to robi? – zapytała ją Tabitha.

Kobieta spojrzała na młodą czarownicę.

– Myślisz, że tylko wy potraficie stawiać kraty? – Skinęła palcem i nagle za nimi pojawiła się kolejna krata, odgradzająca je od Anthony’ego i Chase’a.

W tym momencie rozniósł się smród czarnej kłątwy. Miranda usłyszała, jak Chase zaklął.

Tabitha, która wyglądała na bardziej rozzłoszczoną niż przestraszona, podeszła bliżej kraty.

– Czy Sienna wie, że jej matka jest morderczynią?

Kobieta zmierzyła Tabithę wzrokiem.

– Robię to dla mojej córki.

A potem znów spojrzała na wampiry.

– Zawiedliście mnie – prychnęła. – Mieliście je zabić.

– Zamierzaliśmy, ale po co marnować ich krew? – odparł jeden z wampirów. – Najemy się nimi podczas naszego święta.

– Więc uznajmy, że dziś jest święto i najedzcie się teraz! – Uniosła rękę, jakby chciała usunąć kraty, które postawiły Tabitha i Miranda.

Więc Miranda wyczarowała nową. I usunęła tę zza ich pleców.

Nagle do tunelu wpadło światło. Miranda spojrzała do tyłu i zobaczyła, że Chase i Anthony zdołali otworzyć drzwi prowadzące na zewnątrz. Do środka sączyło się miękkie światło.

– Chodźmy – zawołał Chase i podbiegli do nich z Anthonym. Miranda poczuła, jak Chase ją łapie, i zobaczyła, że Anthony bierze na ręce Tabithę. A potem cała czwórka wyleciała na zewnątrz. Chase prawie z prędkością światła postawił ją na ziemi. Podbiegł do żelaznych drzwi prowadzących do katakumb i zatrzasnął je. Głośny szcęk sprawił, że zdenerwowana Miranda aż podskoczyła.

Byli bezpieczni. „Bezpieczni. Bezpieczni”. Powtarzała w myślach to słowo.

– Nie wydostaną się stąd szybko. – Chase odwrócił się do Mirandy i pociągnął nosem. – O, nadciąga kawaleria. A to oznacza, że muszę lecieć.

„Kawaleria?” Nagle zrozumiała. Burnett i pozostali. Była pewna, że po nią przybędą.

– Nie – powiedziała Miranda. – Nie możesz traktować Delli w ten sposób. Nie możesz dopuścić do tego, by jej ojciec zapłacił za...

Podbiegł do niej.

– I nie zrobię tego. Naprawię to. Powiedz Delli, że skontaktuję się z nią, jak tylko zdobędę odpowiedzi. Powiedz... że przesyłam ucałowania.

I już go nie było. Widać było tylko smugę mknącą po niebie.

– Chcę wiedzieć, co on jadł na śniadanie – rzekł Anthony, na pewno pod wrażeniem prędkości i siły Chase'a.

Nagle metalowe drzwi w ziemi, prowadzące do katakumb, uchyliły się.

Miranda odskoczyła do tyłu. Anthony postąpił naprzód.

Z ziemi strzelił promień światła. Miranda zamrugała i ujrzała Kylie.

Kameleonka lśniła jak zawsze, gdy działała jako obrońca. Obok Kylie pojawił się groźnie wyglądający ptaszor z czasów prehistorycznych. Skierował na Mirandę spojrzenie błękitnych oczu i zamachał skrzydłami, jakby groził Anthony'emu. Następnie pojawiły się dwa kolejne wampiry. Te Miranda kochała – Burnett i Della.

Miranda zauważyła, że Della uniosła głowę, jakby sprawdzała zapachy. Burnett, którego oczy, podobnie jak oczy Delli, pałały żółto, rzucił się do przodu.

– Przyjaciel czy wróg? – zapytał Mirandę, wpatrując się w Anthony'ego.

– Przyjaciel – odparła.

Della podeszła bliżej i znów uniosła głowę.

– Czy...

– Tak – powiedziała Miranda i łzy napłynęły jej do oczu. – Był tu Chase. Uratował nas.

Zaskoczona Della poderwała się do lotu, na pewno pragnąc odnaleźć Chase'a.

Burnett podszedł bliżej.

– Nic ci nie jest?

Miranda pokręciła głową i chociaż nie przestawała się uśmiechać, to nie mogła też przestać płakać.

– Ale muszę się przytulić – powiedziała i uściskała Burnetta.

– To idiotyczne – powiedziała Tabitha, siedząc obok Mirandy w poczekalni nadnaturalnego lekarza. – Powiedziałyśmy mu, że nic nam nie jest. Nie potrzebujemy leczenia.

Miranda wiedziała, że jej siostra miała na myśli Burnetta, który uparł się zabrać je do lekarza. Anthony'ego też. Przystojny francuski wampir był właśnie w gabinecie.

Miranda spojrzała na Burnetta i Perry'ego, którzy wraz z Kylie, Dellą i Shawnem stali tuż za drzwiami poczekalni. Della wróciła kilka sekund po tym, jak odleciała. Chase zniknął. Miranda przekazała jej wiadomość od niego. Della nie była zachwycona, ale sądząc z jej miny, nie tylko Chase'owi nadal zależało.

Tabitha zacisnęła ręce i jęknęła, przywracając Mirandę do rzeczywistości.

– To najbardziej uparty i...

– ...kochany gość – powiedziała Miranda, spoglądając na Burnetta. – Jest niesamowity. Oni wszyscy są – stwierdziła, czując, jak emocje znów chwytają ją za gardło.

Nie rozumiała, czemu zrobiła się taka płaczliwa. Może porwanie i wizja zostania obiadem jakiegoś wyrzutka sprawiły, że przekroczyła punkt krytyczny.

Tabitha przestała mówić i podążyła za wzrokiem Mirandy.

– Nie lubi mnie. Żadne z nich mnie nie lubi.

– Po prostu cię nie znają – odparła Miranda. – A poza tym rzuciłaś na mnie ten czar z końskim łajnem. Są bardzo opiekuńczy.

Tabitha westchnęła.

– Zachowujesz się tak, jakby byli twoją rodziną.

Miranda się uśmiechnęła.

– Bo są.

– W takim razie kim ja jestem? – odezwała się zazdrośnie Tabitha.

Miranda popatrzyła na nią.

– Też rodziną. – Uśmiechnęła się i zauważyła, jakie zmatowiałe włosy ma jej siostra. – Wyglądasz okropnie. Masz błoto...

– Szkoda, że siebie nie widzisz – zachichotała Tabitha. Uścisnęła rękę Mirandy. – Cieszę się, że nie zginęliśmy.

– Ja też – odparła Miranda.

– Wiem, że to głównie dzięki temu drugiemu wampirowi... Chase'owi, który nam pomógł, ale myślę, że same też się ratowałyśmy.

Miranda skinęła głową. Podobało jej się to podejście.

– My też się ratowałyśmy.

– Założę się, że tata i nasze mamy się martwią – powiedziała Tabitha.

– O tak – przyznała Miranda.

Otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł Anthony. Spojrzał na nie, ale skupiał się głównie na osobie Tabithy.

– Następna – powiedział.

– Ja pójdę. – Tabitha nachyliła się do Mirandy. – Chyba powinnaś pogadać z Perrym. Ciągłe na ciebie patrzy.

Miranda westchnęła. Zauważyła, że Perry nie odrywa od niej oczu. Zwykle wiedziała, a przynajmniej domyślała się, co chodziło mu po głowie. Ale nie teraz. Wyglądało na to, że bał się z nią porozmawiać. Czyżby myślał, że miała do niego pretensje o to, że zostawił ją na dachu?

Jak mógł tak myśleć?

Słyszała, jak ktoś powiedział, że to właśnie dzięki Perry'emu je odnaleźli. Zostawił Mirandę na dachu,

bo zobaczył wampira odlatującego z Tabithą. Poleciał jej na pomoc, nie wiedząc, że w okolicy był jeszcze jeden wampir. Niestety, stracił ich z oczu jakiś kilometr od zamku. Wtedy właśnie zauważył go przelatujący obok Chase i poleciał za nim z wampirzą prędkością. Czyli to dzięki Perry'emu Chase wiedział, gdzie ich szukać.

Tabitha poszła do gabinetu, a Anthony usiadł na krześle obok Mirandy.

– Wiem, że to ty pierwsza chciałaś mnie uratować – powiedział. – Jestem ci za to bardzo wdzięczny. – Jego francuski akcent był całkiem ładny. A jeśli ktoś lubił akcenty, to nawet seksowny.

Spojrzała na niego.

– To było tylko trochę krwi. Oddaję krew do banku krwi w Wodospadach Cienia. – Spojrzała na dwa małe ślady na nadgarstku, w miejscu, w którym Anthony zatopił zęby w jej skórze. – Ale zwykle nie robi się tego w tak bezpośredni sposób.

– Ty i twoja siostra jesteście dobrymi ludźmi.

– Dziękuję – odparła Miranda.

– Powiedz mi, czy twoja siostra... jak to się mówi... – Zamilkł. – Przepraszam, mój angielski nie jest za dobry.

Miranda się uśmiechnęła.

– Jest lepszy niż mój francuski – westchnęła. – A Tabitha nie ma chłopaka. – Dodała, wiedząc, o co chciał spytać. – Ale za dwa dni wracamy do Stanów.

– Na moje szczęście mam wujka, który mieszka w Teksasie. Czy to nie stamtąd jesteście?

– Owszem – odpowiedziała z uśmiechem Miranda.

Nagle przed poczekalnią rozległy się podniesione głosy. Miranda popatrzyła w tamtą stronę i ujrzała wtaczających się do środka swoich rodziców oraz mamę Tabithy. Jej mama krzyczała na Burnetta, mama Tabithy krzyczała na jej mamę, a tata stał tylko i przeczesał palcami włosy, jakby nie mógł sobie poradzić z dwiema kobietami.

Miranda spojrzała na Anthony'ego i zmarszczyła brwi.

– Pora na lekcję angielskiego. Słyszałaś kiedyś powiedzenie „gówno wpadło w wentylator”?

– Nie sądzę. Co to znaczy?

– Patrz i ucz się – powiedziała Miranda. – Tylko patrz i się ucz.

Lekarz stwierdził, że nic im nie jest, ale zalecił dzień odpoczynku.

Na szczęście to oznaczało, że Burnett mógł odesłać jej rodziców i mamę Tabithy. Rozmowa, którą tata chciał ze wszystkimi przeprowadzić, musiała poczekać. Nie żeby to przeszkadzało Mirandzie czy jej siostrze. Wróciły razem do mieszkania i położyły się obie spać w pokoju, który wcześniej zajmowały Tabitha z Sienną.

Miranda obudziła się kilka godzin później i zobaczyła, że Tabitha siedzi na łóżku i gapi się w ścianę.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, po prostu... szkoda mi Sienny – stwierdziła.

– Mnie też. – Miranda przewróciła się na drugi bok i spojrzała na swoją przyrodną siostrę.

– Myślisz, że jej mamę wypuszczą kiedyś z więzienia?

– Nie sądzę – powiedziała Miranda. – Zabiła Roni Force i Cindy Bryant. I zabiłaby nas, gdyby Chase

i cała reszta nas nie uratowali. I to tylko po to, by zapewnić swojej córce tytuł arcykapłanki.

– Wiem. Tylko że... wciąż myślę o tym, co musi czuć Sienna. Nic przecież nie poradzi na to, że jej mama jest wariatką.

Miranda skinęła głową, myśląc o grzechach swoich rodziców.

– Chyba nikt nie powinien być odpowiedzialny za to, co robią jego rodzice.

Sądząc z miny Tabithy, doskonale zrozumiała, co Miranda miała na myśli. Położyła się na łóżko i spojrzała w sufit.

– Nadal uważam, że powinni byli nam powiedzieć albo rozwiązać to jakoś inaczej.

– Ja też – zgodziła się Miranda. – To strasznie pokręcone.

– To miłość – powiedziała Tabitha. – Miłość miesza ci w głowie i w sercu.

Miranda zaczęła rozmyślać o tym, co czuła do Perry'ego. To też było dość pokręcone.

– Ale... – mówiła dalej Tabitha. – Wciąż kocham naszego tatę i moją mamę.

– Ja też. To nasi rodzice. Musimy ich kochać.

Tabitha położyła się na boku i podparła głowę ręką.

– Myślisz, że jesteśmy do siebie podobne?

– Wszyscy tak twierdzą.

– Cieszę się.

– Ja też.

Coś poruszyło się za oknem i zwróciło uwagę Mirandy. Na parapecie siedział ptak i zaglądał do środka. Padało, a on miał nastroszone skrzydła. Wyglądał na zmarzniętego i nieszczęśliwego. Jakby się zgubił.

– Myślę, że to Perry – powiedziała Tabitha. – Siedzi tam, od kiedy się obudziłam.

Jej siostra wstała z łóżka.

– Może wyjdę, a wy sobie porozmawiacie?

Ten pomysł zestresował Mirandę, ale nie mogła tego odwlekać w nieskończoność. Skinęła głową.

– Dzięki.

Tabitha podeszła do drzwi i przed wyjściem dodała:

– Tym razem nie będę podsłuchiwać.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się Miranda.

Tabitha zatrzymała się jeszcze i spojrzała przez ramię.

– Opowiesz mi potem wszystko, prawda? Skoro... już nam nie przeszkadza, że jesteśmy siostrami.

– Pewnie – odparła Miranda. Wiedziała, że się z Tabithą dogadają. Były siostrami i chociaż okoliczności im nie sprzyjały, jej to pasowało.

„Gdyby wszystko tak pasowało”, pomyślała, spoglądając na Perry’ego.

Rozdział 19

Perry wleciał do środka, gdy tylko otworzyła okno. Rozpostarł skrzydła i wylądował na łóżku. W kilka sekund wrócił do ludzkiej postaci. Wciąż wyglądał żałośnie i był zmarznięty. Miał mokre włosy. Bładożółta koszulka przykleiła mu się do ciała. A w oczach miał poczucie winy.

– Przepraszam – powiedział, zanim zdążyła się odezwać.

– Perry, nie musisz...

– Zostawiłem cię tam. Nie wiedziałem, że w pobliżu było więcej wyrzutków. Przysięgam, wolałbym umrzeć, niż pozwolić...

– Przestań – zawołała Miranda. – Nie zrobiłeś nic złego.

– Gdybym cię nie zostawił, to on by cię nie dopadł. Nie musiałybyś przez to wszystko przechodzić. – Usiadł prościej. – Mogłaś zginąć i...

– Przestań! Gdybyś mnie tam nie zostawił, to moja siostra by zginęła. Przez tyle lat nie wiedziałam, że mam siostrę, i gdybym teraz ją straciła, to... nie wiem, czy bym to wytrzymała. Nie gniewam się na ciebie. Jestem ci wdzięczna. – Usiadła obok niego na łóżku i przytuliła go. – Dziękuję.

Poczuła, jak wtulił twarz w jej włosy. Uścisk wdzięczności powoli zaczął się zmieniać w coś innego. Coś miękkiego i romantycznego. Zamknęła oczy i napawała się jego zapachem i poczuciem bezpieczeństwa, jakie miała, gdy ją tulił.

– Kocham cię – powiedział, obejmując ją mocniej.

Przypomniała sobie słowa Tabithy. *Miłość miesza ci w głowie i w sercu.*

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że pragnął, by stwierdziła, że wszystko jest dobrze, ale, Boże dopomóż, bała się. Bała się, że podda się tym uczuciom, chociaż... chociaż widziała, co one zrobiły z całą jej rodziną.

Westchnął, jakby jej milczenie mówiło więcej niż słowa.

– Nie poddam się.

Skinęła głową i stwierdziła, że podoba jej się to, co słyszy. Może potrzebowała po prostu trochę czasu. A potem znów się do niego przytuliła i pozwoliła, by trzymał ją w ramionach. Na razie musiało to wystarczyć.

Następnego dnia, około południa, Miranda stała w dużej sali, w kręgu pięciu czarownic, a po obu jej stronach stały bliźniaczki. Pociły jej się dłonie. Sienna wycofała się z konkursu, więc rada ściągnęła

następną zawodniczkę.

Tabitha przysłała do garderoby Mirandy tuż przed rozpoczęciem imprezy. Miranda wciąż słyszała jej słowa. *Będę szczęśliwa, jeśli wygra jedna z nas.* Tabitha ją uściskała i życzyła jej szczęścia. A szczerść w jej oczach świadczyła o tym, że mówiła z serca. Spotkanie, które poprzedniego popołudnia chciał zorganizować ich ojciec, odbyło się tego ranka. Było krótkie i słodkie. Ich ojciec powtórzył właściwie to, co powiedział jej wcześniej, i poprosił obie córki, by wybaczyły mu to, jak marnie wcześniej rozwiązał tę sytuację.

Matka Mirandy przez cały czas siedziała w milczeniu i miała łzy w oczach. Mary Esther, siedząca po drugiej stronie stołu ze swoją córką, wydawała się urażona. Pewnie słuchanie, jak jej mąż wyznaje miłość mamie Mirandy, musiało być trudne. To samo widziała w oczach Tabithy. Tak, miłość może pomieszać ludziom w głowach.

Na koniec obie mamy przyznały, że przynajmniej spróbują zachowywać się wobec siebie porządnie. Miranda nie spodziewała się aż tyle. Zwłaszcza po Mary Esther. Tabitha miała rację. Widać było, że ta kobieta nadal kocha ich ojca.

Po spotkaniu udali się wszyscy razem do auli. Miranda nie odzywała się za wiele do żadnego z rodziców. Mimo to jej mama przysłała do niej jeszcze przed wizytą Tabithy. Przytuliła ją, powiedziała, że jest z niej dumna i że jest pewna, że Miranda wygra ten konkurs.

– Masz to we krwi. – Ujęła Mirandę za brodę i spojrzała jej w oczy. – Musisz o tym pamiętać. Za kilka miesięcy skończysz osiemnaście lat. Nie będziesz już mogła brać udziału w tym konkursie. Wygraj dla mamy.

Kiedy jej mama ruszyła do wyjścia, Miranda spytała:

– Wiedziałaś?

– O czym?

– Że tata jest żonaty?

Zamrugnęła, a potem odparła:

– Na początku nie.

– Nie kłam – powiedziała Miranda, widząc w oczach mamy poczucie winy.

Jej mama się skrzywiła.

– Miałam podejrzenia, ale nie byłam pewna – westchnęła. – Pewnie powinnam być bardziej dociekliwa.

– Tak.

– Czasami łatwiej jest widzieć tylko to, co pragniemy widzieć – mówiła jej matka ze smutkiem w oczach.

– Tabitha Evans – rozległ się głos arcykapłanki.

Słyszając imię siostry, Miranda otrząsnęła się z zamyślenia. Wraz z siostrą były ostatnimi uczestniczkami z amerykańskiej części konkursu. Miranda z dumą patrzyła, jak jej siostra staje na środku sceny

i przesuwa płomień z kominka na świecę, zdobywając tym samym całe sto punktów za czar.

Przed ostatnim zadaniem Tabitha i Miranda miały po tyle samo punktów. Gdyby Miranda zdobyła teraz sto punktów, to rada odwołałaby się do wyników z poprzedniego konkursu, a że wtedy pokonała Tabithę, to wygrałaby i ten konkurs.

Wystarczyłoby, aby bezbłędnie rzuciła ten czar, a zostałaby arcykapłanką. Wtedy musiałaby jeszcze rozegrać ostatnią konkurencję z zagranicznymi zawodniczkami. Nawet gdyby wtedy przegrała, to i tak zostałaby arcykapłanką Stanów Zjednoczonych. Sprawiłaby, że jej matka byłaby szczęśliwa. W końcu byłaby z niej dumna.

– Miranda Kane – wywołano jej nazwisko.

Miranda wyszła na środek i spojrzała na widownię. Z tyłu stał Perry i obserwował ją. Uśmiechał się lekko i wydawał się spokojny. Shawn stał obok Burnetta. Nie miała pojęcia, co ma z nim zrobić. Ale widok jego ciepłego spojrzenia sprawił, że poczuła się gorzej. Popatrzyła na przód sali i ujrzała swoją mamę, wpatrującą się w nią z nadzieją i dumą, i ściskającą rękę ojca. Mary Esther siedziała trzy miejsca dalej. Sama. Krzesło obok niej było puste.

Miranda przesunęła się troszkę i spojrzała na Tabithę. Jej przyrodnia siostra wpatrywała się w widownię. Na jej twarzy rysował się ten sam wyraz, co podczas spotkania – wyraz rozczarowania. Czy myślała o swojej mamie?

– Możesz zaczynać – rozległ się głos.

Miranda wzięła głęboki oddech i nie wiedząc, czy zdoła to zrobić, wyprostowała rękę.

– Z ognia w płomień mały się zmienić. I na knot świeczki wpełznij jak cień.

Z ognia podniosła się iskra, idealna mała iskra, czerwona z niebieską otoczką. Przesunęła się powoli do świeczki i na kilka sekund nad nią zamarła. Aż w końcu opadła. Ciepły blask spłynął na knot i... zniknął. Do sufitu uniósł się cieniutki obłoczek dymu, a wraz z nim marzenia Mirandy. Marzenia jej matki.

Usłyszała, jak widownia jęknęła zawiedziona. I chociaż wydawało się to niemożliwe, to Miranda przysięgłaby, że słyszała ciche, smutne westchnienie swojej mamy. Jej marzenie o córce arcykapłance przepadło.

– Zwycięzczynią jest Tabitha Evans – ogłosiła rada i rozległy się oklaski, zbyt głośne jak dla Mirandy.

Ogarnęło ją aż nazbyt dobrze znane uczucie wywołujące skręt żołądka. Uczucie kojarzące się jej z przegraną, które ogarniało ją tak często – stawianie czoła zawodowi w oczach matki.

Miranda, trzymając wysoko uniesioną głowę i nie okazując emocji, podeszła do swojej przyrodniej siostry. Tabitha stała w błogim szoku. Miranda uścisnęła ją mocno.

– Gratuluję.

Wzięła głęboki oddech i starając się nie patrzeć w stronę matki, pobiegła do swojej garderoby. Było jej ciężko na sercu. Zawiodła mamę. I to bardzo.

– Mirando? – Ktoś ją wołał, ale się nie zatrzymała. Szła coraz szybciej, pragnąc samotności. Wpadła do swojej niewielkiej garderoby i zaczęła gwałtownie łapać powietrze. Nagle drzwi otworzyły się

z hukiem.

Miranda odwróciła się, spodziewając się matki i bojąc się niezadowolenia w jej oczach, ale w drzwiach stał ktoś inny.

Na progu zobaczyła Tabithę z zaczerwienionymi policzkami i wściekłą miną.

– Przegrałaś specjalnie, żebym zwyciężyła, prawda?

Miranda przewróciła oczami.

– Daruj sobie. Pragnęłam tego równie mocno, jak ty. Dla siebie. Dla mamy. Wiesz, jak bardzo pragnęłam tego moja mama. Wygrałaś uczciwie. I nie chełp się tym. Po prostu wyjdź. – Zaciśnęła pięści.

– Nie wierzę ci – odparła Tabitha.

– To co niby mam zrobić? Przejść test na wykrywaczu kłamstw? Możesz mnie zapisać.

– Tabitha! – zawołała Mary Esther. – Musisz wygłosić mowę.

– Idź. – Miranda pchnęła siostrę w stronę drzwi. – Idź, zanim pojawi się tu moja mama i nasze matki znów się pokłócą.

– Jesteś pewna – zapytała Tabitha. – Na pewno nie zrobiłaś tego specjalnie?

– Jestem pewna. – Miranda uściskała szybko siostrę. – A teraz idź, bo zaraz zacznę ci zazdrościć i rzucę na ciebie jakiś urok.

Tabitha uśmiechnęła się od ucha do ucha i pobiegła. W tym momencie Miranda zobaczyła stojące w korytarzu Dellę i Kylie. Z ich min wyczytała, że wiedziały.

Miranda zaczekała, aż jej siostra zniknęła za rogiem i nie mogła jej usłyszeć. Przeszła przez korytarz i stanęła przed swoimi najlepszymi przyjaciółkami.

– Obiecujecie, że nigdy nikomu nie powiecie.

Spojrzały na siebie, a potem odpowiedziały chórem:

– Obiecujemy.

– Ale czemu? – zapytała Kylie. – Tak bardzo tego pragnęłaś. Wiem, że tak. Twoja mama szykowała cię do tego całe życie. Tak bardzo chciałaś, by była z ciebie dumna. Czemu z tego zrezygnowałaś?

Miranda zasłoniła dłonią usta, a po policzkach popłynęły jej łzy. A potem je otarła. I chociaż bardzo ją to bolało, to wiedziała, że postąpiła słusznie.

– Tabitha na to zasługuje.

– Bardziej niż ty? – warknęła Della. – Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Naprawdę nie rozumiem miłych ludzi.

Miranda wzięła głęboki oddech.

– Mój tata kocha moją mamę, a nie jej mamę. A Mary Esther miała go najpierw. I to jest złe.

– To beznadziejne. Ale to nie jest wystarczający powód – odparła Della. – Grzechy rodziców nie powinny spadać na dzieci.

– Ale tak jest – odparła Miranda. – I owszem, to beznadziejne.

Wyciągnęła przed siebie ręce.

– I to tak bardzo, że... Czy ktoś mnie przytuli? – Obie przyjaciółki ją uściskały.

I tak oto w Paryżu, gdy jej marzenie o byciu arcykapłanką zostało pogrzebane na zawsze, Miranda odkryła, że chociaż niektóre sprawy w życiu są niepewne, jak na przykład miłość, to zawsze będzie mogła liczyć na swoje dwie najlepsze przyjaciółki.

Waleczna

Rozdział 1

Fredericka Lakota wsunęła wypolerowany, kuty, wilczy medalion na srebrny łańcuszek i odwiesiła go. Cofnęła się o krok i... skrzywiła się. W myślach była lepszą artystką niż w rzeczywistości. Ale chyba tak powinno być, no nie? W myślach we wszystkim była lepsza, była nawet lepszą osobą niż w rzeczywistości.

Nie dobrą, ale lepszą, niż wydawało się większości ludzi. Tyle że ludzie są jak biżuteria – ich jakość zależy od tego, z czego zostali wykonani. A ona nie była z najlepszych materiałów.

Nie była nawet czystej krwi wilkołakiem. Zauważyłaby to każda istota nadnaturalna, która spojrzałaby na jej wzór. A jej rodzice byli wyrzutkami. A przynajmniej ojciec, bo matki nie znała.

Cofnęła się i spojrzała na dziesięć zestawów biżuterii. U dołu wyłożonej aksamitem gablotki umieściła złożone ze srebrnych liter logo: Ricka Lakota Designs.

Ricka bo Fredericka było za długie. Miała nadzieję, że z czasem przyzwyczai się do tego zdrobnienia.

Czy jej prace były wystarczająco dobre, by wystawić je w galerii?

Rano zamierzała zabrać całą kolekcję do Fallen i zaprezentować Brandonowi Hartowi, właścicielowi nowej galerii w mieście, który albo uzna, że może sprzedawać jej wyroby w swoim sklepie, albo każe jej się wynosić.

Hart postanowił wybrać do swojej galerii prace dziesięciu osób. Ostrzegł ją jednak mailowo, że umówiło się z nim już dwoje innych twórców biżuterii, a on potrzebował tylko jednego. Fredericka nie wiedziała nic na temat Brandona Harta. Sądziła, że jest człowiekiem. Czy w ogóle miał odpowiednie kwalifikacje, by oceniać jej prace? A jeśli mu się nie spodoba? Jeśli nie spodoba mu się Fredericka? Nie była typem, który mógł się podobać. *Wychowana przez wyrzutek zawsze będzie wyrzutkiem.* Ilu nadnaturalnych tak sądziło? A ona przestała już starać się udowodnić, że jest inaczej.

Nagle usłyszała kroki. Warsztat, usytuowany na tyłach domku Holiday James, znajdował się z dala od utartych ścieżek. Rzadko kiedy ktoś ją tu odwiedzał i bardzo jej to odpowiadało. Jej prace widziała tylko Holiday, która była właścicielką szkoły. To był kolejny powód, dla którego Fredericka bała się tej rozmowy. Podeszła do otwartego okna i pociągnęła nosem, by sprawdzić, kto biegnie w jej stronę. Zamiast wyczuć zapach intruza, usłyszała szum wodospadów. Co do licha? Kiedy obudziła się tej nocy, też je słyszała.

W końcu wyczuła zapach. Podbiegła do krzesła, na którym leżała koszula z długim rękawem, i narzuciła ją na koszulkę na ramiączkach, którą miała na sobie.

Ledwie zdążyła nałożyć koszulę, gdy zapukała Kylie, należąca do najrzadszego gatunku istot

nadnaturalnych – kameleonów.

– Fredericko?

Otworzyły się drzwi. Fredericka zasłoniła ciałem gablotkę. Koszula zsunęła jej się z ramienia, ale poprawiła ją, nim Kylie zdążyła spojrzeć w tamtą stronę.

– Co?

– Przysłała mnie Holiday – powiedziała Kylie. – Czeka na ciebie ktoś w biurze.

– Chyba coś źle zrozumiałaś. – Fredericka postąpiła krok do przodu z nadzieją, że kameleonka wyjdzie. Ale nie.

– Nie sędzę. – Kylie zrobiła przeproszającą minę.

Przecież nikt jej nigdy nie odwiedzał. Była tu od sześciu miesięcy i nie miała ani jednego gościa. W dniu odwiedzin rodziców zawsze gdzieś się chowała. Nie chciała, by koledzy zaczęli jej współczuć. To było gorsze, niż gdy ją oceniali.

Kylie dalej stała w drzwiach.

– Holiday powiedziała, że dzwoniła do ciebie, ale nie odbierałaś. Wysłała mi esemesa i poprosiła, żebym do ciebie zajrzała.

Fredericka wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni komórkę. Znow była rozładowana.

– No to chodźmy – stwierdziła wilkołaczyca, przekonana, że Kylie źle zrozumiała powód, dla którego została wezwana. Poza tym chciała jej się jak najszybciej pozbyć ze swojej kryjówki.

Fredericka znów skinęła w stronę drzwi. Kylie odchyliła się w prawo.

– Jej! To twoje dzieło? – Kameleonka obeszła Frederickę.

Dotknęła naszyjnika. Fredericka miała ochotę powiedzieć jej, żeby trzymała łapy przy sobie.

– Ricka Lakota Designs – przeczytała Kylie i spojrzała na wilczycę. – Ricka. Podoba mi się. To twoje przezwisko?

– Nie. – Fredericka wzdrygnęła się wewnętrznie. A po tym, jak usłyszała to imię z ust kogoś innego, uznała, że jej następnym ruchem biznesowym będzie zmiana logo. – Możemy iść? – Po raz kolejny skinęła w stronę drzwi.

– Przepraszam. – Kylie wyszła.

Fredericka zamknęła drzwi. Kylie czekała, by ją odprowadzić. Wszyscy inni już dawno by zwiali, zwłaszcza po tak szorstkim przyjęciu, ale Kylie nie była jak wszyscy.

Nie dość, że należała do najrzadszego gatunku istot nadnaturalnych, który mógł się stawać niewidzialny – owszem, Fredericka widziała to na własne oczy, w odróżnieniu od większości obozowiczów – to jeszcze starała się w każdym widzieć coś dobrego. Biedaczka, musiała się naprawdę wysilić, by dostrzec to we Frederice. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę ich trudne początki. Bardzo trudne.

Kylie była z chłopakiem, którego Fredericka uważała za swoją jedyną miłość. Słowem-kluczem jest „uważała”. Teraz już nie miała o to do Kylie żalu. To Lucas chciał tego związku. W końcu Fredericka to rozumiała.

Ruszyły ścieżką. Chłodny wiatr, pachnący mokrą ziemią, hulał między drzewami i znów przyniósł odgłos szumiącej wody.

Fredericka zatrzymała się i popatrzyła na las.

– Słyszałaś to?

Kylie spojrzała przez ramię.

– Co takiego?

– Wodę.

Kylie zrobiła wielkie oczy, zupełnie jakby Fredericka powiedziała coś dziwnego.

– Słyszysz wodospady?

– Tak, a co? Czy to coś złego?

– Nie, to po prostu...

– Po prostu co? – zapytała Fredericka.

– Zwykle, gdy słyszy się wodospady, to znaczy, że cię wzywają.

– Czemu miałyby mnie wzywać?

– Zwykle oznacza to, że chcą się z tobą skontaktować anioły śmierci.

– Nie mam im nic do powiedzenia!

– Nie sądzę, by cię wzywały, żeby cię ukarać – powiedziała Kylie, czując strach Fredericki.

Fredericka spięta się. Nie lubiła, gdy inni wiedzieli, co czuje. A tym bardziej nie chciała, by ktokolwiek ją wzywał.

– No cóż, jak chcą, żebym przyszła, to muszą mi wysłać wiadomość. – I miała szczerą nadzieję, że tego nie zrobią.

Anioły śmierci były duchami, które rozliczały istoty nadnaturalne z ich działań. Fredericka miała aż nadto złych uczynków na swoim koncie.

Kylie wzruszyła ramionami i poszły dalej. Zanim jeszcze minęły domek Holiday, kameleonka znów się odezwała:

– Dlaczego nie chcesz, żeby inni zobaczyli twoje prace? Są wspaniałe. Oddałabym wszystko, by mieć taki talent.

Może i było to głupie, ale dla Fredericki ten komplement był niczym orzeźwiający deszczyk.

– W takim razie co powiedziałabyś na zamianę? Wzięłabyś mój talent do robienia biżuterii, a ja umiejętność stawania się niewidzialną.

Kylie się roześmiała.

– To wcale nie jest takie fajne, jak się wydaje.

– Nie przekonasz mnie – odparła Fredericka.

– Naprawdę – powiedziała Kylie. – Tamten naszyjnik był przepiękny.

– Dzięki. Pewnie przekonam się o tym jutro.

– A co będzie jutro? – zapytała szczerze zainteresowana Kylie.

Fredericka nie miała pojęcia, czemu to zrobiła, ale opowiedziała jej o rozmowie z wystawcą.

– Och, na pewno dostaniesz to miejsce!

– Mam nadzieję – odparła Fredericka, czując, jak ogarnia ją radość, gdy o tym mówi. W tym momencie uświadomiła sobie, że może nie opowiadała nikomu o swojej pracy dlatego, że nie miała przyjaciół. A w każdym razie przyjaciółek. Trzymała się z chłopakami. A faceci nie byli specjalnie zainteresowani robieniem biżuterii.

Co prawda nikt nie musiał się tym interesować. Po prostu lepiej dogadywała się z chłopakami. Dziewczyny potrafią być takimi sukami.

Przez jakiś czas po szkole krążyły nawet pogłoski, że jest lesbijką, ale nie. Naprawdę interesowała ją płeć przeciwna. A zwłaszcza Cary.

W tym momencie Kylie zadała pytanie, zupełnie jakby czytała w jej myślach:

– A jak się układa między tobą i panem Cannonem?

– Dobrze – odparła Fredericka. Ale będzie znacznie lepiej, jak skończy się szkoła.

Cary Cannon, wilkołak, uczył historii. Był tylko o dwa lata starszy od niej i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Był mądry i seksowny. Do tej pory nigdy nie interesowała się historią.

Przyznał, że Fredericka mu się podoba, ale nalegał, by do czasu, aż skończy szkołę, byli tylko przyjaciółmi. To czekanie ją dobijało. Tymczasem spotykali się prawie codziennie po szkole, a ona słuchała, jak opowiadał o swoich podróżach do historycznych miejsc: Paryża, Rzymu, Egiptu. Jeśli jakieś miejsce było związane z historią, to Cary już je odwiedził albo dopiero planował tam podróż. Miała nadzieję, że pewnego dnia też z nim pojedzie.

– Jak dobrze? – Kylie uśmiechnęła się tak, jak to robią dziewczyny, gdy chcą, by zdradzić im tajemnicę.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – powiedziała Fredericka.

– Pomyśl, jak dobrze będzie, gdy przejdziecie do następnego etapu. Będziecie wszystko o sobie wiedzieć.

– Tak. – I wtedy do niej dotarło, że wie o Carym mnóstwo rzeczy, ale on niewiele dowiedział się o niej. I nie ze swojej winy. Po prostu nie była zbyt otwarta. Poprzedniego dnia prawie powiedziała mu o swojej biżuterii, ale stchórzyła. Cary był inny niż jej koledzy wilkołaki. No ale na tym facecie robiły wrażenie piramidy i Notre-Dame. Najbardziej się bała, że Cary uzna jej miłość do biżuterii za głupią. A ona nie chciała wyjść przy nim na głupią.

– Tu cię zostawiam – powiedziała Kylie, gdy doszły do głównej ścieżki. Najwyraźniej zamierzała już wrócić do swojego domku.

Kameleonka uśmiechnęła się do niej tak szczerze, że Fredericka pożałowała, że nie jest jak inne dziewczyny i nie ma przyjaciółek. Tak jak Kylie miała swoje współlokatorki: czarownicę i wampirzycę.

– Daj znać, jak tylko jutro rozstrzygnie się sytuacja. Powodzenia.

Fredericka skinęła głową i natychmiast pomyślała o minusie podzielenia się tajemnicą. Jeśli jej prace

nie zostaną przyjęte, to wszyscy się dowiedzą, że zawiodła. Dlaczego nie trzymała gęby na kłódkę?

Ruszyła przed siebie. Szła szybciej niż rano. Zbliżała się pełnia, a wraz z przyrostem księżyca, wzrastała też jej siła.

– Hej! – Głos Kylie sprawił, że Fredericka obejrzała się przez ramię. – Lepiej powiedz Holiday o tym, że słyszysz wodospady.

– Dobra – odparła Fredericka, chociaż wcale nie miała zamiaru tego robić. Chciała o tym zapomnieć.

Zbliżając się do biura, rozważała, czego tak naprawdę chciała od niej Holiday, bo na pewno nie mogło chodzić o czyjąś wizytę. Kiedy jednak stanęła na ganku, wyczuła zapach innego wilkołaka. I to znajomy.

Zacisnęła pięści.

Czego, do cholery, chciała Marissa Canzoni? Rzuciła okiem na ścieżkę. Nie musiała się z nią spotykać. Już chciała zawrócić, kiedy przypomniała sobie, że od dawna przestała uciekać przed problemami.

Zebrała się w sobie, by przygotować się na wszelkie paskudztwa, jakie mogła wykopać Marissa, i emocjonalny cios, jakiego dozna na jej widok, po czym weszła do gabinetu Holiday.

– Ricka! – Marissa skinęła Frederice głową. – Tylko spójrz na siebie. Jakże urosłaś.

Na szczęście kobieta nie zamierzała robić scen i jej przytulać. Nie kochały się. Fredericka nie mogła też jednak powiedzieć, że jej nienawidzi. To była najmilsza z licznych suk jej ojca, po których oczekiwał, że przez pierwsze dziesięć lat jej życia będą się nią opiekować. Jej ojciec sprowadzał je do domu, sypiał z nimi, mieszkał przez miesiąc albo dwa, a potem znikał na całe tygodnie. Twierdził, że z powodu pracy.

Jednak w głębi serca Fredericka zawsze się zastanawiała, czy po prostu nie chciał od niej uciec. Przecież musiał jej nienawidzić. Jej matka zmarła podczas porodu. Nie ma to jak dorastać ze świadomością, że zabiło się własną matkę, szczególnie gdy w oczach ojca widziało się ból za każdym razem, gdy na ciebie spojrział.

– Wyglądasz zupełnie jak ona – mówił.

Niektóre kobiety jej ojca naprawdę jej nienawidziły. Jak Donique, po której zostały jej na ramieniu te cholerne blizny. Albo Shelbie, której okrutne słowa pozostawiły blizny w sercu Fredericki. Czy Karine, która po prostu jej nie karmiła. Marissa tolerowała Frederickę. Dziewczyna nie czuła się kochana, ale komu to potrzebne, jeśli cię nie biją, nie przezywają i dają jeść.

– Cześć, Marisso. – Fredericka usiadła na kanapie. – Co cię tu sprowadza? Zapytała, starając się nie patrzeć na Holiday, nie chcąc, aby elfka odczytała jej uczucia.

– Chodzi o twojego ojca – powiedziała Marissa. – Został zabity w zeszłym tygodniu. Przykro mi.

Fredericka miała wrażenie, że te słowa przez kilka sekund unosiły się w powietrzu i dopiero po chwili do niej dotarły. A nawet wtedy siedziała nieruchomo, nie okazując żadnych emocji. To nie informacja o jego śmierci tak ją uderzyła, ale jej czas. Czuła się lepiej, trwając w przekonaniu, że nie żył od ośmiu

lat. To było lepsze, niż myśleć, że celowo zostawił ją i uciekł z watahą wilkołaków wyrzutków.

Na szczęście zlitował się nad nią ojciec Lucasa Parkera i oddał ją pod opiekę jednej ze starszych kobiet ze swojej watahy. Tu też nie było wielkiej miłości, ale kobieta nie śmiała źle jej traktować z obawy o reakcję pana Parkera.

– Ja... em... mam coś dla ciebie. – Marissa trzymała w ręku kopertę, ale sięgnęła do torebki i podała Frederice nieduży plik fotografii. Wydawały się cienkie, stare. Fredericka nawet na nie nie spojrzała. Nie musiała.

Doskonale wiedziała, czym są. Miała wtedy pięć lat, a tata zabrał ją do galerii handlowej, gdzie mieli budki z automatycznymi aparatami. Wrzucił pieniądze, po czym robili śmieszne miny do aparatu. To było jedno z jej najlepszych wspomnień i zostało uchwycone na filmie.

Frederickę emocje ścisnęły za gardło. Wystarczyło, że trzymała te zdjęcia, by jej wrażliwość i niska samoocena, które tak uparcie starała się ukryć, znów dały o sobie znać.

– Ricko, on cię kochał. Wiem, że tego nie okazywał, ale zawsze nosił te zdjęcia przy sobie. Nigdy nie miał fotografii mojej czy innych kobiet, które uważał za swoje. A kiedy odwiedzał mnie przez ostatnie osiem lat, zawsze pytał: „Myślisz, że jest tam szczęśliwa?”.

Kochał? Zostawił ją.

Co dziwne, czuła się przez niego najbardziej kochana, gdy zobaczyła, jak zabił Donique po tym, jak Fredericka pokazała mu poparzenia na ramieniu. Ale to wpłynęło też na Frederickę. Od tej pory nie mówiła mu już, co jej robiły jego inne kobiety. Bo wtedy ich śmierć też miałyby na sumieniu, tak jak Donique i swojej matki.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Fredericka wstała i wybiegła z biura.

Słyszała, jak Holiday ją woła, ale za nic na świecie by nie zawróciła. I za nic nie zamierzała płakać! Nie mogła. Złożyła zdjęcia i wsunęła je do kieszeni, a potem pobiegła z powrotem do warsztatu, by zrobić drugą gablotkę, na której nie będzie zdrobnienia, jakim nazywał ją ojciec. Nie chciała już nigdy więcej słyszeć tego imienia.

Jej stopy uderzały o twardą, zimną ziemię, a myśli spływały z mózgu do serca. Żył. Przez cały ten czas żył. We wszystkie te urodziny i święta, kiedy inni spotykali się ze swoimi rodzinami, a ona była sama. Mógł być przy niej.

– Spoczywaj w piekle, tatusiu – burknęła.

Dobiegła do warsztatu i sięgnęła do kieszeni po klucz. Najpierw do prawej, pod zdjęciami. Nie było go. Potem do lewej. Też pusto. Co, do cholery, z nim zrobiła?

Zastanawiała się, czy nie wyważyć drzwi, ale nie należały do niej. Holiday i Burnett powierzyli to miejsce jej opiece. Zniszczenie go byłoby niedopuszczalne.

Rozejrzała się po ziemi, myśląc, że może go upuściła. Opadła nawet na kolana. Pozycja na czworaka obudziła w niej wewnętrznego wilka i zatęskniła za pełnią, do której brakowało jeszcze tylko kilku dni. Do czasu, kiedy jej dusza uwalniała się od emocjonalnych komplikacji ludzkiego świata. Wtedy znów to

usłyszała. Szum spadającej wody. Coraz głośniejszy.

– Przyjdź po klucz – usłyszała w szumie.

Spojrzała na ścieżkę. „Zabrały go anioły śmierci?” – pomyślała. Z drugiej strony nie miały prawa zabierać czegoś, co nie należało do nich. Wstała, a cały strach przed aniołami śmierci zniknął. Teraz pchała ją wściekłość.

Czy chciały ją potępić za to, na kogo wyrosła? Pociągnąć do odpowiedzialności za to, że nie potrafiła zaufać ludziom i dopuścić ich bliżej? Że czasami pokazywała życiu środkowy palec? Gdzie były, kiedy była mała?

Wściekłość i cholernie dużo urazy sprawiły, że pognała ścieżką, gotowa przeciwstawić się każdemu, kto śmiałby ją oceniać.

Rozdział 2

Szum wodospadów robił się coraz głośniejszy. Fredericka zbiegła ze ścieżki, pozwalając, by prowadziły ją uszy i niechęć. Przedzierała się przez gęste zarośla i uchylała przed niskimi gałęziami. Kolce szarpały ją za dzinsy, a czasem też za jej długie włosy. Wciąż słyszała słowa Marissy.

Ricko, on cię kochał.

„Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo!”

Od dudnienia wodospadów aż drżała ziemia. Nagle las się skończył i Fredericka zatrzymała się gwałtownie. Pięć metrów przed nią były wodospady. Woda ryczała i spadała z hukiem do jeziora, które było tak spokojne, że miała ochotę rzucić w nie kamieniem.

Kropelki wody unosiły się w pachnącym zielenią powietrzu. Drzewa, rośliny, wszystko wyglądało tak... świeżo. Jak na wiosnę, a to nie była wiosna. To nie mogło być prawdziwe.

I wtedy to poczuła... jakąś aurę, którą mogła określić tylko jako nadzieję. Tak czuła się, gdy zaczynała pracę nad projektem biżuterii, kiedy ogarniała ją radość z tworzenia czegoś nowego. Zanim przypominała sobie o swoich ograniczeniach.

Za ścianą wody poruszył się jakiś cień. Mogłaby przysiąc, że skinął na nią ręką.

Nie ufała mu, ale by wykazać, że nie jest tchórzem, weszła do wody. Zaparło jej dech, gdy zobaczyła, że choć ona się porusza, to woda ani drgnie.

Parła naprzód. Przeszła przez ścianę spływającej wody. Wilgotny chłód zakłuł ją w skórę. Z mokrych, sięgających za ramiona włosów spływała woda. Nigdzie nie mogła dostrzec człowieka, ducha, czy czymkolwiek było to, co wzywało ją do środka. Jaskinię za wodospadem wypełniała cisza i spokój.

– Czego ode mnie chcesz? – krzyknęła Fredericka, pragnąc pokazać, że się nie boi. A może po prostu jej wściekłość była silniejsza od strachu. Tak czy inaczej, przyszła tam. Niech rzucają w nią jej grzechami niczym kamieniami. Przyjmie je, a potem odrzuci i zapomni, że się o to nie prosiła. To świat ukształtował ją taką, jaką się stała. Weszła w głąb jaskini. Stanęła i poczuła, jak rodzi się idealna burza: spokój tego miejsca miał się zderzyć z emocjonalną mieszanką, którą czuła w sobie. „On mnie nie kochał!”

Złożone zdjęcia, które miała w kieszeni, ciążyły jej niczym kamienie. Wyciągnęła je i nawet nie popatrzawszy na nie, podarła na strzępy.

– Chcecie obarczyć kogoś winą? To oskarżajcie jego!

Usiadła na ziemi. Czuła ból w piersi. Delikatne rysy w jej sercu zamieniły się w głębokie pęknięcia. A potem je poczuła. Łzy, które przysięgała powstrzymać. Spoglądając na malutkie kawałeczki zdjęć,

zauważyła uśmiech swojego taty. Wrzuciła je do wody, pragnąc, aby zarówno one, jak i ból odeszły. I już nie wracały.

Nieruchoma woda zaczęła kręcić się w kółko. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Frederice zaparło dech. Wir wodny wciągnął kawałki papieru w minicyklon. Kręciły się tak, niczym układanka, aż wszystkie kawałki trafiły na swoje miejsca.

Zamrugła, nie wierząc własnym oczom.

A potem pasek z czterema zdjęciami wypłynął i zatrzymał się u jej stóp.

Przez łzy ujrzała, jak patrzą na nią dwie uśmiechnięte twarze. Jej ojciec i ona, w najszcześniejszej chwili ich życia.

Zszokowana i nieufna wobec mocy, które zniweczyły jej działania, odsunęła się od zdjęć.

W jaskini rozległo się cichutkie łkanie. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że te dźwięki pochodzą od niej.

Jakiś ruch za ścianą wody sprawił, że uniosła zapłakane oczy. Ktoś przechodził przez kurtynę wody.

Gotowa skopać tyłek, a pytania zadawać później, poderwała się na równe nogi. Ale osoba, którą ujrzała, była ostatnią, którą mogłaby skrzywdzić. Usiadła z powrotem i popatrzyła na Holiday.

– Kylie powiedziała, że cię wzywały – rzekła Holiday.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Fredericka znalazła odrobinę siły, by zebrać się w sobie.

Rudowłosa elfka podeszła i usiadła obok niej.

– Nie będę cię zmuszać do mówienia, ale... Powiem jedynie, że w moim biurze czeka na ciebie koperta z czymś, co wygląda na kilka listów. I chcę się tylko upewnić, że nic ci nie jest. Byłaś taka zdenerwowana i...

– Nic mi nie jest. Jak zawsze. – Fredericka po raz pierwszy rozejrzała się wokół.

Na zewnątrz okolica była śliczna, ale tu było jeszcze piękniej.

Promienie słońca sączyły się przez wodospad i rzucały migotliwe tęcze na ściany jaskini. Kolory tańczyły i stapały się razem.

– Co to za miejsce? – zapytała Fredericka.

Holiday popatrzyła na nią.

– Płynie w tobie krew rdzennych Amerykanów, prawda?

– Tak. A co? – zapytała Fredericka.

– Rdzenni Amerykanie odprawiali przy tych wodospadach rytuały religijne. Uważali to miejsce za święte. Mało kto jest tu przyzywany. Uważa się, że wśród tych, których wodospady wzywają, są niektórzy potomkowie rdzennych Amerykanów.

– Czego ode mnie chcą?

– W przypadku każdej osoby jest inaczej, ale... odwiedziny w tym miejscu przynoszą spokój albo... szykują na ciężkie czasy. To takie duchowe przytulenie.

– Starczy mi już ciężkich czasów. I nie lubię, jak ktoś mnie przytula.

Fredericka wstała i zrobiła krok w stronę wodospadu.

– Zapomniałaś o tym. – Holiday uniosła zdjęcia.

Fredericka spojrzała na nie. Był na nich jej ojciec, który trzymał ją w objęciach i się śmiał.

– Nie chcę ich. Już raz je podarłam.

Holiday spojrzała na nią zdziwiona, a potem popatrzyła na fotografie.

– One skleily je z powrotem. – Fredericka skinęła w stronę wody, jakby się bała, że Holiday oskarży ją o kłamstwo, ale tego nie zrobiła. – Czy takie dziwne rzeczy ciągle się tu dzieją?

– Czasami.

– Dla mnie to zbyt dziwaczne. – Znow ruszyła do wyjścia.

– Fredericko? – zawołała Holiday, a kiedy wilkołaczycy się odwróciła, ujrzała, że Holiday patrzy na nią z niepokojem. – Powinnaś wiedzieć, że... czasami po przyjsciu tutaj otrzymuje się specjalne dary.

– To nie moje urodziny, więc dziękuję, ale nie.

– To akurat nie ma znaczenia – odparła elfka.

Fredericka się zawahała.

– Jakiego rodzaju dary?

– Dla każdego są inne, ale... dość często jest to... możliwość kontaktowania się z duchami.

– Nie! – „Nie ma mowy!” – Powiedz im, żeby sobie te dary i przytulanki zachowały dla siebie. Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju. – I pobiegła.

Wróciła do warsztatu i wtedy przypomniała sobie, że zgubiła klucz. Na myśl o tym, że anioły śmierci okłamały ją, twierdząc, że to one go mają, zapagnęła wyważyć drzwi.

Powstrzymała się w ostatniej chwili. To, że ona czuła się zniszczona psychicznie, nie oznaczało, że ma niszczyć własność innych.

Wciąż starała się zapanować nad emocjami, gdy jej komórka zapiszczała, informując o esemesie.

Spojrzała na nią i przeklęła pod nosem. Zapomniała, że miała się spotkać z Carym. Już chciała odpisać, że boli ją głowa, ale nie. Jeśli potrzebowała przyjaciela, to właśnie teraz. Ruszyła do klasy, w której się zawsze spotykali. Serce ją bolało. Nie wiedziała, jak powiedzieć mu o tym, co się wydarzyło. Kiedy zbliżała się do jego gabinetu, wyobraziła sobie, jak Cary ją obejmuje. No i co, chciała... potrzebowała, by ktoś ją przytulił. I to nie anioł śmierci, ale przyjaciel, jej chłopak, a przynajmniej potencjalny chłopak.

Cary siedział w niewielkim gabinecie na tyłach sali i robił coś na laptopie. Uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. Był w nastroju tak odmiennym niż ona, że to było aż krępujące. A przynajmniej byłoby, gdyby powiedziała, co się stało.

– Nie uwierzysz. – Jego zielone oczy lśniły radośnie.

– W co? – zapytała, starając się nie myśleć o swoich problemach.

Podejrzewała, że jego radość ma coś wspólnego z historią. I po raz pierwszy poczuła do niej pewną niechęć.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że pięcioro moich przyjaciół chciało pojechać na sześć tygodni do Europy, ale musieliśmy zrezygnować, bo wychodziło za drogo? No więc jedna z dziewczyn znalazła tańsze rozwiązanie i jednak latem jedziemy.

– Tego lata? – zapytała. Starła się ukryć rozczarowanie, bo przecież to lato mieli spędzić razem.

Czekała, zastanawiając się, czy powie: *I chcę, żebyś pojechała ze mną*. Ciężko byłoby jej zdobyć pieniądze, ale gdyby udało jej się trafić do galerii i sprzedać...

– Mamy lot dzień po zakończeniu szkoły, więc nawet nie opuszczę zajęć. To cudowne, nie sądzisz?

Skinęła głową.

– Tak, to... Myślałam, że planowaliśmy w lecie spędzać czas razem.

– I tak będzie. Po moim powrocie – odparł.

Nabrała głęboko powietrze, starając się opanować żal, i skinęła głową. To była pasja Cary'ego. Nie chciała być dziewczyną-bluszczem, która nienawidzi jego pasji i oczekuje, żeby skupiał się wyłącznie na niej.

To, że on nie był tak przejęty rozwojem ich związku jak ona, nic nie znaczyło. No dobra, znaczyło i bolało, ale nie przesądzało sprawy.

A może?

– Spójrz na zdjęcia miejsca, gdzie się zatrzymamy. – Wskazał ekran.

Usiadła na krześle obok i zagapiła się na zdjęcia mieszkania, starając się przestać myśleć o fotografiach swojego taty. Zamrugła i skupiła wzrok na ekranie. To było zwykłe mieszkanie, nic specjalnego, ale mimo to powiedziała:

– Ładne.

– Jesteś mokra? – spytał, patrząc na jej włosy.

Skinęła głową.

– Jak...?

Miała gonitwę myśli, a serce jej pękało. Czy mogła powiedzieć Cary'emu? Chciała to zrobić, ale od czego powinna zacząć?

– Pracowałam w warsztacie... i przyszła Kylie, i mnie zawołała. Holiday...

– Warsztacie? – zapytał. – Co robiłaś?

– Projektuję i wykonuję biżuterię – powiedziała, ale radość z jej pracy przyćmiewał ból i wspomnienia z przeszłości. Bolesne wspomnienia, których chciałaby się pozbyć.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nawlekasz paciorki?

„Aj!”

– Nie. Ja... niektóre są z paciorkami, ale pracuję z metalami i drutem. Spawam i używam sporo srebra.

– Och. – Wciąż był jakiś nieobecny. – A jak to się ma do tego, że jesteś mokra?

– No... zaczynałam po prostu od początku.

– Początku czego?

– Tego, jak do tego doszło. – Ścisnęło ją w piersi.

Czemu czuła się teraz tak mało istotna? Jakby wszystko, co mówiła, nie miało znaczenia.

– Co się stało? – Spojrzał na jej włosy. – Przecież nie pada.

– Nie. Byłam... Byłam przy wodospadach.

– Wodospadach? – zawołał. – W tym strasznym miejscu na terenie szkoły?

Skinęła głową, żałując, że to takie trudne.

– Po co tam poszłaś?

– Zostałam... – „Przywołana”, pomyślała, ale nie chciała tego powiedzieć. To nie było ważne.

Nagle uświadomiła sobie, co było ważne, i z trudem opanowała łzy.

– Mój tata umarł.

Cary zrobił wielkie oczy.

– Przykro mi. Ale...? – Przeczesał palcami włosy. – Myślałem, że on nie żyje już od dawna.

Też tak podejrzewała, ale nie pamiętała, by mu o tym mówiła.

– Nie.

– Ale wspominałaś coś o dorastaniu ze sforą Lucasa, więc uznałem, że twoi rodzice nie żyją.

– Nie – odparła.

Z jakiegoś dziwnego powodu przypomniała sobie nagle wszystkie szczegóły dotyczące jego rodziców.

Żyli w Dallas. Jego ojciec był profesorem. A matka pracowała na pół etatu jako pielęgniarka. Miał jedną siostrę, która uczyła się na księgową. Wtedy do niej dotarło: wiedziała o tym wszystkim nie dlatego, że jej o tym opowiadał, ale dlatego, że go o to zapytała.

On nie pytał.

Wciąż na nią patrzył.

– Ale nie byliście blisko, prawda?

Czuła, jak pieką ją oczy.

– Nie widziałam go od ośmiu lat. – Przełknęła z trudem, czując, jak ból miesza się ze wszystkimi innymi jej smutkami.

– Więc to chyba... nie takie ważne, prawda?

Jego słowa jakby zawisły w powietrzu. Ciążyły. Próbowwała nie myśleć o tym, jak bardzo ją zaboląły, ale nie była w stanie.

Poderwała się na równe nogi.

– Ważniejsze niż wyjazd na sześć tygodni do Europy. – Mówiąc to, prawie się rozplakała.

Cary wstał, a oczy zaczęły mu lśnić ze złości. Ale szybko przybladły.

– Ja... nie chciałem... – Odgarnął jej kilka mokrych kosmyków z twarzy, a potem objął ramieniem.

Pozwoliła mu na to i dopiero czując jego ciepło, zrozumiała, jak bardzo jej zimno. Ciepło wilkołaka.

Pragnęła, by ją przytulił. By ją pocieszył. Chciała poczuć, że ktoś się o nią martwi.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana, i wybaczam ci ten wyskok.

„On mi wybacza?”

„On”.

„Wybacza”.

„Mi”.

Odsunęła się.

– Ja... nie potrzebuję wybaczenia, Cary – powiedziała. – Za to ty, owszem.

– Co? – Oczy znów zaczęły mu lśnić.

Potrząsnęła głową i dotarło do niej, co w rzeczywistości łączyło ich przez ostatnie trzy miesiące i czego w tym brakowało.

– Zapomnij o tym – dodała. – Zapomnij o nas. – Machnęła ręką na wysokości ich twarzy i odwróciła się, by odejść.

Złapał ją za ramię. To, na którym miała blizny. A jego uścisk był trochę zbyt silny.

– Nie zachowuj się jak dziecko – powiedział.

Poczuła, że jej oczy też zaczynają pałać.

– Jak dziecko? – Chciała nazwać go egocentrycznym, zakochanym w historii psem i powiedzieć, by trzymał łapy przy sobie, ale tego nie zrobiła. Bo wtedy dowiodłaby, że miał rację.

Z dumą, taką, jaka wynika z bycia wilkołakiem, i to wilkołakiem, który już musiał kryć wstydlive kwestie, uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

– Powiedziałaś ci, że umarł mój tata, a ty twierdzisz, że to nie jest ważne? Przyszłam, bo potrzebowałam... czegoś, wsparcia... albo chociaż zrozumienia, ale ty najwyraźniej nie potrafisz mi tego dać – westchnęła. – Do zobaczenia na poniedziałkowej lekcji, panie Cannon.

Rozdział 3

Następnego ranka Fredericka zaparkowała przed galerią. Poprzedniego wieczoru, po wyjściu od Cary'ego, chciała już zrezygnować z przyjazdu. Chciała się tylko zwinąć w małą kulkę i o wszystkim zapomnieć. Jej serce i dusza za bardzo bolały, ale za piętnaście dziewiąta rano jej dusza uniosła swoją brzydką mordę i stwierdziła, że nie podda się bez walki.

Fredericka Lakota nie poddawała się łatwo.

Pobiegła do biura po drugi klucz do warsztatu i szybko zebrała swoje rzeczy. Kiedy złapała gablotkę ze swoim zdrobniałym imieniem, serce znów jej się ścisnęło. Prawie ją zostawiła. A potem uznała, że czarne tło nadaje jej pracy bardziej profesjonalny wygląd i jednak ją zabrała. Nie zamierzała bawić się w półśrodki. Olać ból! Jeśli pozwoli mu ze sobą wygrać, to się w nim utopi.

Jeśli zamierzała tam pójść, a zamierzała, to musiała wygrać, przekonać Brandona Harta, że zasługuje na miejsce w jego galerii.

A teraz, patrząc na stary dom przy głównej ulicy, stwierdziła, że to miejsce wyglądało na podupadłe. A może nawet nie tyle podupadłe, co opuszczone. Trawnik był nieskoszony, a cały budynek wymagał pewnego nakładu pracy, by zaczął wyglądać zachęcająco, jak miejsce, gdzie można coś kupić. Kilka innych starych budynków przy tej ulicy zostało przerobionych na sklepy, ale ten wciąż wyglądał jak dom mieszkalny, w dodatku bez mieszkańców.

Według ulotki, którą dostała od Holiday, otwarcie planowano za dwa tygodnie. Ten facet musiał porządnie wziąć się do roboty.

Fredericka wyłączyła silnik. Telefon zapiszczał, informując o wiadomości. Przynajmniej ta rzecz wciąż działała. Sięgnęła po komórkę, leżącą na fotelu obok, i przeczytała wiadomość.

Przepraszam. Proszę, przyjdź do mnie.

Esemes od Cary'ego.

Serce jej się ścisnęło. Czy miała mu dać jeszcze jedną szansę? Rozsądek mówił „nie”, serce zaś „tak”. A może po prostu było samotne? Kurde, nie miała teraz czasu nad tym rozmyślać.

Wysiadła z samochodu, który pożyczyła jej Holiday, sięgnęła na tylne siedzenie i wyciągnęła niedużą walizeczkę na kółkach, w której trzymała gablotkę i biżuterię. Zdenerwowana, podeszła do ganku. Wydawało jej się, że kółeczka walizki zbyt głośno turkocą, zupełnie jakby cały świat wokół niej wstrzymał oddech.

Kiedy weszła na ganek, chłodny wiatr musnął jej włosy. Drzwi, lekko uchylone, zgrzytnęły,

przypominając jej efekty z jakiegoś horroru. Podeszła trochę bliżej. Nie wiedziała, czy zapukać, czy po prostu wejść? Zajrzała do środka. Na ścianach wisiały półki, rozstawiono też kilka szklanych gablot – idealne miejsce do wystawiania artystycznych drobiazków. Nigdzie nie było widać Brandona Harta. Ale przecież było jeszcze wcześniej. Zastanawiała się, czy nie zawrócić i nie poczekać w samochodzie, kiedy jednak ponownie rozejrzała się po sali, zauważyła kobietę, która wyglądała przez okno z tyłu. Jak mogła ją wcześniej przegapić? Czy imię Brandon mogło należeć do kobiety?

Fredericka wsunęła głowę do środka.

– Dzień dobry?

Kobieta miała około trzydziestu lat i długie jasnoblonde włosy. Na dźwięk głosu Fredericki obróciła się tak gwałtownie, że jej włosy zamiotły powietrze. W jej intensywnie zielonych oczach widać było zaskoczenie.

– Przepraszam. Jestem Fredericka. Ja... miałam się spotkać o dziesiątej z Brandonem Hartem. Drzwi były otwarte.

Kobieta stała w milczeniu przez długie, krępujące sekundy, aż w końcu powiedziała:

– To mój brat. On... jest na podwórzu i pracuje nad swoim dziełem.

– Mam wrócić za kwadrans? – zapytała Fredericka.

– Nie, proszę wejść. Mam na imię... Linda.

Fredericka wzięła swoją walizkę i wprowadziła ją do środka. Rozejrzała się wokół. W kącie pokoju wisiało osiem dzwoneczków wietrznych. „Pewnie jednego z artystów” – pomyślała.

Zaczęły się poruszać, a wewnątrz wypełniło delikatne dzwonienie.

Chociaż na zewnątrz galeria nie prezentowała się najlepiej, to w środku była bardzo ładna. Ściany były świeżo pomalowane, a podłoga wywoskowana. Półki wyglądały na nowe, a w powietrzu czuć było remont.

– Czy mam rozłożyć swoje rzeczy, żeby mógł je obejrzeć? – Fredericka wskazała blat na jednej ze szklanych gablot.

– Pewnie. – Linda wykręciła ręce, jakby się denerwowała, co nie miało sensu, skoro to Fredericka miała być oceniana.

Z podwórka dobiegało miarowe stukanie. Wilkołaczycza zaczęła się zastanawiać, jaki rodzaj sztuki uprawia Brandon i czy to on tak hałasuje. Nie chciała być wścibska, więc wyciągnęła swoją gablotkę, umieściła na niej małe haczyki i zaczęła wyjmować biżuterię. Spojrzała na wypisane na dole ramki imię, próbując opanować ból.

Na zewnątrz wciąż słychać było stukanie, a we wnętrzu zrobiło się dziwnie cicho.

– Pani brat powiedział, że rozmawiał też z innymi twórcami biżuterii. Mam nadzieję, że doceni moją pracę. – Fredericka przerwała niezręczną ciszę.

Gdy Linda nie odpowiedziała, Fredericka rozejrzała się wokół. Kobiety nigdzie nie było. Kurde, ależ cicho się poruszała. Wilkołaczy słuch Fredericki rzadko kiedy coś przeoczył. Wzdrygnęła się z zimna.

Dzwonki znów zabręczały, a ich dźwięk wydawał się wręcz smutny.

Powiesiła ostatni naszyjnik i poprawiła układ pary kolczyków. Ponieważ Lindy nadal nie było, podeszła bliżej okna, chcąc zobaczyć, jak wygląda mężczyzna, który ma ją oceniać. Na widok rzeźby zaparło jej dech. Drewniany koń miał co najmniej metr osiemdziesiąt wysokości. Był idealny, z doskonale oddanymi mięśniami i kośćcem.

A potem spojrzała na drugie dzieło. To jednak było z krwi i kości. Artysta o ciemnych włosach stał tyłem do niej, miał na sobie sprane dżinsy, które ładnie opinały dolną połowę ciała, podkreślając idealną budowę. Równie dobrze wyglądała naga górna połowa ciała. Wyciągnął siekiere z pniaka i znów się zamachnął.

Fredericka podziwiała, jak porusza się jego ciało, a mięśnie grają pod jasnooliwkową skórą. Jednak gdy tym razem wyciągnął siekiere z pnia i zamachnął się nią, zobaczyła jego bok.

Na widok blizn zaparło jej dech.

To były ślady po poparzeniu.

Była tego pewna, bo aż nadto wiele czasu spędziła, przyglądając się swoim. Przesunął się trochę, dzięki czemu ujrzała jego profil. Miał bliznę na lewym policzku i z lewej strony czoła. Nie były tak głębokie i wyraźne jak te na boku, skóra była tylko lekko odbarwiona i ściągnięta.

Nagle obrócił się gwałtownie, jakby wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Miał niebieskie oczy, jak letnie niebo, i skierował ich spojrzenie wprost na nią. Jego wzrok i ponura mina były tak przejmujące, że poczuła się jak w potrzasku.

Złapał leżącą na stoliku koszulę, zupełnie jak ona, gdy poprzedniego dnia usłyszała zbliżającą się Kylie.

Powinna się odwrócić, uszanować jego prywatność, ale nie była w stanie. Patrzyła, jak wsuwa ręce w rękawy koszuli i zapina ją guzik po guziku.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

Zasłaniał tę piękną klatkę piersiową.

O Boże, przecież nie powinna go podglądać. Zwłaszcza że on patrzył, jak ona patrzy. Otrząsnęła się z zapatrzenia dopiero wtedy, gdy zapiał ostatni guzik. Odwróciła się i zaczęła oglądać jego dzieło, ale szybko znów zwróciła wzrok na niego.

Było w nim coś... surowego i dzikiego. Co ją fascynowało i przerażało zarazem. I to pierwszy raz w życiu. Nigdy wcześniej nie fascynował jej ani nie przerażał żaden człowiek.

A może... to nie był człowiek?

W tym momencie złapał ze stołu czapkę bejsbolową i nałożył na głowę, zasłaniając czoło i wzór, który służył istotom nadnaturalnym do określania, jakiego są gatunku. Spięty i z ponurą miną wszedł do środka. Jego krok i skupienie przypominały Frederice... wilka.

I to takiego, który zamierzał zaatakować. A ona była ofiarą.

– Czym... mogę... służyć? – Miał niski, męski głos, a jego zduszony ton świadczył o sfrustrowaniu.

Zatrzasnął z hukiem drzwi.

Podskoczyła.

– Jestem... Fredericka Lakota. – Głos jej zdrzął, a skóra wydawała się wyjątkowo wrażliwa, jak tuż przed przemianą. Co takiego było w tym facecie?

A potem przyszło jej do głowy lepsze pytanie. Czym był ten facet? Spojrzała na jego czoło, ale zasłaniała je czapka. Pociągnęła nosem, próbując wyczuć jego zapach. Ludzki i... może jakiś jeszcze.

Stał przez moment nieruchomo i powoli się uspokajał. Pociągnął za daszek czapki.

– Przepraszam... Zupełnie zapomniałem, że jesteśmy umówieni. Zdarza mi się to, gdy zaczynam nową pracę.

– Nie ma sprawy, też tak mam.

Spojrzał na jej gablotkę stojącą na blacie. Podszedł bliżej, ukazując tylko prawą stronę twarzy, jakby z rozmysłem chował przed nią blizny.

– Jak rozumiem, to twoje? – Wskazał gablotkę.

– Tak. – Kiedy tylko spuścił z niej wzrok, ona znów spojrzała na jego twarz, próbując dostrzec choćby fragment wzoru spod jego czapki. Nawet się trochę nachyliła.

A on nagle znów na nią popatrzył i przyłapał ją na wgapieniu się. Odwróciła wzrok za szybko i była przekonana, że uznał, iż gapiła się na jego bliznę. Chciała to nawet wyjaśnić, ale co miała powiedzieć? „Sprawdzałam tylko, czy jesteś człowiekiem”? Tak, to by mu na pewno wiele wyjaśniło.

– Są ze srebra, prawda? – zapytał, odwracając się, ale nim to zrobił, zauważyła w jego oczach pewne uczucie. Nie nazwałaby tego wstydem, ale czymś podobnym. Uczuciem, jakie się miewa, kiedy jest się na widoku, a chciałoby się schować. – Są ze srebra? – powtórzył.

– Tak – odparła zmieszana.

– Lubisz wilki? – spojrzał na jej twarz. Zanim odpowiedziała, znów skupił się na biżuterii.

– Tak jakby – odparła, bardziej zainteresowana.

– Używasz pieca? – Tym razem na nią nie spojrzał, co z jakichś przyczyn ją zabolalo.

– Nie, palnika.

Skinął głową.

– To... na ile je wyceniasz?

– Myślałam, że dziewięćdziesiąt za wisiołek na łańcuszku albo cały zestaw z kolczykami za sto dziesięć – Spodziewała się, że powie jej, że to za dużo. Że za wysoko się ceni.

– Musisz brać więcej – odparł.

Zatkało ją.

– Myślisz, że ludzie zapłacą więcej? – wydusiła z trudem.

Spojrzał na nią, nie poruszając twarzą.

– Myślę, że jesteś więcej warta.

Poczuła falę szczęścia. Podobała mu się jej praca. W myślach odtańczyła taniec radości. Na zewnątrz stała nieruchomo, czując, jak wypełnia ją dziwny rodzaj energii.

– Jakby ktoś poprosił o coś konkretnego, to wykonałabyś zamówienie?

Nie zastanawiała się nad tym, ale mogłaby. Skinęła głową.

– To wszystko, co masz?

– W tej chwili tak, ale mogę zrobić jeszcze przynajmniej trzy zestawy przed otwarciem galerii. –

Ryzykowała, ale kurczę, naprawdę tego chciała.

– Dobra.

„Co »dobra«?”

– Czy to znaczy, że zostanę wystawiona w galerii?

Zawahał się. Frederice zamarło serce. Wszyscy w szkole mieli jakieś plany, wiedzieli, gdzie chcą pracować albo na jakie iść studia. A Fredericka miała tylko swoją sztukę. Czy to źle, że chciała, aby stała się czymś więcej niż tylko jej hobby?

– Jeszcze nie przeczytałaś umowy – powiedział.

– Jestem pewna, że będzie dobra. – Poczuła, jak się uśmiecha, a to nie zdarzało jej się często.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Znowu zauważyła bliznę, ale tylko przez moment. Ciekawość zastąpiło współczucie. Jakby się czuła, gdyby nie mogła ukryć swoich blizn? Gdyby wszyscy je widzieli? Zostałaby pustelnikiem. Ale może jej blizny były głębsze niż jego, związane ze wstydem i... morderstwem.

Tak czy inaczej, wzrósł jej podziw dla Brandona Harta.

Wciąż skrywając przed nią pół twarzy, zwrócił się do niej:

– Będiesz... Będziesz musiała zajmować się sklepem dwa dni w tygodniu.

– Czy mogą być weekendy? – zapytała.

Zamyślił się.

– Pracujesz gdzie indziej?

– Nie... Kończę szkołę.

– Policealną?

– Liceum.

– Ile masz lat?

– A ty ile? – odparła.

Skrzywił się odrobinę.

– To nie ja ubiegam się o pracę.

– Może jestem po prostu ciekawa – odparła. Tak było, i to nie tylko w kwestii jego wieku. Ciekawiły ją też jego blizny i... jego gatunek. Czy miała rację, sądząc, że w jego zapachu wyczuwa coś nadnaturalnego? Gdyby tylko zdjął tę cholerną czapkę, toby się zorientowała.

Stał, jakby czekał, aż się podda i powie mu, ile ma lat. Była jednak twarda. Zapadła krępująca cisza.

W końcu się poddał.

– Mam dwadzieścia lat.

Skinęła głową.

– Za miesiąc skończę osiemnaście. Późno zaczęłam szkołę.

– Możesz przychodzić na pół dnia w tygodniu?

– Może uda mi się to załatwić. – Miała nadzieję, że zdoła przekonać Holiday.

– Dziesięć procent od sprzedaży idzie na utrzymanie galerii.

– Brzmi rozsądnie. – Usta jej zadrżały i uświadomiła sobie, że wciąż się uśmiecha. Chłopak cały czas wpatrywał się w jej uśmiech.

Pomyślała, że miło byłoby zobaczyć też jego uśmiech. I że chciałyby poznać jego przeszłość. Miała nadzieję, że historia jego blizn nie była tak upiorna jak jej.

– Ricka, chodź za mną, to dam ci umowę. – Ruszył korytarzem.

– Fredericka. – Spoważniała.

– Nie wyglądasz jak Fredericka. Ricka mi się podoba.

– Ale mnie nie – odparła poważnie.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię.

– Czemu?

„Bo mężczyzna, który mnie tak nazywał, zmarł w zeszłym tygodniu. Bo to imię przypomina mi o tym, co dobre, złe i brzydkie z nim związane”.

– A gdybym nazywała cię Bran?

– Dobra. – Odwrócił się i poszedł dalej.

– Co „dobra”? – Wpatrywała się w jego napięte, dumne ramiona. Podobało jej się to, jak się nosił.

– Możesz mnie nazywać, jak chcesz, a ja będę robił to samo, Ricko.

– Dobra, dupku – odparła, zanim zdążyła się powstrzymać.

Roześmiał się.

Już miała powiedzieć, że to wcale nie miało być śmieszne, ale zorientowała się, że sama też się uśmiecha. To przez jego śmiech. Był taki melodyjny. Pożałowała, że nie widziała w tym momencie jego twarzy. Cholera, ten facet był zagadką.

Podeszła bliżej z nadzieją, że wyczuje jego zapach. Spojrzała na ciemnobrązowe loki, które były odrobinę za długie i ocierały się o kołnierzyk jasnoniebieskiej koszuli. Była tak pochłonięta myślą o tym, jakie wydawały się miękkie, że nie zorientowała się, iż chłopak się zatrzymał. Przynajmniej dopóki na niego nie wpadła.

Jej biust oparł się o jego łopatki, a dłoń odruchowo objęła go w pasie. Kiedy ich ciała się zetknęły, poczuła jakąś słodką iskrę. Słodycz, która sprawiła, że Fredericka poczuła się drobna wobec jego potężnego ciała. Taką, przez którą pożałowała, iż nie umalowała się przed wyjściem ani nie zrobiła nic

z włosami. Dech jej zaparło. Zainteresowanie. Kurde, spodobał jej się człowiek. A w każdym razie ktoś, kto był w większej części człowiekiem.

– Przepraszam. – Cofnęła się, ale dopiero wtedy, gdy usłyszała, że on też wstrzymał oddech, i gdy pociągnęła mocno nosem. Pachniał dzikim lasem, przestrzenią. Pachniał... dobrze.

Wszedł do niewielkiego gabinetu, wyciągnął z szuflady umowę, a potem opadł na krzesło. Ledwie usiadł, obrócił je w lewo, ukazując Frederice prawy profil. Czy robił to odruchowo? Czy też był skrepowany, bo myślał, że gapiła się na jego blizny?

Przysunął jej kartkę i długopis. Usiadła i przeczytała umowę. Była krótka i prosta. Podpisała ją. Podała wymagane dane. A potem podniosła głowę i stwierdziła, że znów się uśmiecha. *Myślę, że jesteś więcej warta.*

Wciąż słyszała jego słowa, które sprawiały, że robiło jej się cieplej na duszy. Czy to nie smutne, że znaczyły dla niej tak wiele? Pewnie tak, ale trudno.

Przesunął palcami po brzegu biurka.

– To widzimy się za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie to niewiele, by zrobić trzy kolejne zestawy biżuterii, ale nagle wydało jej się, że minie strasznie dużo czasu, nim... Nim znów go zobaczy. Nim zedrze osłony z Brandona Harta i odkryje jego sekrety. A z jakiegoś niezrozumiałego powodu czuła, że naprawdę chce poznać jego sekrety.

Słyszała, jak jakiś zegar odmierza sekundy. A z każdym tyknięciem wszystko stawało się bardziej krępujące. On. Ona. Gapiący się na siebie.

Jej telefon znów zapiszczał, informując o esemesie. Przypomniała sobie o Carym, ale nagle stracił dla niej znaczenie.

– Miło będzie z tobą pracować – powiedział Brandon, jakby chciał już zakończyć spotkanie.

Skinęła głową, wstała, doszła do drzwi i już nie mogła się pohamować. Spojrzała za siebie. Tym razem jego przyłapała na gapieniu się... na jej pupę.

Uniósł wzrok, a w jego oczach ujrzała odrobinę chłopięcego poczucia winy – takiego, jakie ogarnia porządnych chłopców, gdy zostaną przyłapani na mierzeniu dziewczyny wzrokiem. Dalej patrzył jej w oczy, ale wciąż odwracał lewy policzek tak, by nie mogła dostrzec jego blizn. Nie wiedziała czemu, ale chciała go przekonać, że nie musi tego robić.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytał.

„Tak. Odpowiedzi. I to wielu”.

Powinna wyjść, póki wszystko było dobrze, ale kurde. Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Może przydałaby ci się pomoc w przygotowaniach do otwarcia sklepu?

Wziął długopis, nacisnął go raz i się zawahał.

– Ja... nie mam na razie pieniędzy, by za to zapłacić.

– Nie prosiłam o zapłatę.

Nadal się wahał i znów nacisnął długopis.

Bojąc się, że odrzuci jej propozycję, dodała:

– Do zobaczenia jutro o dziesiątej. – Wyszła, czując, jak ogarnia ją podniecenie i zupełnie nie rozumiejąc, skąd wzięła tyle odwagi, by tak to rozegrać, ale była z siebie dumna.

Kiedy weszła do sali wystawowej, znów usłyszała dzwonki. Szybko zebrała swoją biżuterię i umieściła ją w walizce, czując, że za chwilę pojawi się Brandon i zniweczy jej plan.

Zrobiła wszystko w niecałą minutę i podniosła walizkę. Dzwonki dalej grały. Spojrzała na nie i zobaczyła, że poruszają się, chociaż w pokoju chłodne powietrze było nieruchome. Zerknęła na sufit, spodziewając się, że zobaczy tam wywietrznik, ale nie. Nie było żadnego przepływu powietrza, a dzwonki poruszały się delikatnie i grały.

Podeszła do drzwi i spojrzała przez ramię w stronę korytarza prowadzącego do dalszej części domu, prawie spodziewając się, że zobaczy jego siostrę. Nie było jej, ale szósty zmysł mówił Frederice, że ktoś ją obserwuje.

– Pa – krzyknęła, wychodząc.

– Do zobaczenia – zawołał w odpowiedzi.

Wsiadła do srebrnej hondy Holiday, wciąż czując, że ktoś na nią patrzy. Odpaliła silnik i wrzuciła wsteczny. Opony zgrzytnęły na żwirze, gdy wycofywała samochód z podjazdu. Już miała ruszyć do przodu, gdy ujrzała Linde, siostrę Brandona, stojącą z boku domu i przyglądającą się niewielkiej zapuszczonej grządce. Fredericka pomachała, ale Linda jej nie zauważyła. Ruszyła w chwili, gdy na podjazd domu wjechał radiowóz.

Odjeżdżała powoli, obserwując, jak do drzwi Brandona podchodzi i puka dwóch umundurowanych policjantów. A on otwiera. I ujrzała jego zrozpaczoną minę. Czyżby Brandon Hart miał jakieś problemy?

Rozdział 4

Dostałam się. – Fredericka weszła do biura, by oddać kluczyki od samochodu, nim zabierze się za pracę nad biżuterią.

– Wiedziałam, że tak będzie. – Uśmiechnęła się Holiday.

Fredericka westchnęła, nie chcąc myśleć o wczorajszym dniu, o Marissie, swoim ojcu, a nawet o Carym. Od chwili, gdy zaparkowała przed wejściem, czuła, że radość, która ogarnęła ją w galerii, powoli się ulatnia. A na jej miejsce wraca ból z przeszłości. Przez lata dusiła w sobie ten ból. Czemu musiał się znów ocknąć? I to teraz, kiedy wreszcie zrobiła krok w stronę znalezienia własnej drogi w tym świecie.

– Spotkałaś kiedyś Brandona Harta, tego faceta, który otwiera galerię? – Fredericka opadła na krzesło. Holiday potrząsnęła głową.

– Nie. Z tego, co słyszałam, przyjechał do miasta jakiś miesiąc temu. A co?

– Chodzi o to... – Nie chciała mówić Holiday, że wydaje jej się fascynujący, bo Holiday wiedziała, że to samo myśli o Carym. – Zapach Brandona był... ludzki, ale chyba nie do końca.

Holiday wydawała się zaskoczona. Usiadła wygodniej.

– A co mówi jego wzór?

– Miał na sobie czapkę z daszkiem. – Fredericka już chciała powiedzieć Holiday o wizycie policjantów, ale przestraszyła się, że komendantka obozu może mieć coś przeciwko jej pracy z Brandonem.

A instynkt mówił Frederice, że Brandon nie jest zły. Było tyle powodów, dla których mogli przyjść do niego policjanci. Po prostu w tym momencie nic jej nie przychodziło do głowy.

– Zgodziłam się pomóc mu jutro w galerii. Czy mogłabym, o ile to nie sprawiłoby za dużo kłopotu, znów pożyczyć samochód? – Fredericka nie cierpiała prosić o pomoc, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, to może w najbliższym czasie zdoła kupić własny samochód.

– Jasne. – Holiday spojrzała na biurko.

Fredericka widziała, na co patrzy komendantka. Na szarą kopertę, którą przyniosła Marissa. W tym momencie ból z poprzedniego dnia wypłynął na powierzchnię i zdusił w niej resztki radości.

Kiedy Holiday podniosła wzrok, Fredericka potrząsnęła głową.

– Nie chcę tego.

– Ale...

– Żadnych „ale”! Zostawił mnie. Miałam dziesięć lat. Odszedł z watahą wyrzutków. Bez wyjaśnień

i bez pożegnania. Pewnego dnia obudziłam się, a jego nie było. Czekałam całymi tygodniami, aż wróci. – Łzy napłynęły jej do oczu, ale przełknęła, by je pohamować. – A kiedy nie wrócił, powiedziałam sobie, że nie żyje. Tak było łatwiej. Jak dla mnie, umarł dawno temu.

– Przykro mi – powiedziała cicho Holiday, a Fredericka skuliła się, widząc współczucie w oczach elfki. – Ale jestem pewna, że masz pytania. A tu może znajdziesz odpowiedzi.

– Może nie zależy mi na odpowiedziach. Niczego nie zmienią.

– A może to po prostu jeszcze nie pora. Zachowam ją. – Schowała kopertę do szuflady, jakby wiedziała, że jej widok sprawia Frederice ból. – Przyjdź po nią, kiedy będziesz gotowa.

Fredericka wstała. Wątpiła, aby taki moment miał kiedyś nastąpić. Już raz opłakiwała ojca. Nie powinna tego robić ponownie. A jednak to robiła. A przynajmniej jakaś jej część.

Tylko że kiedy była w galerii, było jej łatwo... o tym nie myśleć. Brandon Hart i jego tajemnica idealnie nadawały się do odwrócenia uwagi. Nie mogła się doczekać dziesiątej następnego dnia.

Do tego czasu musiała liczyć na to, że sztuka pozwoli jej zapomnieć. Na szczęście nie mogła tracić czasu. Miała do zrobienia trzy zestawy biżuterii.

Chcąc od razu zabrać się do pracy, zaczęła projektować nowy wzór, gdy przyszedł do niej esemes. Zadrżała, myśląc, że to pewnie znów od Cary'ego. Co miała mu powiedzieć? Przecież już wszystko powiedziała. Czy stwierdzenie, że zobaczą się na lekcji, nie wystarczyło, by zrozumiał, że myśli o nim tylko w kategoriach nauczyciela?

Wiadomość nie była od Cary'ego, lecz od Kylie.

Holiday powiedziała, że przyjęli Cię do galerii. Bardzo się z tego cieszę.

Fredericka uśmiechnęła się. I znów pomyślała, że nie mając przyjaciółek, wiele traci. Brakowało jej kogoś, z kim mogłaby się dzielić swoimi tajemnicami. Komu by na niej zależało. Może kiedyś zdoła to zrobić. Pozwolić, by inni się do niej zbliżyli.

Nawlekasz paciorki? Przypomniała sobie słowa, jakimi Cary określił jej pracę nad biżuterią. Wiedziała, że to po części dlatego, że jest facetem, ale kiedy przemyślała inne jego bolesne stwierdzenia, doszła do wniosku, że to raczej kwestia bycia dupkiem, a nie facetem.

Myślę, że jesteś więcej warta. Słowa Brandona były tak różne od tych Cary'ego. Brandon na pewno był męski – przed oczami stanął jej jego obraz, jak rąbał drewno – a mimo to zdołał powiedzieć coś miłego, coś, co podbudowało jej samoocenę, a nie ją popsuło.

Może i miał pewną przewagę, bo był artystą, ale...

W oddali rozległy się kroki.

Podeszła do okna, które zawsze zostawiała uchylone właśnie w tym celu. Znała te kroki. Cholera.

Uniosła głowę i pociągnęła nosem, by zidentyfikować intruza. Kilka sekund później rozległo się pukanie do drzwi warsztatu. Od kiedy to Cary przychodził do niej?

– Proszę. – Odwróciła się i przyłożyła ołówek do papieru, udając, że szkicuje.

Stanął za nią, ale ona dalej skupiała się na szkicu, a nawet zacieniowała jedną część.

– Nie odpowiadasz na moje esemesy – powiedział.

– Nie. Miałam... Miałam rozmowę w galerii.

– W jakiej galerii?

„Tej, która chce sprzedawać moje paciorki”.

– Będę wystawiać i sprzedawać swoje prace w nowej galerii w Fallen. Właściciel chce przed otwarciem otrzymać jeszcze trzy zestawy biżuterii, więc jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałabym...

– Nie masz czasu wysłuchać moich przeprosin? – zapytał ponuro.

Po raz pierwszy podniosła na niego wzrok. Miał przepraszającą minę. I dobrze wyglądał. Bardziej jak chłopak, którego lubiła, niż nauczyciel. Był w dżinsach i jasnoniebieskiej koszulce, która opinała jego szerokie ramiona. A w zielonych oczach widać było skrucę.

– Tylko krótkich – powiedziała, pamiętając, że jeszcze poprzedniego dnia marzyła o tylu rzeczach, które niedługo będą robić. To zabawne, ale utrata ich wcale jej specjalnie nie zmartwiła.

– To, co powiedziałem o twoim tacie, zabrzmiało źle. Wybaczysz mi?

Westchnęła i już miała się zgodzić, gdy coś ją powstrzymało.

– Cary, chodzi nie tylko o to, co powiedziałeś. Wydaje mi się... Sądzę, że jestem dużo bardziej zainteresowana tobą niż ty mną. A tak być nie powinno.

– Chodzi o moją wycieczkę do Europy? Planowałem ją na długo przed tym, jak się polubiliśmy. Wiem, że została odwołana, ale...

– Chodzi o wszystko – stwierdziła.

– To znaczy? – Wyciągnął rękę, by odgarnąć jej z twarzy kosmyk włosów. Jego dotyk był miły, ale przypomniawszy sobie coś bardziej miłego. To uczucie, gdy wpadła na Brandona.

– Co o mnie wiesz? – zapytała.

– Jak to?

– Po prostu. Cary, co ty o mnie wiesz?

Zamyślił się i widziała, że próbuje sobie coś przypomnieć, ale bezskutecznie.

– Nie mówisz o sobie.

– Ty też nie. W każdym razie nie o kwestiach prywatnych. Ale zadawałam ci pytania. Wiem, gdzie się urodziłeś, słyszałam o twoich rodzicach i siostrze. Wiem, że lubisz hot dogi z musztardą.

– To nie fair – stwierdził.

– Co takiego? – Uniosła brodę.

– Z rozmysłem utrzymywałem dystans, starając się... Gdybym wiedział o tobie więcej, to chciałbym – nachylił się – tego.

Pocałował ją. W pierwszej chwili nie zareagowała, ale potem odpowiedziała tym samym. Chciała poczuć magię pocałunku. Czuć, że jest czyjąś dziewczyną. Od tak dawna się nie całowała.

A potem to poczuła. Ciche mruczenie samca wilkołaka. Pragnął jej. Pragnął więcej niż tylko pocałunku. To powinno sprawić jej przyjemność i tak było, ale nie w stopniu, jakiego się spodziewała. Odsunęła się.

– Nie rezygnuj z nas – powiedział.

Popatrzyła na niego. Już chciała oświadczyć, że nie zrezygnuje, ale wymyknęły jej się zupełnie inne słowa:

– Nie sądzę, aby było coś takiego jak my.

I wtedy zrozumiała, z czego to wynika. Chodziło o tajemnicę, jaka czekała na nią u Brandona Harta. Kurde, czy ona zwariowała? Cary był czystej krwi wilkołakiem i był dla niej idealnym partnerem. A Brandon mógł być zwykłym człowiekiem.

A wiązanie się z człowiekiem byłoby idiotyczne. Nawet myślenie o tym było głupie, biorąc pod uwagę, że nie wiedziała, czy on ją w ogóle lubi. To, że gapił się na jej tyłek, jeszcze nic nie znaczyło.

– Nie pogrywaj ze mną – powiedział Cary, a oczy zalśniły mu ze złości.

A potem złapał ją za ramię, to z bliznami, i wbił palce w jej ciało.

– Nie pogrywam. A teraz wyjdź, bo inaczej cię wyprowadzę. – I była skłonna to zrobić.

Wyszedł, ale coś jej mówiło, że to jeszcze nie koniec. Najwyraźniej Cary Cannon nie lubił, kiedy coś szło nie po jego myśli. A szkoda.

Przez pierwsze dziesięć lat życia pozwalała innym się zastraszać – na dowód miała blizny – ale teraz nikt, ale to nikt nie mógł nią rządzić.

Następnego ranka, o dziesiątej, Fredericka zaparkowała przed przyszłą galerią, gotowa do pracy. I gotowa odkryć pewne tajemnice Brandona Harta. Chciała, aby coś poza jej własną przeszłością pochłaniało ją i doprowadzało do szaleństwa.

Przez pół nocy myślała o swoim ojcu, oplakując mężczyznę, dla którego znaczyła tak niewiele, że zostawił ją z ludźmi, których prawie nie znał. A potem drugie pół nocy wkurzała się, że znów to robiła. I że nadal jej na nim zależało.

Ale jestem pewna, że masz pytania. A tu może znajdziesz odpowiedzi.

W kółko słyszała w głowie słowa Holiday. I chociaż czuła pokusę, to nie mogła wymyślić choćby jednego powodu, dla którego jej ojciec mógł uznać, że opuszczenie jej było słuszne. Ani jednego. Więc po co w ogóle zadawać sobie ból i to czytać?

Wzięła głęboki oddech i odganiając inne myśli, skupiła się na domu, w którym niedługo miała zostać otwarta galeria. Zastanawiała się, jak sprawić, by wyglądała bardziej... zachęcająco. Trochę farby. Jakiś

jasny kolor. I szyld. Tak, z okapu musiał zwisać jakiś szyld. I należało zasadzić w kwietnikach nowe rośliny.

W porannym słońcu dom wydawał się senny, jakby się jeszcze nie obudził. Nie paliło się żadne światło. Żaluzje były opuszczone. Czy na nią czekał? Czy w ogóle już się obudził?

Wciąż trzymając kierownicę, wyobraziła go sobie w łóżku, bez koszuli. Serce zaczęło jej walić i kopnęła się w myślach w zadek. Nie mogła sobie pozwolić na takie zauroczenie. Nie dość, że pewnie był człowiekiem, to jeszcze miała dla niego pracować. Jakikolwiek związek inny niż koleżeński tylko by wszystko utrudnił.

A jej życie już i tak było skomplikowane.

Wysiadła z samochodu, wsunęła komórkę do tylnej kieszeni i ruszyła na spotkanie dnia. Chłodne powietrze rozwiewało jej włosy. Przypomniała sobie, że za cztery dni będzie pełnia i będzie mogła znaleźć ukojenie, biegając po lasach. Wszelkie problemy, które ciążyły jej na sercu, zdawały się lżejsze, gdy się przemieniała i pozwalała swojemu wewnętrznemu wilkowi biegać i brykać po nocy. To było prawie jak wspinały sen, który pozwalał na kilka dni uciec od trudności.

Tak jak poprzedniego dnia, drzwi były lekko uchylone. Podeszła bliżej i zajrzała do środka, prawie spodziewając się, że znów zobaczy jego siostrę. Ale nie. Zwisające z sufitu byłego salonu dzwonki grały cicho, jakby zapraszały ją do środka.

Zapukała.

– Idę – rozległ się niski głos. Poznała, że to Brandon.

Nabrała powietrza, czując, jak ogarnia ją podniecenie na myśl, że może dziś nie będzie miał czapki. I niech Bóg ma ją w opiece, ale liczyła też trochę, że będzie bez koszuli.

„Tylko koleżeńska znajomość!” – pomyślała.

Zobaczyła go, gdy wyszedł zza rogu korytarza. Miał na sobie ciemnozieloną koszulkę i czapkę z daszkiem, ale uwagę Fredericki przykuła jego pochmurna mina. A także to, że już się odwracał, by nie mogła zobaczyć jego blizn.

– Dzień dobry – powiedziała.

Chociaż była jakiś metr od niego, czuła jego zapach, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Jej zmysły atakowały wonie męskiego mydła, szamponu i pasty miętowej. A zarazem wciąż czuła także ten jego naturalny aromat drzewa i przestrzeni oraz nutkę czegoś nadnaturalnego. Tylko nie wiedziała dokładnie czego.

I chociaż to był szalony pomysł, miała ochotę wtulić twarz w jego szyję i w ten zapach. Chciała skosztować mięty w jego oddechu. Na pewno nadchodząca pełnia wzmacniała jej czułość na płęć przeciwną. Kurczę, jeśli tylko zdoła przetrwać pełnię, to może ten chłopak całkiem przestanie jej się podobać.

Miała taką nadzieję.

A potem uświadomiła sobie, że poprzedniego dnia wcale nie kusił jej ani zapach Cary’ego, ani nawet

jego pocałunek.

– A jest dobry? – Brandon jeszcze bardziej spochmurniał.

– Nie przepadasz za porankami? – I znów to zrobiła. Uśmiechnęła się. Co w tym facecie sprawiało, że chciała być szczęśliwa? I wtedy coś zrozumiała. Chodziło nie tylko o to, by to ona była szczęśliwa. Pragnęła, żeby on też był szczęśliwy. Czy to bliźny? Czy uznała, że jego także prześladowały demony? Czy też chodziło o smutek jego oczu, tak podobny do tego, co widziała we własnym lustrze?

Czy Brandon Hart był skrzywdzony?

– Zwykle nie mam problemów z porankami, jeśli tylko w nocy spałem.

„Ja też nie spałam”.

– Coś nie pozwalało ci zasnąć? – zapytała z przedziwną nadzieją, że jej się zwierzy.

– Tak. – Wzruszył ramionami i rozejrzał się wokół. Jego wzrok zatrzymał się na dzwoneczkach, które wciąż delikatnie brzęczały.

Spojrzała na niego. Podobało jej się, jak jego wciąż wilgotne włosy skręcały się na końcach. Nie podobało jej się natomiast, że cały czas ukrywał przed nią lewy profil.

– Martwisz się otwarciem? – zapytała.

– Potrzebuję kofeiny.

No dobra, czyli nie chciał wyjaśnić, czemu nie spał w nocy. Wyraźnie uważał na to, co mówi, i nie chciał, by się za bardzo do niego zbliżyła, a to znaczyło, że ona powinna robić to samo.

Powinna. Ale i z powinnościami nie bardzo sobie radziła. Jej naturalnym odruchem było działanie na przekór powinnościom, zupełnie jakby w głębi duszy chciała być buntownikiem.

Rozdział 5

Fredericka przeszła z nim na drugą stronę domu, gdzie mieściło się biuro. Dotarli do kuchni pomalowanej na jaskrawą żółć z czerwonymi elementami. Nie wyglądała na kuchnię mężczyzny. Frederice przypomniała się siostra Brandona. Czyżby tutaj mieszkała?

Brandon stanął przy blacie i spojrzał na nią, pokazując nieporanianą stronę twarzy. Już miała zapytać go o siostrę, gdy się odezwał:

– Masz ochotę na kawę?

– Jakoś nigdy nie przypadła mi do gustu, ale uwielbiam jej zapach.

Nalał sobie kubek kawy i odwrócił się do niej, ale nadal skrywał blizny. Frederice nie umknął fakt, że doskonale wiedział, jak daleko może przesunąć głowę, by widziała oboje jego oczu, ale nie bliznę pod kością policzkową.

Ich spojrzenia spotkały się. W jego niebieskich oczach widziała zmęczenie. Dziwne, ale ona też to czuła. Cisza szybko stała się niezręczna.

– Myślałam o tym, co należy zrobić na zewnątrz. Chciałbyś usłyszeć moje propozycje?

– Pewnie. – Pociągnął łyk kawy. Para uniosła się i zebrała pod daszkiem jego czapki.

Opowiedziała mu o swoich pomysłach: farbie, roślinach, szyldzie. Słuchał, popijając kawę.

– Myślałem o tym samym, poza farbą. Nie jestem pewny, czy z tym zdążę.

– Jeśli ci pomogę, to zdążysz.

– Malujesz? – zapytał.

– Tak. – Zignorowała esemesa, który zapiszczał jej w kieszeni.

– Musisz odebrać? – zapytał.

– Sprawdzę później – odparła, czując, że to od Cary'ego.

Rano napisał do niej, że chce porozmawiać, ale ona przekazała mu już wszystko, co miała do powiedzenia.

– Chodź, pokażę ci coś. – Zabrał ją do garażu.

Poczuła zapach świeżej farby. Na stole warsztatowym zobaczyła szyld z napisem Galeria Fallen. Był żółto-czarny i miał czerwone dodatki. Trochę jak kuchnia, ale nie był tak jasny. Był elegancki i gustowny. Fredericka spojrzała na Brandona i się uśmiechnęła.

– Właśnie tak to sobie wyobrażałam. Może pomalujemy ganek tym samym odcieniem żółci? A potem moglibyśmy zasadzić żółte i czerwone kwiaty. Potrzebujesz też tabliczki z godzinami otwarcia. I może ławeczki na ganku. No wiesz, dla prawdziwych mężczyzn, których nie interesuje sztuka i którzy czekają

na swoje żony czy dziewczyny.

Wpatrywał się w nią i popijał kawę. Temperatura w garażu wydawała się co najmniej o pięć stopni niższa niż w domu i nad jego kawą znów pojawiły się smużki pary. Jego milczenie sprawiło, że zaczęła się niepokoić.

Czy uznał, że była zbyt chętna do działania? Czy za bardzo się wtrącała, proponując tyle rzeczy? Okazując zbyt dużo entuzjazmu?

– Uważasz, że prawdziwi mężczyźni nie interesują się sztuką? – zapytał, ale w jego głosie słychać było żartobliwy ton.

– Nie. Chodzi mi o koleśki w typie macho, którzy mają w nosie wchodzenie do galerii.

Uniósł brew i dostrzegła uśmiech w jego oczach.

– A więc uważasz, że mężczyźni interesujący się sztuką nie są macho?

– Tego nie powiedziałam – odparła, nie wiedząc, jak zareagować. Czy on z nią flirtował? Czy chciała, żeby to robił? O tak, zdecydowanie. Ale czy to dobry pomysł? Spojrzała na jego zasłonięte czapką czoło, ale szybko odwróciła wzrok, bojąc się, że uzna, iż gapi się na jego blizny.

– Masz ochotę pojechać ze mną do miasta i pomóc mi w wyborze farby i kwiatów?

– Bardzo chętnie.

Skinął głową.

– Zaczekaj chwilę, przyniosę ci kask. – Wyszedł, zostawiając ją samą w garażu.

– Kask? – Jej głos odbił się echem w zimnym, pustym pomieszczeniu.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że obok srebrnego chevroleta malibu stoi czerwony motocykl. Nigdy nie jeździła motocyklem. Widziała wiele kobiet obejmujących w pasie przystojnych mężczyzn pędzących w dal. Zawsze im zazdrościła. Miały kogoś, kogo mogły się trzymać. W jej życiu były momenty, gdy dotkliwie czuła brak kogoś, kogo mogłaby się przytrzymać.

Spojrzała na motocykl i uświadomiła sobie, jak blisko siebie musieliby siedzieć. Przeszedł ją dreszcz emocji i strachu.

– Masz. – Wrócił z dwoma kaskami w rękach, wciąż pokazując tylko profil bez blizn. Czapeczkę zastąpił niebieskoczarą bandaną, spod której wystawały ciemne włosy. Na ramiona narzucił ciemnobrązową skórzaną kurtkę. Była wypłowiała, znoszona i wyglądała na ciepłą. W tym momencie poczuła, że mimo koszuli z długim rękawem dostaje gęsiej skórki.

Potarła ramiona i spojrzała na kaski.

Podał jej jeden. Wzięła go bez zastanowienia. A potem nałożył swój. Odwrócił się i z kołka na ścianie zdjął drugą skórzaną kurtkę.

– Wiatr sprawia, że wydaje się znacznie zimniej. – Podał jej czarną kurtkę.

Spojrzała znów na motocykl. Wyobraziła sobie, jak na nim siedzą, jak przyciska ciało do jego ciała, obejmuje go w talii. Nie spodziewała się, by było jej zimno.

W jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy, a ciało aż zadrżało z oczekiwania.

– Jak... jak przywieziemy farbę?

– Och, tylko ją kupimy i zamówimy transport.

– Ale... moglibyśmy wziąć samochód. – Spojrzała na chevroleta.

– Nie jest mój... Należy do mojej siostry. – Spojrzał na drzwi prowadzące do domu i się zamyślił.

– To jedźmy moim – odparła. – Zaparkowałam na zewnątrz.

Przyjrzał jej się uważnie, wciąż trzymając czarną kurtkę.

– Jeździłaś kiedyś na motocyklu?

Potrząsnęła głową.

– Boisz się? – zapytał wyzywająco.

– Nie – odparła, chociaż wiedziała, że kłamie. Tylko że z innych przyczyn, niż mu się wydawało.

– No to chodźmy. – Przerzucił kurtkę przez ramię, wszedł na motocykl i spojrzał na Frederickę. – Pakuj się.

Te słowa zabrzmiały jak wyzwanie. Serce jej waliło. Mogła mu odmówić. Mogła, ale zamiast tego nałożyła i zapięła kask.

I czując, jak jej ciało aż drży w oczekiwaniu, podeszła do niego. Podał jej kurtkę.

Wzięła ją, a gdy ich palce się dotknęły, miała wrażenie, że przeszył ją prąd. Brandon obserwował, jak Fredericka nakłada i zapina kurtkę. Była duża, ale przyjemna i ciepła, a do tego miała jego zapach.

– Wsuń się za mnie. – Kask kompletnie zasłaniał blizny.

Spojrzeli sobie w oczy. Uśmiechnął się. I rzeczywiście, jego uśmiech zapierał dech, tak jak to sobie wyobrażała. Odpowiedziała tym samym.

– Wskakuj – powiedział.

Zrobiła tak, jak mówił, ale zostawiła między nimi kilka centymetrów przerwy.

– Obejmij mnie w pasie – powiedział cicho.

Wciągnęła powietrze i położyła dłonie na jego bokach. Skóra pod jej palcami była chłodna, ale wilkołaczycza czuła głównie jego, jego wąską talię. Pamiętała, jak wyglądał bez koszuli.

Serce zabiło jej mocniej i poczuła, jak zapiera jej dech. Mogłaby przysiąc, że usłyszała, jak Brandon gwałtownie łapie powietrze, jakby też to poczuł.

– Widzisz silnik? – Wskazał do tyłu prawą ręką.

– Tak – wyjąkała.

– Jest gorący. Uważaj, by nie dotknąć go nogą. Trzymaj stopy na podnóżkach. Widzisz je?

– Tak. – Postawiła na nich buty.

Chłopak nacisnął coś przy kierownicy i otworzyły się drzwi garażowe. Odpalił silnik. Motocykl wyrwał do przodu i sprawił, że Fredericka przywarła do Brandona. Jej biust naparł na jego łopatki. Zaczęła się zastanawiać, czy zrobił to specjalnie. Nie gniewała się jednak. Ta bliskość była cudowna.

Przesunął jej rękę tak, by obejmowała go w pasie.

– Musisz się mocno trzymać.

Przycisnęła przedramię do jego brzucha. Czują jego twarde mięśnie i to, jak nabierał powietrza. Niepewnie objęła go również drugą ręką.

Wpatrywała się w jego plecy w wytartej kurtce, a jego zapach mieszał się z aromatem skóry.

– Trzymaj się – powiedział.

Rozległ się ryk motoru. Odruchowo zacisnęła mocniej ręce, a potem ruszyli. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, a ryk silnika poruszał zmysły.

Kiedy skręcił, motocykl przechylił się bliżej ziemi. Złapała się trochę mocniej. Motocykl niósł ich tak, jakby byli jednym tworem. Z zaskoczeniem stwierdziła, że temperatura ciała Brandona jest prawie taka sama jak jej. A wilkołaki mają wyższą temperaturę niż ludzie. Czy to możliwe, by płynęła w nim też krew wilkołaków?

Odwrócił głowę.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparła, uświadamiając sobie, że się uśmiecha. – Fajnie.

– Wiem. – Drzenie silnika przeszło na jej ciało. Przypominało jej mruczenie samca wilkołaka, kiedy zbliżał się do potencjalnej partnerki. I chociaż starała się z tym walczyć, to czuła, że jej ciało na to reaguje.

Jechali dobry kwadrans. I to nie do sklepu. Minęli miasto i wyjechali na jakąś trasę widokową wśród drzew, które przybrały już jesienne kolory. Mknęli krętymi drózkami, aż dotarli nad jezioro, w którym przeglądały się drzewa o czerwonych i pomarańczowych liściach.

Wyłączył silnik i opuścił nogi, by utrzymać motocykl w pionie. Nie odzywał się, tylko podziwiał widoki. Fredericka siedziała bez ruchu, wciąż obejmując go w pasie.

– Piękne – powiedziała w końcu. Mówiła nie tylko o widoku, ale też o tej chwili. Poczuciu wolności, jaką daje jazda. Ciepłe jego pleców przy jej piersi. Uczuciu, że ma się kogo trzymać.

– Wiem. Tak spokojnie, prawda?

– Tak. – Pomyślała o wodospadach i o tym, że to naturalne piękno przypominało tamto, ale brakowało mu tej mocy. Jednak fakt, że była tu z Brandonem, sprawiał, że to miejsce robiło na niej równie duże wrażenie.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tej wycieczki.

– Nie, podobała mi się.

– To dobrze. – Zamilkł.

Słysząc tylko odgłosy natury. Zakwakała kaczka. Pluskająca się ryba zburzyła lustro wody. Brandon znów popatrzył na jezioro.

– Skąd jesteś, Ricko?

Wzdrygnęła się, gdy użył zdrobnienia, ale odpowiedziała:

– Jestem prawdziwą Teksanką. Mieszkałam głównie w okolicach Dallas, a ty?

– Urodzony w Houston, ale większość życia spędziłem w Los Angeles.

Dziwnie się czuła, prowadząc tę rozmowę z kimś, czyjej twarzy nie widziała. Przyszło jej do głowy coś smutnego. Może z powodu swoich blizn tak czuł się bezpieczniej?

– Co cię sprowadziło do Fallen? – zapytała.

– Moja siostra – odparł, a ona poczuła, że cały się spiął, jakby się zdenerwował.

Minęło kilka chwil.

– Od jak dawna robisz biżuterię?

– Jakies dwa lata. Poszłam kiedyś na jarmark renesansowy, zobaczyłam, jak ktoś to robi, i resztę dnia spędziłam na obserwacji. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Ile nagród wygrałeś za swoje prace?

– Skąd wiesz, że coś wygrałem? – zapytał skromnie, a gdy nie odpowiedziała od razu, dodał: – Chyba nie szukałaś mnie w Google’u?

– Nie, widziałam twoją rzeźbę konia, pamiętasz? Jest cudowna. Musiałeś wygrać jakieś nagrody. Ale... skoro już o tym wspomniałeś, to pewnie po powrocie do domu cię wygoogluję.

Roześmiał się.

– Wygrałem z tuzin. I googlowałem ciebie.

– Tak?

– Owszem. – Zamilkł. – Nic nie znalazłem. A to trochę dziwne. Dlaczego?

Rozdział 6

To dziwne? – zapytała Fredericka.

– Tak. Ani konta na Twitterze, ani przyjaciół na Facebooku.

„Żadnych przyjaciół”.

– Nie pociąga mnie to – skłamała.

Znów nastała cisza. Fredericka postanowiła zmienić temat.

– Czemu zacząłeś rzeźbić w drewnie?

– Tak jak w twoim przypadku. Zobaczyłem, jak robi to inny artysta. Zawsze lubiłem sztukę, ale kiedy zobaczyłem jego dzieła, to zrozumiałem, że właśnie w ten sposób chcę pracować. – Znów skoczyła ryba, a nad ich głowami przeleciało stado ptaków. – Chyba powinniśmy jechać na zakupy.

– Pewnie tak – zgodziła się.

Droga powrotna była równie imponująca. Podczas jazdy Fredericka uświadomiła sobie, że w odróżnieniu od Cary’ego Brandon się nią interesował. Kilka minut później zaparkował przed składem budowlanym. Puściła go po raz pierwszy, od kiedy wyruszyli z galerii, i wcale nie miała na to ochoty.

Zeskoczył z motocykla, a ona za nim. Odpinając kask, patrzyła na Brandona, z nadzieją, że może wreszcie zobaczy jego wzór. Kiedy jednak zdjął kask, bandana pozostała na miejscu. I znów pokazywał jej tylko prawy profil.

Weszli do sklepu. I chociaż to dziwne, brakowało jej jego dotyku. A kiedy położył jej dłoń na plecach, zaczęła się zastanawiać, czy czuł to samo. Zwłaszcza że jego delikatny dotyk przyprawiał ją o przyjemne dreszcze.

Najbliższe wejście prowadziło do działu ogrodniczego.

– Może poszukasz odpowiednich kwiatów? Ja pójdę zapytać kierownika, czy dadzą radę dostarczyć nam wszystko na jutro.

– Dobra. – Zrobiła kilka kroków, a potem odwróciła się, by na niego popatrzeć.

On też zrobił kilka kroków i również się do niej odwrócił. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Fredericka poczuła, jak przepełnia ją coś ciepłego i cudownego.

Zawstydzona, poszła szukać odpowiednich kwiatów. Skręciła w alejkę, gdy usłyszała, jak jakiś damski głos woła:

– To ty, Brandon?

Przesunęła się tak, by móc wyglądać zza fiołków, ale by jej nikt nie zauważył, i patrzyła, jak do Brandona podchodzi jakaś kobieta. Wyglądała na trzydzieści lat. Miała jasnoblond włosy związane

w kucyk.

– Katie – powiedział Brandon.

Pierwsze, co zauważyła, to że Brandon nie krył się przed tą kobietą ze swoimi bliźniami. A drugie, to jak obejrzał się, by sprawdzić, czy Fredericka jest w zasięgu wzroku.

– Tak. – Brandon znów spojrzał w stronę, gdzie przed chwilą stała.

– Odebrałam twoją wiadomość. – Uścisnęła go.

Fredericka pomyślała nagle, że może ta kobieta jest jego dziewczyną. Wydawała się dla niego trochę za stara, ale może takie lubił?

– Przepraszam, ale w czwartek i piątek nie było mnie w mieście. Potrzebujesz czegoś? – Spochmurniała. – O rany. Wiadomo coś nowego?

„Nowego o czym?”

– Nie, nadal nic. Przyjechał do mnie szeryf, ale nie miał nic nowego do powiedzenia.

Fredericka przechyliła głowę, zaciekawiona, by niczego nie uronić.

– Przykro mi – powiedziała kobieta.

„Czemu jej przykro?”

– Tak. – Brandon znów rzucił okiem w alejkę. – Zadzwoiłem, ponieważ... zatrudniłem jedną z twoich uczennic i... No wiesz, chciałem się czegoś o niej dowiedzieć.

„Uczennica?” Czy on mówił o niej? Fredericka poczuła, jak się spina, gdy uświadomiła sobie, że nie powiedziała Brandonowi, do której szkoły uczęszcza, ale jako adres do korespondencji podała szkołę. Pewnie uznał, że chodzi do liceum w Fallen.

– To Ricka Lakota – odezwał się Brandon.

Frederickę zatkało. Nie powinna się oburzać, że chciał ją sprawdzić, zanim ją zatrudnił, ale odebrała to jak policzek. W końcu oceniano ją przez całe życie.

– Nie uczę nikogo o takim nazwisku – odparła kobieta.

– Jest w ostatniej klasie.

– Nie. – Katie potrząsnęła głową.

– Czy w okolicy jest jeszcze jakaś szkoła? – zapytał.

– Liceum Parkera, ale to jakieś czterdzieści kilometrów stąd. A, chwila. – Kobieta się skrzywiła. – Jest jeszcze ta szkoła dla dzieciaków z problemami. Wodospady czegoś tam... Myślisz, że jest stamtąd? To znaczy, widziałam w mieście kilkoro dzieciaków z tej szkoły i powiedzmy, że czułam się przy nich nieswojo.

Frederice żołądek się skręcił.

– Musiałem źle zrozumieć – odparł Brandon, ale coś w jego głosie mówiło Frederice, że doskonale wiedział, że nie.

I co zamierzał z tym zrobić? Niepokój zaczął zagłuszać radość, która ją przepelniała przez ostatnie kilka godzin.

– Znalazłaś odpowiednie kwiaty? – zapytał Brandon, stając obok niej.

– Tak, myślałam o tych żółtych i tamtych czerwonych. Zmarnieją, jeśli przyjdzie mróz, ale w tych okolicach chyba rzadko się to zdarza.

– To prawda – przyznał. – Chcesz zobaczyć farby?

– Tak. – Spojrzała na niego.

Nadal pokazywał jej tylko zdrowy profil, chociaż nie ukrywał blizn przed Katie. No i zauważyła, że odrobinę zmienił ton głosu, jakby już jej nie ufał.

A to bolało.

„A nie powinno”, powtarzała sobie. Bez przerwy podlegała ocenom. Tylko nie w świecie ludzi. Czemu tu miałoby być inaczej?

Wybrali farby, kupili narzędzia malarskie, zapłacili za wszystko i zamówili dostawę na następny dzień. Brandon prawie się do niej nie odzywał. Zauważyła też, że nie ukrywał swoich blizn przed sprzedawcą.

Trzymając niewielką torbę zawierającą drucianą szczotkę i skrobak, i najwyraźniej pamiętając ostrzeżenie Katie, Brandon wyprowadził ją ze sklepu.

Zakładając kask, zapytał:

– Masz w szkole plastykę?

Fredericka zamarła.

– Czemu nie zapytasz wprost, zamiast owijać w bawełnę?

Spojrzał na nią, na moment zapominając o swoich bliznach, po czym odwrócił głowę.

– O co?

Wyprostowała się i postanowiła wziąć byka za rogi.

– Słyszałam, co ci mówiła ta kobieta, Katie.

Zamrugął, lekko zaskoczony, ale zupełnie niezmiyszany.

– Jak mogłaś słyszeć, skoro nie było cię w pobliżu.

– Nie wiem, może głos się niósł. Ważne, że słyszałam.

Przez kilka chwil wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Dobra. – A po kolejnej chwili dodał: – Do jakiej szkoły chodzisz?

Uniosła brodę, by nie wyglądać na zawstydzoną.

– Do szkoły w Wodospadach Cienia. I zauważ, że nigdy tego przed tobą nie ukrywałam. Masz to zapisane w umowie obok mojego adresu. To nie moja wina, że źle to zrozumiałaś. I nie jest moją winą to, że niektórzy lubią oceniać innych, nie znając faktów.

Zmarszczył brwi.

– Zakładam, że odnosisz się do wypowiedzi Katie na temat tej szkoły.

– Słusznie zakładasz.

Stał i milczał trochę za długo.

– No dobra. A jakie są fakty? Co to za szkoła?

Fredericka pamiętała, jak Holiday wyjaśniała jednemu z mieszkańców miasteczka, czym jest szkoła, i powtórzyła to prawie słowo w słowo.

– To obóz i szkoła dla utalentowanych dzieciaków. Nastolatków, którzy są trochę inni, ale potrzebują przestrzeni do rozwoju. Obóz powstał ponad cztery lata temu i od tamtej pory nie aresztowano ani jednego ucznia. Wątpię, żeby to samo można było powiedzieć o liceum w Fallen.

– Byłaś kiedyś aresztowana? – Stał bez ruchu.

To pytanie ją zabolalo.

– Byłaś? – spał się. – Zatrudniłem cię.

– Wiem. A ja dla ciebie pracuję. I nawet widziałam, że była u ciebie policja. Ale nie jestem tak szybka w ferowaniu wyroków. – Uniosła głowę. – A w kwestii twojego pytania, nie, nigdy nie byłam aresztowana.

Policja nigdy nie została poinformowana o jej złych uczynkach. A nawet gdyby, to nie była pewna, czy sąd uznałby ją winną, chociaż ona czuła się za nie odpowiedzialna.

Westchnął.

– Policja nie była tam z mojego powodu. – Jakby oklapł. – Przepraszam. Chyba. – Skrzywił się.

– Chyba? – zapytała. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś przeprosił i cofnął przeprosiny na jednym oddechu.

– Tak, chyba. To znaczy, zatrudniam cię. Mam prawo zadawać pytania.

– A ja dla ciebie pracuję, więc chyba też mam takie prawo, tak? – zapytała.

Zanim odpowiedział i zanim zdążyła się zastanowić, co robi, zadała pytanie, które gnębiło ją najbardziej.

– Czemu ukrywasz blizny przede mną, ale nie ukrywasz ich przed Katie ani przed sprzedawcami?

Skrzywił się, odpiął kask od motocykla i podał jej. Spojrzał jej w oczy i tym razem nie odwrócił twarzy.

– Może bardziej przejmuję się tym, jak mnie widzisz, niż jak widzą mnie inni? – Jego słowa sprawiły, że cała złość ją opuściła. I natychmiast dotarło do niej, jaką była hipokrytką.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie szkodzi.

Słyszała to w jego głosie: nienawidził współczucia tak samo jak i ona.

– Nie, nie to miałam na myśli. – Zamilkła. – Chodziło mi o to... Nie powinnam mieć do ciebie pretensji o to, że ukrywasz blizny... podczas gdy ja... – Zdjęła kurtkę i zsunęła z ręki rozpiętą koszulę, którą zawsze nosiła na podkoszulkach. – Skoro nie tylko ty je chowasz.

Zrobił wielkie oczy na widok ściągniętych blizn wielkości łyżeczki od herbaty, które biegły wzdłuż jej przedramienia. Znała ich dokładną wielkość i wygląd, ponieważ to właśnie podgrzana łyżeczka je

wypaliła.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym je zamknął.

Potrząsnął głową i spojrzał na nią współczująco.

– Przykro mi.

– Nie szkodzi – powtórzyła jego słowa i nałożyła z powrotem koszulę, a na nią ciepłą skórzaną kurtkę.

I wtedy uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie pokazała nikomu swoich blizn z własnej woli. Czy zrobiła to dlatego, że on też je miał? Czy to dlatego ją pociągał?

Naprzeciwko nich zaparkował jakiś samochód. Brandon spojrzał w jego kierunku, a potem popatrzył na nią.

– Możemy porozmawiać o tym...

– ...później – dokończyła za niego i skinęła głową.

Nałożył kask, a ona już miała zrobić to samo, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Powiew wiatru przyniósł ze sobą woń wilkołaka. Wstrzymała oddech, poznając ten zapach.

– Fredericko, co ty robisz?

Rozdział 7

Fredericka odwróciła się i spojrzała na Cary'ego, który stał tuż za nią. Popatrzył na kask, który trzymała w ręku, a potem przeniósł wzrok na Brandona, a dokładniej na jego czoło, skryte pod kaskiem.

Wiedziała, że chciał zobaczyć jego wzór i pewnie uznał to za niegrzeczne, że Brandon go chował. A potem zauważyła, że uniósł odrobinę głowę i pociągnął nosem z nadzieją, że zapach Brandona powie mu, do jakiego należy gatunku.

Sądząc z zaskoczony miny nauczyciela, on też nie potrafił rozwikłać tej zagadki. Napięcie rosło tak szybko, że mózg Fredericki pędził pełną parą, by powstrzymać coś, co mogło się skończyć wielką katastrofą.

– Panie Cannon, to Brandon – odezwała się szybko. – Brandon Hart, właściciel galerii. Pomagam mu wykończyć galerię przed otwarciem. – Fredericka spojrzała na Brandona, który wydawał się równie zaskoczony, co Cary. – To Cary Cannon, mój nauczyciel historii.

Na te słowa Brandon się rozpogodził.

– Miło mi pana poznać. – Wyciągnął rękę.

Cary zignorował jego dłoń i znów spojrzał na Frederickę. Oczy zaczynały mu pałać.

– Jak jazda na motorze ma pomagać w przygotowywaniu przestrzeni wystawowej? – zapytał.

Fredericka wyczuła niepokój Brandona, gdy już opuścił dłoń. Spięła się i czuła, że zaczyna się jeżyć. Próbując zapanować nad gniewem, zamrugła i wzięła głęboki oddech.

– Wybieraliśmy farbę – powiedziała. – I właśnie szykowaliśmy się do odjazdu. Więc proszę nam wybaczyć. – Zaczęła nakładać kask.

– Możemy chwilę porozmawiać? – Cary złapał ją za łokieć. Trochę za mocno. Poczowała, że oczy robią jej się coraz cieplejsze, co oznaczało, że zaczynały świecić.

Kątem oka zauważyła, że Brandon przygląda się ściskającej jej łokieć ręce Cary'ego. Nie chciała kłopotów. Spojrzała na Brandona, modląc się, by nie było widać, że jej oczy świecą, i powiedziała:

– Przepraszam na moment.

Ruszyła przed siebie, ale Cary jej nie wypuścił. Odeszła kilka metrów, po czym odwróciła się plecami do Brandona i syknęła:

– Puszczaj!

Spełnił jej życzenie, ale sądząc z miny, nie pochwalał jej tonu. Na szczęście miała w głębokim poważaniu to, co pochwalał, a czego nie.

– Kto to?

– Mój szef – odparła, chociaż wiedziała, o co naprawdę pytał, ale była zbyt wkurzona, by odpowiedzieć.

– Wiesz, co mam na myśli.

Musiała wziąć kilka głębokich oddechów, by się trochę uspokoić i wyjaśnić mu to.

– Wiem tyle, co i ty. – Miała na myśli jego zapach.

– A mimo to się z nim spotykasz?

– Pracuję z nim w galerii. – To, że interesował ją inny rodzaj znajomości, nie powinno Cary'ego obchodzić.

– Myślę, że Holiday byłaby bardzo zawiedziona twoją postawą – warknęła.

– Holiday wie, gdzie jestem!

– W takim razie wiedz, że ja jestem zawiedziony twoją postawą. Od kiedy to obnosisz się z takimi jak on?

Szczęka jej opadła.

– Po pierwsze, nie obnoszę się. Po drugie, nawet gdyby, to mam do tego prawo. Więc daruj sobie.

– A co z nami? – warknęła.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie ma żadnego „my”? I nigdy nie było. Była tylko wizja nas. I już mi się ten pomysł nie podoba! I szczerze mówiąc, tobie też nie pasował, skoro zaplanowałeś, że jak tylko zacznie się lato, to wyjedziesz.

– Rzucasz mnie dla niego?

– Nie. Powiedziałaś mi to, zanim w ogóle poszłam na rozmowę do galerii.

– Ale nie zaprzeczysz, że między wami jest coś więcej, niż tylko układ pracodawca-pracownik?

– Nie muszę niczemu zaprzeczać.

– Dobra, ale pożałujesz tego – warknęła, a w jego głosie usłyszała groźbę.

Spojrzała w jego pałające oczy.

– Co to ma znaczyć?

– Holiday i Burnett mi wierzą. Jeśli powiem im, że mam z kimś problemy, to jak sądzisz, po czyjej stronie staną?

Natychmiast zrozumiała, co miał na myśli.

– Jakie problemy? Nic nie zrobiłam!

– Ale jak myślisz, komu szybciej uwierzą? Mnie czy któremuś ze studentów darmozjadów? – odparł. –

Więc może lepiej wrócisz teraz ze mną?

– Idź do diabła! Jestem pewna, że znajdzie się tam dla ciebie miejsce. – Nie wiedziała, co bardziej ją wkurzyło. Szantaż czy komentarz o darmozjadach. Bo, kurde, nie była darmozjadem. Już rozmawiała z Holiday o tym, że odda jej pieniądze.

Odwróciła się na pięcie i zostawiła Cary'ego.

Podeszła do obserwującego ich Brandona. Na jego twarzy malował się niepokój. Wiedząc, że jej wzrok pewnie pała z wściekłości na pomarańczowo, odwróciła głowę. Czowała, jak serce jej wali, i doskonale wiedziała czemu. Chodziło nie tylko o złość.

To był strach.

Jeśli powiem im, że mam z kimś problemy, to jak sądzisz, po czyjej stronie stanę? Cary miał rację, bez względu na to, co sobie myślała. Holiday i Burnett szybciej uwierzą jemu niż jej. Bo jak inaczej? W końcu ona była córką wyrzutka.

– Jedźmy – powiedziała, spuszczać wzrok i zakładając kask.

Brandon się zawahał.

– Dobrze, ale to też będziesz musiała mi wytłumaczyć. – Wsiadł na motocykl, a ona wsunęła się za nim.

Objęła go i nachyliła się do jego ucha.

– Cary Cannon jest dupkiem. Pasuje ci takie wyjaśnienie?

– Tego akurat domyśliłem się sam – odparł Brandon, odpalił motor i ruszyli.

Fredericka czuła, jak Cary wpatruje się w nich, dopóki nie zniknęli z parkingu. Trzymała się mocno przez całą drogę. Kiedy podjeżdżali pod galerię, zobaczyła, że zaparkował przed nią inny samochód.

– Cholera, mamy towarzystwo – mruknął Brandon.

Słyszała niezadowolenie w jego głosie i poczuła, że cały się spiął. Nie wiedziała, czy chodziło o to, że ich rozmowa się opóźni, czy też o to, że nie lubił osoby, która siedziała w srebrnym saturnie zaparkowanym przy skrzynce na listy. A może o jedno i drugie.

Frederice dawało to jednak kilka minut więcej na rozważania, jak odpowiedzieć Brandonowi na pytania o Cary'ego.

Otworzyły się drzwi do garażu i Brandon wjechał do środka.

– Zaraz wrócę. – Zdjął kask. Bandana nadal była na miejscu. – Jeśli chcesz, wejdź do domu, a ja niedługo dołączę. – Skrzywił się. – To były chłopak mojej siostry.

– Jasne. – Patrzyła, jak wychodzi, zastanawiając się, dlaczego to nie jego siostra zajmuje się kwestiami swojego chłopaka. A może po to właśnie są bracia? Skąd miała wiedzieć, skoro była jedynaczką?

Nie chcąc, by znów przyłapał ją na podsłuchiwanie, poszła do domu. Kiedy weszła do środka, znów uderzyło ją, jak pięknie wyglądają żółcie i czerwienie w kuchni. Ale chociaż kolory były ciepłe, to czuła chłód.

Przeszła do pomieszczenia, które niedługo miało stać się galerią. Wydawało jej się, że panuje tam dziwna cisza. Po chwili uświadomiła sobie, o co chodzi. Spojrzała na dzwonki. Nie ruszały się.

Szczelniej otuliła się kurtką i myśląc o tym, jak wyjaśnić zaborczość Cary'ego, podeszła do okna wychodzącego na podwórko. Zaparło jej dech, gdy ujrzała, nad czym pracuje Brandon.

Dzieło nie było jeszcze ukończone, wyrzeźbiona była tylko połowa drewna. Ale nie miała wątpliwości, co przedstawiało.

Wilka

Rozdział 8

Cholera, strasznie tu zimno.

Fredericka prawie podskoczyła, gdy usłyszała Brandona. Rzeźba wilka poruszyła ją tak bardzo, że nie usłyszała, kiedy wszedł.

– Rzeźbisz wilka? – Odwróciła się.

– Tak – odparł, a ona zauważyła, że patrzy wprost na nią, nie kryjąc już blizn. Jednak na czole wciąż miał bandanę.

– Czemu?

Wzruszył ramionami i stanął obok niej.

– Fascynują mnie. Mam to po babci.

Pociągnęła nosem, sprawdzając, czy nie wyczuje w jego zapachu choć odrobiny wilkołaka.

Wyczuła. A może tylko jej się zdawało?

– Czemu je lubiła? – zapytała, czując, jak od jego ramienia promieniuje ciepło. Ciepły jak wilkołak. To musiał być wilkołak, prawda?

– Była nietypowa. – Popatrzył przez okno. – Powiesz mi, o co chodzi z tym nauczycielem?

Zamknęła oczy i nagle uznała, że powie Brandonowi prawdę. Spojrzała na niego.

– Lubiałam go. Nigdy ześmy... To znaczy... – Wyjrzała przez okno. – Uznaliśmy, że ponieważ jest moim nauczycielem, to poczekamy z naszymi uczuciami, aż skończę szkołę. Ale... Ostatnio doszłam do wniosku, że tak naprawdę nie pasujemy do siebie.

– Bo okazało się, że jest dupkiem? – zapytał.

Uśmiechnęła się i znów na niego spojrzała. Miał takie niebieskie oczy, że chciała się w nich rozpuścić. I dopiero teraz zobaczyła, jaki jest wysoki. Był o dobre piętnaście centymetrów wyższy niż jej sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu.

Rzadko który mężczyzna sprawiał, że czuła się kobieco, a jemu jakoś się to udawało.

– Tak. – A potem przypomniawszy sobie groźbę Cary’ego i spochmurniała.

– Co zamierzasz zrobić? – Brandon uniósł brew.

– Z czym?

– Mówię o tym, że próbował cię szantażować.

Potrząsnęła głową.

– Jakim cudem...? Byłeś za daleko, żeby usłyszeć, co mówił.

– Nie wiem, może głos się niósł – powtórzył jej słowa. – Zawsze miałem bardzo dobry słuch.

I co jeszcze? Mało brakowało, a zapytałaby go albo ściągnęła mu z czoła bandanę.

– Skąd masz blizny? – zapytał.

Zachłusnęła się powietrzem i zupełnie zapomniała o jego wzorze. Powinna była wiedzieć, że jak pokaże mu blizny, to ją o to spyta. Ale pokazanie mu blizn na ciele było łatwiejsze niż pokazanie tych na duszy.

Kiedy nie odpowiedziała, zaczął mówić:

– Moja mama była alkoholiczką. Przez rok czy dwa wychodziła z tego, a potem znów wracała. I tak w kółko.

Wystarczył moment, by pochłonęła ją jego opowieść. Słuchała całym sercem, bo wyczuwała, jak ciężko mu o tym mówić.

– Kiedy jej się pogarszało, mieszkałem u babci. Czasami spędzałem tam pół roku albo więcej, aż mama znów trzeźwiała. Babcia zmarła, gdy miałem osiem lat. Kiedy mama miała zły czas, pomieszkiwałem u taty. Ona też tak to nazywała. Zły czas.

Zamilkł i wyjrzał przez okno.

– Miałem piętnaście lat i znów byłem z mamą w domu. Miałem już prawo jazdy. Przyjechała odebrać mnie z treningu. Była kompletnie zalana. Powiedziałem, że ja poprowadzę, ale się nie zgodziła. Wkurzyła się i z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego dla mnie powodu przekonała mnie, że mam się nie wtrącać.

Na moment zamknął oczy. Fredericka wyciągnęła rękę i splótła palce z jego palcami. Ich dłonie złączyły się jak dwa kawałki układanki.

– Nie zauważyła zakrętu i wjechała w drzewo. Nie zapięła pasów. Wyrzuciło ją przez szybę i zginęła na miejscu. Ja straciłem przytomność. Samochód zaczął się palić. Jakiś policjant zauważył wypadek i wyciągnął mnie.

Już chciała powiedzieć, że mu współczuje, ale pohamowała się, bo chociaż rzeczywiście mu współczuła, to słowa nie oddawały tego, co czuła. Ścisnęła mu tylko dłoń.

Przełknęła gulę w gardle i wiedząc, że jest mu winna to samo, zaczęła opowiadać.

– Mama umarła podczas mojego porodu. Został tylko tata i ja. On był... Powiedzmy, że był na bakier z prawem. Ale kochałam go... chyba dlatego, że nie miałam nic oprócz tego. Wiecznie uciekaliśmy. Tata kazał mi pilnować swoim dziewczynom. Miałam pięć lat. Ta była... naćpana. Nie wiem, co zażyła, ale jak to wzięła, zrobiła się niemila. Była zdania, że niebite dzieci wyrastają na rozwydrzone bachory. Tylko, że... zamiast bić, używała podgrzanej łyżeczki.

– O kurde! – Odwrócił się, objął ją i przyciągnął do siebie.

Jej głowa znalazła się w tym idealnym miejscu na jego ramieniu. Dzięki jego ciepłu, zapachowi i objęciom ból w piersi trochę zelżał.

Stała tak, tuląc się do niego. I nagle się zorientowała, że niepokojąca cisza, którą zauważyła wcześniej, zniknęła. Dzwonki, które zdawały się grać same z siebie, znów się odezwały.

W końcu odsunęła się trochę, oparła brodę na jego piersi i spojrzała na niego.

– Jesteśmy żalną parą, co? – zapytała żartobliwie.

Potrząsnął głową.

– Nie – odparł poważnie. – Jesteśmy wspaniali. Zobacz, przez co przeszliśmy.

Na te słowa ścisnęło ją w piersi.

– Ty tak, ale... ja nie zasługuję na taką ocenę. Nie znasz mnie jeszcze. – „A kiedy poznasz...”

Opuścił głowę. Ich czoła się zetknęły.

– Coś mi mówi, że to ty oceniasz się za nisko.

Ich spojrzenia się spotkały. Była pewna, że zaraz ją pocałuje, ale w tym momencie jej telefon zapiszczał, informując o esemesie.

Nagle poczuła się skrępowana. Odsunęła się i wyciągnęła komórkę z tylnej kieszeni.

Wiadomość pochodziła od Holiday i była krótka:

Wrócisz przed czwartą. Potrzebuję samochodu. Holiday

Fredericka nie miała pewności, skąd to wie, ale była przekonana, że to robota Cary'ego. Zaczął wprowadzać swój plan w życie.

– Coś nie tak? – zapytał Brandon.

– Hmm... nie. – Uznała, że nie będzie w to wciągać Brandona. – Po prostu muszę wrócić... – spojrzała na zegarek – za dwie godziny. – I nie chcąc się teraz martwić, dodała: – Może weźmiemy się za zdzieranie farby z ganku? Przyjadę jutro po południu i zaczniemy malować.

– Naprawdę nie musisz tego robić – powiedział.

– Hej, sama to zaproponowałam, pamiętasz?

Uśmiechnął się.

– Dobra, wezmę narzędzia. A ty idź zobacz, co twoim zdaniem należy pomalować. Acha, i zamówię pizzę. O ile lubisz? Umieram z głodu.

– Pewnie, doskonały pomysł.

Kiedy wyszedł, znów spojrzała na komórkę. Wiadomość Holiday wciąż wyświetlała się na ekranie. Czuła, że musi wymyślić jakiś plan, bo inaczej Cary będzie się starał wszystko storpedować, zarówno jej pracę w galerii, jak i to, co rodziło się pomiędzy nią a Brandonem. Kurde, mógł nawet doprowadzić do wywalenia jej z Wodospadów Cienia. Tak, musiała coś wymyślić, i to szybko.

Zdążyli oczyścić z farby dolną część ganku, nim przywieziono pizzę. Jedli ją, siedząc na betonowych schodkach, i rozmawiali o pomysłach na galerię, o sztuce i pogodzie. Wyglądało na to, że mieli już dość rozmów na poważne tematy i chcieli pozostać przy czymś lekkim.

To było dobre.

I bezpieczne.

Kiedy dokończyli dużą pizzę pepperoni i dopili słodką mrożoną herbatę, Brandon przyniósł z garażu dwie drabiny, by mogli się zająć przygotowaniem do malowania górnej części ganku.

Fredericka zauważyła, że już prawie nie ukrywał przed nią swoich blizn. Czowała jednak, że wciąż o nich myśli, więc starała się nie patrzeć w tę stronę. Wciąż ją jednak kusilo, by spojrzeć na jego czoło, ale bandana zsunęła mu się na oczy.

Nie chciała, by pomyślał, że patrzenie na niego sprawia jej przykrość, bo było wręcz odwrotnie.

Miał na sobie tylko koszulkę i dżinsy. Miło jej się z nim pracowało i patrzyło, jak działał. Obserwowała każdy jego ruch. Widziała, jak mięśnie grają mu pod skórą. Kilka razy wyczuła, że on też jej się przygląda, i jedyne, co przychodziło jej do głowy, to ten pocałunek, w którym przeszkodził im esemes.

Niepokoiliła się, że pocałunek nie doszedł do skutku, bo Brandon, podobnie jak ona, bał się wchodzić z nią w związek, skoro była jego podwładną.

Chłopak postawił drabiny po obu stronach ganku.

– Uważaj, te drabiny są stare i niestabilne.

– Dam sobie radę. – Złapała drucianą szczotkę i zaczęła się wspinać. Brandon zrobił to samo. Pracowali w milczeniu. Nie była to jednak niezręczna cisza. Druciane szczotki wydawały przyjemny odgłos, szorując po drewnie. Co jakiś czas schodzili z drabin i przestawiali je. W pewnym momencie Fredericka odłożyła szczotkę na drabinę i sięgnęła do tylnej kieszeni, by sprawdzić na komórce, która godzina.

Brandon spojrział na nią.

– Za kilka minut będę musiała się zbierać – powiedziała.

– Już? Jak ten czas leci, kiedy człowiek się dobrze bawi.

– To prawda – odparła szczerze. Rzeczywiście, dobrze się bawiła. – Zajmę się jeszcze tym kawałkiem.

Schowała telefon do kieszeni i weszła stopień wyżej.

Była już prawie na samej górze, kiedy poczuła, że drabina zaczyna się przechylać. Pisnęła, gdy przyrząd poleciał w jedną, a ona w drugą stronę. Nie wiedziała jak, ale Brandon zdołał zejść ze swojej drabiny i ustawić się dokładnie pod nią. Spadła z wysokości półtora metra prosto w jego ramiona.

– Mam cię – powiedział, patrząc na nią z niepokojem.

Wstrzymała oddech, czując, że ją złapał. Trzymał mocno i nawet nie drgnął. Biorąc pod uwagę, że nie była kruszynką, była zaskoczona, że w ogóle zdołał ją utrzymać. Brandon był silny. Silniejszy niż przeciętny człowiek. Miał lepszy słuch i wyższą temperaturę.

Musiał być...

Zamrugła i w tym momencie zauważyła, że zgubił bandanę. Natychmiast spojrzała na jego czoło, by rozwiązać zagadkę, która gnębiła ją od chwili, kiedy go zobaczyła.

Czym był Brandon Hart?

Rozdział 9

Wpatrywała się w odpowiedź.

Człowiek. W większej części człowiek. Z pewną dozą wilkołaka i mniejszą elfa.

– Wszystko w porządku? – zapytał Brandon.

Czy jej rozbiegane spojrzenie go zdziwiło? Czy to znaczyło, że nie wiedział, kim jest?

Biorąc pod uwagę, że mniej więcej w siedemdziesięciu pięciu procentach był człowiekiem, pewnie było to możliwe. Nigdy nie żyła wśród mieszanek i nie miała pojęcia, co wiedzą, a czego nie. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że niektóre dzieciaki z obozu nie wiedziały o istnieniu istot nadnaturalnych, dopóki tam nie przyjechały.

A więc możliwe, że Brandon nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie jest w pełni człowiekiem.

– Wszystko w porządku? – powtórzył.

– Tak... jestem trochę... oszołomiona. A ty... jesteś bardzo szybki.

– Zawsze byłem szybki – odparł, wciąż tuląc ją do piersi.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś ją trzymał na rękach. A wyglądało na to, że nawet go to nie męczyło.

– I silny – szepnęła.

– Słucham? – zapytał.

– Mówiłam... że możesz mnie już postawić na ziemi.

– Co? – zapytał.

– Mówiłam... że możesz mnie postawić na ziemi.

Uśmiechnął się.

– Albo nie.

– Będziesz mnie tak trzymał cały dzień?

– To nie byłoby trudne. – Spoważniał. – Ale nie jestem pewien, czy rozsądne, co?

Postawił ją na ziemi.

Może nie należało drążyć tego tematu, ale słowa wymknęły jej się same.

– Bo niejako dla ciebie pracuję? – zapytała.

– Tak. To może być... trudne. – Przeczesał włosy palcami. – Pewnie powinniśmy to przemyśleć, zanim... na coś się zdecydujemy.

Westchnęła, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Chyba powinnam... – Wskazała samochód. – Jechać.

Skinął głową. Odwróciła się w stronę auta.

– Ricka – zawołał ją po imieniu, czy przydomku, ale co dziwne, tym razem nie brzmiało to tak źle.

Spojrzała na niego.

– Nie będziesz miała problemów z tym nauczycielem?

Potrząsnęła głową, niepewna, ale wciąż tak upojona jego dotykiem, że nie chciała się nad tym zastanawiać.

– Wszystko nowe może wydawać się trochę trudne.

Uśmiechnął się, ale widziała, że jest rozdarty.

– Wiem. – Podeszedł do niej i odgarnął jej z twarzy kilka kosmyków włosów. A potem nachylił się i jego usta dotknęły jej warg. Jego zapach, aromat przestrzeni, wypełnił jej zmysły. Smakował jak... pizza i trochę jak słodka herbata. Jego język tak łatwo wsunął się w jej usta, a ona wtuliła się w niego.

A potem, zanim jeszcze była na to gotowa, odsunął się. Przejechał ręką po twarzy, a ona językiem po dolnej wardze.

Westchnął.

– No dobra, pewnie nie powinienem był tego robić.

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że jednak zrobiłeś. Podobało mi się.

Odetchnął głęboko.

– Mnie też. W tym problem.

Uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy.

– Może to nie jest taki duży problem. Porozmawiajmy o tym jutro. Przyjadę po szkole. Możemy też malować.

Skinął głową. W tym momencie z wnętrza domu dał się słyszeć dzwonek telefonu.

– Do jutra – powiedział i uścisnął jej dłoń, po czym wbiegł do środka.

Fredericka wsiadła do samochodu, wciąż się uśmiechając i pragnąc, by już było jutro. Odpaliła silnik i zjechała z podjazdu. Odjeżdżając, spojrzała na dom. Wtedy ją zobaczyła.

Linda, siostra Brandona, stała obok domu, przed tym samym klombem, któremu przyglądała się poprzedniego dnia.

Czy jego siostra widziała, jak się całowali? I czy w ogóle przez cały czas, gdy oczyszczali ganek, była w domu?

Fredericka zamachała do niej, bojąc się, że Linda może jej nie lubić. Kobieta odmachnęła. Wilkołaczycy przyszło do głowy, że to niegrzeczne, tak odjechać, nawet się nie przywitawszy. Zjechała na pobocze i zaciągnęła ręczny. Wsiadła z samochodu, chcąc zamienić z siostrą Brandona kilka słów, ale kiedy spojrzała w stronę domu, Lindy tam nie było.

Zniknęła.

Fredericka stała bez ruchu, a zimny wiatr przyprawił ją o gęsią skórkę. Już miała wsiąść do samochodu, gdy usłyszała, a może poczuła, że ktoś za nią stoi. Obróciła się gwałtownie, ale nikogo tam nie było.

Tylko lodowate, zapierające dech zimno.

– Co się czuje, gdy w pobliżu jest duch? – wykrztusiła Fredericka, gdy tylko weszła do gabinetu Holiday. Nie mogła się otrząsnąć z upiornego wrażenia, jakie naszło ją przed domem Brandona.

Holiday spojrzała na nią zaskoczona, zupełnie jakby nie słyszała, kiedy Fredericka weszła.

– Co się stało?

Dziewczyna odłożyła kluczyki od samochodu na biurko i usiadła na krześle.

– Kiedy pojechałam na rozmowę o przyjęcie do galerii, spotkałam siostrę Brandona Harta. Była... cicha i zniknęła, a potem... to samo stało się dzisiaj.

– Mówisz o tej kobiecie? – Holiday przysunęła jej niedzielną gazetę.

Fredericka zobaczyła zdjęcie uśmiechniętej kobiety o sięgających za ramiona blond włosach.

– Tak, to ona.

Przeczytała pierwsze zdanie.

Zaginiona mieszkanka Fallen przypuszczalnie nie żyje.

Jęknęła.

Holiday zmarszczyła brwi i położyła dłoń na ręku Fredericki, która wciąż spoczywała na gazecie.

– Widziałaś ją?

Fredericka skinęła głową i spojrzała na Holiday. Z dłoni elfki popłynął do niej spokój, ale świadomość, że widziała ducha, a nawet z nim rozmawiała, znów wywołała przypływ paniki.

– Więc ona naprawdę...

Holiday skinęła głową.

– Cholera! – Fredericka zamknęła oczy i skupiła się na oddychaniu, by nie wpaść w histerię. Ale jak tu nie histeryzować? Widziała ducha. I to nie raz, ale aż trzy razy.

Holiday musiała wyczuć narastającą w niej panikę, bo położyła też dłoń na jej drugiej ręce.

– Już dobrze.

Fredericka otworzyła oczy.

– Jak to dobrze? Co w tym dobrego?

– Fredericko, wiem, że to przerażające, ale pomyśl, pomożesz jej i jej bratu.

– Jak?

– Linda Hart musi przejść na drugą stronę. Duchy zwykle zostają tu z jakiegoś powodu. A jej brat potrzebuje odpowiedzi. – Elfka uniosła brew. – Wszyscy potrzebują odpowiedzi.

Mimo paniki, Fredericka wiedziała, że Holiday odnosi się do koperty z listami od jej taty. Zupełnie jakby wilkołaczka nie miała już dość problemów na głowie.

Holiday westchnęła.

– Czy ona wie, że nie żyje?

– A skąd mam wiedzieć? Nie zdawałam sobie sprawy, że jest duchem, czyli ten temat nie pojawił się w naszej rozmowie.

Holiday tylko się uśmiechnęła, jakby miała nadmiar cierpliwości. Coś, czego Frederice zdecydowanie brakowało.

– Czy ma jakieś ślady urazów? – zapytała elfka. – Jakież rany?

– Nie. Wyglądała... dobrze. – Fredericka zamyśliła się. – Natomiast była w letnim stroju, nie na zimę.

Holiday skinęła głową.

– Z tego, co piszą w gazecie, zginęła pół roku temu, więc to ma sens.

Nagle Fredericka przypomniała sobie policję, którą widziała przed domem Brandona.

– Chyba nie posądzają o to jej brata?

– Nie. – Holiday spojrzała na gazetę. – Piszą, że przyjechał do miasta dopiero kilka miesięcy temu. –

Odchyliła się na krześle i puściła dłonie Fredericki. – Widziałś jego wzór?

Fredericka skinęła głową i przypomniała sobie, że właśnie o tym chciała porozmawiać z komendantką obozu, zanim znów zobaczyła Lindę.

– Jest mniej więcej w siedemdziesięciu pięciu procentach człowiekiem. Ma w sobie krew wilkołaków i trochę elfów.

– A wie o tym?

– O to właśnie chciałam spytać. Bo nigdy nie mówił o tym, że czymś jest. Ma jednak pewne wilkołacze zdolności, na przykład czuły słuch, jest też szybki i silny. Wiem, że odziedziczył to po babci, bo wspominał, że lubiła wilki. Czy to możliwe, że nadal o tym nie wie?

– Nawet bardzo prawdopodobne. Krew wilkołaków najłatwiej przegapić. Prawie nikt z domieszką wilkołaka mniejszą niż pięćdziesiąt procent nie przemienia się przy pełni, a zdolności tych istot wzrastają i zmniejszają się w zależności od fazy księżyca. Wielu ludzi, którzy wierzą w szaleństwo pełni księżyca, tak naprawdę ma w sobie trochę krwi wilkołaków, ale nie zdają sobie z tego sprawy. Często jedyną oczywistą oznaką zewnętrzną jest podwyższona temperatura.

Fredericka nabrała gwałtownie powietrza i przypomniała sobie, jaki był ciepły.

Holiday nachyliła się lekko.

– Myślisz, że jego babcia coś mu powiedziała?

Fredericka wzruszyła ramionami.

– Stwierdził, że była nietypowa.

Holiday sięgnęła po długopis.

– Więc może nawet powiedziała o tym rodzinie, ale nikt jej nie uwierzył.

Fredericka skinęła głową.

– Czyli mam mu nie mówić?

– Nie. – Holiday zmarszczyła brwi. – Natomiast uważa się, że samo przebywanie w towarzystwie kogoś o tym samym dziedzictwie wywołuje w osobie mieszanej krwi świadomość. Jeśli babcia mu coś powiedziała, to bardzo możliwe, że wyczuje, że to prawda.

– Czy to byłoby takie złe? – zapytała.

Holiday się zawahała.

– Możliwe. – Zaczęła się bawić długopisem i spochmurniała jeszcze bardziej. – A to znaczy, że praca u niego może spowodować pewne problemy. Wiem, że to wiele dla ciebie znaczy, ale czy jesteś pewna, że warto?

– Oczywiście, że tak! – odpowiedziała szybko Fredericka. – To moje marzenie. Proszę.

– Ja... – Holiday odłożyła długopis i zawahała się, jakby coś rozważała. – Nie chcę cię pozbawiać marzeń, Fredericko. Ale pan Cannon był u mnie wcześniej i powiedział, że się o ciebie martwi.

Fredericka zeszywniała. A więc miała rację. Cary już zaczął wprowadzać w życie swój plan. W pierwszej chwili miała ochotę powiedzieć Holiday o groźbie Cary'ego. Ale po co? I tak uwierzy jemu, a nie córce wyrzutka.

– Powiedział, że ostatnio nie jesteś sobą i że gorzej się uczysz. Wiem, że informacja o twoim tacie musiała cię zdenerwować. Nie chcę po prostu, żebyś brała na siebie więcej, niż zdołasz udźwignąć.

– Dam sobie radę – warknęła Fredericka. „Jak tylko wymyślę, co zrobić z Carym”. – I powiedziałam Brandonowi, że jutro po szkole pomogę mu w malowaniu.

Holiday wciąż patrzyła na nią z niepokojem. Czy Cary powiedział jej, że uważa, iż Fredericka interesuje się Brandonem?

Elfka skinęła głową.

– Sugerowałabym, żebyś się z nim za bardzo nie spoufalala.

– Dam sobie radę.

– Nawet z duchem? – zapytała Holiday.

– Tak – odparła wilczyca, chociaż na samą myśl przeszedł ją dreszcz. – Ale ten problem sam się rozwiąże, prawda? Ona przejdzie na drugą stronę?

– Z twoją pomocą – powiedziała Holiday.

„O kurde”.

– A... co właściwie mam zrobić?

Rozdział 10

Fredericka spędziła resztę dnia, pracując nad nowymi zestawami biżuterii i starając się nie panikować na myśl o tym, że musi się dowiedzieć od Lindy, jak zginęła. A kiedy już się tego dowie, będzie musiała wymyślić, jak powiedzieć o tym innym, nie zdradzając przy okazji, że potrafi rozmawiać ze zmarłymi.

Jak, do cholery, Holiday i inni, którzy mają ten tak zwany dar, radzą sobie i nie odchodzą przy tym od zmysłów? Gdyby Fredericka bardziej przyjaźniła się z Kylie, poszłaby do niej i zadała kilka pytań, a może nawet poprosiła o radę. Ale nie знаła jej aż tak dobrze. Z nikim nie była blisko.

W tym momencie pomyślała o tym, jak dobrze się czuła z Brandonem. *Sugerowałabym, żebyś się z nim za bardzo nie spoufalala*, przypomniała sobie słowa Holiday.

Fredericka mogłaby się założyć, że to oznaczało, że nie powinni się całować. No trudno, stało się. A gdyby spróbował tego ponownie? Kurde, wiedziała, że nawet nie starałaby się go zatrzymać.

Właśnie kończyła porządkowanie warsztatu, gdy zadzwonił jej telefon. Myśląc, że to Cary, skrzywiła się i sięgnęła po komórkę. Ale to nie był jego numer. A w każdym razie nie jego komórki. Kurde, chyba nie kupił telefonu na kartę, żeby nie mogła dowieść, że ją szantażuje?

– Halo? – zapytała, gotowa zrobić mu awanturę.

– Ricka?

Natychmiast rozpoznała głos Brandona. Wcale się go nie spodziewała.

– Cześć.

– Nie przeszkadzam? – zapytał.

– Nie. – Przypomniała sobie, że podała swój numer, podpisując umowę. – Właśnie odkładam narzędzia. Prawie skończyłam kolejną parę kolczyków.

– Ja też przed chwilą skończyłem pracę. – Nastąpiła chwila ciszy. – Wiesz... martwię się tym nauczycielem. Mam nadzieję, że nie robił ci żadnych problemów? Jeśli chciałabyś, żebyśmy z kimś pogadał, to daj znać.

– Nie, wszystko w porządku – skłamała.

Poza ostrzeżeniem nie zaszło nic niepokojącego. Poza tym bardzo uważała, by mieć potwierdzenie wszystkich prac domowych na wypadek, gdyby chciał stwierdzić, że ich nie odrabia.

– Dzwonię też z innego powodu – dodał.

– Tak? – zapytała i zaczęła się modlić, by nie powiedział, że jednak nie mogą się ze sobą spotykać.

– Nie, chciałem... Chciałem powiedzieć, że świetnie się dziś bawiłem i już tęsknię za jutrem.

– Ja też. – Uśmiechnęła się i po raz pierwszy zapomniała o tym, że musi się mierzyć ze zmarłymi, i poczuła się... szczęśliwa. Fredericka Lakota była szczęśliwa. A biorąc pod uwagę, od jak dawna tego nie czuła, to było cudowne. Usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę.

– Próbowałem sobie wmówić, że musimy z tym skończyć. I może to jest rozsądne posunięcie, ale wcale nie mam na nie ochoty.

– A co w tym złego? – zapytała, przesuwając palcem po przetartym materiale spodni na kolanie.

– Moglibyśmy zerwać ze sobą i wtedy nie chciałabyś tu pracować.

– Po pierwsze, sądzę, że jesteśmy na tyle dojrzały, że zdołalibyśmy jakoś sobie z tym poradzić, a po drugie... nie powinno się na nic decydować, jeśli się myśli, że to nie wyjdzie.

– Powiedziałem sobie prawie to samo – odparł, a ona mogłaby przysiąc, że usłyszała zgrzyt materaca. Czyżby był w łóżku? I chociaż to nie powinno mieć znaczenia, to ucieszyła ją ta myśl. Może nawet nie miał na sobie koszuli.

– Wiem, że to dziwne, ale czuję z tobą jakąś specyficzną więź. I nie chodzi tylko o nasze...

– ...blizny – dokończyła za niego, myśląc o słowach Holiday, że ci o mieszanej krwi czują pewną wspólnotę z innymi tego samego gatunku.

– Tak, wiem, że oboje jesteśmy artystami, ale to nawet nie o to chodzi.

– Ja też to czuję – odparła, zdziwiona, jak cienko zabrzmiał jej głos.

– To dobrze. Dzięki temu nie mam wrażenia, że to takie szalone. – Zamilkł na chwilę. – Powiedz mi coś o sobie – odezwał się powoli.

– Już i tak sporo wiesz – odparła, przestraszona, że jeśli dowie się o niej wszystkiego, to uzna, że jest zbyt... uszkodzona.

– Opowiedz więcej.

– Wolałabym nie – oparła się czołem o kolano. Radość, którą czuła, nagle zaczęła wisieć na włosku.

– Niemożliwe, żeby wszystko było złe.

– Właśnie że tak.

Zapadła cisza.

– A gdzie jest teraz twój ojciec?

Przełknęła z trudem.

– Nie żyje.

– Ile miałś lat?

Poczuła, że ból, który próbowała zdusić przez ostatnie kilka dni, wzmagają się.

– To się stało trochę ponad tydzień temu.

– Rany. Przykro mi. To musi być trudne.

– Nie widziałam go od ośmiu lat. – Gardło jej się ścisnęło. – Nie nazwałabym go najlepszym z ojców.

– To nieistotne. Tak czy inaczej, to twój tata – westchnął. Usłyszała, że znów się poruszył. Na pewno na łóżku. – Minęło dużo czasu, nim to sobie uświadomiłem. No wiesz, moja mama nie wygrałaby nigdy

nagrody na matkę roku, ale i tak ją kochałem, nawet kiedy jej nienawidziłem. I płakałem po niej. Na początku mnie to wkurzało. Miałem wrażenie, że cierpienie po jej śmierci to kolejny sposób, w jaki mnie krzywdzi. Ale to nieprawda. Trzeba opłakiwać bliskich.

Słuchając go, Fredericka zastanawiała się, skąd wiedział, co należy powiedzieć. W tym momencie przypomniała sobie bezduszne słowa Cary'ego o śmierci jej ojca i łzy napłynęły jej do oczu.

– Dziękuję – rzekła.

– Za co?

– Bo powiedziałaś to, co trzeba. – Otarła łzy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, jakby wiedział, że płacze.

– Tak. – Wzięła drżący oddech. – Przepraszam.

– Nie ma za co. Chcesz posłuchać trochę mojego marudzenia? Może poczujesz się lepiej.

– Dawaj – zachichotała.

Roześmiał się, ale czuła, że chodzi o coś poważnego.

– Moja siostra.

Fredericka spojrzała na gazetę, która leżała na stole. Przyniosła ją z gabinetu Holiday. Przeczytała cały artykuł, zanim zabrała się do pracy.

Ponieważ Brandon milczał, powiedziała:

– Przeczytałam o tym dziś po południu. – Zamilkła na chwilę. – Jak sądzisz, co się z nią stało?

– Co ja sądzę? Sądzę, że stał się ten dupek, jej chłopak. Ale nie mam dowodów. Nie mogę nawet dowieść, że nie żyje, a jestem o tym przekonany. Gdyby tylko znaleźli ciało, to... może wtedy by bydlaka wsadzili.

– Przykro mi – powiedziała.

– Mnie też. – Zamilkł. – Była moją przyrodnią siostrą. Tata był żonaty, nim wpadł z moją mamą. Linda była o dziesięć lat starsza ode mnie. Mówiła mi często „nie pyskuj mi tu, ja ci zmieniałam pieluchy”. Nie mieszkaliśmy ze sobą, ale widywaliśmy się po trzy, cztery razy do roku. Ale gdy po wypadku leżałem w szpitalu, przychodziła do mnie codziennie.

Łzy napłynęły Frederice do oczu. I nagle przestała się bać spotkania z duchem. Chciała ją zobaczyć. Chciała pomóc im obojgu.

– Przyjechałem ją odwiedzić, gdy się tu przeprowadziła – mówił dalej. – Szukaliśmy dla niej odpowiedniego miejsca i znaleźliśmy ten dom. Nie mogła sobie na niego pozwolić. Ja właśnie sprzedałem dwie duże prace, więc zaproponowałem, że jej pomogę, jeśli zgodzi się przerobić dwa frontowe pokoje na galerię, jak już będę miał do wystawienia cztery czy pięć rzeźb. A chcesz usłyszeć coś szalonego?

– Pewnie – odparła.

– Czasami ją czuję. Jakby tu była. – Usłyszała, jak westchnął. – Widziałaś te dzwonki, które wiszą w pokoju od frontu?

– Tak. – Frederickę przebiegł dreszcz, gdy przypomniała sobie upiorny dźwięk dzwonek. A potem tę ciszę, kiedy weszła do domu, a Brandon poszedł porozmawiać z... O kurde! Brandon powiedział, że facet w samochodzie był jednym z byłych chłopaków Lindy. Czy to był ten sam, którego podejrzewał o zabójstwo? Czy to dlatego ucichły? Czy Linda próbowała jej coś powiedzieć?

– Należały do niej – odezwał się Brandon smutno, a ją ogarnęło współczucie. – Zrobiła je. Mówiła, że nie jest artystką, ale nią była. Musiała tylko uwierzyć w siebie. Powiesiłem je zaraz po wykończeniu tego pokoju. Nie na sprzedaż, ale... chciałem, żeby w sklepie była jakaś jej część. Czasami dzwonią, chociaż w domu nie ma najmniejszego ruchu powietrza.

Następnego dnia Fredericka weszła na lekcję historii, ostatnie zajęcia tego dnia. Później zamierzała pojechać do galerii. Kiedy zobaczyła, jak stojący przy biurku Cary uśmiecha się do niej złośliwie, spróbowała opanować wściekłość. Robiła to nie dlatego, że tak wypadało. Zrobiła to, ponieważ aby go przechytrzyć i powstrzymać przed sprawianiem problemów, musiała zachować czujność. A wściekłość często zaślepia.

Cary spojrzął jej w oczy i wtedy to zobaczyła. Jeszcze nie skończył jej karać.

„No to jazda”, pomyślała. Musiała tylko ustalić, co zaplanował, by móc go powstrzymać. To nawet nie było takie trudne, wystarczyło zacząć myśleć jak dupek, bo właśnie nim był.

Przeszedł pod tablicę. A Fredericka zaczęła się zastanawiać, jak w ogóle mogła myśleć, że to jest ktoś, z kim chce spędzić życie.

– Dobra, oddajcie prace z dwudziestoma pytaniami, na które mieliście odpowiedzieć. I nie będę owijał w bawełnę, to będzie istotny element waszej oceny. – Coś w sposobie, jaki to powiedział, zaniepokoiło ją.

Fredericka spojrzała na swoją pracę. Poprzedniego wieczoru spędziła nad nią dwie godziny, upewniając się, że nie przegapiła żadnego pytania. Nie zamierzała dopuścić do tego, by oskarżył ją o nieodrobienie pracy domowej.

– Masz. – Della, wampirzyca i jedna z współlokatorek Kylie, która siedziała za nią, podała jej swoją pracę i trzy prace uczniów siedzących za nią. Fredericka zawahała się, a potem z rozmysłem nie dołożyła do sterty swojej i podała dalej.

Dopiero jak Cary zebrał wszystkie prace z pierwszego rzędu i położył je na biurku, Fredericka uniosła rękę.

– Przepraszam, nie położyłam na kupce mojej pracy.

Wstała i odwróciła się do Mirandy, która siedziała w następnym rzędzie. Pokazała czarownicy kartkę.

– Zobacz, zrobiłam wszystkie? – zapytała, jakby zaniepokojona.

Czarownica nachyliła się.

– Było dwadzieścia pytań? – dodała Fredericka.

– Tak. – Miranda skinęła głową i spojrzała na wilkołaczkę.

– Dobrze – odparła Fredericka i przy całej klasie położyła swoją pracę na wierzchu sterty.

Cary spojrzał na nią, a w jego oczach ujrzała złość. Lekko się zaczerwienił. Doskonale wiedział, co zrobiła. Kryła się. Ale uprzedzała go. Nie obchodziło jej, co wiedział ani jak bardzo się wkurzał, dopóki nie mógł więcej kłamać na jej temat.

Czterdzieści minut później dzwonek ogłosił koniec lekcji. Fredericka, gotowa do wyjścia, wstała jako pierwsza.

– Fredericko – odezwał się Cary. – Muszę z tobą chwilę porozmawiać.

Miała szczerą ochotę po prostu wyjść, ale wiedziała, że wykorzystałby to przeciwko niej. Stała tak, słuchając, jak inni się zbierają, i czekając na starcie.

Rozdział 11

Gdzie lecisz? – Cary zwrócił się do Fredericki, gdy tylko zamknęły się drzwi za ostatnim uczniem. Chciała mu powiedzieć, żeby pilnował własnego nosa, ale to tylko dołałoby oliwy do ognia. Więc skłamała.

– Nigdzie.

– To może zostaniesz i pomożesz mi oceniać prace?

Spięła się.

– Wolałabym nie.

Jego oczy przybrały jaśniejszy odcień błękitu. Niepokojący.

– Naprawdę nie chcesz mnie wkurzyć – powiedział tak złowieszczo, że prawie się wzdrygnęła.

– Nie próbuję cię wkurzyć, Cary. Ale to, co mogło być między nami, skończyło się. Daruj sobie.

– Skończy się, gdy ja tak powiem! – Zrobił krok w jej stronę. – I powinnaś się cieszyć, że w ogóle jestem zainteresowany. Myślisz, że nie wiem, że zostałam wychowana przez wyrzutków?

– A ty jesteś doskonałym dowodem na to, że dobre pochodzenie nie wyklucza wyrośnięcia na dupka. –

Odwróciła się i wyszła, nie okazując mu, że potrafił ją skrzywdzić. Wciąż jednak słyszała jego słowa i ciążyły jej one na sercu. Czasami sama podawała w wątpliwość swoją wartość.

Ten ból towarzyszył Frederice aż do chwili, gdy Brandon otworzył drzwi i uśmiechnął się do niej. A jego uśmiech mówił, że jest mile widziana i że cieszy się na jej widok. Że jej nie ocenia.

I w tym momencie poczuła, jak ciężar spada jej z serca.

– Wejdz – powiedział.

Przez moment miała wrażenie, że chciał ją pocałować. I pozwoliłaby mu na to.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do galerii.

– Chcę, żebyś zobaczyła mój projekt. Nie mogłem spać, więc pracowałem. – Przeszli przez dwa pokoje do tylnych drzwi i wyszli na zewnątrz.

Frederice zapało dech na widok stojącej na patio rzeźby wilka.

– Jest piękna – powiedziała, podziwiając jej realistyczny wygląd. – Rany, naprawdę piękna.

– Tak – odparł.

Spojrzała na niego. Nie patrzył na swoją rzeźbę, tylko na nią.

– Piękna – powiedział i podszedł bliżej. Objął ją w talii i wtedy pocałował.

Pocałunek zaczął się powoli, delikatnie, ale szybko stał się intensywniejszy. Fredericka prawie czuła, jak Brandon mruczy. Serce waliło mu mocno. Przesunął dłoń na skraj jej koszulki i dotknął jej talii. Jego palce na jej nagiej skórze sprawiły, że mocniej się w niego wtuliła. Że zapragnęła...

Odsunął się, oddychając gwałtownie.

– Przepraszam – powiedział, a oczy lśniły mu z emocji.

– Za co? – zapytała.

– Mieliśmy się nie spieszyć, prawda?

I to było pytanie. Czekał na jej odpowiedź. A ona wiedziała, o co naprawdę pytał. Z jednej strony chciała zaprotestować. Pragnęła tego. Tu i teraz poczuć tę magię i nie czekać. Ale rozsądek nakazywał co innego.

– To dobry pomysł.

– Dobrze – odparł. – Obiecuję, że będę grzeczny.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Obiecuję, że też się będę starać.

Roześmiał się.

– A więc ciężko ci utrzymać ręce przy sobie?

– Tak – odparła.

Przyciągał ją do siebie.

– To dobrze. – Położył jej palec na ustach. – Myślę, że powinniśmy zacząć malować.

– Tak – odparła i wysunęła się z jego objęć, mimo że było jej tak miło.

Weszli do środka.

– Czy tym razem zdołasz się utrzymać na drabinie? – zapytał kpiąco. – Czy znów będę cię musiał łapać?

– Może tym razem to ja cię złapię. – Uśmiechnęła się.

– Chciałbym to zobaczyć – odparł.

– Zdziwiłbyś się – stwierdziła, zastanawiając się z pewnym niepokojem, co by pomyślał, gdyby zdał sobie sprawę, jaka jest silna.

Byli już prawie w kuchni, gdy zaczęły grać dzwonki. Musieli to zauważyć w tym samym momencie, bo oboje natychmiast spowaźnieli.

– Mówiłem ci.

Fredericka słuchała. Tym razem melodia nie była taka smutna, lecz prawie... romantyczna.

Czy jego siostra ich obserwowała?

Fredericka spojrzała przez ramię na dzwonki i odetchnęła z ulgą, kiedy nie zobaczyła przy nich Lindy. Kiedy znów popatrzyła na Brandona, przypomniało jej się, że musi pomóc duchowi w przejściu na drugą stronę. Holiday powiedziała, że często się zdarza, iż zamordowana osoba zostaje, by wymierzyć sprawiedliwość swojemu zabójcy.

Brandon poszedł do garażu po farbę, którą najwyraźniej przywieziono tego ranka.

– Powiedziałaś policji, że według ciebie skrzywdził ją jej były chłopak? – zapytała.

– O tak. A myślisz, że czemu ostatnio się tu pojawił? Był oburzony, że powiedziałem policji, że może być odpowiedzialny za jej zaginięcie.

– Czemu uważasz, że mógł ją skrzywdzić? – zapytała, biorąc jedną drabinę i wychodząc z domu za Brandonem.

Chłopak postawił drabinę obok ganku.

– Bo dwa dni przed swoim zaginięciem powiedziała, że się strasznie pokłócili i że z nim zerwie. Wyznała nawet, że... trochę się go boi.

Przejechał ręką po twarzy, by opanować złość.

– Wkurzyłem się i stwierdziłem, że jeśli chodzi o chłopaków, to ma beznadziejny gust. I że to z powodu problemów z ojcem. I chociaż mówiłem prawdę, to boli mnie, że podczas naszej ostatniej rozmowy ją krytykowałem.

Fredericka położyła mu rękę na ramieniu.

– Jestem pewna, że ona wie, że się rozzłościłeś, bo niepokoiłeś się o nią.

– Mam nadzieję – odparł.

Następne dwie godziny spędzili na malowaniu ramię w ramię. Rozmawiali o sztuce i planach związanych z galerią. Poprosił ją, by wysłała mu kilka zdjęć swoich prac, żeby mógł zacząć wpuszczać je do sieci i rozkręcać interes. Poczwała, że cieszy ją wizja sprzedaży własnych prac.

Około piątej, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, skończyła ostatni fragment i powiedziała, że musi się zbierać. Ruszyła umyć pędzel.

– Może pójdziesz ze mną na obiad? – zapytał. – Przynajmniej tak mogę się odwdziżyć.

Tak bardzo chciała się zgodzić, ale coś jej mówiło, że powinna wracać do obozu i sprawdzić, co tym razem wymyślił na nią Cary. Poszła do garażu, gdzie był zlew, idealne miejsce na mycie pędzli. Brandon podążył za nią.

– Może nie dziś. Co powiesz na piątkowy wieczór? – zapytała, pamiętając o tym, że w czwartek jest pełnia i nie powinna się z nim przed nią spotykać, zwłaszcza że czuła pokusę.

– To jesteśmy umówieni – odparł.

– Świetnie.

– A co z jutrem? – zapytał. – Przyjedziesz pomóc mi sadzić kwiaty?

Zawahała się. Wiedziała, że nie powinna, ale kurde, nie miała ochoty czekać aż dwa dni na kolejne spotkanie. Tylko przy nim czuła się szczęśliwa.

– Pewnie – powiedziała.

– Nie musisz – odezwał się, jakby wyczuł jej wahanie.

– Ale chcę – odparła, odkręciła kurek i wsunęła pędzel pod wodę. – Nie będę mogła przyjść w czwartek. Muszę... pouczyć się do dużej klasówki.

– Mogę ci pomóc w nauce. – Podszedł bliżej.

Otarł się biodrem o jej biodro, wsuwając pędzel pod wodę. Jego dotyk sprawił, że poczuła mrowienie. Wypuściła pędzel i odwróciła się do niego. Stała na palcach i pocałowała go. Jego pędzel z brzękiem upadł do zlewu.

Objął ją i przytulił. Po kilku długich sekundach, ale szybciej, niżby chciała, odsunęła się.

– Gdybym przyszła się uczyć, to obawiam się, że nic bym nie zapamiętała, poza... błękitem twoich oczu i tym, że uśmiechasz się odrobinę krzywo, i tym, jak dobrze twoje usta pasują do moich.

Uśmiechnął się.

– Pewnie masz rację. – Przyłożył jej palec do ust. – Ale jutro się zobaczymy.

– Tak – odparła. – Chyba że coś mi wypadnie.

„Albo Cary zrobi coś, co uniemożliwi mi przyjazd”.

Kiedy odjeżdżała, Brandon stał na ganku i do niej machał.

Ledwie minęła dom, spojrzała w stronę, gdzie ostatnio widziała jego siostrę.

Zaparło jej dech, gdy ujrzała, że znowu tam jest i klęczy obok klombu. W tylnym lusterku zobaczyła, że Brandon wszedł do domu. Odjechała powoli, pamiętając słowa Holiday.

Musisz z nią porozmawiać. Kiedy znów ją zobaczysz, podejdź do niej. Zapytaj, czy pamięta, co się wydarzyło.

Ale kurde, Fredericka wcale nie miała na to ochoty. Ani trochę. A potem przypomniała sobie, co Brandon mówił o swojej siostrze. Jak bardzo chciał się dowiedzieć, co się stało. Musiała to dla niego zrobić.

Zjechała na bok i zatrzymała samochód. Wsiadła i ruszyła z powrotem. Linda dalej klęczała przy klombie. Z każdym krokiem Fredericka czuła, że robi się coraz zimniej. Dostała dreszczy.

Zatrzymała się jakiś metr od ducha i zmusiła się, by coś powiedzieć:

– Lindo?

Duch milczał, więc odezwała się znowu:

– Chcę pomóc.

Kobieta drgnęła.

– *Ja nie żyję, prawda?* – zapytała, a potem powoli spojrzała przez ramię.

Miała kompletnie zmiażdżoną połowę twarzy, a oko zwisało jej z oczodołu.

Fredericka krzyknęła. Chciała się cofnąć, ale potknęła się o własne nogi.

Wylądowała na tyłku i wciąż krzycząc, zaczęła się cofać na czworakach, gdy z domu wyskoczył Brandon.

– Co się stało?

Fredericka wciąż była przerażona. Spojrzała na jego siostrę, ale ta zniknęła.

– Ja... ja... – Gdyby powiedziała mu prawdę, uznaliby, że jej odbiło. – Upuściłam telefon i... zobaczyłam robala.

– Robala? – Wyciągnął do niej rękę.

Wstała bez pomocy.

Przyglądał jej się z niedowierzaniem.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto boi się robali.

Próbowała wymyślić coś sensowniejszego, ale nie, nic nie przychodziło jej do głowy, więc postanowiła obstawać przy swoim.

– Był wielki – warknęła. – Muszę lecieć...

I pobiegła.

Brandon wołał za nią, ale go zignorowała. Kiedy odjeżdżała, wciąż stał w tym samym miejscu i patrzył... jakby jej nie uwierzył w tego robala. A obok niego stała jego siostra i machała jej na pożegnanie. Oko wciąż jej dyndało na wysokości policzka, a przód sukienki splamiony był krwią.

I chociaż ten widok poruszył Frederickę, to jeszcze bardziej zaniepokoiło ją, że kiedy skręcała z głównej ulicy, rozpoznała samochód, który za nią jechał.

To był Cary.

Rozdział 12

Po tym, jak Fredericka prawie całą noc przewracała się z boku na bok, obudziła się w środowy poranek o godzinę za późno.

– Cholera! – Poderwała się z łóżka i stwierdziła, że lekcja już się zaczęła. Podeszła do szafy i wybrała czyste rzeczy.

Poprzedniego dnia po powrocie rozmawiała z Holiday i opowiedziała jej o tym, że siostra Brandona wie już, że nie żyje. Holiday poradziła jej, w jaki sposób zachęcić duszę, by się otworzyła.

Po prostu z nią rozmawiaj. Nie bój się.

Jasne! Jak można rozmawiać z kimś, komu oko wypadło z oczodołu, i się nie bać?

Prawdę mówiąc, to właśnie ostrzeżenie Holiday, że duch może przyjść do niej, a nie ona do ducha, sprawiło, że Fredericka nie mogła zasnąć.

No bo kto może spać, wiedząc, że w każdej chwili może go odwiedzić duch? W końcu zasnęła, ale dopiero po jakichś czterech godzinach. Oczywiście Cary też przyczynił się do tej bezsennej nocy. Nie śledził jej przez całą drogę do obozu. Nie, na to był za sprytny. W końcu ktoś mógłby go zobaczyć, i gdyby powiedziała Holiday o tym, że ją śledził, to komendantka obozu mogłaby jej uwierzyć.

W końcu ubrała się i zaczęła czesać.

Biorąc pod uwagę gniew Cary'ego, problemy, które sprawiał, oraz duchy, można by sądzić, że Fredericka sobie daruje i przestanie się spotykać z Brandonem. Ale nie. I chodziło nie tylko o jej miejsce w galerii. I nie o to, że była okropnie uparta.

Chodziło głównie o... niego. Jego towarzystwo sprawiało, że się uśmiechała. Będąc z nim, nie czuła się taka... zniszczona. Czuła się... piękna. Kobięca i szczęśliwa.

Spojrzała w lustro i stwierdziła, że nawet wygląda na szczęśliwszą. A to znaczyło, że po południu znów pojedzie do Brandona i... cóż, spróbuje spojrzeć duchowi w oczy. I uzyskać od niego niezbędne informacje.

Przypomniała sobie słowa Holiday. *Linda Hart musi przejść na drugą stronę. Duchy zwykle zostają tu z jakiegoś powodu. A jej brat potrzebuje odpowiedzi. Wszyscy potrzebują odpowiedzi.*

Czy Fredericka też ich potrzebowała?

Postanowiła o tym nie myśleć, bo za bardzo ją to bolało. Wsunęła stopy w wysokie buty i znów zaczęła myśleć o popołudniu i o tym, że spędzi czas z Brandonem.

Wyjeżdżając z obozu, musiała być wyjątkowo ostrożna, by Cary znów nie zaczął jej śledzić.

Musiała też jakoś ostrzec Brandona. Co prawda nie sądziła, by Cary próbował go skrzywdzić.

Wszyscy wiedzieli, że nie należy zadzierać z ludźmi, bo można narobić sobie problemów z radą wilkołaków. Cary może i był dupkiem, ale nie był na tyle głupi, by ryzykować pracę i styl życia, aby się na niej odegrać. A przynajmniej miała taką nadzieję. Boże, naprawdę miała taką nadzieję.

Spojrząwszy na zegarek, położyła się z powrotem do łóżka. Nie było sensu przerywać lekcji, by przyjść na kilka ostatnich minut. Próbowwała się zrelaksować, a potem poszła na drugą lekcję. Po angielskim zjadła obiad, a następnie, gotowa na spotkanie z Carym, a przynajmniej tak sobie powtarzając, poszła na historię. Ledwie weszła do sali i na niego spojrzała, wyczuła, że coś knuje. Widziała to w jego przewrotnym uśmiechu.

Piętnaście minut później była już prawie pewna, że tylko jej się wydawało. Ale w tym momencie do klasy wszedł Burnett James, wampir, mąż Holiday, współwłaściciel szkoły i agent Jednostki Badawczej Fallen, czyli FBI dla istot nadnaturalnych. I chociaż wszyscy uważali, że jest sprawiedliwy, to wyglądał jak głodny pitbull na targu mięsnym.

Rozejrzał się po sali i jego wzrok spoczął na Frederice. Nie było to miłe spojrzenie. Wilkołaczycza poczuła, jak skręca jej się żołądek, a instynkt podpowiadał jej, że zbliża się burza.

Pan James odezwał się do Cary'ego, a potem skinął na Frederickę, by poszła za nim. Dziewczyna zabrała książki i walcząc z potrzebą wykrzyczenia „ja tego nie zrobiłam”, ruszyła za Burnettem. Oglądając się, zobaczyła, że Cary znów uśmiecha się przewrotnie.

Ogarnęła ją wściekłość.

Co, do licha, zrobił tym razem?

Fredericka siedziała naprzeciwko biurka Holiday i wpatrywała się w przedstawiony jej dowód rzeczowy. Podobno Miranda, współlokatorka Kylie, po obiedzie znalazła to przypięte do drzwi ich domku.

– Ja tego nie zrobiłam – powiedziała Fredericka, patrząc na zdjęcie Kylie Galen z narysowanym wbitym w pierś nożem i słowem „śmierć” poniżej. Brzegi fotografii wyglądały tak, jakby ktoś opalił je palnikiem gazowym. Pewnie jej palnikiem.

Fredericka miała już ochotę powiedzieć, że to sprawka Cary'ego, ale pohamowała się. Po co strzępić język? I tak by jej nie uwierzyli. Nie miała na to dowodów.

– Brzegi wyglądają tak, jakby ktoś wykorzystał palnik – powiedział Burnett. – Czy ktoś oprócz ciebie ma dostęp do twojego warsztatu?

Przechylił głowę, by wsłuchać się w bicie jej serca.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła, nie patrząc na niego... bo nie chciała zobaczyć w jego oczach niedowierzania.

Miał świadomość, że mówiła prawdę, ale wszyscy wiedzieli, iż niektórzy potrafią doskonale kłamać.

Pewnie uznał, że należała do tej grupy. Bo czemu nie? W końcu była córką wyrzutka.

Oczywiście mogła przypomnieć Holiday, że zgubiła klucz i że do środka mógł się dostać właściwie każdy. Mogła powiedzieć, że rozumiała, że jej związek z Carym nie miał sensu, a on nie chciał się z tym pogodzić. Ale czego to dowodziło?

– Fredericko – odezwała się Holiday. – Wiem, że masz ostatnio dużo na głowie. Śmierć taty i jeszcze duchy. Może...

– Nie zrobiłam tego – powtórzyła. – Już nie nienawidzę Kylie.

– Ale kiedyś tak było, prawda? – zapytał Burnett, jakby sprawdzał jej umiejętność kłamania.

– Tak. Kiedyś jej nienawidziłam. Ale to już przeszłość. – Zacisnęła pięści.

Nie była zła na Holiday ani na pana Jamesa. Była wściekła na Cary'ego.

– Czemu nie przyszedł rano na lekcję matematyki? – zapytał pan James.

– Zasnęłam – odparła, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to jak kłamstwo. – Skończyliśmy?

Chciała wyjść i biec. Czuć, jak tlen pali jej płuca, aż wypali się gniew w jej piersi.

– Nie, jeszcze nie skończyłem – odparł pan James. – Czego nam nie mówisz, Fredericko? Ukrywasz coś. Czuję to.

Pociągnęła nosem, próbując zapanować nad pieczeniem oczu. Chodziło nie tylko o emocje, które sprawiały, że oczy jej jaśniały, ale i o łzy. Łzy niesprawiedliwości.

– Mam pomóc Brandonowi Hartowi zasadzić kwiaty przed galerią. Czy mogę już odejść?

– Nie! – warknął James. – Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zaczniesz mówić.

Uniosła podbródek, wciągnęła zapach wampira, który odruchowo ją denerwował, i spojrzała mu w lśniące oczy.

– Co za różnica, co powiem? Jestem córką wyrzutka. Już i tak zostałam uznana za winną! – Czy grzechy jej ojca kiedykolwiek przestaną ją prześladować?

Wstała i ruszyła do wyjścia.

Usłyszała, jak pan James za nią woła, a potem głos Holiday, która powiedziała:

– Puść ją, niech idzie.

Fredericka pomyślała, że Holiday ucieszyłaby się, gdyby sobie poszła. I to jak najdalej. Gdyby jej stopa nigdy więcej nie powstała w szkole. Czuła, jak łzy złości i frustracji palą ją w oczy, i puściła się pędem w las, by biec, aż zaczną palić ją płuca.

Zrobiła pięć okrążeń wokół obozu. Spomiędzy drzew prześwitywało piękne niebieskie niebo, jakby wyśmiewało się z jej bólu. Zapach lasu i mokrej ziemi przypominał jej o pewnym artyście i jego leśnym aromacie.

Za każdym razem, gdy zbliżała się do płotu, miała ochotę przeskoczyć na drugą stronę i pobiec na spotkanie z Brandonem. Ale tego nie zrobiła. Bo wtedy wyglądałaby na winną.

Po kolejnych trzech okrążeniach, z trudem łapiąc powietrze, padła na duży kamień nad strumieniem. Niewiele ponad doba dzieliła ją od pełni, która zapewniała jej ucieczkę od bólu, ale nie mogła się już

tego momentu doczekać.

Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je rękami. A potem zamknęła oczy i pozwoliła płynąć łzom. Kiedy się wypłakała, wyjęła z kieszeni komórkę i napisała do Brandona.

Przepraszam. Nie mogę dziś. Do zobaczenia w piątek.

Miała nadzieję, że w piątek będzie mogła go zobaczyć. Liczyła, że do tego czasu wymyśli, jak się wydostać z tego bagna, w które wpakował ją Cary.

Natychmiast dostała esemesa zwrotnego.

Szkoda. Cieszyłem się na spotkanie.

Ja też.

Wszystko w porządku?

Nie – napisała. A potem skasowała. Nie chciała zwałać swoich problemów Brandonowi na głowę. Już i tak miał dość własnych.

Tak, tylko tęsknię za tobą.

Ja za tobą też. Jak udało ci się tak szybko mnie omotać?

Przepraszam.

Nie przepraszaj. Sprawiasz, że jestem... szczęśliwy.

Zamknęła oczy i przytuliła telefon do serca. Jego wiadomość pozwoliła jej na chwilę zapomnieć o bólu. Ileż by dała, by teraz ją przytulił. By jego radość spłynęła na nią i odpędziła cały ten ból, tę niesprawiedliwość, która była wątpliwej jakości spadkiem po jej ojcu.

Kilka minut później zeskoczyła z kamienia i skierowała się do swojego domku, ale wtedy znów to usłyszała.

Szum wody.

Czego tym razem chciały od niej wodospady?

Było już ciemno, zbliżała się dziewiętnasta, gdy Fredericka stanęła na ganku domku. Jej ubranie było całkiem mokre. Ten pomysł przyszedł jej do głowy podczas wizyty przy wodospadach. Czy pochodził od aniołów śmierci? Może. Miała tylko nadzieję, że zadziała.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła zastukać.

W drzwiach stanęła Della, a jej oczy już lśniły cytrynowozielonym blaskiem.

– Zabieraj stąd swój wilczy zad. Przysięgam na Boga, że jeśli choćby tkniesz Kylie, to sprawię, że będziesz skomleć jak szczeniak.

Fredericka uniosła brodę.

– Ja tego nie zrobiłam.

– Naprawdę? – zapytała Della, ale kiedy wsłuchiwała się w serce Fredericki, zrobiła zdziwioną minę.

Fredericka pociągnęła nosem, by sprawdzić, czy Kylie jest w domu. Kiedy stwierdziła, że nie czuje zapachu kameleonki, zapytała:

– Gdzie ona jest?

– Myślisz, że ci powiem? – prychnęła wampirzyca.

Fredericka skrzywiła się. Do realizacji swojego planu potrzebowała Kylie. Dziewczyny, którą podobno miała prześladować. Modliła się, by Kylie w to nie wierzyła, bo jeśliby uznała, że to prawda, to nie miałaby powodu pomagać Frederice.

– Wpuść ją – rozległ się głos z wnętrza domu.

Fredericka rozpoznała zapach i głos Mirandy. Z jakiegoś dziwnego powodu czuła, że czarownica jest po jej stronie. A w tym momencie potrzebowała wszystkich możliwych sojuszników. Chociaż nie miała pojęcia, czemu Miranda miałaby się zgodzić jej pomóc.

– Czy mogę wejść? – zapytała Fredericka.

Della spojrzała przez ramię na Mirandę.

– Czemu miałabym ją wpuścić?

– Bo jej wierzę – odparła Miranda.

„Naprawdę?” – pomyślała Fredericka i wspięła się na palce, by zobaczyć czarownicę stojącą przy kuchennym stole.

Della prychnęła.

– No i? Wierzysz też w Świętego Mikołaja.

– Po prostu ją wpuść – powiedziała czarownica.

Della cofnęła się, ale obrzuciła Frederickę zimnym, stanowczym spojrzeniem.

– Mam cię na oku.

Fredericka przewróciła oczami i weszła. Plotka głosiła, że Della była bardzo groźną wampirzycą – ale, co dziwne – Fredericka się jej nie bała. Skoro Kylie ją lubiła, to ta dziewczyna nie mogła być całkiem złą.

Wilkołaczycy stanęła obok swojej nowej popieczniczki.

– Gdzie jest Kylie? – zapytała czarownicę.

– Nie odpowiadaj. – Della zatrzasnęła drzwi i weszła do kuchni.

Miranda uśmiechnęła się i zignorowała wampirzycę.

– Poszła z Lucasem do sklepu po jakieś rzeczy dla Holiday. Za kilka minut powinna być z powrotem.

Siadaj. – Podeszła do lodówki i wyciągnęła dwie dietetyczne cole. Jedną podała Frederice, a drugą

Delli. – Masz ochotę?

– Dzięki. – Fredericka sięgnęła po napój i usiadła przy stole. Ciekawość wzięła górę.

– Czemu mi wierzysz?

– A to dobre pytanie. – Della usiadła u szczytu stołu.

Rozdział 13

Fredericka czekała na odpowiedź czarownicy.

– Nie wiem. – Miranda otworzyła colę. – To chyba szósty zmysł.

– Jakby na tym można było polegać – prychnęła wampirzyca, otwierając puszkę.

– Nie słuchaj jej – powiedziała Miranda. – Robimy tak cały czas. Ona jest trudna. To nie jej wina.

Ugryzł ją kiedyś wściekły nietoperz. Ale i tak ją kochamy.

Fredericka spojrzała na Dellę, która pokazała czarownicy środkowy palec. Obie dziewczyny znane były z tego, że wiecznie się kłóciły, ale Fredericka czuła, że były przyjaciółkami, o jakich ona mogłaby tylko marzyć.

– Naprawdę tego nie zrobiłam – zwróciła się do Delli. – Pogodziłyśmy się z Kylie. Nie życzę jej krzywdy.

Della przechyliła głowę, jakby słuchała, czy Fredericka kłamie.

– No dobra, skoro ty nie, to kto? Kto chce skrzywdzić Kylie?

Fredericka zawahała się, ale uznała, że skoro zamierza powiedzieć to Kylie, to równie dobrze może i tej dwójce. Czuła, że wszystkim się dziela.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał skrzywdzić Kylie. Chodzi im o mnie.

W tym momencie do domku weszła Kylie.

– Kto chce cię skrzywdzić? – Podeszła do lodówki i wyciągnęła colę.

– To nie ja powiesiłam to zdjęcie – powiedziała Fredericka, nie wiedząc, ile słyszała kameleonka.

– Wiem o tym. – Pewność, z jaką Kylie to powiedziała, wzruszyła Fredericę.

Czy tak właśnie się czuło, gdy miało się przyjaciół? Wierzyli w ciebie nawet wtedy, gdy nikt inny tego nie robił?

– Dzięki. Nie wszyscy tak sądzą – powiedziała Fredericka.

– Jeśli masz na myśli mnie, to nie powiedziałam, że uważam, że to zrobiłaś – odparła Della. – Jestem po prostu ostrożna. Wampiry już tak mają.

Fredericka spojrzała na Dellę.

– Nie chodziło mi o ciebie. Tylko o... Holiday i pana Jamesa.

– Oni też cię o to nie posądzają. – Kylie usiadła przy stole.

– Właśnie że tak sądzą, ale to nieważne. Przyszłam spytać, czy pomogłabyś mi... Czy pomogłabyś mi dowieść, że jestem niewinna. – Wszystkie trzy dziewczyny spojrzały na Fredericę. – Nikomu nie stanie się krzywda. To zupełnie bezpieczne.

- No to właśnie popsukała całą zabawę – stwierdziła Della.
- Zamkniesz jadaczkę i dasz jej dokończyć? – warknęła Miranda.
- Jak brzmi plan? – zapytała Kylie.

Następnego ranka o siódmej Fredericka szła powoli do domku, w którym odbywały się lekcje historii. Pociągnęła nosem, by się upewnić, że Cary tam jest.

Był.

Nie czuła żadnych innych zapachów, a to był dobry znak. „Niech to się uda, proszę”.

Nerwy miała napięte jak postronki, kiedy skierowała się na tył sali, gdzie zwykle siedział w swoim gabinecie. Ale po chwili zatrzymała się, uznawszy, że będzie lepiej, żeby to odbyło się tutaj.

Aby zwrócić na siebie uwagę, rzuciła książki na ławkę. Usłyszała, jak odsunął krzesło. Na pewno już wyczuł jej zapach i wiedział, że to ona. Biorąc pod uwagę, że tej nocy wypadła pełnia, a wilkołaki są teraz najsilniejsze, nie był to najlepszy moment na taką akcję. Ale musiała odzyskać dobre imię.

– No proszę, kto się pojawił tak wcześnie. – Oparł się o framugę. – Czyżbyś zmieniła zdanie?

Poczuła, że serce jej wali. Modliła się, by wszystko się udało. Większość nocy spędziła na rozważaniach, jak to rozegrać. Co powiedzieć.

– Czemu to robisz? – zapytała.

– Co takiego? – Uśmiechnął się szyderczo.

– Co zrobić, żeby cię powstrzymać? – odparła.

Zmierzył ją wzrokiem w bardzo nieprzyzwoity sposób. A potem znów pociągnął nosem, jakby się upewniał, że w pobliżu nikogo nie ma i czy to nie jest jakiś podstęp.

To był podstęp, ale modliła się, by on się nie zorientował.

– Wiesz, czego chcę? – zapytał w końcu.

– Nie, nie wiem. Bo szczerze mówiąc, mam wrażenie, że nawet za mną nie przepadasz. Zamiast zostać tu ze mną, zaraz po zakończeniu roku szkolnego jedziesz do Europy.

– Mówiłem już, że nie wyjeżdżam na całe lato. Co prawda... nie musimy czekać do lata, by się bliżej poznać. – Znów zobaczyła to w jego oczach.

– Myślałam, że boisz się o swoją pracę?

– To było wcześniej.

– Wcześniej niż co? – zapytała.

– Zanim ustaliłem, jaki związek będzie nas łączył.

– I jaki to ma być związek? – Zabolało ją to do głębi.

Potrząsnął głową.

– Fredericko, jesteś córką wyrzutka. Wiesz, że nie możemy stworzyć prawdziwej pary. Ale mogę dać

ci to, czego potrzebujesz, żebyś nie musiała oddawać się jakiemuś człowiekowi.

Potrzebowała całej siły woli, by nie rzucić mu się do gardła i nie obwiązać mu szyi jego własnymi strunami głosowymi.

– To mój szef.

– To był twój szef. Pójdiesz do niego i powiesz, że się rozmyśliłaś.

– Podpisałam umowę. – Mówiła dalej, niepewna, ile jeszcze musi z niego wyciągnąć.

– Odejdiesz od niego! – Podeszedł do niej i złapał ją za łokieć, wbijając jej palce w skórę. – Albo dopilnuję, żebyś wyleciała ze szkoły. Rozumiesz?

– Rozumiem! Puść ją! – W sali zadudnił głos Burnetta, zanim wampir stał się widoczny.

Dopóki trzymał Kylie za rękę, nikt nie mógł go zobaczyć ani usłyszeć. Najwyraźniej ją puścił. Zrobił się widzialny... A jego postać budziła jeszcze większy respekt niż jego głos. W ciągu kilku sekund przygwoździł Cary'ego do ściany, zaciskając mu rękę na gardle.

– Spakujesz się i wyniesiesz stąd, zanim rozpocznie się lekcja. Wiedz, że złożę raport. Twoja kariera nauczyciela, panie Cannon, właśnie przeszła do historii! – syknął Burnett i opuścił rękę.

Podczas gdy Cary z trudem łapał powietrze, Burnett spojrzał na Frederickę.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparła i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że rozciera rękę, za którą złapał ją Cary.

– Kylie, czy możesz odprowadzić Frederickę do biura? – zapytał Burnett. – Ja muszę jeszcze omówić parę kwestii z tym gównem.

– Przepraszam. – Kilka minut później Fredericka zwróciła się do Holiday.

Kylie wyszła. Burnett wciąż zajmował się wyprowadzaniem Cary'ego z terenu Wodospadów Cienia.

– Za co przepraszasz? – zapytała Holiday

– Że spowodowałam tyle kłopotów.

– Młoda damo, to on spowodował te kłopoty. Ty nic nie zrobiłaś. Tylko nie powiedziałaś nam, co się dzieje.

– Myślałam, że sama sobie z tym poradzę.

Holiday wyprostowała się na krześle.

– Nie, bałaś się komuś zaufać. A to co innego.

Fredericka spuściła wzrok. Holiday miała rację, ale...

– Poszłam do Kylie.

– No tak, myślę, że to jakiś postęp.

Do gabinetu wszedł pan James. Spojrzał na Frederickę.

– Nigdy nie pozwól, by jakikolwiek mężczyzna tak cię traktował – warknął.

Skinęła głową i powstrzymała się, by nie przeprosić znowu.

Wampir spojrzał na żonę.

– Wzięła to?

Fredericka miała wrażenie, że wie, o czym mowa. Holiday potrząsnęła głową. Burnett usiadł na brzegu biurka, otworzył szufladę i wyciągnął kopertę.

– Wiesz, większość wilkołaków bardziej obawia się odczuwać strach, niż boi się w rzeczywistości.

Ty jesteś wyjątkiem.

Spojrzała na niego, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

– Czy to delikatny sposób nazwania mnie tchórzem?

– A co? – zapytał. – Jesteś tchórzem?

Właściwie nie była zła, tylko poirytowana.

– Wy dwoje – powiedziała wskazując Holiday i Burnetta – zachowujecie się tak, jakby przeczytanie tego mogło coś naprawić. Nie ma...

– Kurde, oczywiście, że nic nie naprawi. Nie da się naprawić przeszłości, Fredericko. Ale można się z niej uczyć. – Zamilkł na chwilę. – Uzyskać odpowiedzi. Niektórzy z nas bardzo chcieliby je poznać.

– Posłuchaj... – odezwała się Holiday, ale jej mąż potrząsnął głową.

– Daj mi skończyć – zwrócił się do żony i znów spojrzał na Frederickę.

Popatrzyła na niego zagubiona.

– Nie mówiłem o tym nikomu poza moją żoną, ale wiedz, że zostałem znaleziony na śmietniku, gdy miałem sześć miesięcy. I powiem ci szczerze, że cholernie boli świadomość, że tak niewiele znaczyło się dla swoich rodziców. Zwłaszcza teraz, gdy mam Hannah i wiem, jakim skarbem są dzieci. Gdybym miał kopertę, w której byłyby jakieś odpowiedzi, to przeczytałbym ją tak szybko, że w głowie by ci się zakręciło. A wiesz czemu? Bo... wiem, że to, co sobie wyobrażam, musi być gorsze od prawdy.

Frederice łzy napłynęły do oczu. Zarówno ze względu na tego silnego mężczyznę, który obnażył przed nią swoją duszę, jak i na siebie. W tym momencie zrozumiała, czemu tylu uczniów darzy tego wampira szacunkiem.

– W moim przypadku jest gorsze – powiedziała Fredericka. – Już o tym wiem. Przez te wszystkie lata wmawiałam sobie, że on nie żyje. To było łatwiejsze niż... niż myśleć, że mnie po prostu zostawił.

Burnett westchnął.

– Posłuchaj. Holiday rozmawiała z przyjaciółką twojego taty, która przyniosła tę kopertę. Wie o pewnych sprawach, które zostały tam opisane, i powiedziała, że naprawdę powinnaś to przeczytać. A moja żona – położył dłoń na ramieniu Holiday – zna się na rzeczy. Zaufaj jej. Wiem, że to trudne. Jeśli ludzie cię zawiodą, trudno jest potem zaufać znowu. Sam przekonywałem się do tego bardzo długo. Ale w końcu się udało. Uświadomiłem sobie, że nie można pozwolić przeszłości na to, by kształtowała albo definiowała twoją przyszłość. Fredericko, to twoje życie. Ty decydujesz, kim jesteś, w jaki sposób

żyjesz. Jednak aby to zrobić, musisz rozprawić się z przeszłością. Przeczytaj to.

Uniósł kopertę. Fredericka wzięła ją drżącymi rękami.

Na dziesięć minut przed północą Fredericka, której krew szumiała w żyłach w oczekiwaniu na przemianę, a serce waliło po przeczytaniu listu od ojca, ruszyła na spotkanie z innymi wilkołakami z Wodospadów Cienia. Wędrując przez las, uniosła głowę z nadzieją, że wyczuje zapach Lucasa. Nie było go w pobliżu.

Słyszała, że szukał jej wcześniej, ale całe popołudnie i wieczór spędziła, pracując w warsztacie nad naszyjnikiem. A teraz musiała wyjaśnić, czemu tej nocy nie będzie biegać z watahą.

Stała w środku lasu, otoczona nocnymi odgłosami, gdy jej telefon zapiszczał, informując o esemesie. Wcześniej korespondowała z Brandonem cały czas. Kusiło ją, by go odwiedzić, ale biorąc pod uwagę jej poruszenie i pewne zmiany fizyczne wywołane zbliżającą się przemianą w wilka, bała się, że mógłby coś zauważyć. Kiedy jednak zapadła noc, zaczęła się niepokoić o coś zupełnie innego.

O bezpieczeństwo Brandona.

Skoro Cary nie mógł już skrzywdzić jej, to czy coś nie groziło Brandonowi? Wcześniej uważała, że Cary za bardzo lubi swoją pracę, by zrobić coś głupiego, ale teraz już nie miał pracy.

Ostrzegła Brandona przed Carym najlepiej, jak mogła. Powiedziała mu tylko, że nauczyciel odszedł ze szkoły i był zdenerwowany i że wyjaśni to później, ale żeby na siebie uważał.

Nie była pewna, co może mu powiedzieć. Wiedziała, że nie może go ostrzec, iż nauczyciel może pojawić się w jego domu pod postacią wilka.

Cary nie był głupi. Wiedział, że zbrodnie popełniane przez wilkołaki w zwierzęcej postaci często są ignorowane. Przynajmniej przez radę wilkołaków, przez JBF już mniej.

I owszem, Burnett powiedział jej, iż uprzedził Cary'ego, że będzie mu się bacznie przyglądał. Pytanie jednak, czy arogancja Cary'ego nie spowoduje, że uzna, iż wszystko ujdzie mu na sucho.

Wyciągnęła telefon z kieszeni i zobaczyła, że wiadomość jest od Brandona.

Pewnie śpisz, a ja właśnie wyszedłem na dwór i uświadomiłem sobie, co to za noc. Nic dziwnego, że jestem taki... niespokojny. Czujesz to czasem podczas pełni? Jeśli jeszcze nie śpisz, to wyjrzyj. Jest pięknie i dziwnie kusząco.

Spojrzała na świecący między gałęziami księżyc. Czy powiedzenie mu prawdy byłoby takie złe? Przypomniała sobie, że Holiday ostrzegła ją, że może być złe. Może. Ale to chyba znaczyło, że nie musi...

Była tak zamyślona, że nie wyczuła zapachu ani nie usłyszała kroków, dopóki nie stanęli tuż za nią.

Zaskoczona, obróciła się gwałtownie, warcząc groźnie.

Rozdział 14

Podeszli do niej Lucas i Will, także wilkołak.

– Tu jesteś – powiedział niezadowolony Lucas, a potem spojrzał na Willa. – Dogonię cię za chwilę.

Kiedy Will odszedł, a zrobił to prawie bezgłośnie, stąpając po wilgotnej ziemi, nachmurzony Lucas spojrzał na Frederickę.

– Co się z tobą dzieje?

Zaczekała, aż Will odejdzie wystarczająco daleko, by nie mógł usłyszeć jej odpowiedzi.

– To znaczy?

– Wiesz, co to znaczy! – warknął Lucas, a mimo ciemności zobaczyła, jak jego niebieskie oczy lśnią ze złości. Znała to, wielokrotnie słyszała ten ton, za każdym razem, gdy robił jej piekło z powodu napięć między nią a Kylie.

Trzeba przyznać, że w większości przypadków Fredericka pewnie zasługiwała na jego gniew. Ale mimo wszystko bolało ją to, a co więcej, tym razem jej się nie należało.

Księżyc sprawiał, że tylko częściowo panowała nad emocjami. Zjeżyła się cała.

– Jeśli chodzi ci o zdjęcie Kylie, to bądź łaskaw się ogarnąć, bo zostałam oczyszczona z zarzutów. Nie skrzywdziłabym...

– Wiem o tym – przerwał jej. – Mówię o Carym Cannonie i o tym, że nie przyszedł do mnie, gdy zaczął się zachowywać jak dupek! Jesteś dla mnie jak rodzina. A ja jestem przywódcą twojej watahy. Powinnaś była do mnie przyjść.

– Ja... poszłam do Kylie. Jesteście praktycznie zrośnięci, więc to tak, jakbym poszła do ciebie. – To dziwne, ale w ogóle nie przyszło jej do głowy, by pójść ze swoimi problemami do Lucasa. A może powinno. Przywódca watahy jest od tego, by pomagać. Tyle że jej problemy z Carym dotyczyły związków, a nie wilkołactwa.

Skrzywił się.

– To nie to samo.

– Ale prawie – odparła, czując radość, że mu na niej zależy. – Cieszę się, że na ciebie wpadłam. Po przemianie muszę gdzieś pobiec. Spotkamy się później.

Lucas spochmurniał jeszcze bardziej.

– Jak on się nazywa?

– Słucham? – zapytała.

– Jak się nazywa. Ten facet, właściciel galerii, który ci się podoba.

– Kylie ci powiedziała? – zapytała, ale nie była nawet zła.

Opowiadając Kylie, Mirandzie i Delli o zachowaniu Cary'ego, Fredericka wspomniała o Brandonie.

Ledwie nadmieniła, ale wszystkie trzy od razu się zorientowały, że wilkołaczka czegoś im nie mówi.

– Gadaj, wilczyco – zawołała Della. – I nie próbuj kłamać, bo będę o tym wiedziała.

W końcu zgodziła się przyznać, że był... no cóż, przystojny, i jeździł na motocyklu, i był... no cóż, bardzo przystojny. A potem powiedziała im, że w jego żyłach płynie też krew wilkołaków i o tym, jak ją pocałował. Pewnie nie powinna im tego mówić, ale... to było całkiem przyjemne.

Wszystkie trzy ogłosiły, że przyjdą na otwarcie galerii, by przyjrzeć się nowemu przystojniakowi w mieście. To przedziwne, ale Fredericka, poczuła, że tego wieczoru była częścią czegoś. Czegoś dziewczęcego. Jakby nawet mogła się z nimi zaprzyjaźnić. To wydawało się prawie niemożliwe, ale zawsze można było mieć nadzieję.

Lucas odchrząknął, przywołując ją do rzeczywistości.

– Tak, Kylie mi o nim powiedziała. Jesteśmy zrośnięci, zapomniałaś? – odparł Lucas.

Fredericka przewróciła oczami.

– No jasne.

Spodziewała się, że Lucas przestrzeże ją przed bliższymi kontaktami z człowiekiem, ale potem przypomniała sobie, że Lucas jest inny. Sam łamał zasady rady wilkołaków i zamierzał ożenić się z Kylie. Fredericka go za to podziwiała.

– On się zamienia w wilka? – zapytał Lucas.

– Nie – powiedziała Fredericka.

– A czy wie, że ty...

– Nie – odparła. – Nie wie nawet, że ma w sobie krew wilkołaków. To znaczy... chyba to wyczuwa, ale jeszcze się z tym nie pogodził.

Lucas potrząsnął głową.

– Ale przecież się tam wybierałaś, prawda? Zobaczyć go? Po co? Jeśli on jest nieświadomy, to nie powinnaś mówić mu o tym w ten sposób.

– Nie o to chodzi. Idę tam, bo... – zawahała się, po czym uznała, że jednak mu powie. – Idę tam go chronić. Boję się, że Cary może czegoś próbować.

Natychmiast po przemianie Fredericka pognąła ile sił w łapach. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Brandona, przed Carym, o ile planował to zrobić. Oczywiście, mogła się mylić, jak zauważył Lucas, ale wolała nie ryzykować.

Brandon był już dla niej zbyt ważny.

Jak zawsze po przemianie, mięśnie ją paliły i trochę bolały. Ale to był dobry ból, jakby ktoś rozmasowywał bolące ramię. Pod wpływem szybkiego biegu ból zniknął. I po chwili ogarnęło ją uczucie wolności, jakiego zawsze doznawała, będąc w wilczym ciele.

Kiedy tak biegła przez lasy, kryjąc się w cieniu, gdy mijala zamieszkane okolice, by dotrzeć do jego domu, naszała ją smutna myśl. Brandon nigdy tego nie poczuje. Nigdy nie będzie wiedział, jak wyzwajające jest zrzucenie ludzkiego ciała i spojrzenie na świat innymi oczami.

A potem przypomniwała sobie, jak się czuła, jadąc z nim na motocyklu, jak ogarnęło ją uczucie wolności i mocy. Czy podświadomie wybrał jazdę na motorze, ponieważ dawała podobne wrażenia, co przemiana?

Kiedy zbliżyła się do głównej ulicy, wyczuła nikły zapach wilkołaka. Nie był na tyle silny, by miała pewność, że to Cary, ale zmusiła się do szybszego biegu.

Była niecałą przecnicę od domu Brandona, gdy zapach wilkołaka stał się intensywny. Pociągnęła nosem i zjeżyło jej się futro na grzbiecie, bo rozpoznała tę woń. Cary już tu był.

Wiedząc, jak szybko wilkołak może zabić człowieka, przyspieszyła jeszcze bardziej. Warknęła, modląc się, by nie było za późno.

Zobaczyła galerię. I Cary'ego w wilczej postaci, jak przeskakiwał przez płot. Pobiegnęła, odbiła się od ziemi i przeleciała przez ogrodzenie tuż za nim.

Musiał ją wyczuć, bo zaatakował, zanim jej stopy dotknęły ziemi. Ich ciała spotkały się w locie i rozpoczęła się walka. Nieprzygotowana na atak, poczuła, jak jego szczęki zaciskają się jej na szyi.

Na szczęście upadek na ziemię pozwolił jej wyzwolić się, nim jego ostre kły rozcięły jej skórę. Przeturlała się po trawie, poderwała na cztery łapy i warknęła. On był już gotowy do skoku. Oczy lśniły mu pomarańczowo. Jej na pewno też.

Był cięższy od niej i pewnie silniejszy, ale ona nigdy nie uciekała przed walką i rzadko kiedy przegrywała. Cary obnażył kły i zawarczał ponuro, a ona poczuła, że to nie będzie walka do pierwszej krwi. On chciał mordy.

Znów zaatakował. Zderzyli się w locie. Jego ciężar obalił ją na ziemię. Wylądował na niej i wbił zęby w jej bok. Zawyla z bólu. Odwróciła się i wbiła mu kły w szyję. Krew, jego krew, spłynęła jej po języku. Rozwarł szczęki, a jego jęk sprawił jej przyjemność. Wiedziała jednak, że ledwie przebiła mu skórę.

Poderwał się na równe łapy. Przez moment miała nadzieję, iż wystarczy mu to, że ją zranił, ale jego groźny warkot świadczył o czym innym. Nie zamierzał jej zostawić. Jedno z nich miało nie przeżyć nocy. Nie mogła się wycofać, ale wiedziała, że z raną na boku ma małe szanse.

Niebo rozpogodziło się, a księżycowa poświata oblała drewnianą rzeźbę wilka. Frederickę ogarnął gniew na myśl, że jeśli ona przegra, to Cary nie poprzestanie na niej, ale zabije też Brandona.

Jej wściekłość zasilili przyływ adrenaliny. Chciała żyć. Chciała ochronić artystę, którego ręce stworzyły tego wilka. Chciała czuć jego pocałunki i napawać się jego uśmiechami.

Zaatakowała. Zacisnęła szczęki na szyi Cary'ego. Wyrwał jej się, ale znów poczuła jego krew.

Zawył, a oczy załśniły mu mocniej. Dyszał ciężko. Teraz przynajmniej oboje mieli rany.

Nagle w oddali rozległo się wycie kilku innych wilków. Fredericka знаła te głosy. Lucas postanowił jednak przybyć z częścią watahy. Ale byli za daleko, by to powstrzymać.

Cary rozrył łapą ziemię, jakby się szykował, by z nią skończyć. Fredericka opuściła głowę i warknęła, dając znać, że nie zamierza się poddawać. Nie zwracała uwagi na ból w boku.

Nagle coś przemknęło obok nich. Fredericka od razu poznała, że to wampir. I to nie jakiś tam wampir, ale pewna wampirzyca o chińskich korzeniach, z którą kilka dni wcześniej piła dietetyczną colę. A obok niej wylądował kolejny wampir, a raczej kameleonka w wampirzej wersji.

Gdyby ktoś powiedział Frederice, że przy pełni księżyca ucieszy się na widok wampirów, toby go wyśmiała. Gdyby ktoś jej powiedział, że Della i Kylie przyjdą jej na ratunek, nazwałaby go kłamcą.

Cary zjeżył się i nawarczał na wampiry. Wycie wilków zbliżało się. Fredericka zauważyła, w którym momencie Cary stwierdził, że nie ma szans. Rzucił okiem na ogrodzenie, a potem przeskoczył prawie dwumetrowy płot z bali.

– Jasne. Uciekaj tchórzliwy psie! – prychnęła Della, szczerząc kły. Jej oczy lśniły zielono.

Oba wampiry spojrzały na Frederickę.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kylie, a jej oczy znów przybrały błękitny kolor.

Fredericka skinęła głową. Rana nie była poważna, ale osłabiłaby ją i możliwe, że dałaby Cary'emu wystarczającą przewagę, by ją wykończył.

– Idź – powiedziała Kylie. – My zostaniemy i dopilnujemy, żeby tu nie wrócił.

Ale w tym momencie Della coś szepnęła i obie zniknęły. Wtedy na tylnym ganku zapaliło się światło. Rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi.

Wilcze odruchy nakazywały Frederice uciekać, przeskoczyć przez płot.

Ale jej własny instynkt mówił, by została.

Rozdział 15

Brandon wyszedł na ganek. Miał na sobie tylko granatowe bokserki. Włosy miał potargane, a oczy zapuchnięte od snu. Księżyc oświetlał jego złocistą nagą skórę. Fredericka zauważyła, że jego mięśnie były potężniejsze niż ostatnio. Może i nie przechodził przemiany, ale jego ciało i tak stawało się silniejsze dzięki księżycowi.

Fredericka skuliła się trochę, chcąc okazać, że nie zamierza go skrzywdzić. Doskonale wiedziała, kiedy ją zauważył, bo gwałtownie złapał powietrze. Nie wyglądało to jednak na strach, ale raczej na podziw.

Podszedł do niej powoli. Kiedy był jakiś metr od niej, wyciągnął rękę.

– Już dobrze. Nie skrzywdzę cię.

W głębi serca wiedziała, że mówił prawdę. Pozwoliła mu się dotknąć. Powoli poruszył ręką i przesunął palcami po jej łbie. Nigdy jeszcze nie głaskał jej człowiek, gdy była w ciele wilka. Uczucie było cudowne. I po raz pierwszy zrozumiała, czemu niektóre wilkołaki podczas przemiany trzymają się ludzi.

– To ty, babciu? – zapytał.

Frederice serce aż podskoczyło. Wiedział.

Opadł na kolana i spojrzał jej prosto w oczy, jakby chciał ustalić, kim jest. Fredericka poczuła, że powinna odejść. Ale najpierw chciała się pożegnać.

Podeszła i otarła się zdrowym bokiem o jego rękę.

– Nie odchodź – powiedział.

Ale nie mogła zostać. Słyszała, jak Lucas i inni z jej stada zbliżają się do płotu. Podeszła, by jeszcze raz otrzeć się o niego pyskiem, a wtedy dotknął jej drugiego boku.

Szybko zabrał rękę.

– Ty krwawisz.

Cofnęła się. Spojrzała na niego jeszcze raz i zobaczyła, że u jego boku stoi Linda. Na szczęście tym razem oko miała na miejscu.

Fredericka skinęła jej głową, a potem przeskoczyła przez płot.

Burnett dopadł Cary'ego następnego ranka. Jako że wilkołak nikogo nie zabił i całe zajście uznano za zwykłą walkę między dwoma wilkołakami, nie mógł go aresztować. Obiecał mu jednak, że pożałuje

swoich czynów. A znając Burnetta, na pewno dotrzyma słowa.

Na myśl o spotkaniu z Brandonem Frederickę ogarniała radość i strach.

Po pierwszej lekcji zerwała się ze szkoły i poszła porozmawiać z Holiday.

– On wie. – Opowiedziała jej o wydarzeniach poprzedniej nocy.

– Ale nie wie, że to byłaś ty, prawda?

Wilczyca usiadła na krześle naprzeciwko rudowłosej elfki, którą tak bardzo zaczęła szanować.

– Nie sądzę, ale chcę mu powiedzieć.

Holiday westchnęła.

– Naprawdę go lubisz, prawda? I to nie tylko jako szefa.

Fredericka nie zaprzeczała. Opowiedziała Holiday o jego bliznach, o tym, jak nigdy wcześniej nikomu nie pokazywała swoich, a jednak dla niego zrobiła wyjątek.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale czasem mam wrażenie, że rozumiem go lepiej, bo oboje je mamy.

Elfka odchyliła się na krześle.

– To nie brzmi głupio, ale... najlepiej będzie, jeśli sam sobie uświadomi, kim jesteś. Taka informacja może strasznie namieszać człowiekowi w głowie.

– A jeśli nigdy sobie tego nie uświadomi albo nigdy nie powie o tym głośno?

– Z tego, co mówisz, jest już blisko – odparła Holiday. – Daj mu czas.

A potem nachyliła się do niej.

– Widziałaś znów jego siostrę?

– Wczoraj w nocy, przez moment. Ale... może zobaczę ją dzisiaj.

Holiday skinęła głową.

– Pamiętaj, co mówiłam. Zachowaj spokój i spróbuj z nią porozmawiać.

Fredericka wstała, a gdy doszła do drzwi, usłyszała słowa Holiday:

– Przeczytałaś?

Odwróciła się do elfki.

– Mogę już opłacić moje chesne. Zostawił mi w banku sto tysięcy dolarów. – Zauważyła zaskoczoną minę Holiday. – Marissa nie powiedziała ci o pieniądzach?

– Nie – odparła Holiday. – Powiedziała, że twój ojciec zostawił cię u ojca Lucasa, bo ścigali go wrogowie i bał się, że postanowią cię wykorzystać, by go skrzywdzić.

Skinęła głową.

– Napisał mi to w liście. – Przełknęła kulę w gardle. – Nadal uważam, że postąpił źle. Mógł mi chociaż powiedzieć.

– Ludzie popełniają błędy – rzekła Holiday.

– Był płatnym zabójcą jakiegoś mafioza, człowieka.

– Niektóre błędy są gorsze od innych – odparła elfka ze smutkiem w głosie.

Fredericka zawahała się, ale ponieważ właśnie z tego powodu czuła mniejszą złość, dodała:

– Powiedziała ci, jak zginął?

– Nie.

– Został wynajęty, by kogoś zabić. Nie wiedział kogo, dopóki nie dotarł na miejsce. Okazało się, że to dziewczynka. Mała dziewczynka. Nie mógł się na to zdobyć. Więc poszedł do ojca dziewczynki, który był właściwym celem, i ostrzegł go. Napisał w liście, że ta dziewczynka przypominała mu mnie. Wiedział, że jeśli nie wykona zadania, to jego zleceniodawca go zabije, ale i tak tego nie zrobił, bo uznał, że w ten sposób odkupi swoje winy.

Fredericka poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, i zobaczyła, że Holiday też płacze.

– Oddał swoje życie za kogoś innego. Nie był całkiem zły – stwierdziła komendantka.

– Chyba nie. – Fredericka już miała wyjść, ale się odwróciła. – Dziękuję, że namówiłaś mnie, bym to przeczytała. To nadal boli. Ale miałaś rację. Pomogło.

Zamierzała zadzwonić do Brandona i powiedzieć mu, że przyjedzie wcześniej, ale uznała, że woli zrobić mu niespodziankę.

Ku jej rozpaczy, nie było go w domu. Albo nie otwierał drzwi. Przeraziła się, że może Cary zdołał do niego dotrzeć. Wyjęła komórkę i wybrała jego numer. Gdy nie odebrał po drugim dzwonku, zaczęła wpadać w panikę, ale w końcu się odezwał.

– Cześć – powiedział. – Jeśli dzwonisz odwołać swoją wizytę, to nie przyjmuję tego do wiadomości.

Zachichotała, czując ulgę, a jego głos sprawił, że zrobiło jej się cieplej na sercu.

– Nie, dzwonię, ponieważ... Przyjechałam wcześniej. Jestem tutaj, a ciebie nie ma.

– Jestem w Bayberry, jakąś godzinę na północ od Fallen, w składziku mojej siostry. Miała tu trochę moich rzeczy sprzed lat.

– Rzeźby? – zapytała, myśląc, że może doda coś do galerii.

Milczał przez chwilę.

– Nie. Rzeczy mojej babci – odparł. – Prowadziła pamiętnik.

Fredericka przełknęła, czując, jak serce jej wali.

– Naprawdę?

– Tak. Napisała tu różne ciekawe rzeczy. A niektóre... Mam wrażenie, że niektóre fragmenty... zostały napisane do mnie.

– Naprawdę? – powtórzyła, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Tak. Opowiem ci o tym, jak wrócę.

– Dobra. – Przygryzła wargę.

– Wejdź do domu. Zaczekasz na mnie, prawda?

– Pewnie, ale jest zamknięte – powiedziała.

– Klucz jest schowany pod sztuczną psią kupą w ogrodzie.

– Sztuczna kupa? – roześmiała się.

– Tak. To pomysł mojej siostry. Jadę do ciebie. Do zobaczenia niedługo.

Fredericka znalazła sztuczną kupę i otworzyła zamek. Ledwie uchyliła drzwi, gdy ujrzała, jak coś żółtego, w kolorze sukienki Lindy, znika w kuchni.

Opanowała strach i szybko poszła za nią. Tyle że Lindy tam nie było. A przynajmniej nie było jej widać. Chłód w pokoju przyprawił Frederickę o dreszcze. Pamiętając o radzie Holiday, zmusiła się, by powiedzieć:

– Lindo? Możemy porozmawiać?

„I proszę, miej oczy na właściwym miejscu”, dodała w myślach.

Z drugiego pokoju dobiegł ją dźwięk dzwonek.

– Brandon powiedział mi, że to ty je zrobiłaś – odezwała się. – Są piękne.

Czekała z nadzieją, że Linda się pokaże, ale nie. Za to dzwoneki grały dalej.

– Chcę ci pomóc – powiedziała Fredericka. – Chcę pomóc Brandonowi. On potrzebuje odpowiedzi.

A... odpowiedzi czasami są dobre.

Wciąż nic.

A potem dzwoneki zamilkły. Gwałtownie. Śmiertelna cisza, jaka zapadła, przypominała Frederice tę, kiedy...

Usłyszała, jak przed wejściem zatrzymuje się samochód. Silnik gaśnie, a potem rozlegają się kroki na podjeździe.

Podchodząc do frontowych drzwi, które zostawiła otwarte, potwierdziła swoje przypuszczenia. Na trawie między dwoma domami stał ten sam mężczyzna, którego widziała kilka dni wcześniej. Mężczyzna, którego Brandon określił jako byłego chłopaka Lindy. Ten, którego uważał za winnego jej śmierci.

A potem mężczyzna obrócił się i ruszył na ganek. Fredericka powinna się pewnie przestraszyć, ale czuła tylko wściekłość. Ten facet odebrał Lindzie życie.

Zatrzymał się na ganku i spojrzał na nią. I to w sposób, w jaki obrzydliwi faceci gapią się na kobiety. Fredericka poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku, ostrzegając, że ten facet zwiastuje problemy.

Sprawdziła jego wzór, by się upewnić, że nie jest czymś więcej niż człowiekiem. Nie był. Ale zauważyła, że jego wzór był mroczny. Czyli dobrze go czuła.

Cofnęła się o krok, ale nie na tyle, by uznać to za zaproszenie do wejścia.

– Cześć, śliczna. Gdzie Brandon? – Podszedł bliżej i oparł się o framugę drzwi, jakby był zbyt pociągający, by stać prosto na nogach.

Kurde, ileż by dała, by przewrócić go na głupi tyłek i zrobić z jego ego niezłą bitkę. Tak na miazgę.

– Będzie niedługo – odpowiedziała krótko, a wręcz chłodno.

– Przekazesz mu wiadomość? – Wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów.

Cofnęła się i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Przepraszam, ale są takie piękne. Dziewczyny takie jak ty sprawiają, że faceci chcą ich dotykać.

I być dotykani. Mam nawet kilka blizn, jeśli to cię kręci.

Ogarnęła ją taka wściekłość, że z trudem opanowała chęć warknięcia.

– Czy twoja wiadomość ma jakiś związek z Lindą i jej zaginięciem?

Jego postawa zmieniła się z „faceta na łowach” na „wkurzonego mordercę”. I to tak szybko, że uznała, że musi mieć problemy psychiczne albo używa jakichś twardych narkotyków. Albo jedno i drugie.

– Owszem. – Nachylił się, i to tak blisko, że czuła, iż na wczorajszą kolację jadł czosnek i zapomniał o myciu zębów. A potem przysunął twarz do jej twarzy. I to był błąd. Wszyscy wiedzą, że nie wtyka się nosa w paszczę wilkołaka.

No dobra, nie wszyscy. Ale temu aroganckiemu człowiekowi zamierzała dać nauczkę.

Zanim wprowadziła swój plan w życie, facet znów się odezwał.

– Powiedz Brandonowi, żeby przestał opowiadać te głupoty policji, bo inaczej będą szukać jego ciała!

Fredericka uniosła podbródek, by pokazać, że się go nie boi, i może trochę, by nakłonić go do mówienia.

– Wiesz, to jest groźba, a te są karalne.

Oczy zalśniły mu z wściekłości. Złapał ją za ramię. Mogłaby mu się wyrwać, ale nie, miała nawet nadzieję, że facet zrobi coś, co usprawiedliwi jej następny ruch.

Zacisnął mocniej palce.

– Nie, dupieńko, to nie jest groźba. To obietnica.

Uniosła jedną brew, nachyliła się troszkę i spojrzała mu prosto w oczy.

– A chcesz usłyszeć moją obietnicę?

Rozdział 16

Wzmocnił uścisk.
– Obiecuję, że ustalę, co się stało z Lindą, i będziesz gnął w więzieniu. I obiecuję też, że to będzie bolało!

Z wilkołaczą siłą uniosła kolano i walnęła go prosto w gonady. Mężczyzna padł na kolana. Usłyszała, jak z trudem łapiąc powietrze, brzydko ją nazwał. Najlepiej było jednak słyszeć dzwonki, które grały jakąś piękną melodię.

Fredericka cofnęła się o krok i zatrzasnęła drzwi. Spojrzała na dzwonki. Wciąż nie widziała Lindy, ale wiedziała, że ona tam jest.

– Podobało ci się, co?

Dzwonki zagrały głośniejsze.

– Proszę, porozmawiaj ze mną – zwróciła się do niej pięć minut później.

Zabójca Lindy zdołał zabrać swój żaloszny tyłek i stłuczone jaja do samochodu i odjechał. Fredericka obesza dom, rozmawiając z duchem, który nagle zniknął. Dzwonki milczały. Nie była to taka śmiertelna cisza jak wcześniej, ale jednak.

Nagle Fredericka przypomniała sobie, że kilka razy widziała Lindę przy kwietniku.

Wyszła przed dom. Przeszła za róg i wtedy ją zobaczyła. Dziewczyna siedziała i obejmowała rękami kolana. Oczy miała na miejscu.

– Możemy porozmawiać? – zapytała Fredericka.

Dusza spojrzała na nią.

– *Czemu ty mnie widzisz, a inni nie?*

– Bo zdaje się, że mam ci pomóc.

Linda się uśmiechnęła.

– *Podobało mi się to, co zrobiłaś Brice'owi.*

– To... To on cię skrzywdził, prawda? – zapytała Fredericka.

Linda skinęła głową i spojrzała na rękę wilczycy.

– *Ciebie też.*

Fredericka popatrzyła na sińce.

– To nic takiego. Ale jeśli mi powiesz, co zrobił tobie, to może uda mi się spełnić złożoną mu

obietnicę i zostanie aresztowany, zanim skrzywdzi kolejną osobę.

Linda pociągnęła nosem.

– *Jestem tutaj.*

Fredericka jej nie rozumiała.

– Wiem, widzę cię. – Podeszła trochę bliżej.

Usłyszała, jak od frontu podjeżdża samochód, ale inny niż tego bydlaka. Zignorowała to, bo nie chciała, by Linda znów zniknęła.

– Pamiętasz, widziałam cię też poprzedniego dnia.

– *Nie, nie ta ja.* – Linda przyłożyła dłoń do piersi, na wysokości serca. – *Druga ja.*

– *Druga ty?* – Nagle do Fredericki dotarło. – *Mówisz, że...*

Linda skinęła głową.

– *Sadziłam kwiaty. Było wcześniej rano, zanim zrobiło się gorąco, a on... zajrzał. Zerwałam z nim, ale on nie mógł się z tym pogodzić. Nawrzeszczał na mnie, a potem... wziął moją łopatę i walnął mnie.*

– Spojrzała na klomb. – *Łopata też tu jest. Chyba go podrapałam, więc pod paznokciami powinien być dowód.*

– Przykro mi – powiedziała Fredericka, czując, jak kraje jej się serce, i żałując, że nie wykastrowała bydlaka, zamiast go tylko obić.

– *Mnie też. Tyle rzeczy chciałam zrobić. Ale myślę... Myślę, że tam, gdzie idę, będzie miło.*

– Tak sędzę – powiedziała Fredericka. Żałowała, że nie wie więcej, że nie może lepiej pocieszyć Lindy, ale skoro nie miała pewności, to przecież nie mogła okłamywać zmarłej osoby. – Jestem w tym nowa, ale Holiday, przyjaciółka, która się tym dużo zajmuje, powiedziała, że będziesz tam szczęśliwsza.

Linda się wyprostowała.

– *Zaopiekujesz się Brandonem? To dobry chłopak. Właściwie sam o siebie dba. Musiał się tego nauczyć z powodu matki. Ale od kiedy cię spotkał, jest szczęśliwszy. Dużo szczęśliwszy. Potrzebuje tego. Zasługuje na to.*

– Mnie też uszczęśliwia – powiedziała Fredericka i w tym momencie usłyszała za sobą kroki i jego głos.

– Co cię... Z kim rozmawiasz? – zapytał Brandon.

Linda podeszła trochę bliżej.

– *Możesz mu powiedzieć. Wie, że tu jestem. Mówi do mnie, ale chyba mnie nie słyszy. Dlatego zaczęłam grać dzwonekami.*

– Nie słyszałam motocykla. – Fredericka się odwróciła.

– Wziąłem samochód Lindy. – Spojrzał dziwnie na Frederickę. – Jak twój bok?

– Dob... – jęknęła.

Popatrzył na jej czoło. Próbował odczytać jej wzór.

– Twój... – dotknął swojego czoła – jest inny.

Fredericka wpatrywała się w niego bez słowa.

– Babcia mówiła mi, jak... Nigdy nie próbowałem. Myślałem, cała rodzina myślała, że jest szalona. –

Wciąż się w nią wpatrywał. – A potem napisała to dla mnie. W pamiętniku.

Przeczesał włosy palcami. Spojrzał na nią zaniepokojony.

– Nie stój tak, bo myślę, że oszalałem.

– Nie, ja... Nie oszalałeś. Jesteś... po części wilkołakiem.

– Po części?

Skinęła głową.

– W około siedemdziesięciu pięciu procentach jesteś człowiekiem, a do tego masz w sobie trochę wilkołaka i odrobinę elfa.

– To samo powiedziała babcia – przytaknął. – A ty... – Znow zmrużył oczy. – Jesteś wilkołakiem?

Potwierdziła ruchem głowy.

Westchnął ciężko, a potem gwałtownie nabrał powietrza.

– Kurde. – Spojrzał na nią. – Wczoraj w nocy to naprawdę byłaś ty, co?

Znow skinęła głową.

Zamyślił się.

– Czy mogę się zmienić w...?

– Nie sądzę. Nie wiem za wiele o mieszankach. Ale znam kogoś, kto wie.

Rozważył jej słowa.

– Ta szkoła? To właśnie...?

Znow kiwnęła głową.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Poradzono mi... że najlepiej będzie, jak sam do tego dojdiesz.

– Dobra. – Stał chwilę, trochę przytłoczony. – Kurde! – powiedział po chwili.

I wtedy się uśmiechnął.

A ona odpowiedziała uśmiechem.

I ją pocałował.

A ona pocałowała jego.

A kiedy to się skończyło, po kilku cudownych sekundach, zapytał:

– Z kim rozmawiałaś?

– *Powiedz mi* – powtórzyła jego siostra, a Fredericka skrzywiła się, bo kompletnie o niej zapomniała.

A ten pocałunek nie należał do takich, które powinno oglądać rodzeństwo. Nawet martwe.

Fredericka się zawahała. Ile Brandon był w stanie znieść jednego dnia? Czy powinna skłamać? Ale musiała komuś powiedzieć, żeby mogli... odnaleźć ciało. Prawda? Spojrzała na klomb, próbując coś wymyślić.

– Hej – odezwał się Brandon.

Spojrzała na niego. Kurde, kłamanie wychodziło jej beznadziejnie.

– Z twoją siostrą. Rozmawiałam z twoją siostrą.

– Chce pani wnieść oskarżenie? – zapytał szeryf, patrząc na posiniaczone ramię Fredericki.

Obok przeszło dwóch policjantów, rozwijając żółtą taśmę. Właśnie zaczęli kopać w poszukiwaniu ciała Lindy.

– Nie... Chyba wyrównaliśmy rachunki. – Powiedziała im o tym, jak kopnęła go w klejnoty. Na razie nikt nie miał do niej o to pretensji. – No, chyba że uzna pan, że powinnam.

Stojąc na ganku, spojrzała na Burnetta, który przed domem rozmawiał z Brandonem.

Zaraz po tym, jak powiedziała Brandonowi o tym, że widzi Lindę, zadzwoniła do Burnetta i zapytała go o radę. Pojawił się dziesięć minut później z instrukcjami, co ma powiedzieć policji. A potem kręcił się w okolicy, by wszystkiego dopilnować.

Właściwie powiedziała prawdę. Ominęła fragment o duchu i może trochę przesadziła w kwestii zainteresowania byłego chłopaka Lindy kwietnikiem. I zadziało doskonale, tak jak przewidywał Burnett.

– Może poczekamy i zobaczymy, co się znajdzie? – powiedział szeryf.

Wiedziała, że wciąż miał wątpliwości, ale nie dziwiła mu się. On nie widział ducha z dyndającym okiem.

Fredericka znów skinęła głową i spojrzała na Brandona. Zauważyła, że sprawdzał czoła wszystkich wokół. A potem popatrzył na nią. Uśmiechnął się i to wystarczyło, by zrobiło jej się ciepło na sercu. Nigdy nie wierzyła w takie głupoty jak miłość od pierwszego wejrzenia, ale nie mogła zaprzeczyć, że od początku ciągnęło ją do Brandona. Co prawda był wtedy bez koszuli i wymachiwał siekierą. Pewnie poleciałyby na niego większość kobiet.

Nagle rozległy się głosy obok domu. Jeden z policjantów zawołał szeryfa. Nie padły żadne słowa, ale ona wiedziała, tak samo jak wszyscy inni.

Odnaleziono ciało Lindy.

Na twarzy Brandona odmalował się smutek. I chociaż wiedziała, że pragnął poznać odpowiedzi, to i tak bolało. Biorąc pod uwagę jej własne poszukiwania prawdy, aż za dobrze to rozumiała.

A kiedy zobaczyła, jak przechodzi przez garaż do domu, poszła za nim.

Stanął w pokoju od frontu, obok dzwonków. Podeszła do niego i objęła go w pasie.

– Będę za nią tęsknił – odezwał się zduszonym głosem.

– Wiem – powiedziała.

Po kilku minutach ciszy spojrzał na nią. Błękitne oczy miał zasnute łzami.

– Jak to możliwe, że miałem tyle szczęścia i cię znalazłem?

Odpowiedziała uśmiechem.

– To ja miałam szczęście.

– Wierysz w przeznaczenie? – zapytał.

Przygryzła dolną wargę.

– Nie wiem.

Przesunął palcem po jej ustach.

– Nie martw się. Ja wierzę za nas oboje.

Wzięła głęboki oddech.

– Nadal nie wiesz o mnie wielu rzeczy. Mój tata... był wyrzutkiem. Zrobił wiele złych rzeczy.

A w świecie wilkołaków, jeśli ktoś został wychowany przez wyrzutka, to jest uznawany...

– Przestań. – Potrząsnął głową. – Naprawdę myślisz, że zmienię o tobie zdanie?

– Chcę tylko, żebyś wiedział, na wypadek gdyby...

– Ważne, że wiem, że jesteś. – Odgarnął jej kosmyk z policzka. – Wiem, że dopiero zaczęliśmy... ale nigdy nie czułem z nikim takiej więzi. Nie czujesz tego?

– Owszem – odparła. – Czuję, ale...

Zawahała się, ale w końcu się zmusiła, by to powiedzieć.

– A jeśli czujesz to wyłącznie dlatego, że jestem wilkołakiem? Jest mnóstwo wilkołaczych lasek z nienaganną historią rodziny.

– Mam wrażenie, że jest tylko jedna Ricka. I czy sądzisz, że naprawdę interesuje mnie historia rodziny? Sam mam niezłe popapraną historię. Szukam kogoś, kto mnie uszczęśliwi. Kto sprawi, że będę się śmiał. Kto rozumie sztukę. Kto wie, czym jest blizna... a czym nie. Szukam kogoś, kto sprawia, że wystarczy jedno spojrzenie, a moje serce znów jest w całości. A tym kimś jesteś ty. Tak na mnie wpływasz.

Uśmiechnęła się.

– A ty na mnie – odparła. – Po prostu nadal trochę się boję.

– Nie bój się. – Nachylił się i ją pocałował. A ten pocałunek smakował obietnicami, miłością i przyszłością.

Kurde, może Fredericka jednak wierzyła w przeznaczenie.*